

II / 1247 / 2K

OD AUTORA

Nie jestem ni historykiem, ni literatem. Jednak historia mnie interesowała już od dawna, ale ją gromadzić, zbierać i pisać było niebezpiecznie. Dlatego pisywało się wszystko w głowie. Zaczęłam zbierać rozmaite fakty historyczne tylko w czasie "pocięplenia" polityki prowadzonej przez reformatora i wielkiego polityka Gorbaczowa. Zaczęła pisać prawdę w coraz szerszym kręgu prasa sowiecka. Zmieniła swoją treść jedyna polska gazeta "Czerwony Sztandar". Na zamach tego dziennika wówczas, gdy się mówiło jeszcze półgłosem, zastępca redaktora tego dziennika pan Jerzy Surwiło głośno na cały świat potępił zbrodnie NKWD, w Katyniu, Starobielsku, Ostaszkowie. Nazwa dziennika "Czerwony Sztandar" nie odpowiadała i po radzie z czytelnikami zmieniono nazwę na "Kurier Wileński". Nadal została prowadzona rubryka "by czas nie zatart ślady o gehennie przeżytej przez Polaków w sowieckich koncлагrach. O surowym prześladowaniu byłych członków Armii Krajowej. Tropił i nadal tropi po śladach popełnione zbrodnie NKWD w szerokim terytorialnym zasięgu. Prowadzi i kontynuuje nadal wielką pracę naukową. To ja od niego wzięłam przykład i żeby czas nie zatart śladów zacząłam pisać. Zaczęłam pozostałych w mojej rodzinnej wsi w pełni asymilowanych mieszkańców - rodaków do odrodzenia pamięci kim oni są, kim byli ich dziady i pradziady. Dużo z nich stali zamiast Jana - Iwan, Lucji - Ludmiła, Maciej - Matwiej, Józef - Josif itp. Prowadzę pracę, aby odnowić i doprowadzić do porządku stary zapomniany, zaniedbany, sponiewierany, oborany wiejski Nekropol - jedyna pamiątka kultury i historii wsi. Zupełnie zapuszczony i zaniedbany. Do dzisiaj pozostał jeden, jedyny drewniany krzyż a drugi nie wytrzymał na sile i czyjaś dobra ręka go

przyniosła w objęciu jedynej stojącej wierzby. Miejscowi mieszkańcy pozostali do wszystkiego obojętni. Władza sowiecka dopięła swego. Unika spotkania się ze mną rodaczka tej wsi dyrektor szkoły (towarzysz) Kozłowska Ludmiła (Lucja). No cóż, komunistyczne wychowanie nie poszło w las. O odrodzeniu kultury, polkości, przyprowadzenia do porządku Nekropola bez wskazań partii ani rusz. We wsi śliczny budynek szkolny, ale uczniów nawet z sąsiednimi wsiami jest mało. A szkoła jest 9-klasowa z pełnym kompletem nauczycieli. Już drugi rok fakultatywnie jest prowadzone nauczanie języka polskiego. Szkoła jest białoruska, taka jak wszystkie w rejonie. Mieszkańcy werenowskiego rejonu oprócz przyjezdnych z innych rejonów są Polacy - zasymilowani. Wymiera moja rodzinna wieś Stara Kozakowszczyzna. Młodych jej mieszkańców i dzieci jest bardzo mało. Jeszcze parę lat temu zamyślałem napisać historię swej wsi, o jej ludziach. Chociaż wieś się znajduje przy drodze (blisko drogi) Wilno - Rudniki - Ejszyski - Raduń - Grodno - Kraków, nigdzie nie znalazłem żadnej wzmianki o niej i jej ludziach. Jeszcze w dzieciństwie słyszałem roymaite opowiadania o powstaniach i ludziach biorących w nich udział. Ale starzy ludzie wymarli i dzisiaj by pisać o nich nie posiadam ścisłych wiadomości. Natomiast nie tak dawno umarli legionści Piłsudskiego, o których piszę ze swej pamięci. Nie mogę sobie darować, dlaczego lat 30-40 temu nie nie zapisałem specjalnie, by czas nie zatarł ślady, wówczas byłby materiał bardziej obszerniejszy. Są jeszcze ślady kiedyś funkcjonujących karczem. Są dobre wspomnienia o rodzinie Narbuttów - ojca jako historyka i syna Ludwika dowódcy powstania 1863 roku. Umarły staruszek Babul Julian pamiętam jak opowiadał o tym powstaniu. Wydaje mi się coś mówił, że po śmierci Narbutta

Ludwika postawiony drewniany krzyż na jego mogile był spalony kilkakrotnie przez Litwinów, zanim został postawiony krzyż żelazny. To się działo blisko mojej rodzinnej wsi i nie ulega wątpliwości, że w powstaniu brali udział i moi rodacy, ale kto oni po nazwisku - czas zatarł ślady. Biedni ci ludzie, nawet potomni o nich zapomnieli i leżą na tym zapuszczonym Nekropolu. Zapomniani ci, którzy pracowali na tej ziemi, którzy orosili tą ziemię krwią i potem. O niektórych starałem się wspomnieć w moim krótkim opowiadaniu, by pamięć o nich pozostała w archiwach kresów wschodnich. Ostatni czwarty rozdział pisałem w streszczeniu, by zakończyć i wysłać do 30 kwietnia. Złe jest to, że choruję na astmę i źle mogę się poruszać i jeszcze do tego szybko się męczą oczy. Osłabł wrzok tak, że więcej nie mogę napisać jak 1,5-2 str. Nie mogę pojechać i chodzić szukać znajomych czy innych ludzi by uzupełnić swoją wiedzę o jakiejś postaci historycznej. Gdy pisałem o swoim ojcu prosiłem, by się odezwał ktoś, kto był razem w lagrze, za pośrednictwem dziennika "Kurier Wileński", ale nikt się nie odezwał. Historyk Radmiskiej Szkoły Średniej napisał do mnie list, w którym prosi przyjąć udział w napisaniu historii raduńskiego rejonu. Napisałem mu, że historia musi być prawdziwa, fakty historyczne muszą być autentyczne, wszechstronne, prawdziwe. W katowni, gdzie wcześniej znajdowało się NKWD, musi być ten dom przekazany i przekształcony na muzeum męczeństwa. W tej historii trzeba pisać o nieprawomocnie skazanych przez NKWD katowanych i męczonych niewinnych ludzi. Inaczej historia nie będzie historią. Już miesiąc czasu, gdy jemu dałem taką odpowiedź i na razie cisza, coś mu się nie spodobało. Niechaj sobie... Taką samą

odpowiedź dałem dla kierownika oświaty rejonu woronowskiego -
już rok czasu jak milczy. Mam teraz propozycję doktora
nauk historycznych z Mińska. Zobaczę, czy będę miał siłę.

Nie wiem, jak będzie oceniona moja ta praca.

Pozostaję w głębokim szacunku Julian Boładź.

Julian Boładź

ulica Wikinto 21 m. 5

Wilno 2004, Litwa

telefon 73-56-18

P. S. Bardzo przepraszam za błędy. W tekście będą też litery
z rosyjskiego alfabetu jak s-c, p-n, r-p i inne. Całe swoje
życie pracowałem i pisałem po rosyjsku, codziennie rozmawiałem
po polsku, rosyjsku i litewsku.

Józef Boładź

Wrzesień 1939 ...

Nastąpił 1939 r. Zaczęto coraz głośniejsz mówić o groźbie wojny. Wieśniacy zasięgali rozmaitych wiadomości przy spotkaniu pod kościołem, na targach w Raduniu po środem, w Ejszyskach w każdy czwartek i po poniedziałkach w Lidzie. W mojej rodzinnej wsi wówczas były radio w dwóch gospodarzy: jedno na bateriach głośnikowe firmy "Philips" oraz drugie detektorowe na słuchawki. Ale i te słuchawkowe odbierały wiadomości nie tylko z Wilna czy Warszawy nawet z Londynu w języku polskim. Jedni mówili, że wojna jest nieunikniona, bo to zwyczajnie tak bywało w historii, że czas międzywojenny już się kończył. Inni mówili że wojna, która przynosi biedę, nędzę i ofiary ludzkie, przepowiadana jest dla ludzi przez znaki na niebie. Twierdzili, że każdy, nawet ślepy, może obserwować przy zachodzie słońca i rozumie po kolorach i ornamentach w obłokach na horyzoncie... Dobrze przypatrzeć się widać w obłokach masę ludzi, obozy, konie i jakieś inne nie rozpoznane znaki. Te oraz inne "wiadomości" przekazywane były jeden drugiemu, starano się przypatrywać, ale daleko nie każdemu udawało się to widzieć i zrozumieć. Modlono się o pokój na ziemi zalecany księdzem w kościele, bym od powietrza, głodu, ognia i wojny zachował nas Pan Bóg. Wiedziano już, że w przeszłym roku 1938 już przez Niemców została okupowana Austria. Tego roku wiosną poddała się bez żadnego oporu Czechosłowacja; została zaanektowana Kłajpeda (Memel) z przylegającym do niej obszarem zamieszkanym w tym obwodzie około 154 tys. ludzi.

Z aneksji Czechosłowacji skorzystała Polska odzyskując Śląsk Zaolziański ze zwarcie zamieszkałą tam ludnością polskiej narodowości. Wówczas prasa polska zamieszczała artykuły o

uroczystym spotkaniu polskich żołnierzy, o przyłączeniu do macierzy swych rodaków przez tyle lat czekających na zjednoczenie. W gazetach i w miesięczniku "Płomyk" widzieliśmy jak wesołe uśmiechnięte twarze ludności zeolziańskiej witały z bukietami kwiatów naszych żołnierzy - zbawicieli. Tymczasowo był naprawiony "błąd" Wersalski, ale nie na długo.

Starym zwyczajem każdą niedzielę, czy w inne roczne święta po nabożeństwach w kościele młodzież (starsi też) zbierała się w kolonii na starą wieś. Tak, bo komasacja była przeprowadzona w 1934-35 r.r. i od tego czasu większość rodzin przeszła na kolonie. Na starej wsi zostawiono wdowy, chore, w podeszłym wieku i inwalidów. To były dla wymienionych rodzin ulgi, którym było by trudno w przeprowadzce, budowaniu się na nowym nieobżytych miejscu. Dlatego ciągnęło jednak w dni wolne na te "stare" miejsce, gdzie się urodziło. Mówiono "miły ten kutek" gdzie rzępli pupok". Starsi ludzie rozmawiali między sobą na "prostym" języku - białoruskim, jeżeli ktoś zamówił po polsku to wówczas rozmawiano po polsku. Młodzież między sobą na zabawach (potańcówkach), gdzie zbierano się z okolicznych wsi rozmawiała po polsku.

Na starą Wieś przychodzili nie tylko młodzież, ale i starsi ludzie by pogawędzić, podzielić się "wiadomościami" (nowinami) kto gdzie coś słyszał.

Nikt tak dokładnie nie mógł opowiadać, co gdzie słyszał jak Bożadź Jan... tak, w skupieniu, poważnie, splunie i zaczyna... ale tak dokładnie opowiadać "nowiny" co słyszał "od widać dobrych, mądrych ludzi, bo jeden z nich był elegancko ubrany, prze krawacie, obuty w chromowych czarnych pantoflach, w gietrach widać był uczoney"... Opowiadał, a jednak nie mógł przepo-

wiedzieć sobie jak, przez kilka lat trzeba będzie opuścić swoje rodzinne miejsce, wieś...

Zabiegając naprzód jak mu nie grożono, a jednak nie wstąpił do kołchozu. On, on jeden z rodziną we wsi. Jego siedzibę, dom z gospodarskimi zabudowaniami oborano i zasiano dookoła i zagrożono, żeby nie deptał kołchozowej ziemi. Jednym słowem nie miał prawa zrobić steckę jakichś 50 m do drogi. Nie mając helikoptera jednak musiał instynktownie zrobić steckę i zaczął chodzić przez naborane, poslane pole. Nawet kury musiał zlikwidować, bo podwórko (dziedziniec) było kołchozowe. Dom z zabudowaniami też stał na kołchozowej ziemi. Otóż rodzina Boładź Jana (mego sąsiada nie należącego do mojej rodziny) znalazła się w o wiele cięższej sytuacji czem pan Drymała w zaborze pruskim zamieszkały na wozie. Nic nie pomagały jego udowodnienia potwierdzone notarialnie dokumenty o jakiejś części kupionej ziemi krwawym nożem zarobione przez jego ojca Macieja na oceanem w kopalni węgla w Ameryce. Ze krwią i potem zroszona ta ziemia żywicielka naszymi przapradziadami odrabiając "pańszczyznę"... że pańszczyzna była zniesiona przez cara dla spłacenia jej wartości przez 49 lat... że nie kim innym a rosyjskim carem w 1905 roku była zniesiona płata za nadzieloną ziemię dla chłopów. W owe czasy ani nikt nie mógł przewidzieć uważam nawet i dyplomowany polityk, że po prawie 19 latkach znowuż Rosjanie okupują część Polski i Litwę i wprowadzą pod płaszczykiem "agrarniej reformy" "pańszczyznę". że zabiorą od chłopów ziemię, inwentarz rolniczy, koni... Wieśniak stanie chłopem bezprawnym, nie posiadającym dowodu osobistego (paszportu)... że będzie pracował w kołchozie za 20-30 ckr. pośladu zbożowego... że będzie płacił "tyle zarabiając" podatek docho-

dowy od krowy, owcy... że nawet kury będą policzone i będą miały plan ile znieść jaj, by je oddać dla Państwa za symboliczną cenę... Jeżeli w owe wrześnie przedwojenne dni ktoś kolwiek by przepowiedział w wyżej wymienionym czasie nikt by nie uwierzył. Wyśmieliby się z niego pokręciwszy palcem o bok głowy. Nie mógł w żaden sposób wiedzieć tego życia, zapędzonych żelazną pięścią "do lepszego jutra" nasz "wzróg szczęśliwego kołchozowego życia" nasz Jan. Nie miał żadnej rady jak tylko "ustąpić". Nie chciał tego szczęśliwego jutra i wyjeżdża z rodziną na stację Bastuny kupują jakąś tam chatynkę, zabierając ze sobą wszystkie zabudowania. Pracował stróżem nocnym. Zmarł w 1988 roku, pochowany został na Raduńskim cmentarzu, tam, gdzie pochowani jego rodzice. Naprawdę, czyż nie zasługuje pamięci potomnych? Czy nie jest on w jakimś rodzaju bohaterem? Uważam, że tak, że pan Jan i jemu podobni, nie powinni odejść w niepamięć, by o nim były wataste ślady. Żona Jana pani Helenka dalej żyje w Bastunach. Trzej synowie Janek, Witek i Franek mieszkają i pracują w Wilnie. Janek, syn jest inwalidą po nieszczęśliwym wypadku na pracy, amputowano nogę, jest emerytem na skutek inwalidztwa.

W owe przedwojenne miesiące nawet między kobiety dominowały rozmowy o wojnie. Dobrze wiedziały, co to jest wojna, jakie przynosi biedy i nieszczęścia, głód i niedolę. Jakie nieszczęście może spotkać pozbawiając się gospodarzy, oracza, kosiarza, dogładacza koni, żywiołę, zabezpieczenia paliwem na zimę i inne. Opowiadano o głodzie, jaki był przy okupacji Niemiec kajzerowskich. Wszystko było zabierane od wieśniaków do ostatka, nawet nie pozostawiono zboża na posiewy. Nie było czem siałć. Ludzie opychały z głodu, umierali nie doczekując się wiosny, lata,

kiedy można było podtrzymywać życie rozmaitą trawą. Jedli
 lebiodę i inne trawy. Dużo ludzi samotnych porzucały swoje
 domy i szli na wschód, w głąb Rosji. Stamtąd powracali chowając
 się od Niemców by w drodze nie odebrały tych parę kilogramów
 zboża, by zmlewszy na domowych żarnach, w trzech palcach, jak
 pieprzu, te trochę mąki dodawać do trawy. Mamy stryjeczną
 siostrę Michalina powracała ze zbożem i te parę kilogramów
 Niemcy od niej odebrali, więc ona wróciła z powrotem, by jesz-
 cze zebrać choć trochę, ale później był front przez który
 Rosjanie nie puskały i musiała pozostać. Zamieszkała w Peters-
 burgu, tam wyszła za mąż, wyhodowała troje dzieci, przeżyła
 blokadę niemiecką i tam zmarła i została pochowana. Po wojnie
 w 40-ych latach przyjeżdżała. Rodzony brat jej i inni krewni
 prosili, by pozostała. Ale odzwyczaiła się od wiejskiego życia.
 Mówiła: kościół daleko, "bani" nie ma, bardzo smutno i wyjechała.
 Mówiono jak kiedyś, nie tak dawno, masowo ludzie umierali od
 "zarazy morowej". Nie było takiego dnia, by ktoś ze wsi nie
 umierał. Były dni, że chowano od razu po kilka osób. W końcu
 wsi przy drodze stawiano krzyże z trzema skrzyżowaniami, by chro-
 nić się od tej zarazy. Trudno powiedzieć, ile wówczas zmarło
 ludzi i w którym to roku było? Jednak, jeżeli twierdzić, że
 to było w 1710 roku, bo w tym roku 35 tysięcy ludzi zmarło
 w Wilnie, to skąd starsi ludzie wsi opowiadali, nie czytając
 nic, nie mogli tego pamiętać po 220 latach. A może to było
 przekazywane z pokolenia na pokolenie. Opowiadano, że pozostało
 1/4 ludzi, a może i mniej? Mama opowiadała, że w roku 1912-15
 po wsi chodzili Ormianie, o ciemnych włosach i twarzy. Byli
 ubrani w zachmany, prosili coś do zjedzenia a najwięcej to
 prosili "koszuli". Nawet gdy nie było czego dać, to mamy mama,

6

moja babcia, jednego razu wzięła w namoczonych w rzece do prania białizny swoją nie wypraną koszulę, wycisnęła z wody i oddała. Mówili z żalem Ormianie: "Nas Turki bili riezali". A jak w 1920 roku, w lipcu miesiącu cała óma Rosjan, kto na koniu, - ale najczęściej na piechotę, niektóre w wojskowym ubraniu, ale takich było mało. - najczęściej w cywilnym, w bluzach zapinanych z boku szyi podpasanych w talii jakąś wstążką, swojej wiejskiej roboty, w rwanych gaciach, bardzo dużo bosych, mało było obutych w buty z cholewami czy w kamaszach, najczęściej obutych w łapciach. Prosiłi chleba albo kartofli, ale my sami nie mieliśmy po tak wielkim kilkuletnim głodzie, czekaliśmy na żniwa, dlatego jak mówiono "głodny nagi i bosy rozboju się nie lęka". Natomiast baliśmy się żeby nie zabrano mężczyzn lub koni. Bo wieśniak bez konia nie gospodarz, ziemi obrziesz i nie posiejesz, to też mężczyźni z końmi chowali się dalej od drogi i wsi w krzakach w błotnistej łące lub w lesie. Bolszewicy szli z entuzjazmem pewni siebie, wojownicy i każdy z nich starał się głośno zapytać każdego, kogo by nie spotkał z miejscowych ludzi: "Daleko li Arszawa?" - pokazywano im ręką na zachód, bo daleko nie każdy wiedział mniej więcej odległość w kilometrach czy jak wówczas określono w "wierstach", ale wiedzieli i odpowiadano jedno i to samo - "dalekoooo". Wieśniacy wiedzieli, co to jest wojna, głód, śmierć bliskich na wojnie, poniewierka i niedola w okupacji. Ta wojna, która będzie, opowiadali rekruci, będzie jeszcze okropniejsza, bo technika wojskowa, militarna zupełnie inna: lotnictwo, czołgi, moździerz. Taka technika wojskowa odwrócona na człowieka przyniesie daleko więcej ofiar w ludziach. Przecież wiadomo: "A najdzielniej biją

7

króle, a najgęściej giną chłopcy" (Maria Konopnicka).

Jednego razu w końcu wsi, na drodze, zatrzymał się samochód. Wyszedł jakiś pan, odkręcił korek z przodu samochodu i nagle wzniesł się do góry z wznikiem słup pary. Podeszli ludzie bliżej, by popatrzeć, bo nie tak często przejeżdżały samochody. Popatrzyć, podziwić się, jak to dobrze, że nie trzeba konia, siadł i pojechał. Nie trzeba ni paść, ni karmić... Tymczasem "ten pan" wyjął z samochodu zwykłe wiadro i poprosił nas przynieść wody. Dwoje z nas wzięli wiadro i poszli po wodę. Czekając na te wiadro wody, ten pan zapytał u nas: "gdzie oni zaprzepaścili się z wiadrem?" Aż widzimy idą pomalutku, ostrożnie by nie rozlać. Nareszcie przynieśli. Gdzie was tyle czasu czort nosił, powiedział ten pan. Popatrzył na wiadro i roześmiał się zauważwszy, że wiadro było o wiele czystsze... "My chodziliśmy po wodę do studni Kaszkiewicza... tam woda smaczniejsza i zimna, zimna. Emilia Kaszkiewiczowa, widząc, że przyszliśmy z brudnym wiadrem pomyślała, wyszorowała z piaskiem... - usprawiedliwiła się Lewon Antoni z Bileckim Wacławem; mówiła ona, że wstyd nieść czystą wodę w brudnym wiadrze, tym bardziej dla jakiegoś pana".

Ten pan wziął wiadro i zaczął wylewać do tego odkorkowanego otworu z przodu samochodu, słupem unosiła się do góry para... Położył wiadro do samochodu, wytarł ręce białą szmatą, zakręcił korkiem ten otwór gdzie nalewał wodę, zapalił papierosa i poszedł do stojącej opodal grupy mężczyzn. Podeszliśmy i my, podlotki. Wyjął z kieszeni cygarniczkę i zaczął częstować stojących mężczyzn podnosząc do każdego cygarniczkę. Zaciągnął papierosa i zaczął rozmowę: "Co słyhać na świecie?".

8

Mężczyźni wiejscy zobaczywszy jeden na drugiego, jak gdyby to badając, kto miał zaczynać rozmowę. Ale pierwszym podniósł głowę, zrobił pół kroku naprzód Butrymowicz Jan i jak gdyby to odpowiadając, wymówił: "Panoczku, co my możemy wiedzieć na tej ciemnej wsi, małopięsienni, nigdzie daleko nie bywamy... O Pan, to chyba dużo więcej wie, co robi się na świecie.

- Tak, tak, ale o czym panów najczęściej interesuje?.. Widać, że urodzaj dobry, bo to najgłówniejsze dla rolnika i nie tylko - dla miastowych też. Jeżeli będzie miał rolnik to będą mieć wszyscy miastowi, nie umrą z głodu, jak to było przy kajzerowskich Niemcach. Wszystko zabierali od rolników. Wówczas jak nie miał rolnik nie miał i miastowy. Oho, nie daj Boże wojny.

- Panoczku, ale czy będzie wojna?

- Wojna jest nieunikniona, panowie obywatele. Mamy dwóch wrogów; ze Wschodu Rosję sowiecką, a na zachodzie Niemcy - już rozpęd dają. Już od Litwy odebrali Kłajpedę z Kłajpedzkim krajem, anektowali Austrię, Czechosłowację, a teraz w jaką stronę, dadzą się na wschód czy na zachód? Kto ich wie... ale wiadomo Niemcy, Hitler, zawarł umowę z Francją i Anglią. Może się uspokoją, na razie, na parę lat... Wszędzie już mówią, że obowiązkowo będzie wojna tylko nie wiadomo kto na nas, na Polskę, napadnie - Rosja czy Niemcy? 7 tak energicznie wstąpił w rozmowę Łyszczuk Bolesław, nateżając słuch na odpowiedź.

- Niemcy do wojny są przygotowani. U nich technika wojskowa na wysokim poziomie. Dobrze rozwinięta technika lotnicza. Teraz zagrabiając technicznie rozwiniętą Czechosłowację i Austrię są o wiele silniejsi od Polski. Ale Polska dla nich będzie

5

twardym orzeszkiem. Jeżeli Niemcy zaczną wojnę z Polską to niech wiedzą, że za dwa tygodnie będziemy w Berlinie pić herbatę.

- A jeżeli na nas napadną Sowiety? 7 zapytał naciągając się papierosem Pilecki Eljasz.

- Sowiety dla nas są niestraszne, będzie im jak było w sierpniu 1920 roku, uciekali boso, bez gaciów... sam ich pędziłem.

Nieznajomy ten pan rzucił dopalonego papierosa, pożegnał się ukłonem i odjechał.

Kobiety, które nie będąc nigdzie więcej jak w kościele i na targu siedząc na trawie koło domu Łyszczuk Wincentyny dziwiły się: co to za maszyna (samochód), jaka cudowna, walał wody i jedź sobie!.. Jedna z nich twierdziła, że prędko będzie koniec świata. A stara Galiniowa zaczęła opowiadać, że czytała przepowiednie Sybilii... że przed końcem świata będą jeździły na samochodach diabły i zapisywały dusze ludzkie. Kto zapisze swoją duszę, ten będzie i szczęśliwie żyć do śmierci, nie będzie miał żadnych bied i niedostatków...

Ot, gadasz jak śpiewasz... może ten pan co był i odjechał samochodem to diabeł po nasze dusze przyjeżdżał - przerwała jej stara Witakiewiczowa. Kobiety wybuchły śmiechem.

Tymczasem mężczyźni miały swój temat do rozmowy. Cichonia Janowski Maciej, co był w Legionach Piłsudskiego, zahaczony rozmową odjechawszego pana, podchwycił i ciągnął rozmowę dalej. "Szukoda, że ja jego nie zapytał: gdzie służył, gdzie - w jakich bitwach z bolszewikami brał udział... Ja by jemu skłamać nie pozwolił..." Skąpy na rozmowę był nasz Legionista pan Maciej, ale jeżeli zauważy, że jego na serio słuchają i interesują się jego treścią rozmowy - mógł opowiadać bez końca.

Kieliszek "białej" na tyle dawał energii, że wykrykując komendę oficerów fizycznie pokazywał wykonanie komendy, zarzucając na ramię jakąś pałkę zamiast karabina. Obydwoma zaciśniętymi dłońmi pokazywał strzelanie z karabina maszynowego. Tańczył on także z głowy nawet jajko nie spadało, na zabawie czy na weselu. Na zabawę (potańcówkę) organizowaną kawalerami przychodzili i mężczyźni. Jeden raz, czy dwa razy na wieczór chłopcy udostępniali potańczyć dla "rezerwy", t. zn. dla żonaty.

Ojciec legionisty, też Maciej Jankowski i inni ze wsi Stara Kozakowszczyzna - Szostak Piotr, Zdanowicz Juljan, Krasowski Julian, Boładź Maciej, Butrymowicz Aleksander, Zdanowicz Teodora - byli wyjechawszy do Ameryki na zarobki. Nikt ze "starszych" nie pamięta, w którym to roku było. Przypuszczam, że to było pod koniec 1870 r. i dlatego żaden stary człowiek dzisiaj pamiętać nie może, po przeszło 90 latach. Bardzo żałuję, że nie wpytałem się i nie zapytałem u żyjących wówczas w 1940 latach. Wszyscy mężczyźni powrócili do rodzinnej wsi z wyjątkiem Zdanowicz Teodory, stryjecznej siostry mojej matki, która w Ameryce pozostała na zawsze. Po przyjeździe Amerykanów było ściśle tajne, po ile oni zarobili i przywieźli dolarów. Jednak można było zrozumieć, że nie za bardzo wiele. Prawda, widać było, że sami ubrani w dobrych garniturach i przywieźli jakichś zachmanów dla rodziny. Niektóre z nich kupili lepszych koni, uprzęży, odremontowali mieszkanie. Nasz sąsiad, ojciec Boładź Jana (któremu nie podobał się kołchoz), Maciej, długo, pamiętam, chodził w kamaszach z długimi, prawie do kolana, cholewami. Dowcipni śmieli się, jak pewnego razu Amerykaniec Maciej, zamiast wziąć suche

zboże z pola, gdyż "pokazywało" na deszcz poszedł do Radunia wszyć guzik do palta. Nie wiem, jak tam było, ale dowcipnych i we wsi nie brakowało. W domu nie było czarnych nici a surowe lniane nie pasowały.

Jankowski Maciej, ojciec legionisty, wrócił powierzchownie wyglądając na jakiegoś fabrykanta w kapeluszu, w dosyć pięknym garniturze, a kamasze (trzewiki) sam nie mógł wesznurować bo przeszkadzał mu brzuch. Będąc niskiego wzrostu wyglądał jak kłębek. Od rodzin "Amerykanów" szły po wsi pogłoski o tym, że dużo przywieźli dolarów. Ale ludzie wierzyli z przywrózeniem okazał się zdradzący tajemnicę sami "Amerykanie": mówili, że w Ameryce trzeba było ciężko pracować w kopalniach, by zarobić; że tam płać za pracę a nie za popiwanie piwka, jak nasz kolega Maciej. Jego przezwisko było "Dulka", a gdy powrócił z Ameryki nazywano go "orajt". Potocznie mówiono: do kogo pójdziemy - do "orajta", kto idzie po wsi, - "Orajta" Maciej, Eljasz czy Paulina. Dlaczego to "Orajta" Macieja nie nazywano "legionistą". W rodzinie było ich troje, a ziemi mieli czwartą część włoki. Jeżeli podzielić na ich troje, ziemię z zabudowaniami albo chociaż na dwóch z bratem, wydając zamąż siostrę, wszystko jedno część siostry trzeba mniej więcej spłacić w postaci posagu. Jak mówiono: "jak nie ^{kin} ~~klak~~, - tak ^{kin} ~~klju~~". Jeszcze jednemu z braci trzeba wychodzić na "stronę", iść gdzieś indziej w "prymy" (w zięci do pańienki, która nie miała brata-gospodarza). We wsi było dużo takich rodzin. Rodzice mieli kłopotu jak sporządkować swoje dzieci. Ostatnio można było zarobić na robocie w melioracji podmokłych łąk, w "prostowaniu" płynącej "wężem" rzeki Dzitwa. Prawie w każdym

12

domu najstarszy mężczyzna ojciec był gospodarzem w pełni tego słowa znaczeniu. Kierował on całą gospodarką. Zarobiony gdzieś na stronie grosz albo od coś sprzedanego na rynku, musiał być jemu oddany. On płacił podatki i wyznaczał inne wydatki na kupno coś potrzebnego. W ogóle nikogo ja osobiście będąc podrostkiem, nie widziałem pijąc alkohol albo pijanego człowieka, głodnych też nie było.

Trudno powiedzieć, czy z patriotyzmu, czy z wyrachowania w otrzymaniu nadziału ziemi Jankowski Maciej na ochotnika wstępuje do Legionów Polskich. Uważam, że z patriotyzmu, ale dla mego bohatera, po odzyskaniu Niepodległości wynagrodzenie państwowe w postaci kilku hektarów ziemi o jej jak było potrzebne. Zrozumiana jest rzecz, że ziemia dla chłopca to samo co koń dla koczującego Cygana. Chłop bez ziemi nie chłop, a Cygan bez konia nie Cygan. Tak było w owe czasy. Jednostka wojskowa, do której wstąpił pan Maciej, formowała się w m. Lidzie. Prawdopodobnie to formował się 77 pułk piechoty, który był w czasie międzywojennym (1920-1939) jako też w czasie wojny niemiecko-rosyjskiej w bardzo dumnie brzmiącym nazwaniu AK. Ona dla każdego Polaka była dumą i nadzieją, że Polska jeszcze żyje i będzie żyć. Tutaj w jednostce wojskowej spotkał z sąsiedniej wsi Machało Michała i Żalis Andrzeja. Stało jakoś smaglej. Wszyscy byli w dobrym humorze. Spiewaliśmy wojskowe piosenki - opowiadał pan Maciej. Mało mieliśmy czasu na musztry wojskowe. Naprędko studiowaliśmy posiadaną broń. Czemu naprędko? Nie mieliśmy czasu, przecież wojna, tylko co "odrzucono" bolszewików od Lidy. Byliśmy nie żykiem szyci. Czekaliśmy na wymarsz. Chłopcy prosili swoich dowódców o wymarsz na spotkanie z wrogiem, pokażemy im, gdzie raki zimują. Skurwe syny, ale

z wymarszem zwlekano. Nagle nad rankiem alarm, pobódka. Wszyscy wstajemy nie wiedząc w czym rzecz. Tak naprędko, może już jesteśmy w okrążeniu, przebiegła po głowie myśl, aż ciarki poszły po ciele. Nic nam nie mówiono tylko była komenda prędzej prędzej! Nawet nie pozwolono wypić kawy. Wydano prowiant na drogę i na wymarsz. Pytaliśmy się w czym rzecz, ale obiecano później powiadomić. Widać było po twarzach dowódców, że nie takiego strasznego, nie jesteśmy w okrążeniu, ale rozumieliśmy, że jest coś poważnego. Wymaszerowaliśmy, ale dokąd idziemy - nie wiemy. Wszyscy w skupieniu maszerujemy dalej i dalej. Ktoś półgłosem powiedział, że idziemy na front, on musi być tutaj blisko. W marszu ktoś słyszał te słowo niemal wykrzyknął "Kto tutaj panikuje? Niech wystąpi w szeregu i idzie do diabła pod baby spódnice!" Paniki nie było żadnej, były rozmaite żarty i żarciki. Wnet ktoś zaczął półgłosem nucić piosenkę "Legiony to żołnierska... bez żadnej komandy. Tę pieśń podchwycili inni... Więcej, coraz więcej, aż zaczęli wszyscy i popłynęła w wielkim ^{honorem} ~~honorze~~ od serca płynąca melodia. Każdy rozumiał, że ojczyzna, wolność i niepodległość jest w zagrożeniu i każdy w nas gotów przełać krew, zwyciężyć i odrzucić precz kajdaniarzy, ciemiężców! Dostyc tej niewoli i poniewierki! Nagle słyszemy komendę na miejscu - stój! Stajemy, oglądamy się dokoła, słyszemy gwizd lokomotywy. To była stacja kolejowa Lida. Pamiętam jak dzisiaj, opowiadał pan Maciej, wówczas ten dzień mieliśmy pierwszy dzień Wielkanocy. Winszowaliśmy jeden drugiego ze świętem wielkanocnym i życzyliśmy sobie nawzajem szczęścia pomyślności, bohaterstwa w walce z wrogiem i wolności dla Ojczyzny Polskiej, a dla swych rodzin wolności, dobrobytu i spokoju na długie lata w Wolnej Ojczyźnie. Zaczęliśmy wsiadać do

14

wagonów stojącego pociągu, ładować amunicję, karabiny maszynowe i inne atrybuty wojskowe. Pociąg stał jak żywy oddychając parą i czasami elekka pogwizdując. Nad lokomotywą obłoczki, oprócz pary, kłębił się dym wyrysowując w powietrzu, w ten cichy kwietniowy Wielkanocny poranek jakieś figury bajkowe, garbate wielbłądy, niedźwiedzie i kto wie jeszcze co. Przeglądać się nie było czasu. Do stojącego pociągu nadeszło dużo ludzi, przeważnie kobiety. Niektóre z nich szukały swoich bliskich, krewnych, znajomych, mężów, kto wie, może i kochanków. Z koszami, ze święconymi jajami, solą i innymi przysmakami. Z każdą minutą ich było więcej i więcej. Dzielili dla wszystkich żołnierzy wszystko, co mieli na święta Wielkanocne. Winszowali ze Świętem Wielkanocnym i życzyli być zdrowymi, szczęśliwymi i głównie zwycięstwa. Prawie wszystkie kobiety płakały, płakały i młode panienki. Po kryjomu wycierały łzy i mężczyźni. Naraz zagwizdała lokomotywa, padł rozkaz dowódców oznajmiając na odjazd. My byliśmy dumni, uśmiechnięci... Lokomotywa nadwreżyła się, mocno westchnęła parą i kłębamii dymu i pociąg ruszył z miejsca. Odprowadzające nas kobiety na dworcu machały rękami, niektóre zegnały nas ręką w powietrzu, życząc szczęśliwego powrotu i zwycięstwa. Niektóre również płakały. Można było zrozumieć, że w naszym pociągu albo gdzieś indziej na froncie są ich bliscy - mężowie, ojcowie, bracia, wszak szła wojna z najeźdźcą. Zdawano z tego sprawę, że my odjeżdżamy nie na bal, a jak się mówił "gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą..." Wojna jest wojną.

W wagonie usadowiliśmy się, kto jak... my, dobrze znajomi: Ja, Michał Machało i Zalis Andrzej, staraliśmy się być zwarci, razem. Nie czekając długo zaczęliśmy się zbierać do śniadania

15

Wielkanocnego. Najpierw położyliśmy na stole świątecznym (jakiejś skrzynce drewnianej) to, co otrzymaliśmy od kobiet na peronie. Później zaczęliśmy wybierać ze swych plecaków wydany prowiant, wnet podchodził do nas,, do naszej grupki, z koszyczkiem jajek pisane farbowanymi na czerwony kolor i wykrzyknął: "Serwus chłopcy!" Podnieśliśmy wózek, przyglądamy się, kto to taki, a on: co, chłopcy, nie poznajecie mnie, czy nie chcecie. Powinnował nas ze świętem Wielkanocnym i poprosił o przyjęcie go do swego grona. Był to nasz kolega z sąsiedniej wsi Podzittwa Stanisław Stefanowicz. Wszyscy my byliśmy braćmi. Kto by skąd ni pochodził, ale jednak o brze znajomy, często spotykany w cywilu, z takim jest trochę smagłej. Zrobiliśmy dla niego, naszego Staszka, jak my go nazywaliśmy, miejsce. Od razu on postawił koszyczek na "stół", przysiadł i zaczął "kopać się" w plecaku. My wszyscy zaprotostowaliśmy, żeby nic więcej nie dostawał na "stół", bo naprawdę wszystkiego nie brakowało na stole dla wszystkich do syta. Wnet Staszek bierze ze "stołu" postawiony im koszyczek pleciony z łyzy napełniony jajkami i jeszcze jakąś zakąskę, zawiniętą w papier. Od razu dostaje z koszyczka i kładnie na stół czerwone jajka, dalej zawinięty do papieru kawałek słoniny, kółeczko kiełbasy, swojej domowej roboty, szczyptę soli zawiniętej w kartce od zeszytu, w której były wypełnione ćwiczenia z arytmetyki 2 klasy czy trzeciej, a pod tymi zadaniami widniała "4", widać, że to był stopień napisany wprawna ręką nauczyciela - czerwonym ołówkiem. Doszliśmy do wniosku, że tego (tej) ucznia (czy uczennicy) gdzieś w innym miejscu na wojnie brat czy ojciec. Dalej z dna koszyczka spod plastrów pokrojonego pieroga wyjął butelkę z jakimś ciemnym płynem imitującym kolor

herbaty. Ktoś z nas powiedział, że to herbata albo jakiś kwas. Zrobiło się podejrzenie o zawarcie w tej butelce płynu, gdy nasz wielkanocny gość Staszek tę butelkę postawił koło stołu i zamaskował papierem, którym były zawinięte słonina i kiełbasa. Ale nikt nic nie mówił, bo już był najwyższy czas do śniadania Wielkanocnego. Zmówiliśmy pacierze i przystąpiliśmy do śniadania. Zaczęliśmy od jajka, święconego. Na każdego "brata" wychodziło prawie po dwa jajka. Dalej zakąsywaliśmy kiełbasą i słoniną, wszystko "na sucho". Wnet Stanisław ten płyn z butelki rozlał po równo na cztery części i wezwał, żebym lepiej szła zakąska "przepłukać gardło". Nie bardzo wierzyliśmy, że to wódka, dopuskaliśmy, że on z nas żartuje. A w porównaniu z pragnieniem picia, ta ilość płynu nie miała żadnego znaczenia, to też za dwa pożknięcia kubeczki były puste. Nie zorientowaliśmy się od razu, co to był za płyn, chociaż trochę słodki, lecz tylko nie herbata i nie czysta woda a coś gorzko-słodkiego, w kolorze herbaty. Popatrzyliśmy jeden na drugiego i nikt nic nie powiedział zakąsywaliśmy dalej. Na twarzach pojawiły się rumieńce, patrzyliśmy dalej jeden na drugiego nic nie mówiąc. Pan Stanisław, psia jego... patrząc na nas uśmiechnął się i wymówił "no, jak, smaczna była herbata?" Jak gdyby on sam nie pił i nie zorientował się, co to był za płyn i zaczął tłumaczyć, że to była wódka zakodowana słodką kawą... przyniosła to żona mego stryjecznego brata. Oni mieszkają w Lidzie... przyniosła dla mnie do koszar, ale nie znalazłszy pobiegła na stację kolejową, jak serce jej czuło, że my wyjeżdżamy koleją i przekazała dla mnie ten koszyczek z "herbatą", święconym i zakąską. Jej mąż, a mój brat stryjeczny Franek też gdzieś wojuje.

- Dobra ci bratowa, kłam sobie ile chcesz, ale jak wiadomo, że jak żona, tak i siostra, czy bratowa butelkę by nie przyniosła.

, Staszek, lepiej przyznaj się i powiedz prawdę, że to była kochanka - dorzucił ktoś drugi i wszyscy wybuchliśmy śmiechem. Staszek nie przeczył nikomu i śmiał się razem - na wesoło. Było tak wesoło i wszyscy byliśmy w dobrym humorze. Ktoś z sąsiedniej grupy zauważył, że już przejeżdżamy stację Jaszuny, już był niedaleko Wilna a pociąg mknął dalej bez przystanku, koła wagonów wystukiwały sekundy, minuty... Czas szybko leciał. Wkrótce uprzedzono, że już dojeżdżamy do Wilna i trzeba być na pogotowiu, bo lada chwila wróg może spotkać nas... Poproszono o ciszę. Wszyscy wstaliśmy. W połowie wagonu na jakimś podwyższeniu stanęła jakaś postać, był to ~~parucznik~~ ^{parucznik} rodem z Grajewa, nazywaliśmy go między sobą "Witek". Nie wiem czy to było jego imię, czy pseudonim... Jeszcze, między sobą nazywaliśmy go ojcem. Był o wiele starszy od nas, często rozmawiał z żołnierzami, interesował się każdego rodziną, zapytywał o ojcu, o matce, o braciach czy siostrach. Sam chętnie opowiadał o sobie, że pochodzi ze wsi, z okolicy koło miasta Grajewo, z niezamożnej rodziny, pracował geodetą. Pokazywał zdjęcia swojej rodziny. Na zdjęciu były: on z żoną i troje dzieci. Córka już prawie wzrostu mamy, jeden syn też prawie równy z tatą i jeden trochę mniejszy - wyglądał na 12-13 lat. Pokazywał palcem na starszego syna, mówiąc: o, to urwis Zbyszek ma na imię, gimnazjista, rwał się ze mną razem powtarzając jedno i to samo, że chce odwdziżyć się Rosjanom za dziadka powstańca, który zginął w powstaniu styczniowym na szubienicy... W wagonie zrobiło się cicho, cicho - tylko było słychać postuki-

18
wanie wagonu kół. Pięknym, dźwięcznym głosem przemówił nasz "ojciec", pan porucznik, nasz dowódca, opiekun i przyjaciel.

My - powiedział porucznik "Witek" jedziemy na pomoc naszym braciom wilnianom, naszym braciom żołnierzom skrwawionym w nierównej walce z najeźdźcą bolszewickim. Po ponad 120-letniej niewoli odzyskanej Niepodległości znowu Rosja bolszewicka swój oręż i siłę zwróciła na nas, na Polskę, na nasz naród, by nas zakuć w kajdany i pozbawić wolności. Wilno było wagarnięte przez bolszewików. Nasze wojska, pod dowództwem generała Beliny i generała Rydza Smigłego zdobywając każdą ulicę, każdy zaułek swoim męstwem i odwagą odrzuciły przeważających w sile bolszewików na drugi bok rzeki Wilii. Dalej pędzić bolszewików zabrakło sił. My jedziemy ze świętą misją - na pomoc dla swoich braci żołnierzy-bohaterów skrawawionych w walce, by odrzucić przez od naszej polsko-litewskiej ziemi. Taka nasza cel, takie święte zamiary. Już dojeżdżamy do przedmieścia Wilna, tuż tuż jest przystanek kolejowy Porubanek. Bracia moi, synowie moi, my jedziemy na walkę o świętą naszą wolność, za przyszłość naszych dzieci, ojców, matek, sióstr i braci... niech nad nami czuwa Opatrzność Boska, z nami jest Matka Boska Ostrobrawska, niech ona strzeże nas na wieki wieków, amen, - podchwycili w jeden głos żołnierze.

Wszyscy staliśmy w skupieniu, kto wie, o czym każdy myślał przed walką... przez kilka minut było cicho-cicho, a koła wagonów nadal coraz ciszej postukiwały.

Trudno wspomnieć teraz, po upływie "tyle" czasu, ponad 70 lat, tym bardziej, że ani jeden z moich bohaterów już nie żyje. Ich te wspomnienia przypominam "z tamtych lat", za życia Legionisty Jankowskiego Macieja, który lubił opowiadać jak najszczegółowiej. Układam i piszę jego wspomnienia odzwierciedlając

9

po kropelce. Dużo czego, rozmaitych szczegółów już nie pamiętam, ale co pozostało w pamięci liczę swoim obowiązkiem napisać i przekazać innym, by nie zatarły się ślady.

Ktoś wykrzyknął: Już wjeżdżamy do Wilna. Odczuwaliśmy sami, bo pociąg już ymniejszył bieg i sunął się pomalutku naprzód. Koła wagonów postukiwały coraz ciszej i ciszej, ze zgrzytem rzucając na obydwie strony wagony na strzałkach-zwrotnicach. Otrzymaliśmy rozkaz - przygotować się do wyjścia. Pociąg posuwając się pomalutku nagle zatrzymał się. Otrzymaliśmy komendę do opuszczenia wagonów. Na bocznicy, gdzie zatrzymał się pociąg czekały na nas, między innymi wyższe władze wojskowe. Jakaś kobieta nieopodal stojąca patrząc gdzieś na stronę machała ręką i krzyczała głośno "już przyjechali! Przyjechali..." Koło bezludnej bocznicy zaczęły zbierać się kobiety, dziewczęta z wiosennymi leśnymi kwiatami. Dwóch jakichś w cywilu mężczyzn z siwymi brodami w jarmużkach trzymali od ręki napisany plakat z napisem "Witamy zbawców". Zrozumieliśmy, że to byli Żydzi, jacyś przełożeni rabini. Witali nas księża wileńscy... Rozdawali medaliki Matki Boskiej Ostrobramskiej. Żołnierz przyklękał na jedno kolano a ksiądz, prałat wręczał medalik i błogosławił. Wszyscy śpieszyli na "gicher" Kobiety płakały - nie wiem - z żalu czy z radości. Wyciągali ręce, by uścisnąć nam dłoń. Dziewczęta biegły naprzód, by wręczyć kwiaty tak idąc w marszu, wciskali do ręki kawałek papieru zgiętego kilka razy. Przed wymarszem donosiło się przemówienie chyba ze trzech czy czterech mówców. Dla mnie wypadło być dalej od czołówki żołnierzy i nie mogłem rozpatrzyć, kto przemawiał. Mówili, że przemawiał generał Rydz-Smigły, jakiś Żyd w czarnym ubraniu i w czarnym kapelu-

szu i ktoś z przełożonych miasta Wilna...

Idąc w marszu rozwijaliśmy zgięte w kwadracik kartki papieru. To były adresy dziewcząt z Wilna. A kolega Żalis Andrzej otrzymał nawet trzy kartki z adresami poci pięknej. Ktoś z marszu rzucił żarcik, ale było nie do żartów, szliśmy każdy w skupieniu, z honorem jako zbawcy. W myśli przewijały się usłyszane tak gorące słowa przywitalne na boczniczy wileńskie, te żywe radości kobiet, którym może być więcej jak nam mężczyznom potrzebny jest pokój. Może być ich serca więcej odczuwają ból padających na froncie żołnierzy, więcej czują nienawiść do wroga... My zaś podnieceni gorącym spotkaniem i płaczem kobiet, dziewcząt byliśmy świadomi tego porwy do walki, mścić i mścić za wdzieranie się wroga do naszych domów, deptając naszą świętą ziemię zroszoną krwią i potem naszych przodków... Po krótkim formowaniu oddziałów, batalionów, po uzupełnieniu amunicją wyruszyliśmy na bój. Widać, że było wiadomo zawczasu, gdzie i w jakiej sile uderzyć... Ze wszystkich stron słychać była strzelanina... Trzeba było wybić z miejsca okopawszych się bolszewików. Po żartowej walce, na drugi dzień, 21 kwietnia, zauważyliśmy cofanie się wroga... otrzymaliśmy rozkaz ścigać dalej nie dając mu się okopać, pędzić go dalej i dalej... wybić, wypłoszyć z miejsca nam dobrze pomogła taktyka zajścia od tyłu wroga. Pędziliśmy ich jak baranów, nie dając im odetchnąć. Nasza kawaleria najazdami z przodu, z boku i z tyłu naprowadzała panikę. Uciekali, jak kto mógł, czasami nie zdążając zaprzęgać konie do wozów, pozostawiali dla nas obóz. W wozach znachodziliśmy czasami jakiś potrzebny wrabowany prowiant, amunicję do karabinów tak potrzebną dla dalszej walki. W furach znachodziliśmy rozmaite zakrwawione rzeczy, a w jednej

z nich leżał zawinięty w kilim zegar, taki, co stoi na podłodze, wysokości prawie do sufitu. Nie pamiętam nazwiska kapitana, który patrząc na zrabowane rzeczy nie wycierpiak i wystawił się "po łacinie" tak ich tak, rabusie przekłęci... psia krew... dostali i jeszcze dostaną w tyłek... I tak nie oglądaliśmy się nawet jak byliśmy już nad Berezyną. Zostały zaniechane działania wojenne na naszym odcinku frontu. Niektórzy potrzebowali od dowództwa, by pędzić bolszewików aż do Moskwy, by nie dać im odetchnąć i sformować się.

Ale dowództwo wojskowe miało swoje plany. Zaczął się odpoczynek. Porządkowaliśmy się na miejscu postoju. Zgromadziliśmy opał na zimę, karmiliśmy koni, co z obozu zdobyliśmy od bolszewików, remontowaliśmy wozy, fury obozowe. Informowano nas, że idzie bój o m. Lwów, że będą prowadzone rozmowy z rządem sowieckim o zawarciu pokoju. Tego najdroższego pokoju tak mocno pragnęliśmy wszyscy.

Między nami było rozmaitych ludzi pod względem wychowania, rozwinięcia, dowcipu, kultury, wykształcenia i zawodu. Zauważalna różnica była nawet między miastowymi i wieśniakami. Wiejscy chłopcy byli więcej skupieni, małomówni, nie tacy dowcipni jak i nachalni. W wolnym czasie skupialiśmy się między sobą jedynego socjalnego pochodzenia. Rozmowy między sobą były rozmaite, - o rodzinach, każdy o swojej wsi, o wiejskiej pracy, zgadywaliśmy, jaki będzie urodzaj, co w domu, myślą o nas, co oni robią w domu w tej chwili, w tym czasie. Marzyliśmy, jeżeli Bóg da zostać żywym i zdrowym otrzymać od państwa Polskiego nadział ziemi, ożenić się i być ni odkogo niezależnym.

Kto wie, o czym marzyli oficerowie, wykształceni ludzie. Często do naszego, "wiejskiego kółka" dołączał się i dzielił

się swymi marzeniami kolejarz z m. Lidy pan Ziutek. Był on więcej dowcipniejszy od nas. Och, jak nie lubił jak my go nazywaliśmy "panem", nie tak jak między sobą my wiejscy na ty. "Chłopcy, bądźcie ludźmi" - mówił nasz Ziutek - ja taki sam jak wy, pochodzę ze wsi Dokudowo, a że pracuję prostym robotnikiem na kolei, nie powinno to nas dzielić i ja nie mogę w naszym gronie być wyróżnionym". Dobrze wiedzieliśmy, że nas nie różni. Uczone, oficerowie - wszyscy byliśmy równi, bo była u nas jedna cel - wolność dla wszystkich ludzi, Niepodległość dla naszej Ojczyzny Polski. Nasz Ziutek opowiadał o swej pracy na stacji kolejowej Lida. - Pracowałem przy formowaniu ^{pociągów} ~~podlegów~~ - we dnie z chorągiewkami "porozumiewałem się" z maszynistą lokomotywu a w nocy z "fonarem" przerzucałem strzałki torowe, przyczepiałem lub odczepiałem wagony. Ciężka była robota. W dobrą pogodę we dnie jeszcze było nic, nie źle, a w nocy... jeszcze gdy pada deszcz czy śnieg... Cały mokry do nitki, odejść czy odłożyć na lepszą pogodę, było niemożliwe. Dobrze odejść, ale gdzie iść... w Dokudowie, w domu rodzinnym dwóch braci żonatych, z dziećmi... gospodarczka ojca, wieczny jemu pokój, została podzielona na dwóch braci po cztery hektary ziemi "gryczanej" bo na piaszczystej ziemi i po wykarczowanych jałowcach rodziła dobrze tylko gryka. Na dwóch mają jednego konia i po jednej krowie na gromadkę dzieci. "A krowa jedna, - śmietana do dna" - jak mówią ludzie. Machnął ręką nasz Ziutek i powiedział: - Wystrczy biadolić, oł taki ojciec zostawił majątek... uśmiechnął się i ciągnął dalej - bardzo mi podobały się pasażerskie pociągi, miejscowe czy dalekobieżne. Och jakie panienki jeżdżą cacko!.. to tam pomacham chorągiewką, a oni mnie w odpowiedzi rączką pomachają... w każdą można zakochać się. Nie ja będę, jeżeli nie zbędzie się moje

marzenie być konduktorem albo kontrolerem dalekobieżnych pociągów. Jeżeli już wojna będzie zakończona, teraz od dziś jeżeli będzie omówiona granica między Sowietami i Polską. Podobnie już idą rozmowy, może porozumieją się między sobą. Ziutek ścisnął pięść i powiedział: dać Sowietom powąchać naszą pięść, by na zawsze odechciało się sięgać na naszą wolność skurwy syny, sukki dzieci.

"Nie zauważyliśmy, jak nadeszła wiosna. Dowiedzieliśmy się, że po ofensywie polskiej wkrótce wojsko polskie pod dowództwem Edwarda Rydza-Smigłego już pod Kijowem i lada chwila będzie "zajęty" Kijów, że przez dłuższy czas Sowiety formują armię w tzw. bramie smoleńskiej. A u nas życie toczyło się swoim gwyoczajem prawie codziennie słuchaliśmy mszy świętej, spowiadaliśmy się, przyjmowaliśmy Przenajświętszy Sakrament. Och, jaki był nasz kapelan, dusza nasza, cała nasza nadzieja na lepsze jutro, był nadzwyczajnie dobrym człowiekiem, najwięcej obcował między żołnierzami, pocieszał każdego, rozmawiał z każdym, zapytywał, jak tam w domu, co słychać, dzielił się wiadomościami - dobrymi, dodawał otuchy, naprawiał humor, samopoczucie. To był nasz kapelan, a nazwiska jego choć co chcesz - nie pamiętam.

"Oprócz naszego Ziutka z Lidy często zaczął zachodzić do nas jakiś facet, mówił, że on nazywa się Wojciech, że pochodzi od Szczuczyna z chłopskiej rodziny małopolskiej. Ale my jemu nie wierzyliśmy, że pochodzi z chłopskiej rodziny, bo ręce miał, dłonie nie chłopskie, nie robocze i rozmawiał jakos nie tak jak rozmawiają na Grodzieńszczyźnie. Mówił czysto rosyjskim językiem, kapał się troszeczkę po polsku. Biedował, że nie wiadomo co będzie dalej, że z jego jednostki

odchodzą do domu rzucają wojsko... że nie mamy z kim wojować bo Rosja już nie carska, a robotników i chłopów, że to nasza władza - ludowa, że oni wojują z panami, obszarnikami a nie z nami. Mówił, że on będzie uciekał i namawiał nas, żeby suli do domu do rodzin swych. Jeżeli nie, to zginiemy na froncie, bo Rosja jest silna i my przeciwstawić się nie możemy. Opowiadał o Leninie, o rewolucji, że w Rosji ziemia będzie oddawana dla małych chłopów, będą likwidowane majątki".

Myśleliśmy, że tu coś nie tegoż, ten frajer nie w tą dudkę gra, ale nie wstępowaliśmy z nim w rozmowę, nie dyskutowaliśmy z nim, bo był bardzo aroganckim.

Pewnego razu przychodzi nasz Ziutek z Lidy i od razu zaczyna od pytania: czy czasami nie zachodzi do nas pewien facet, takiego to wzrostu, tak to wyglądał, lat ma około czterdziestki... Zamyśleliśmy się i na pytanie odpowiedzielismy pytaniem - a w czym rzecz, co się stało? Otóż - ciągnął dalej Ziutek - zachodził on i do naszej "chewry", namawiał iść do domu, jak to mówi się po wojskowemu, "dezyrterować", bardzo chwalił władzę sowiecką.

- No i co dalej, w czym rzecz? - zapytaliśmy chcąc czem prędzej dowiedzieć się, co to był za frajer.

- Nie wiecie? Toż to jest szpieg wywiadu rosyjskiego. On jest aresztowany przez nasz wywiad wojskowy. Wkrótce będzie sąd polowy... teraz idzie śledztwo. Nasz oficer mówił, że to "politruk" rosyjski, pracownik Czek, że sąd polowy będzie wykonany publicznie w obecności żołnierzy. Zbadano i udowodniono że korzystał nie ze swego nazwiska, a zrabowanym od naszego żołnierza poległego w walce dokumentem. Otóż widzicie jak kłamał: wam mówił, że pochodził z rodziny chłopskiej, a u

15

nas mówił, że ciężko pracował na "pana". W tartaku żadował ciężkie bierwiona na "gater", nosił i układał w sztable deski, pracował po 14,15 godzin na dobę, a "Pan" dla niego płacił "grosze" zbiwając sobie kapitał. Taki jak on nie może być nie zauważonym i nie obezwładnionym, musi ponieść zasłużoną karę. Nasz Ziutek, nawet nie usiadł, ale wszystko "wyłożył" stojąc i odszedł chyba jeszcze drugim powiadomić o takich "szkodziejach", które pracują wśród nas na innych, wyrządzając dla nas wielkie szkody.

Tymczasem wśród nas zaczęła się ^{pedemika} ~~panika~~: i ja i wszyscy zauważyli, że to był frajer nie nasz. Chłopcy - powiedział nasz Andrzej Żalis - po co nam po bójce kułakami machać, jeżeli takie wszyscy rozumni, że wszyscy zrozumieli, że ten jegomość jest szpieg sowiecki, to dlaczego nikt z nas nie zawiadomił dowódcy? Gdzie nasza czujność? Wtem wychodzi na środek między nami nasz Władek - cichonia z Zabłocia, uklęka i mówi "mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa" - nie wiem co to znaczy?.. Są to słowa ze spowiedzi powszechnej "moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina" - na łacińskim języku. Milczmy i bądźmy czujni, bo jeszcze mało czego i nas mogą pociągnąć do odpowiedzialności - wiedzieliśmy, a nie powiadomiliśmy dowódcy: tak my nazywaliśmy Władka "cichonię" - on rzeczywiście był małomównym, uczył się w gimnazjum Lidzkim nr 960(?), służył do mszy świętej i marzył po wojnie wstąpić do seminarium duchownego, zostać księdzem. U niego był modlitewnik (nie taki, jak u nas, połowę strony po łacinie a połowę po polsku). W czasie mszy świętej przysługiwał naszemu kapelanowi ministrantem nałożywszy białą komżę.

W ten dzień była jeszcze jedna nowina, że wojska pod

dowództwem gen. Edwarda Rydza-Smigłego zajęły Kijów. A pierwszy tą wiadomość przyniósł nasz Ziutek z Lidy. Był już podwieczorek i prędko poszliśmy spać, tak zwykle przed snem zawsze były rozmowy, jak gdyby to były omawiane wyniki dnia. W ten wieczór była rozmowa o zdobyciu Kijowa. Nasz Włodek-cichonia zalecił zmówić Anioł Pański za poległych w walce. Świadomi byliśmy, że bez ofiar w ludziach nie mogło się obejść. Ktoś z nas zaczął opowiadać o Ukrainie, że bardzo bogaty kraj, urodzajna ziemia, ludzie są dobrzy, pracowici a dziewczyny takie ładne, zdrowachne, tegie... Wierzę tobie, kochanieńki - odezwał się nasz Andrzej. Mój wujek służył w carskim wojsku na Ukrainie w m. Sumy, też opowiadał, że kobiety tam tegie, piersi takie wielkie jak "wagona bufor^{buferu}", plecy i tyłek szerokie jak od "świnarnika drzewi"... a jakie gorące do miłości? Na naszym łóżku we dwóch z Ukrainką nie pomieścić się w żaden sposób.

- Buterbrodem , dorzucił ktoś. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Jeżeli tak ci podobają się Ukrainki z takimi buferami i z tą jak od świnarnika ^{drzewi} ~~drzewi~~, to po co walasz się tutaj, wstawaj i wal na prosto. Jeszcze śmieli się żartując, dopóki powoli "langsem", aż zrobiło się cicho-cicho, tylko pokrypywały jedni ciszej, inni głośniejsz.

Za jakiś czas nasz dowódca powiadomił nas, że Kijów był nie do utrzymania przed ofensywą kawalerii, wąsatego Budionnego. Nasza armia odstepuje, by nie wpaść w okrążenie. Nasza armia odstepuje, zajmując wygodne pozycje. Tymczasem Sowieci formują wielką siłę w tzw. bramie smoleńskiej, między rzekami Dnieprem i Dźwiną. Czekamy na pomoc od Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, dlatego że stawić nam opór bolszewikom uważam, że będzie za ciężko. Tak czy owak wszystko

21

Jedno zwyciężymy, chodzi tu, aby jak najmniej ponieść strat".
- Te słowa tak przyłgnęły do naszych serc..., byliśmy dumni z naszego dowódcy, naszego ojca, porucznika z Grajewa. Na rozkaz takiego dowódcy mogliśmy iść do ognia i wody... Wierzyliśmy mu jak rodzonemu ojcu.

Tymczasem życie szło jak gdyby po starej najeżdżonej drodze. Wierzyliśmy, że tak być długo nie może, musi cokolwiek wypiknąć. Lowiliśmy wiadomości z ukraińskiego frontu, co słychać z koncentracją sił sowieckich na litewsko-białoruskim froncie. Czekaliśmy z dnia na dzień pomocy w sile i ataku bolszewików. Był koniec czerwca 1920 roku. Pogoda była niezła, ale nam było nie do tego. ^Wzrok i słuch był skoncentrowany na wschód, czekaliśmy jakiejś burzy, która lada chwila musiała się rozszalać. Byliśmy po pogotowiu. Codziennie z nami rozmawiał nasz ojciec i opiekun pan porucznik. Wiawiliśmy po nim, że coś przeżywa, czegoś zatroskany, ale udawał, że nic a nic... Każdy dzień widzimy jakieś ruchy, nawet w zasięgu oka wiedzieliśmy jak poszerzają się rosnące krzaki po każdej nocy. To były zamaskowane jednostki wojskowe przesunięte nocą bliżej linii frontu. Wiedzieliśmy, że to dowódca wojsk bolszewickich Michał Tuchaczewski szykuje napadnąć na nas. Szykowaliśmy się do odparcia ataku i my. Aż 4 lipca ruszyła bolszewicka lawina na nas. Pomocy nie doczekaliśmy, ale wierzyliśmy, że ona będzie tam... dalej... musieliśmy się wycofywać, i tak, szczęśliwie, nie w takim już pośpiechu wkrótce byliśmy w Wilnie. Po krótkim odpoczynku zostawiliśmy Wilno i wycofywaliśmy się w stronę Grodna. Byliśmy uprzedzeni, żeby być ostrzymi, bo chociaż słabi w sile są Litwini, ale mogą napadać na nasze jednostki wojskowe, cofając się od bolszewików. Poinformowano nas, że Litwa z Rosją Sowiecką zawarła umowę o wzajemnej

28

pomocy. Dlatego cofając się trzymaliśmy się twarcie. Doszliśmy do Grodna i tak w takim tempie wkrótce byliśmy koło Warszawy. Wiedzieliśmy, że Litwini atakowali nasze cofające się oddziały wojskowe, ale za to dostawali w skórę, uciekali aż łachy trzęsły się.

W wolnej chwili rozmawialiśmy o tym, jak tam w domu, na wsi, przecież przeszła taka lawina... widocznie chłopów hołociły do nitki... napewno tam głodują... A tymczasem tutaj si ludzie jakoś zostali nie bardzo skrzywdzeni. Dały się im w znaki wojska Napoleona, rosyjskie wojska i nie tak dawno niemieckie... Nacierpieli się głodu i już wieśniak był cwanijszy, a w samej rzeczy człowiek goły i bosy rabusiów nie bardzo się lęka. Jeszcze przed nadejściem bolszewików żyto zabrano, omłócono i zakopano do ziemi. Świń w chlewie nie trzymano a w gumnie, pod ^{Stomę} ścianą - były zrobione schrony... Szły obute w kamaszach, butach z cholewami, łapciach i na bosy. ^{Karatim} ~~Karatuchy~~ mieli nie wszyscy. Byli i tacy, co szli z widkami, mówili, że broń będzie zdobyta od "białopolaków", a na razie w "rukopasnej" dobrze i widły. A może oni byli uzbrojeni na wzór kościuszkowskich kosynierów po 126 latach, którzy szli na ^{Rosjan} ~~rosjan~~ ^{nie} z kosami nasadzonymi prosto na kij... Ależ to było jeszcze w XVIII wieku...

Nasza jednostka wojskowa w 5 Armii miała zadanie aktywnej obrony Warszawy, nie dopuścić bolszewików zajęcia przedmieścia Pragi i forsowania Wisły. Nie wiem dlaczego tak było, że jeżeli oni milczeli to my musieliśmy ich "kuciniać", nie dając im spokoju. Około dwóch tygodni odpieraliśmy zażarte ataki. Jak to zawsze bywa na wojnie - mieliśmy ^{straty} znaczne w ludziach. Otrzymywaliśmy uzupełnienia. Ja zostałem przydzielony do CKMu.

Naszym dowódcą był, po uzupełnieniu kompanii, kapral Władek z Kalisza. Pewnego razu, nie mogę zapomnieć o tem; przychodzi jakiś jegomość w star^{szym} wieku z poczęstunkiem, przyniósł jabłek, poczęstował i zaczął: "Chłopcy, wy wojujecie przeciw swoim, że Rosja przynosi dla nas szanse i władzę ludową, bez obszarników, szlachty i panów. My nastawiliśmy uszy i nie wiemy jak to zrozumieć - dążyliśmy do niepodległości ponad sto lat, naszych wakuwali w kajdany, wysyłali na Syberię, a tu...

Widząc "gościa" podchodził nasz dowódca kapral Władek i pyta u nas, co to za jegomość - my mówimy, że my wojujemy przeciw swoim i on chce, żebyśmy podnieśli ręce do góry i zdali się bolszewikom..." Zrozumieliśmy, że nasz kapral dobrze znał takich jegomości - wyjmując rewolwer i wykrzyknął do "gościa" - Wstać! Ręce do góry! - jegomość wstaje, podnosi ręce do góry, kapral sprawdził jego kieszenie, nic nie znajdując uprzedził - jeżeli jeszcze raz zobaczę między żołnierzami - psia twoja w majtkach, ja ciebie jak psa "w tył zwrot" - skomendował i "stąd biegiem won!" Jegomość "nogi na plecy" i zerwał się po biegu precz aż łachy trzęsły się. - Ot tak z nimi trzeba rozmawiać, nie słuchajcie ich tych psia bratów, to są komuniści, otrzymują pieniądze i pracują na korzyść Rosji, to nasi wrogowie, wrogowie Niepodległej Polski... Już ich rząd przyjechał z Rosji do Białegostoku i buntują ławowiernych. Musimy ich wypędzić won z Białegostoku i z całej Polski.

Ciężko było wykurzyć z miejsca, ale jeszcze sprzeciwiali się wazarcie. Ciężko nam dało się zobaczyć m. Radzymin. Kilka razy z rąk do rąk przechodził. "Ich kilka razy więcej od nas - mówił kapral, to też trzeba oszczędzać naboje". Widzieliśmy naprawdę wielką ilość poległych bolszewików.

Ostatni raz po zdobyciu Radzymina lawina bolszewików odstępowała bez znacznego oporu. Wkrótce doszliśmy do Grodna, po drodze odrzuciliśmy w Augustowa i Suwałk nie proszonych "gości" - Litwinów. Te widząc, że uciekają ich "dobroczyńcy" prawie bez gaciów nie stawiali oporu, ich było mało a pomoc od Rosjan była beznadziejna. Od Grodna nas skierowano trochę w prawo - na Lidę, tak wyszło, że my zaszedliśmy im od tyłu. Trudno opowiedzieć ile było trupów. Nie pamiętam, w jakiej miejscowości, blisko Lidy, zamaskowaliśmy się w małym lasku. Aż widzimy... idą cała ćma... Dowódca dał rozkaz "bez komendy nie strzelać". Patrzymy podchodzą już paręset metrów, jeszcze bliżej, jeszcze trochę... i my zaczęliśmy z cekaami, oni w bok... tam też watakował CKM... Co tam robiło się!.. Trudno opowiedzieć. Chyba ich setki pozostało na tym miejscu... pomimo tego, że byłem przysposobionym do nich wrogo jako do najeźdźców, grabieżców i gwałcicieli, do tego, przecież taki ich los spotkał nie za ich własnej ziemi, lecz na mojej, naszej, polskiej... jednak było ich szkoda, szkoda było ich żon, ojców, braci, dzieci...

Na str. 288 książki "Musu Lietuva", autor B. Kviklis pisze: "po wojnie w miejscowościach Lidy były stoczone bitwy między "czerwonymi" i Polakami i po ciężkich walkach zdobyto Lidę 17 kwietnia 1919 r. Po prostu nie do powiedzenia, od Lidy do Grodna - ziemia była wysłana trupami bolszewików. Tylko w Lidzie było wziętych do niewoli 8000 bolszewików.

Uważam, że straty w ludziach były nie mniejsze u bolszewików. Pod koniec września 1920 r. w porównaniu z rokiem 1919.

Na początku lutego 1919 r., po zajęciu Brześcia przez Armię Sowiecką, wycofaniu się Niemców po 123 latach niewoli,

z niczego były organizowane oddziały wojska Polskiego i 14 lutego zdobyły Berezę Kartuską. Rozpoczęła się wojna polsko-radziecka. W ciągu miesiąca powstały dwie grupy operacyjne: południowa - generała Antoniego Listowskiego, w rejonie rzeki Prypeć i północna - generała Stanisława Szeptyckiego nad Niemnem. W połowie kwietnia wojska polskie opanowały obszar od Włodzimierza wzdłuż Stochodu do Pińska, a następnie dotarły pod Lidę. Operacje te stanowiły punkt wyjścia do zakrojonej na szeroką skalę ofensywy. W krwawych walkach od 19 do 28 kwietnia wojska polskie zdobyły Wilno. ("Od rządów ludowych do przewrotu majowego", Andrzeja *Ajnenksel*, str. 153-154).

Prawie od samego początku rozpoczęcia się wojny polsko-radzieckiej, gdy już wróg był odbity i odpedzony od Wilna, zaczęli służyć dla Ojczyzny Polski Legioniści: Jankowski Maciej, Żalis Andrzej, Michało Michał, Stefanowicz i "Ziutek" Lidzki. Służyli wiernie patrząc codziennie śmierci w oczy. Pozostali niepokonani służyć przykładem dla naszych pokoleń. O nich przykładnie służenia dla Ojczyzny nie może odejść w niepamięć, o nich nie mogą być zatarte ślady i święta pamięć musi pozostać na wieki.

Nie wiem, jaki był dalszy los legionistów "Ziutka" z Lidy i Stefanowicza. Natomiast Legioniści: Jankowski Maciej ożenił się w swojej wsi, miał troje dzieci, odszedł od nas wszystkich na zawsze w pięćdziesiątych latach. Michało Michał mieszkał do zgonu w sąsiedniej wsi, był dobrym pszczelarzem i kowalem. Żalis Andrzej ożenił się i zamieszkał w naszej wsi Stara Kozakowszczyzna. Był życzliwym, gotów był przyjść z bezinteresowną pomocą każdemu, komu była potrzebna, miał dobrą opinię między swych ziomków.

Początek drugiej wojny światowej

Sierpień miesiąc 1939 r. był taki pogodny jak nigdy. Bardzo był sprzyjający dla zbioru plonów. Jeżeli dzisiaj koszone łąkę, na jutro już trawa była sucha, można było zbierać i wozić do gumien. Natomiast orać było bardzo ciężko, ziemia tak wychnięta i twarda jak skała, że było trudno wsadzić pług do ziemi, a jednym koniem orać było nie sposób, a i we dwoje koni też. Ziemia bryłami kładna się na brzozy, konie szły powoli, ciężko, poglądając do tyłu na oracza. Mówiono, że tak niedobrze zaorywać ziemię bryłami, czas siewu ozimych naglił i pogłoski o nadchodzącej burzy wojennej również. Sierpień podchodził ku końcowi, gdy Rząd Polski ogłosił mobilizację zwierząt pociągowych, wozów, pojazdów mechanicznych i rowerów, stało każdemu zrozumiałe, że już prawie wojna. 25 sierpnia 1939 r. na rozkaz władzy ojciec odstawił na punkt mobilizacyjny zaprzężonego do wozu konia, do wsi Gudełki gminy solecznickiej i powrócił z pokwitowaniem pisany od ręki na specjalnym blankiecie seria B nr 073769, kserokopia którego załączam. Oryginał, dowód pobrania zachował się do dzisiaj. Została w zagrodzie jedna stara, już wypracowana klacz. Wóz jednokonny i uprząż oddana była ostatnia, bez której obejść się na gospodarce rolnej nie sposób. Tej straty nie braliśmy do głowy. Rząd obowiązywał władze miejscowe okazywać pomoc przez mieszkańców wsi. Ledwo zdążył wrócić z punktu mobilizacyjnego zwierząt pociągowych, ogłoszono mobilizację i musiał ojciec iść, stawić się we wskazane miejsce sam. Odprowadziliśmy ojca starym zwyczajem. Na pożegnanie przyszli sąsiedzi: stary Babul Julian z żoną, Adamonis Wincenty, Kaszkiewicz Jerzy i jeszcze nie pamiętam

2

kto. Przyszli pożegnać się z sąsiadem, przecież odchodził na wojnę... Wszyscy uklękliśmy przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, zmówiliśmy różaniec, litanie do NMP loretańskiej. Ojciec pocałował ziemię, pożegnał się ze wszystkimi... dla mnie na pożegnanie powiedział; "bądź gospodarzem, nie nadrywaj się mocno, nie podejmuj ciężko, bo jesteś jeszcze za młody. Nie wiem, ile pociągnie się wojna... zdaję się na opatrność Boską patrzajcie siebie... posiew żyta powinien organizować, pomoc, sołtys" - i odszedł.

Pozostałem w domu jednym "mężczyzną", miałem 13 lat, z mamą, starszą o parę lat siostrą i dwie młodsze siostry, jednego roku urodzenia, bliźnięta, Elżunię i Bogusię, mających wówczas po 9 lat.

Był to początek wojny i początek roku szkolnego. W mojej wsi szkoły nie było. Ja ze starszą siostrą chodziliśmy do 1935 roku do początkowej szkoły w Nowej Kozakowszczyźnie. Po przejściu na kolonię bliżej była szkoła we wsi Składańce. Jednym słowem, siostra starsza Leokadia i ja do czteroklasowej szkoły chodziliśmy po pięć lat. W tym, każdy musiał być po dwa lata w III klasie z innym programem nauczania, a w czwartej klasie to już był piąty rok nauczania. To była czteroklasówka obowiązkowa dla wszystkich dzieci wieku szkolnego. Rodziców, które nie podporządkowały się tej Ustawie - sztrafowano albo zamieniano pieniężny straf aresztem. Areszt odbywano przy gminach, gdzie specjalnie była przygotowana jakaś sala z okratowanymi żelazem okna. Sztrafowano też za sadzenie tytoniu, za korzystanie się nie klejmioną zapalniczką, tj. za korzystanie się tym, na co był nałożony państwowy monopol, bez akcyzji, bez opodatkowania. /Na str. 73 książki "Musu Lietuva" widzimy za "zakratowanym" oknem siedzą mężczyźni, pod nim napis Litwini w Polskim Więzieniu, ten

widoczek ma znaczenie prześladowania Litwinów/. Moim zdaniem, że inspektor szkolny czy inspektor państwowy - nazywano go akciznik - dla nich nie było różnicy w narodowości, to byli państwowi kontrolerze, materialnie nie zależni, pełnili swoje obowiązki służbowe.

Wojna - wojną, ale ja z młodszymi siostrami chodziliśmy do szkoły. Siostry do sąsiedniej wsi Składańce, a ja do m. Raduń, do VI kl. 7-klasowej szkoły powszechnej. Na wypadek bombardowania okleiliśmy na X okna swojej klasy. Bombardowań dookoła nie było słychać, ale chociażby i bombardowano, nie mieliśmy żadnych schronów. Chodziłem do Radunia 5 km pieszo. Uczyliśmy się z kolegą Przeplasko Feliksem z sąsiedniej szkoły, gdzie razem z nim skończyliśmy 4 kl. On też chodził pieszo. Przy zejściu się szliśmy razem, a jeżeli ktoś z nas przyszedł do umówionego miejsca i znalazł w środku krzaka leżący nie wetknięty w ziemię patyk olchowy - wiedział, że ja albo on już przeszedł i idzie powoli. Wówczas przyspieszano kroku i spotykano się. Idąc ze szkoły znowuż ten patyk wtykaliśmy do ziemi, do jutra. Tak, we dwóch było weselej. Po kilku dniach po odejściu ojca na wojnę wróciwszy ze szkoły mama zauważyła idących ~~po~~ rzeki Dzitwa trzech żołnierzy. Gdy podeszli bliżej, aż nie chciało się wierzyć, że jeden z nich był ojciec. Z nim razem szli w wojskowym ubraniu mamy stryjeczny brat Zdanowicz Bolesław i z Radunia Herasimowicz Józef. Przywitaliśmy się. Nie czekając ojciec na pytania powiedział, że komendant Służby Bezpieczeństwa zwolnił na 3 dni nas, by przygotować i posiać ozime żyto. Mówili: "niewiadomo, jak dalej będzie, na ile zaciągni się wojna, a siać trzeba. Do st. Bastuny przyjechali pociągiem, a dalej pieszo. Na st. kolejowej Bastuny robotnik

Służby Bezpieczeństwa proponował bez pardonu wziąć furmankę i jechać, ale odmówiliśmy mu, wojna to wojna, swoi ludzie, znajomi i "tak" niewypada. Zeszli się sąsiedzi, a najwięcej tych, którzy ktośkolwiek z rodziny był zmobilizowany. Interesowali się, może ojciec gdzieś widział ich, jak tam na froncie, kiedy się skończy wojna? Cóż ojciec mógł powiedzieć? Opowiadał: "Że popadło służyć niedaleko od domu, na stacji kolejowej Niemen, nad rzeką Niemnem, patrzymy żeby nie wysadzono w powietrze most kolejowy, by nie uszkodzono łączności kolejową, że kolejka jest ważnym środkiem w dostawie na front techniki wojskowej oraz żołnierzy, prowiant... Kolejka widziałem jak wiozą dalej na frontu rannych"... Znowuż pytania: "może poznał kogoś ze znajomych, czy może naszych wioskowych? Odpowiadał przecząco, że "nikogo swoich i znajomych nie widział... przyjechał na trzy dni, by zaorać łubin pod żyto... Komendant zwolnił nas trzech, mówił: "że wojna nie wiadomo ile będzie trwała, a chleb zawsze jest potrzebny, czy to wojna czy to spokój". We dnie orano, a wieczorem słuchaliśmy radia. Pamiętam jak dziś słowa pułkownika Romana Umiaszowskiego. Skyszeliśmy nadawany alarm lotniczy: "uwaga, uwaga, nadajemy alarm lotniczy, nadchodzi Es-bor-15", i tak powtarzano, przeszedł i przez parę minut odwoływano alarm lotniczy. Przychodziło dużo ludzi słuchać wiadomości z frontu. Przychodziła też już wówczas niemłoda kobieta Jankowska Katarzyna - jednego razu coś ona nie dosłuchała i od razu zapytała bliżej siedzących przy odbiorniku radiowym: "gi, co tam mówili przekazać Składańcom". Nie pozbawiony humoru Pilecki Eliasza jej odpowiedział: "prosilili powiedzieć, że Składańscy Litwini nie bardzo dobrze wojują". Wszyscy wybuchnęli śmiechem. - Składańce, to jest sąsiednia wieś, zamiesz-

kiwali tam przeważnie Litwini, jako i ona Litwinka pochodząca z tej wsi. Mówiono, że Litwini są bardzo koleżeńscy tylko ze swoimi; jeżeli idąc do kościoła jeden na jeden drugiej narodowości, to rozmawiały ogólnym językiem "łamaną" polszczyzną, a jeżeli dołączała się trzecia już Litwina, to już gwarzono tylko po litewsku. Jankowskiej Katarzyny mąż Jankowski Jan był bardzo akuratnym, pracowitym, dobrym gospodarzem, sąsiadem... Odsłużył on w carskim wojsku 25 lat. W 1904 roku był na froncie pod Port-Arturem, był ranny. Miał od dowództwa nagrodę kieszonkowy srebrny zegarek "Paweł Bure", na pokrywce zegarka widniał wygrawerowany napis "Jankowskiemu Janu za dobre zachowanie i strzelanie". Ten srebrny zegarek został подарowany dla swego bratanka Zdaniwicz Stanisława, który i dzisiaj jego posiada. Jeszcze Jankowski Jan był nagrodzony złotym zegarkiem i krzyżem, jakim krzyżem, gdzie, do dzisiaj znachodzą się te nagrody, złoty zegarek i krzyż nie wiadomo. On zmarł wcześniej niż żona - w 1940-ach latach, a jego żona Katarzyna zmarła w 1950-ach latach. Jedno wiadomo, że Jankowska Katarzyna początkowo kilkadziesiąt srebrnych monet /polskich 10, 5 zł/ oddała na przechowanie dla mojej mamusi. Po śmierci Katarzyny, spełniając jej testament, mamusia zaniosiła i oddała księdzu Ejszyskiego Kościoła. Ksiądz podziękował za spełnienie testamentu, powiedział, że będzie odprawiona msza święta, a srebro jest potrzebne dla kielichów i innych kościelnych rzeczy - w takie ciężkie dla kościoła i wiernych czasy. Do dzisiaj jest niewiadomo, dlaczego był testament dla ejszyskiego kościoła, a nie dla swego Raduńskiego, swojej parafii. - Uważam dlatego, że Raduński kościół jest na Białorusi, a Ejszyski - na Litwie. Jeszcze w 1939 roku /w 1938?/ Jankowscy, o których idzie

mowa, wzięli wychowanka Juszek Antoniego ze wsi Popiszki k. Radunia, który po śmierci Jana - gospodarza ożenił się ze Zdanowicz Bronisławą. Oboje dla pani Katarzyny byli nierodzone. Chyba dlatego srebrne monety były oddane dla mojej mamusi i dlatego mamusia trzymała w sekrecie, by nie gniewali się młode małżeństwo. O tym do dzisiaj nikt nie wie, zdradzam tajemnicę swojej mamy.

Nie do zrozumienia, jak tak prędko przeszły te trzy dni "urlopu" ojca, w czasie zażartej bitwy, z o wiele silniejszym wrogiem, Niemcami. Pożegnanie było takim samym, jak kilka dni temu. Zmówiliśmy różaniec, litanię do NMP, ojciec pocałował ziemię, obraz Matki Boskiej, zabrał ze sobą karabin i usiedliśmy do drabiniastego wozu. Odprowadzałem ojca ja i sąsiad Pilecki Karol ze swoim koniem i wozem. Wyjechaliśmy pod wieczór. Po drodze w co na jakimś odcinku, wieczorem spotykaliśmy z kijami mężczyzn. Ze znajomymi z sąsiedniej wsi ojciec w jednym miejscu kazał zatrzymać konia, i wyszedł porozmawiać. To byli stróże nocni linii telefonicznej, byli wyznaczane po kolejce, sołtysem, mężczyźni, którzy nie podlegali mobilizacji. Taki był rozkaz. Chodziły pogłoski, że bardzo dużo jest zasłanych szpiegów niemieckich, mówiono, że oni uszkodzali linię telefoniczną, podkładali miny i w miejscach strategicznie ważnych. Nie zauważyliśmy nawet, jak byliśmy w Bastunach. Na stacji kolejowej panowała cisza i ciemność, tylko był słychać na wielkiej wysokości warkot silnika samolotu. Ojciec popatrzył do góry, jak gdyby to coś widział w ciemności, i powiedział: "to leci samolot niemiecki, my jego rozpoznajemy na słuch, jego warkot jest więcej dźwięczny od naszego polskiego. Oni lękają się naszych "myśliwców", dlatego latają na wielkiej wysokości. Szkód oni dla

7

nas nie wyrządzają". Nie wiedział ojciec, że oni nie wyrządzają szkody dla Polski, ale dla Rosji sowieckiej; że te terytoria na podstawie umowy dwóch przyjaciół Stalina i Hitlera, razem z nami po 18 latach znowuż będą i będziemy my sami już nie polskie, że nasz los już jest przesadzony. Tymczasem ze zgrzytem hamulców zatrzymał się jakiś pociąg. Ojciec wyjął z karabina załadowane /patrony/ amunicję, mówiąc: "z załadowaną bronią w pociągu jechać nie wolno". Pożegnaliśmy się jeszcze raz, ojciec wsiadł do wagonu i pociąg ruszył, pomachał ręką przez otwarte drzwi wagonu, ja zaś z sąsiadem machaliśmy ręką na pożegnanie dotąd, dopóki nie minął ostatni wagon, chociaż było na peronie ciemno i widzieć jedne drugich było niemożliwe. Jeszcze chwilę postaliśmy patrząc na oddalający się stuk kół wagonów i odjechaliśmy. Jadąc w wozie my obaj drzemaliśmy, a koń ciągnął wóz w kierunku rodzinnej wsi. Noc była ciemna, niebo roziskrzone i tylko jedna gwiazda - planeta Wenus różniła się od rozsianych po niebie gwiazd swym blaskiem i wielkością. Od razu przyglądałem niebo starając się znaleźć wielką Niedźwiedzicę, Małą Niedźwiedzicę i mleczną drogę. Jadąc w ciemności ogarniał jakiś strach tym bardziej, że sąsiad Pilecki Karol już dobrze drzemał. Wiedziałem dobrze, że stary koń w jak najciemniejszą noc nigdy nie zabłądzi i nie zawróci nie tam gdzie trzeba, dlatego tylko trzeba wolno, nie napięte lejce przywiązać do drabiny i możesz spać spokojnie, a on ciebie przywiezie do samego domu. Zadrzemałem i ja. Sąsiad mnie obudził. Jeszcze było ciemno, ale już na wschodzie rodziło się światło. Ze snu zacząłem przegłądać się, gdzie my jesteśmy. Zorientowałem się, że znajdujemy się na dziedzińcu sąsiada. Schwyciłem się z wozu, po-

dziękowałem i pobiegłem do domu. Swietlało na oczach i za parę chwil już było zupełnie światło, i tuż-tuż wyjrzało zza horyzontu słońce, ale było jakieś czerwone-czerwone i świecił czerwienią dookoła wschodzącego słońca horyzont. Mamusia już nie spała, już szykowała się doić krowy, a dla mnie proponowała trochę pospać, bo jeszcze iść do szkoły było za wcześnie. Nie mogłem się zgodzić, dlatego już sen przerwałem i tak będzie lepiej, bo jeżeli zasnąć, wówczas gorzej będzie wstawać. Usiadłem za stołem, wyjąłem podręcznik po geografii i zacząłem szukać na mapie drogę kolejową, jaką jechał ojciec, czy może jeszcze gdzieś w drodze, bo orientowałem się, że to był pociąg Wilno-Lida i musi robić przesiadkę. Tymczasem mamusia już wydoiła krowy i jak zawsze podniosła dla mnie na stół kubek świeżego, jeszcze ciepłego mleka, upiekła jajecznicę i też postawiła na stół i kazała jeść. Do papieru zawinęła odkroiwszy od bochenki dwa kawałki chleba posmarowanego solonym masłem i kawałeczek słoniny pokrojony na cienkie warstwy - to na obiad, nie zapomnij położyć do teczki - dorzuciła. Zjadłszy dwa upieczone jajka, wypikłem kubek mleka i poszedłem. W umówionym krzaku olchowy patyk stał jeszcze wetknięty do ziemi i zrozumiałem, że jeszcze kolega Felek nie przeszedł, to też trochę postąłem na miejscu, wyrwałem, położyłem ten patyk na bok, wyszedłem na drogę i zobaczyłem niedaleko idącego kolegę Felka, machał on ręką, żebym poczekał. Wiedział on że mój ojciec przyjeżdżał z wojny na "urlop". Opowiedziałem, że ojca odprowadziłem na stację Bastuny, że jeszcze zupełnie nie spałem. Opowiadał on, że gdzieś w m. Lidzie aresztowano niemieckiego szpiega. Znalaziono u niego w portfelu minę i rewolwer. W ten dzień ja jakoś nie miałem dobrego

humoru. A dzień ten był bardzo długi i ledwo doczekałem końca lekcji. Jakoś nieswojsko było patrzeć na oklejone na X okna, ciągnęło mnie czym prędzej do domu. Jak zawsze z lekcji do domu szliśmy razem w pięciu. Z nami razem byli z jednej tej samej klasy koledzy ze wsi Straczuny. Byli to Walukiewicz Wacław, Kolędo^{en} Bronisław i Kōwkiel Julian.

W pewien, nie zapomniany na zawsze, na całe życie, dzień 17 września 1939 roku; jak zwykle przyszliśmy do szkoły, ustanowiliśmy się na korytarzu. Przed nami stanęli nasi przełożeni - nauczyciele: dyrektor szkoły Witkowski /imienia nie pamiętałem/, nauczyciele Karło, Gibówna i inni, których nie pamiętam ni nazwiska ni imienia. Jak zawsze ⁿpożegnaliśmy się, zmówiliśmy pacierze przed lekcją...

Żadnej audycji szkolnej nie było. Nasi przełożeni byli jacyś przygnębieni, smutni, pogrążeni smutkiem i "żałobą". Widząc i nie rozumiejąc nic w czym rzecz, staliśmy w zdumieniu, rozumieliśmy, że coś się złego stało... Była jak nigdy taka cisza, cisza... Przed nami stali z opuszczonymi głowami nauczyciele. Po chwili ciszy przemówił pan dyrektor /Zygmunt?/ Witkowski: Kochane dzieci, od dziś zmuszeni jesteśmy na nieokreślony czas przerwać lekcje, nie dlatego, że ulegliśmy Niemcom, wojna obronna trwa nadal, nasza stolica Warszawa jest niezwyciężona, nasi rodacy wojują zażarcie, odpierając ataki niemieckie... Dzisiaj otrzymaliśmy wiadomość, że Rosja sowiecka łamiąc traktat pokojowy nie wypowiedział wojny, napadła na Polskę... Nie ubezpieczone nasze granicy wschodnie, nasi KOPiści nie mogli przeciwstawić się kilkumilionowej armii sowieckiej... Wojska sowieckie wielkim tempem posuwają się naprzód... Wilność i Niepodległość Polski jest zagrożona, jesteśmy prawie ze wszystkich stron

sciśnięci w wielkie żelazne kleszcze. Idźcie do domu, pomagajcie dla rodziców, pracować trzeba, chociaż i będąc w niewoli. Da Bóg zobaczymy się jeszcze w tych ścianach. Bądźcie zdrowi!

Wyszliśmy bez żadnego tłoku, nie śpiesząc, w skupieniu, każdy był zadumany... nadal panowała żałobna cisza... Kto wie, o czym myślał każdy z nas... Tylko nikt, a nikt nie mógł być natchniony tym, tą myślą, że to była ostatnia lekcja w języku polskim... że jest już zaplanowana asymilacja przez wodza narodów Józefa Krwawego /Stalina/ na kilka pokoleń, na kilka dziesięcioleci. W naszej klasie uczyło się jakich 40 proc. Żydów, jeden Tatar - Ibrahim Aleksandrowicz, kilku Litwinów i reszta my, Polacy. Dla dzieci z biednych rodzin przy gminie raduńskiej była kuchnia, dokąd w określonej godzinie przed szkołą zbierali się dzieci ze wszystkich klas, stawali oni w szeregu po dwóch i któryś z nauczycieli "prowadził" ich na obiad. Mówiono, że obiady były dobrze przygotowane, smaczne i darmowe. Tak było w siedmioklasowej szkole powszechnej. Natomiast w szkole czteroklasowej wychowawca nauczyciel dostawał z szafy chleb i boczek albo szynkę, kraja dwie skiby chleba, nakładał na każdą cienko nakrojoną szynkę czy boczek i dawał dla uczniów. Jak w jednej tak i w drugiej szkołach do podkarmiania uczniów było niewiele. Oprócz tego, nie zważając czy uczeń z biednej rodziny, czy z zamożnej, dla niektórych doktor określał tran tłuszcz rybny. - Też nauczyciele wydawali po stołowej łyżce każdemu. Nie mam pojęcia, skąd mogła być gąbka czy szmatka dla wycierania tablicy w tranie, gdyż źle wycierała się tablica i nauczyciel wzięwszy gąbkę wycierając tablicę

która ani jak nie dawała się wytrzeć na czysto, zawsze powtarzała "Och, te traniarze". Ja osobiście na dużej przerwie biegłem, szedłem do sklepu na ulicy ^DPolnej od Żydka ^DWolińskiego i tam brałem bez pieniędzy bułkę z cukrem i kilka cukierek, za co ojciec w końcu miesiąca płacił. Z Żydziukami chodząc do szkoły nauczyłem się rozmawiać kilka słów, nawet pisać z prawa na lewo. Kupując bułkę zawsze mówiłem "bitte gibm aine bułka mit cukieh". Nic złego nie mogę wspomnieć z owych czasów. Raduń był "żydowskim" miasteczkiem, była szkoła rabinów. A mieszkał tam światowej sławy filozof /?/ Chowetz Chaim. Żydzi mówili, że on gdzie przejdzie, nawet nieurodzajne pole rodziło wysokie plony. On czytał lekcje dla studentów rabinów. Kiedy on umarł, tuż przed wojną, na jego pochowanie zjechały się z całego świata Żydzi. Był postawiony nagrobek jakiś inny, nie taki, jak wszystkim stawiano. Nie wiem, czy się zachował do dziś.

Dom, w którym on mieszkał nie zachował się do dziś. Do 1945 r. ktoś w nim mieszkał, a później przyjechał jakiś, nie raduński Żydek, na krótko zamieszkał, a później wyjechał. Chciał sprzedać ten dom, ale coś nie wyszło z władzami, widocznie brakowało udowodnień na spadkobiercę. Później w tym domu urządzono zlewnię mleka i ona była przez dłuższy czas. Teraz i ślad po tym domu zaginął, nie pozostało ani jednej cegły. Jednym słowem do wojny to było miasteczko żydowskie. Cały centrum miasteczka dookoła placu targowego mieszkali prawie tylko Żydzi i posiadali sklepy z różnymi towarami, i również mieszkali rozmaici fachowcy: krawcy, szewcy, szteparze, kowale, furmani, ślusarze i inni. Na rogu ulicy Grodzieńskiej i Możejkowej w dwóch domach przylegających do placu rynkowego był sklep rowerów, motocykli i innych

towarów mechanicznych. Właściciel sklepu Żydek Rogowski posiadał rowery rozmaitych firm polskich i zagranicznych. Między innymi byli w sprzedaży rowery "Kamiński". To były rowery z drewnianymi obodami, leciutkie, podejmowano nawet na jednym palcu. Były rowery grodzieńskiej firmy "Niemen", zagraniczni "Wurkop", "Janus", "Kriss" i inni. Dla wieśniaków można było wziąć "na kredyt". Wystarczało zaświadczenia z gminy o posiadaniu gospodarki rolnej i trochę zadatku. Do sklepu "zaciągivano" ludzi... W sklepie ktoś targował, a drugi stał na ulicy i zapraszał "Proszę zachodzić, bierz co trzeba, nie masz pieniędzy możesz zapłacić później". Kupowany towar grzecznie wydawano i jeszcze do tego bezpłatnie parę cukierków "to dla waszeci dzieci". Pamięć mieli dobrą i jeżeli za jakiś czas nie rozliczył się za wzięty towar, bez pieniędzy zapraszano "tego" również "Pań nie bieduj, że nie zapłacił za już wzięty towar, zachodź i bierz jeszcze", ale już jeżeli takie słowa ktoś by usłyszał ze strony, to już był wielki wstyd, dlatego dotrzymywano słowa i rachunek kredytowy musiał być załatwiony przy pierwszym następnym spotkaniu.

W ten dzień, dzień ostatnich polskich lekcji szliśmy do domu wszyscy zamyśleni. Nie wiem o czym myśleli, inni, ja zaś myślałem o Rosjanach... Jak oni wyglądają, jakie wojsko, jak oni ubrani.... jakie ich pieniądze, przecież o nich dosłownie nie wiedzieliśmy nic. Zdaje mi się, w czytance z czwartej klasy był wiersz o "Wołodi traktorzyście", była i ilustracja Wołodi siedzącego na traktorze, na żelaznych kołach, orzącego pole. Przypominało się jakieś opowiadanie z geografii, czy w czytance, że w Rosji pola jak okiem sięgnąć, z okna samolotu nie było widać żadnych miedz. Mnie to dziwiło,

jak to może być, żeby między polem jednego i drugiego gospodarza nie była, nie ma oznaczonej granicy w postaci miedzy. W domu jeszcze nic nie wiedzieli. Tylko co ja przyszedłem do domu, zachodzi znajoma już Jankowska Katarzyna. Przesiadła na zydlu w kuchni i od razu zaczyna: "Czy wiecie?... już gi Rosjanie bez wypowiedzenia wojny przeszli granicę i prędko będą tutaj". Mama złożyła ręce jakby do modłów i z lamentem aj-jaj-jaj co teraz będzie, zginiemy wszyscy, bo słyszała, że Rosja już nie ta co była. Będą zamykać kościoły, księży mordować".

- Co ty mówisz, mój Jasiulis tyle lat odsłużył w wojsku i wrócił z nagrodami, a przy caru sama pamiętasz, można było żyć"... Przyskuchiwałem się ich rozmowie i w myślach potakiwałem dla mamusi. Przecież uczyliśmy się historii, gdzie było pisano o prześladowaniu Polaków, wywożono na Syberię na katorgę, zakuwano w kajdany tylko za to, że oni brali udział w powstaniach, za to, że nie chcieli być pod zaborem w niewoli, za to, że oni chcieli żyć w Wolnej Polsce. Chciałem o tym powiedzieć dla pani Katarzyny, ale nie wypadało wtrącać się w rozmowę starszych - taka u nas w domu była zasada. Nie chciało mi się tych Rosjanów, ale i chciało się ich zobaczyć, co za ludzie, toteż wychodziłem często z domu i patrzyłem na szosę, czy już nie idą. Na szosie było cicho, żadnego ruchu.

Nazajutrz jeszcze do południa usłyszeliśmy warkot czołgów i traktorów. Nabrałem w sadzie jabłek pełne kieszenie, jeszcze nałożyłem dookoła siebie pod bluzę i poszedłem. Mama krzyknęła w ślad: "nie podchodź blisko, nie leż tam, gdzie nie trzeba, nie wiemy przecież z jakim oni idą zamiarem". Tymczasem ja pobiegłem na wprost, dobiegłem do starej wioski i dalej przez łąkę, aż patrząc stoi obóz i piechota żołnierzy,

14

tylko czołgi i działa ciągnące traktorami, takimi na żelaznych kołach, jak widziałem w podręczniku orzącego pole traktorzystę Wołodię, już przeszły tylko gdzieś pod Raduniem było słyszeć, ich warkot. Koło domu przyległego dziedzińcem do szosy Zdończyk Dżana /tak go nazywano po powrocie z zarobków z Ameryki/ stała kupa ludzi - podeszłem i ja. Zrozumiałem, że zatrzymano się na popas koni i widocznie na obiad żołnierzy. Z kuchni polowej zaprzęgniętej w parę koni kłębił się dym, konie jadły parszając siano. Płaszczki żołnierzy /szyniele/ nie podreźbione, ze spodu obryzgane były i wyglądały jak podół spódnicy, niechlujnej kobiety, dla kopania kartofli, w której u dołu nie było szwa, a wisiały nici. Zdziwiło mnie, że u żołnierzy nie było żadnych naramienników /pohonów/. Z przodu na kołnierzu były jakieś naszywki, trójkąciki, kwadraciki i bez nic. Na kuchni krzątali się żołnierze w bluzach do kolana podpasane w biodrach nie rzemieniem, a jakimś grubym zielonym materiałem. Takim pasem były podpasane "szyniele". Podeszłem do jednego żołnierza, nabierają odwagi i dałem mu parę jabłek, w mig przyszło jeszcze ich kilka, wszystkich obdzieliłem jabłkami. Wnet patrzę, podskakując na małym koniku podjeżdża do nas jakiś dowódca, u którego na kołnierzu, nie pamiętam ile, - z kwadracikami. Od razu zląkłem się, ale patrząc na jego twarz zrozumiałem, że krzywdy wyrządzać nie będzie... on zwrócił się do żołnierzy "towariszczi upłotitie... ipłotitie... tak nielzia". Każdy z żołnierzy sięgnęli ręką do kieszeni i mnie zaczęli dawać jakieś miedziane monety. Od razu ja nie chciałem brać, ale zmusili mnie żołnierze, a dla mnie tak chciało się mieć i zobaczyć, jak wyglądają ruskie pieniądze. Pieniądze carskiej Rosji widziałem, miedziane i papierowe 10-cio,

5-cio i storublówki, takie ja posiadałem, ale wiedziałem, że już się zmieniły. Przyglądałem się na koni - były jakies chude, małe i w ogonie każdego były przywiązane deszczuki z dykty rozmiarem mniej więcej 10x4 cm. U jednego żołnierza krzątającego się koło konia zapytałem, co to oznaczają te przywiązane deszczuki, on na mnie popatrzył, uśmiechnął się, coś pomruczał i nic mi nie odpowiedział. Przeszła mi myśl po głowie, że może to wojskowa tajemnica... a może on mnie nie zrozumiał? Pomimo mnie było tam jeszcze dużo wioskowych dzieci. Zdończyk Dżan, widocznie żeby nie rozgniewać Rosjanów, wraz z żoną, rodem z Centralnej Polski, zaczęły nas prosić, żebyśmy odeszli od nich, nie dokuczają im, oni są zmęczeni... mogą rozgniewać się... Miałem ja taką zasadę, że muszę wykonać do powtórnego uprzedzenia. Niezauważalnie zaeróciłem do domu. Po drodze zachodziłem do swoich kolegów i koleżanek by pochwalić się, że ja już mam ruskie pieniądze. Przyglądaliśmy się na nich... Ani na jednej z monet nie znaleźliśmy białego orła. Ten dzień był pochmurny, ale deszczu, o ile pamiętam, nie było. Jak zwykle, w tym czasie wojennym, codziennie kończaliśmy pracę na gospodarce wcześniej, jak zwykle, do nastąpienia zmroku. Tak było i w ten dzień, dzień przyjścia Sowietów. Przecież jest wojna, światła palić nie wolno, albo okna muszą być starannie zamaskowane. Najwięcej byliśmy w kuchni, gdzie lepiej można było zaciemnić jedne-jedyne okno. Sprawdzaliśmy z podwórka, czy nie widać blasku światła. w powietrzu codziennie było słychać warkot lecących na wielkiej wysokości samolotów. Dziwiliśmy się, jak oni tak wysoko w nocy, po ciemku, orientują się. W ten wieczór, jak zwykle każdy dzień, wcześniej poszliśmy

spać. W nocy usłyszeliśmy pukanie w okno... ciarki poszły po ciele... mama podeszła do okna i zapytała "kto tam"? i nic nie mówiąc, myśląc że my śpimy, poszła otworzyć drzwi... wchodzi ojciec. Mama z pośpiechu ani jak naprędka nie mogła znaleźć zapałków, by zapalić lampę naftową. Po jakimś krzątaniu się po ciemku znalazła zapałki i zapaliła lampę. Zobaczyliśmy stojącego na kuchni ojca. Był bosy, w gaciach rwanych, bez czapki. Ojciec umył się, z lekka przyodział się i usiadł na zydlu. Zaczęła się pytanina co i jak? - Gdy dowiedzieliśmy się, że lawina Sowietów przekroczyła granicę, otrzymaliśmy rozkaz broń "zamalinować"... zakopaliśmy karabiny do ziemi w jednym miejscu, a zamki i amunicję w innym miejscu, i komendant kazał iść wszystkim do domu, tylko uprzedził, żeby nie szli grupami, najlepiej po jednemu, umundurowanie zamieńcie na cywilne, żeby nie szli głównymi drogami, a gdzieś bocznymi, nie zwierzajcie się nikomu, wystrzegajcie się Białorusinów, bo oni są też niebezpieczni - wyjaśnił komendant. - Podziękował za służbę, życzył nam dotrzeć szczęśliwie do swoich rodzinnych domów. Strzeżcie się, by nie popaść do niewoli Sowietom. Po chwili ciszy komendant powiedział, teraz już katastrofa, w pełni, jesteśmy pod koniem, ale "będziemy jeszcze na koniu". Pożegnał się z nami i jeszcze raz życzył szczęśliwie dotrzeć do domu i wytrzymać do czekać Wolności Ojczyzny" - opowiedział w ten wieczór ojciec. W ten wieczór długo nie spaliśmy.

Za jakich chyba parę dni dowiedziałem się, że znowu otwiera się szkoła, o czym powiedziałem dla ojca. Wiesz co synku, trudno, szkoła jest zawsze szkołą i dawaj walaj! - powiedział ojciec. Biegiem poleciałem do Radunia, by dowiedzieć się, co i jak? Spotkawszy nauczyciela, dzisiaj nie pamiętam jego nazwiska, ten mi powiedział, żeby przychodzić

14

obowiązkowo za parę dni... Poszedłem. Zechodzę do tej samej klasy, gdzie byłem, przeszło tydzień czasu. Na lekcje przyszedł ten sam nauczyciel, którego spotkałem parę dni temu. Do tego on był nauczycielem we wsi Kiwańce. Oglądałem się dookoła klasy... wzrok mój nie mógł więcej odnaleźć portretów J. Piłsudskiego z wielkimi brwiami, trzymającego prawą ręką rączkę szabli, w generalskim mundurze Edwarda Smigłego. Kydza, w ślicznym garniturze pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, w ślicznej ramce na czerwonym tle białego Orła, nie wisiał jak zawsze nad drzwiami klasy krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem. Nie przychodził już nigdy raz na tydzień ksiądz wikary Snieżko na lekcję religii, a dla Żydów rabin. Wszystko dookoła nie tak jak trzeba, jakoś czułem się nie swojsko. Zaczęto nas uczyć początkowo alfabet rosyjski. Podręczniki polskie już nie były potrzebne. Naszą szóstą klasę nazwano 5-tą. Nauczyciel ogłosił nam, że będziemy uczyli się języka białoruskiego, i jako przedmiot będzie język niemiecki, że my żyjemy na białoruskiej ziemi i musimy uczyć się po białorusku... Jakoś w głowie ani jak nie mieściło mi się... parę tygodni temu żyliśmy na polskiej ziemi, dzisiaj już ta ziemia zmieniła się, już nie ta co była, - już jest białoruska... słyszałem rozmowę między Litwinami, że ta ziemia jest litewską i wkrótce będzie Litwa i będziemy uczyć się po litewsku. Nie już ta sama ziemia będzie przechrzczona trzeci raz w roku? Nic nie zrobisz, nie nasza wola, mówił ojciec. - Podręczników białoruskich nie mieliśmy. Zeszytów też nie można było nigdzie kupić. Kazano kupować na pocztę gazetę "Wpieriod" /naprzód/ taką samą wszystkim, jednakową. Na tej gazecie uczyliśmy się czytać w szkole i jakiś urywek

zadawano nauczyć się czytać w domu. Algebrę uczył Elia Mojsiejewicz - Żydek, bardzo krtawił, zupełnie nie wymawiał litery "r". Niemieckiego uczyła jego żona - zupełnie nie pamiętam ich nazwiska, i jej imienia i imienia po ojcu - tak ich kazano nazywać każdego - po imieniu i imieniu ojca. Śpiewu uczył jakiś Żydek czy Gruzin... zawsze przychodził na lekcję śpiewu z akordeonem. Śpiewać uczył piosenek: "Suliko", "Na rybakie u rieki" i innych. Pod koniec roku 1939 zaczęliśmy otrzymywać "braterską pomoc" od szkół i uczniów Wschodniej Białorusi. Otrzymaliśmy już prawie zużyte podręczniki, wśród nich były i nowe. Z "czytanki" dowiedzieliśmy się takiej "sztuki", o której nawet nie śniło się; że panowie i obszarnicy ludzi zaprzęgali do pługu i orali ziemię... Pan batem popędzał zaprzęgniętych głodnych niewolników Polaków i innych. A w wierszu, nie pamiętam autora tego wiersza, było napisane: ... Rubili nas mieczom,

Palili nas ogniom,
 Nie śmieli goworyt,
 My, mowoju swojej...

Słowo daję, że takich rzeczy ja nie widziałem i nie słyszałem. Jednego razu pokazałem dla ojca rysunek w książce, na którym brzuchaty pan w kapeluszu szedł za pługiem i batem "maczał" zaprzęgniętych wieśniaków... Ojciec ten rysunek pokazał dla sąsiada, który był w ten moment u nas, - "słuchaj, popatrz co robi się... będąc dużo gdzie, czy widział takie hece? - zapytał się ojciec. Sąsiad Babul Julian popatrział z daleka, - "bo z bliska nie widzę bez okularów" - powiedział... "O-o-o, widział takie sztuki - mój panie... patrzaj, mój panie /te słowa mój panie często powtarzał/, a jaki bicz u niego, nawet nie widziałem takiego u żadnego bogacze /Bałagołem nazywano furmana wiozącego rozmaite towa-

Bałagoła
~~bogacze~~

Wł.

ry/. Jeden zaprzężony idzie prawie na klęczkach i ciągnie pług. a pan w kapeluszu podniósł wysoko głowę... jak on może widzieć brzoźnę... ale popatrzajcie, ten pan w pantoflach, w gaciach galife, w wyszywanej bluzie podpasanej w pasie jakąś wstążką, w kapeluszu na głowie... i ma za biczem chłopca... to jakiś politruk, a nie pan dziedzic. Ależ jak pan Leon czytał nie tak dawno, mój panie, /Leon, to mój ojciec/, że w Rosji od chłopów odebrano ziemię, to jaką, mój panie, ziemię on może orać nie mając ziemi... To już, mój panie, narysowano o nas. Ale kto by mógł wiedzieć, że pan dziedzic właściciel majątku orał zaprzęgszy swoich parobków? O, mój panie, jakie kłamstwo... Ojciec^{nie} mówił, tylko uśmiechał się wesoło, widać było, że podobał się ojcu dowcip sąsiada. Rzeczywiście on palił w dziesiątkę. Sąsiad Babul Julian był o wiele starszy od moich rodziców. Jego dzieci starsi byli prawie w wieku moich rodziców. Mama go nazywała na dziadzia i nigdy na ty, a "waszeci". Zmarł on w dobrze podeszłym wieku w 1965/6?/. Parę lat do zgonu on nie widział - dosłownie oślepił. Był on ciekawym rozmówcem, służył on w carskim wojsku w kawalerii za Moskwą w m. Sierpuchow. Kilkanaście lat pracował w masarni w m. Lida. Właścicielem tej masarni, o ile pamiętam, był Rodziewicz. Jego wyroby masarskie sławiły się w całej Polsce, jak też i za granicą.

Innym razem ojciec prosił sąsiada "mój panie", tak go nazywano we wsi, żebym sporządkował kabana, jak zawsze przed Nowym Rokiem, albo najwięcej przed Bożym Narodzeniem. Na pomoc przychodził mamy rodzony brat Zdanowicz Julian. Kłóto kabana ostrym nożem. Smalono na podwórku słomą i myto czys-

tą ze studni wodą. Miło było patrzeć jak "mój panie" pracował swoim ostrym nożem jako chirurg. Rozbierał na części i składał do suchych, czystych, drewnianych necek. Rozkładał po kategoriach: co na wątróbkę, co na salceson i co na kiełbasy. Mięso na kiełbasy krajaliśmy nożem, na selcesony też, a na wątrobiankę przepuszczano przez maszynkę. Jednego razu raptem zachorował nasz majster - zabowało coś w krzyżu, że nie może dalej pracować... potrzebny był spirytus do nacierania. Posłano mnie do sąsiada, bym przyniósł ćwiartkę spirytusu bimbrowego. Poszedłem do sąsiada, a chorego majstra zięcia Pileckiego Eliasza, ten zrozumiał w czym rzecz, powiedział: "znam tę chorobę, ni z tego, ni z owego chory na oczy, wesóły, ale krzyżem nie wkłada". Dał mi ćwiartkę i żartem powiedział: "tylko lekarstwo" nie dajcie od razu, ale po trochę. Te żarty pana Eliasza od razu ja nie rozumiałem. Erzyniosłem. Mama zakasała ręce by natrzeć spirytusem plecy... tymczasem nasz "mój panie" do mamy powiedział "poczekaj trochę, daj szklaneczkę"... Mama jeszcze raz pomyła szklankę, wytarła czystym płótnianym ręcznikiem i podała ją dla "waszeczki". My wszyscy patrzymy, jak nasz majster będzie się leczył... "Mój panie", siedząc koło stołu, nalał trzecią część szklanki, powiedział "tak będzie lepiej" i wypił jej zawartość... powąchał kawałeczek chleba... posiedział parę minut.. wstał - "już lepiej, mój panie" - powiedział i wziął się dalej za robotę. Robił solidnie i fachowo, aż miło było patrzeć. Mięso ślicznie ^kobrajane, słonina też, a kiełbasy i salceson były że paluszki obliziesz.

To było za Niemcami. Pędzono bimber, pili, żeby przepić Niemców. Często do nas późną jesienią czy w zimie jak zawsze przychodzili na wieczorki sąsiedzi. Jednego razu usłyszano,

że ktoś szamota się na gancku. Otwarto drzwi i wchodzi pan Babul "mój panie" dobrze podchmielony. Mama otworzyła pokój i zaproponowała odpocząć na łóżku, bo "waszeci" już zmęczony. Położył się. Tymczasem jego zięć Pilecki Elias z sąsiadem Adamonis Wincentym stojący w pokoju stół, gdy "mój panie" dobrze zachrapał, przenieśli i postawili w drzwiach. Palcem kiwnęli mamie, żeby "cicho" i zamknęli drzwi. Przez jakieś półtora godziny, ja stojąc, nasłuchując co robi, czy śpi... Przez jakiś czas usłyszałem, że już chodzi po pokoju. Wszyscy siedzący na kuchni ucichli i zaczęli przysłuchiwać się co się tam robi. Słychać chodzi i burczy coś pod nosem... potem trochę głośniejsze "Boże mój, matko kochana", a gdzieś te dźwięki "w imię Ojca i Syna i Ducha" i znowu dookoła... A tutaj aż kładną się ze śmiechu... "Dosyć już, pośmieli się, pożartowali i dosyć" - prosika u mężczyzny mama... "może czkowieku natychmiast coś trzeba". Zaczęto śmiać się głośniejsze... otworzono drzwi i postawiono stół na miejscu. Wyszedł niby śmiejąc się, ale krzywo popatrzał na zięcia /Pileckiego Eliaza/, zapalił papierosa oddał dla manusi podane zapalniczki, podziękował i wyszedł. Ot w czym rzecz... on nie miał swoich zapalniczek, dlatego chodził po omacku, krążąc dookoła pokoju szukając drzwi i znowu śmiano się, a żebym jeszcze przez jakiś czas nie otworzono, co by on robił? I tak pośmiewano się zawsze całe wieczory.

Dowcipny był w żartach sąsiad Pilecki Elias. Nawet jeżeli on coś opowiadał, tylko zaczynał, nic śmiesznego, a jednak trudno było powstrzymać się od śmiechu. Za brzuch trzymano się ze śmiechu, jak zaczynał opowiadać, nie pamiętam, ktoś ze wsi krył słomą strzechę gumna. Przychodzi jego sąsiad i coś słowo po słowie pokłócili się. Temu co na

dole nic nie mógł zagrozić siedzący na strzesie, więc ten co na dole pociągnął żerdź na której stał tamten i żerdź ^{zszedł} się na dół ze słomianego dachu, a z nią stojący na strzesie. Dopóki ten wstał, spadnięty ze strzechy, tamten już siedział w domu zaparkłszy drzwi i nic na ten raz nie mógł zrobić. Wieś wówczas była pełna ludzi. Choć żyło się skromnie, ale wesoło, bez żadnego strachu. Chociaż byli małopięsi, nie brakowało dowcipu i humoru, Opowiadano o "pańszczyźnie", gdzie, ile dni w tygodniu, w jakich warunkach ją odbywano. Babul Julian "mój panie" opowiadał o powstaniu, o tym, jak w miejscowości Macza był postawiony drewniany krzyż dla upamiętnienia Narbutta. O tym, jak ten drewniany krzyż stawiano kilka razy i zawsze był spalony przez Litwinów zanim postawiono krzyż żelazny. Dzisiaj z tego opowiadania nie mogę zrozumieć i nigdzie nie znajduję napisane, że gdzieś, kiedyś kilka razy był spalony Narbutowski krzyż. Nie mogę sobie darować, dlaczego nie wyjaśnięm dokładnie jeszcze u niektórych starych ludzi "na gorąco", "na żywo".

niu, o tym, jak w miejscowości Nacza był postawiony drewniany krzyż dla upamiętnienia Narbutta. O tym, jak stawiano go kilka razy i zawsze był spiłowany przez Litwinów, zanim postawiono żelazny. Dzisiaj z tego opowiadania nie mogę zrozumieć i nigdzie nie znajduję napisane, że gdzieś, kiedyś kilka razy był spiłowany Narbuttowski krzyż. Nie mogę sobie darować, dlaczego o tym nie zapisałem "na gorąco", "na żywo".

Wkrótce jeszcze jesienią, zaraz po przyjsciu "wyzwolicielei spod jarzma" została ustalona granica litewska blisko naszej wsi i Ejszyszki były oddzielone kordonem strzeżoną pilnie granicę. Nadchodziła ciemna jesień. Konczyły się najpotrzebniejsze rzeczy jak nafta i sól. Zapasów nikt nie miał. Kupowano sól po 1 kg, a naftę w litrowej szklanej butelce po 1 l. Bo niby po co było kupować więcej, przecież zawsze we dnie i w nocy to wszystko można było kupić u sąsiada pana Babul Adolfa. W miasteczku Raduń zaczęto otwierać sklepy, ale to jeszcze później. A co robić dzisiaj? Każdy gospodarz nie mógł obejść się bez nafty i soli. Z naftą jeszcze jakośkolwiek, zaczęto dla oświecenia używać łuczywa. Pamiętam, sosnę piłowano na kłody na 50-70 cm, rąbano je od sercowiny do kory, na takie wąskie polana, suszono w piecu i szczepano na łuczyny. Sosna musiała być "stara", mająca cienkie słoje, inna młoda sosna nie nadawała się do oświecenia. Opowiadano, że łuczynem korzystano się już bardzo dawno, robiono takie "świetacze", tj. brano 1-1,5 m pałkę, z jednego końca robiono taki haczyk z drutu czy gwoździa, żeby można było powiesić na gwoździu w belce sufitu... od dołu robiono z blachy najwięcej od pasty do butów, czy od starego obręcza, zachylano obydwie końce tak, żeby od brzegu pałki były na 3-4 cm i przybiwano gwoździem

do pałki, gdzie po obie strony pałki były takie szczeliny, do których wstawiano zapaloną łuczynę. Paliła się łuczyna prędzej i światlej, jeżeli obniżono poziom łuczyny w palącym się końcu. Prawda, dla lepszego oświetlenia można było palić po dwie łuczyny. W domu było dymno i odczuwano zapach dymu i smoły, tylko na razie pozostał dowcip i humor ten samy, jak zawsze.

Zdaje mi się w październiku 1939 r., nie wiem jak i dlaczego ojciec przywiózł z Radunia dwie żelazne beczki ropy, którą kazano rozdać według spisu na każdy komin dla wsi Nowej Kozakowszczyzny i Starej Kozakowszczyzny, po 0,5 l. Przychodzili ludzie z butelkami, nalewano je i wydawano z pokwitowaniem odbioru stawiając podpis. Niepiśmienni stawiali po trzy krzyżyki. Przyznać się szczerze, że po pełnym rozliczeniu się ze wszystkimi pozostało dla nas około 5 litrów, to pozostało z kropli, które ściekały z półlitrowej miarki nalewając do butelek - mówił ojciec.

Wkrótce zaczęła się paszportyzacja. Mówiono, że to dlatego, że jesteśmy blisko granicy litewsko-rosyjskiej, mieszkamy w pasie przygranicznym. Ojca "zmobilizowano" na pomoc dla zapełnienia blankietów. Charakter pisma ojca był niezwykle pięknym jak po polsku, tak również i na rosyjskim języku. Pierwsze litery zdania "wykręcał" wymachując piórem, dalej lały się na papierze litery, słowa, zdania. Może dlatego, że miał śliczny charakter pisma, w czasie czynnej służby wojskowej pracował w Lidzkim PKW. /Powiatowy Komisariat Wojskowy /?/ Zakończył on "Narodnoje uczyłiszcze". Miał dwie siostry, które były wydane za mąż do Radunia i do osiedla Janopol. Gdy jego rodzice zmarli, siostry postarali się go ożenić z panną, z dobrej rodziny - moją mamą. Czynną

23

służbę wojskową pełnił będąc żonatym. Wypisywał gazetę "Kurier Wileński" i jedną z gazet katolickich "Tygodnik Katolicki" czy "Nasz przyjaciel". Już przed wojną, nie pamiętam w którym roku te obydwie gazety były połączone w jedną "Tygodnik Katolicki - Nasz przyjaciel". W młodości służył do Mszy Świętej, później mnie nauczył "ministratury" i ja służyłem do Mszy Świętej też. W zimie, gdy ja chodziłem do raduńskiej szkoły, będąc u krewnych na mieszkaniu zawsze wstawałem rano, szedłem do kościoła na "pierwszą" Mszę Świętą, którą odprawiał ksiądz wikary Władysław Gimzewski, a później gdy on wyjechał do Nowych Święcian - ksiądz wikary Sieczka, wówczas ja razem z nimi, oni na lekcje religii jechali gdzieś na wieś, a ja szedłem do szkoły. Tak codziennie służyłem do mszy świętej. Mama zawsze czytała "Rycerz Niepokalanej", to był katolicki miesięcznik. Jednego razu mama mnie pokazała w "Rycerzu" zamieszczone zdjęcie, na którym widniały siedzące dwa księży i pośrodku - kobieta. Wyglądała poważnie, dumna i zauważalnie widać, że była szczęśliwa, zadowolona. To była matka z dwoma synami. "O, gdzie szczęśliwa matka - powiedziała mama, - ja by więcej w życiu nic nie chciała". Te słowa mamy dały mi dużo do namysłu.

Do nas do domu często zachodziły ludzie, kto tak sobie posiedzieć, a kto z jakimś interesem: list otrzymany przeczytać, napisać list czy jeszcze z jakimś interesem. Do wojny ojciec należał, był członkiem spółdzielni "Społem", która była organizowana w byłej karczynie przydrożnej w sąsiedniej wsi Soliszki. Często chodził na jakieś zebranie, a przed Bożym Narodzeniem bezpłatnie przynosił mąkę "krupczatkę", śledzie, drożdże i cukier. Jeszcze będąc na starej wsi, do wyjścia na kolonię u nas w domu zbierano się i na głos czytano trylo-

gię H.Sienkiewicza "Ogniem i mieczem", "Potop", "Pan Wołodyjowski", "Quo vadis" i inne. Czytali ojciec albo Kaszkiewicz Julian, czy Czereszko Stanisław. Przychodzili i słuchali inni sąsiedzi: Boładź Jan - ten co później wyniesie się do Bastun, a nie wstąpi do kołchozu, Szostak Julian, Szostak Aleksander - "Amerykaniec", Dąglis Bolesław, szwagier ojca Zdanowicz Eliasz i inni. Oprócz czytania książek opowiedano rozmaite "historie" - jak gdzieś tam wydarzały się rozmaite wypadki. Pamiętam, jak opowiadano, że pewnego razu gajowy Zdanowicz Jan będąc "pod muchą" siedł z karczmy i na grebli, w miejscu błotnistym, gdzie przeciekał strumyk, spotkał go jakiś facet i zaproponował zamienić się fuzją... ten popatrzał, że dużo lepsza i ładniejsza od swojej i zgodził się zamienić, po tym każdy poszedł sobie swoją drogą... przychodzi on do domu aż patrzy, co on ma na plecach ze zdziwieniem. Była to zawieszona na plecach końska noga. On sam swoim oczom nie uwierzył, aż przeląkł się... przeżegnał się i dokładnie pomyślał, że to był jakiś czarownik... albo diabeł, bo jak opowiadali, że i takie chodziły w postaci człowieka. Nazajutrz gdy już dobrze wyszedł z głowy chmiel, włożył on tę nogę końską z kopytem do worka i poszedł do karczmy, co stała na skrzyżowaniu dróg Wilno-Kraków i Wilno-Lida, do karczmy, do której kiedyś zajeżdżali rozmaici wielmożni, książęta i szlachta litewska czy polska, rosyjscy bojarzy /?/, a może i zajeżdżał do niej pan Kmiecic z "Potopu" H.Sienkiewicza, a w tej karczmie siedział, zakąsywał i wypijał za stołem ten sam jegomość... On do niego... ten kazał usiąść mu razem, zamówił on sam dzban piwa i litr wódki i nic... ten facet pokazał się mu zwykłym człowiekiem, ale był cwany co nie miara... Nasz

Jan postawił worek koło stoła, a było - nie było przysiadł do stołu... myśli sobie, wyjdzie co czy nie wyjdzie... a jeżeli nic nie wyjdzie, co dalej robić, fuzja to była "kazionna", a jak pracować bez niej, jaki z ciebie gajowy bez fuzji. W głowie Jana kłębiły się rozmaite myśli... Wnet ten facet skinieniem głowy pokazał, żebym wziął do ręki pełną szklankę nalanej wódki, podsunął do niego pełny gliniany talerz mięsa, sam wziął pełną szklankę i wypił, wytarł dłonią długie wąsy i stał zapiwać piwem. Tymczasem Jan wziął szklankę i wypił, a w głowie trzeszczało jak nigdy - choć "poprawię" głowę - pomyślał sobie, jeżeli nic nie wskóram!... Opowiadał później: w głowie stało lżej, zakąsił i ze strony, tak niezauważalnie, zaczął przeglądać się na tego jegomościa, wyglądał na tego samego, wąsy takie same, włosy długie do karku, ale wówczas był w czapce i nie było można określić tożsamości włosów, a siermięga - taka sama jak wczoraj, dobrze zapamiętał... Jan je, zakąsuje i ten je łakomie i sapie niesamowicie... Gdy wypito wódkę i piwo a talerze z zakąską były puste, dla naszego Jana nie schodziło z głowy co będzie dalej, jakoś i wódka jego nie brała, tylko przyglądał się na tego faceta, zniechęca, nie tak - prosto w oczy, bo nawet i bał się niego, kto wie, jaka tu nieczysta siła... A może jeszcze dostanie "cyrograf" i każe krwią podpisać swoją duszę. I tak przez kilka minut obaj po cichutku siedzieli... zaczął rozmowę ten facet... Jak żyjesz panie bracie, co słychać?... Co może słychać, niedobrze słychać - zampił nasz Jan,... wczoraj strzelbę mnie zamienili na Bóg wie co... i zaczął Pana Boga wspominać, bo wiadomo przy "nieczystej siłę siedzisz obok, a może przeżegnać różańcem święconym, a w kościele ksiądz poświęcił, ale nasz Jan przycisnąwszy w dłoń różaniec, wypowiedział krzywdę dalej: ciężko żyje się, strzelba

"kazionna"... /państwowa/, teraz przyjdzie się krowę prowadzić na rynek, by odkupić... żyje się ciężko, urodzaj tego roku był słaby... lato było deszczowe... - ten jegomość od razu był ponurym, a trochę potem wysłuchawczy naszego Jana już zaczął uśmiechać się, widać skrucha jego wzięła, musi szkoda zrobiło się naszego Jana, serce zmiękło słuchając, uważnie wysłuchując jego krzywdę. - Wiem, że ciężko - zaczął ten jegomość, - krzywdy robić nie wolno, a jeżeli komuś, z jakiej tam przyczyny była wyrządzona, to ją niezwłocznie trzeba usunąć, odwdzińczyć temu człowiekowi. - Weź swój worek ze sobą i wyjdziemy na chwilę. Nasz Jan czym prędzej schwycił leżący obok stołu worek i wyszedł za nim... zdjął z za siermięgi strzelbę i oddał Janowi. Worek z zawartością kazał wziąć ze sobą i iść do domu nie oglądając się broń boże w tył, a zawartość w worku wyrzucić na grebli do strumyka. Wszystko, co było kazonne, Jan wypeknił i przyszedł do domu ze swoją strzelbą. Nazajutrz jego bracia razem z nim poszli na greblę, ale wyrzuconą zawartość z worka, końską nogę w tym miejscu, gdzie była wyrzucona nie znaleźli. Zaczęto dyskutować o tym zajściu. Jedni twierdzili, że to tak mogło być, bo czego w życiu nie bywa?... że rozmaite strachy chodzą po świecie, że dusze grzesznych umarłych ludzi chodzą po świecie bez przytułku, bo ich do nieba nie wpuszczają. A może takie dusze, jak to było niedawno we wsi Posada, podchwycił rozmowę Bowszys Stanisław - "mój kotek" było to tak: to było na Raduńskiej kolonii, Andrukonis Wincenty, jak zwykle tak jak i my robimy, wiosną jedzie się na "nocleg" /jechało się z koniem na łąkę dalej od wsi na popas konia, koń pasł się spętany w żelazne pęto, a gospodarz ubrany w ciepły kożuch spał urządziwszy się z kępą pod głową/. I wiecie co, "mój kotek", codziennie przez

17

parę dni słyszał blisko gdzieś, może być w odległości jakich 50 metrów, ktoś stęka i w głos płacze, ... przypatruje się... widać jakaś postać w czymś białym, później oddala się i znika. i tak przez parę dni. Na jakiś tam dzień po tym Andrukonis bierze ze sobą odrezankę, którą trzymał po kryjomu dla eksperymentu, by ~~przekrucił~~ ^{przelconąć} się, czy to dusza, strach jakiś nieznanym, czy człowiek - a może i sąsiad, bo śmiano się we wsi że jemu pokazują się jakieś strachy, chociaż o tym nic nikomu nie opowiadał - nawet dla żony w domu... Pewnego razu przyjeżdża, jak zawsze, spętał konia, podebrał miejsce, by pod głowę było wyżej i położył się... za jakieś pół godziny słyszy znów stękanie i dalej cichy płacz, przytulił się do ziemi i zauważył jakiś cień... nacelował swoją odrezankę tak, żeby kula przeszła obok tego cienia, bo jeżeli to rzeczywiście człowiek, żeby nie zabić go, a tylko postraszyć, w żadne strachy on nie wierzył... i wystrzelił... aż od razu ten strach krzyknął "Wincenty!... sąsiad!... nie zabiwaj mnie! to ja!... Sabu^kńiewicz! Nic nie wiem, choć bliżej!... Podchodzi... rzeczywiście to był sąsiad okryty białym prześcieradłem, jeszcze kawaler... a dalej stały dziewczęta, a jedna z nich narzeczona Wincentego... Oni jego przysiali postraszyć... A może tak i rodzą się rozmaite strachy?

Rozmaite były żarty i żarciki. Albo, jak to było w owe czasy, jeżdżono we swaty, nawet daleko za kilka wsi... A gdy dowiedziano się, że do jakiejś dziewczyny miano przyjechać swaty, kawalerowie tej wsi po cichu odjeżdżano koniem do krzyżówki, może dalej od skrzyżowania dróg około 1,5-2 km, tam nakładano na konia dzwoneczki /nazywano ich szakas-tuny/ i pędzono konia galopem... daleko donosiło się echo dzwoneczków, a inni siedzieli u tej panienki w domu i czekano na reakcję panienki i rodziców. W ten czas ktoś z chłop-

ców zachodził i oznajmiał, że ktoś jedzie od krzyżówki z dzwoneczkami, chyba we swaty do kogoś... Ktoś wybiegał na podwórko panna czy panny matka i przekonawszy się, że naprawdę "jadą" w domu zaczyna się ruch: panna młoda zaczyna ubierać się, matka nakrywa stół białym drusem... kawalerowie wychodzą z domu, niby to żeby nie przeszkadzać... echo dzwoneczków i turkot wozu przybliżał się bliżej i bliżej, czekali kiedy zajadą na dziedziniec... tymczasem jeżdźce, swaty, nie zajeżdżają i mkną po wsi dalej i dalej... może zbłądzili? Nie! to był kolejny żart, za to nie gniewano się, a kawalerowie wsi i dziewczęta śmieli się z opowiadania naocznych świadków, jaki posłuch był w domu rzekomej panny młodej. A jeżeli naprawdę przyjeżdżali swaty, to zachodzili do domu ze słowami pana swata: czy można zejść do Bożego domu, zazwyczaj ojciec, gospodarz domu zapraszał i po przywitaniu się "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - na wieki wieków Amen"... swat podchodził do stołu, wyjmował z kieszeni czystą, wyprasowaną chusteczkę do nosa, zaściekał na stół mówiąc: "ja jestem swat przysłany, żeby był stół zasłany", stawiał butelkę wódki na tę chusteczkę. Gospodyni domu piekła słoninę, kiełbasę, jajęcznicę, ojciec krajał chleb z wielkiego bochna i nakładał po kilka kawałków na stole przed każdym, gdzie miał siedzieć gość... Latem krajano na kólecze ogórki do talerza i polewano śmietaną, a w zimie stawiano na stół kwaszoną kapustę. Zazwyczaj wódkę pito jednym czy dwoma małymi kieliszkami. Gdy wypito jedną butelkę, to swat zapytywał u gospodarza, czy stawić więcej, bo jeżeli rodzice nie chcieli oddać córkę za tego "młodego", musiał natychmiast zwrócić koszt wypitej wódki. Na "swatach" zazwyczaj proszono tylko bliskich z rodzeństwa. Wypiwano 2-3

29

butelki wódki 0,5 l. Byli już podpici, w dobrym humoerze. Trochę pamiętam, na chrzcinach moich dwóch sióstr kumów i jeszcze we czterech bliskich krewnych wypito 3 butelki wódki 0,5 l. W ogóle ja w dzieciństwie nie widziałem pijąc wódkę i pijanych. Zaczęto popiwać już przy Spvietach i dalej jeszcze więcej w okresie niemieckiej okupacji. Ludzie wiejscy bez wódki byli weseli i dowcipni nie mając żadnego wykształcenia. Z dzieciństwa uczono czytać w domu na elementarzu, nie takim, jaki później był w szkole. Była to niewielka książeczka, na której był alfabet wielkich i małych liter, dawali w rękę dziecku gęsine pióro, albo kurzyne ze skrzydła, którym dziecko wodziło im i czytało litery, później uczono czytać słowa podzielone na sylaby, a trochę dalej w elementarzu były króciutkie opowiadania. Uczono, by mógł czytać książeczkę do nabożeństwa w kościele. Smiano się, że jedna kobieta czy dziewczyna zauważono, że "czyta" trzymając książeczkę "do góry nogami", a gdy jej zwrócono uwagę, ona na to "a cholera ich, dzieci w domu przekręciły"... Większość dosyć dobrze umieli czytać, a pisać ni-ni, bo ich nie uczono, nie było takiej potrzeby. Ludzie byli między sobą życzliwi, lubili humor, żartowali, opowiadali rozmaite historyjki, wesoło przeprowadzano długie jesienne i zimowe wieczory. Opowiadano, jak do jednej panny przyjechali swaty, a pannę na wydaniu była trochę kuszłowata /nie dowidziała/, więc jej matka domówiła się z córką, że ona na środku chaty położy igłę, a jej córka siedząc za stołem z panem "młodym" powoła matkę, żeby podjęła z podłogi igłę. Tak było i zrobiono, matka podjęła igłę z podłogi mówiąc: "ale z daleka tak i zauważyła, a to by dzieci chodząc bose mogli któryś z nich pokaleczyć nogę". - Tak była rozwiana pogłoska przed panem młodym o defekcie wzroku panny młodej.

Opowiadano, jak inwalida z urodzenia Trocki Józef bardzo lękał się wilków. Jak już wspomniałem, wiosną, w czasie wiosennego siewu zbóż jarych jeżdżono na nocleg, by napaść koni. Wspomniany Trocki Józef zawsze jeździł razem z sąsiadem Babul Cyprianem. Ten ostatni położył się i chrapie we śnie, a Józef nie śpi, rozgląda się dookoła, czy nie widać wilków, bo wilka w najciemniejszej nocy można zauważyć, jak mówiono, po palących się jak węgielki, oczach, że wilka czy błyszczą jak ogień, ale wilk lęka się ognia. Więc Józef siedział i podkładał do ognia rozpalonego ogniska rozmaite przygotowane gałęzie. Rozglądał się i śpiewał przez siebie "Bóg się z panny narodził"... i nigdy nie zasnął przez całą noc ani na "jotę", lękając się często budził sąsiada Cypru, Cypriu, czy ty śpisz?... a ten czasami wstanie popatrzy i powie "widzisz on... tam dalej stoją trzech wilków, podkładaj do ognia i dobrze patrzaj, jeżeli co takiego to będziemy uciekać"... a ten prosi się, żeby nie zostawiał jego na pożarcie wilkom...

We wsi jeszcze mieszkał Trocki Jerzy. Pamiętam, chodził po wsi w chałacie podpasanym paskiem z tej samej tkaniny co i chałat, zatem nazywano "Antonim Padewskim". Był wszystkimi poważany, leczył ludzi, 25 lat przesłużył w wojsku carskim felczerem. Powrócił do domu w czasie rewolucji. Był mądrym człowiekiem. Koło domu, gdzie mieszkał zawsze nie brakowało furmanek z chorymi. Na pierwsze wezwanie nigdy nie odmówił nikomu i zawsze szedł z pomocą. Jego brat Trocki Piotr służył w carskim wojsku. W czasie rosyjsko-niemieckiej wojny w latach 1914, 15, 16 był na froncie, został ciężko ranny. Po odejściu Niemców kajzerowskich został zwolniony do domu. Po powrocie - opowiadał - były wypadki sprawdzenia dokumentów, gdy przeczytano "Trocki", sprawdzający zastanawiał się

i przypatrywał się, czy nie ten Trocki komisarz wojskowy Rewolucyjnego Rządu Sowieckiego. Z "czerwonymi" jeszcze było nic, ale jeżeli sprawdzali "białe", już trzeba było tłumaczyć - skąd, co i jak... chociaż nos jego zdradzał, za to rostem był o wiele większy. Mieszkali oni razem z ^{ojca} bratem Jerzym - felczerem. Dobrą opinię miała ta rodzina. Nigdy nikomu nie sprzyjali zła - tylko dobro, byli pracowici i uczciwi. Czytali i prenumerowali gazety. Na wsi każdy miał jakieś przezwisko. Nie ominął tego i Piotr... półgłosem nazywano go "Kieksza".

Nie sposób nie wspomnieć, ominąć o sąsiedzie Kaszkiewicz Władysławie. Pamiętam jego jako starszego człowieka. Opowiadał: - "będąc na froncie w Port-Arturze zawsze modliłem się i nie brałem nieprzyjaciela na "muszkę" - strzelałem gdzieś wyżej, żeby w nikogo nie trafić i chyba dlatego, może być, ocalałem, nawet nie zostałem ranny i szczęśliwie powróciłem do domu". Był to człowiek szczery, pracowity, uczciwy. Po drugiej wojnie światowej wraz z żoną, córką i dwoma synami wyjeżdża do Polski. Bardzo nie chciał wyjeżdżać, jednak musiał ulec prośbie synów. Daleko synowie nie były podobne do ojca, nie poszli w ślady ojca, zboczyli w stronę... Starszy z nich Stanisław w 50-tych latach przyjechał w swe rodzinne strony, ale coś z parę dni musiał wyjechać. Człowiek ma takie zalety - zapamiętywać na długo, dobro i zło. Pamiętali wyrządzoną krzywdę przez Kaszkiewiczów-braci. Nie zapomnieli... A może nie dziwnego, dla urozmaicenia z rzadka ktoś tymczasowo, nie na zawsze, na krótko, zejdzie z prostej drogi... W takim wypadku nie wolno mścić, "odpuść jego winę jako my odpuskamy naszym winowajcom...".

Tymczasem z powodzeniem przechodzi paszportyzacja. Ludzie z przygranicznych wsi przychodzą do "sielsowietu" /gminy/, który zakwaterował się w domu sąsiada, wspomnianego już legionisty Żalis Andrzeja. Ojciec tam pracuje, zapełnia z metryk blankiety. U nas w domu zamieszkał na czas paszportyzacji jakiś w wieku lat 35 Rosjanin. Jak ojciec tak i on wracali do domu już o zmierzchu. Często ojciec powracał do domu wcześniej, by opatrzyć żywiec. Nasz kwaterant nigdy nic nie mówił. Na dziwo patrzył z podejrzliwością, jeżeli kiedy coś u niego zapytano... - zawsze, burknął mało zrozumiałe i siedział po cichu opuściwszy głowę. Jednego razu przemówił zwykłym człowieczym głosem: "choziajka, co to za mięso, że nigdy nie jadłem" - Mamusia wytłumaczyła, że to są żeberka świniny - "oczeń wkusno" - odparł. Mamusia i my wszyscy nie wiedzieliśmy, jakie on ma imię czy nazwisko. Nazywaliśmy jego "towarysz" - wiedząc, że oni tak lubią i nie daj Boże "na Pana". Pewnego dnia, w mroźny zimowy dzień bez śniegu zobaczyłem, że on wraca do domu. Zabiegłem do domu i mówię, że nasz "towarysz" już idzie, na prosto przez pole, już blisko naszego sadu. Czekamy w domu - mama już naląka kapuśniaka do miski, położyła kawałek mięsa, przyniosła bochen chleba, a jego jak nie ma, tak nie ma. Po pewnym czasie zachodzi. Mama prosi, by prędzej jadł, bo kapuśniak odstygnie. A on jakoś wykrztusił słowa: "choziajka, poczem u was gorocho gorkij?" Chodzi po kuchni i sobie pod nos popluwa. "A gdzie wy jedli gorocho?" - zapytała mama. "Tam pod stienoj" - odpowiedział pokazując ręką. Mama zamyslała się. "jaki tam może być grocho pod ścianą" - powiedziała w półgłosie. - "Toż chyba on łubin, co leży pod ścianą nażark się", ze śmiechem zgadła będąca u nas w ten czas sąsiadka Jankowska Michelina. Nic nie mówiąc, od razu mama zaszła do pokoju i powiedziała: "tego kuszat nie można, to

łubin, jego i korowy i żywioła nie jedzą". "Towaryszcz" położył łyżkę, wstał z za stołu i prędko przez odkryte drzwi pokoju wichrem wyskoczył na podwórko. Patrzymy, stoi nachyliwszy się i pluje, a jego samego zaczęło drgać... odszedł trochę dalej od domu i "pojechał do Rygi". - Tak u nas śmiano się, gdy człowiek z jakiejś tam przyczyny zaczyna wymiotować.

- On otruł się tym sinim gorzkim łubinem - powiedziała sąsiadka... A mama podjęła do góry ręce "o Boże, o Matko Najświętsza, co teraz będzie, Syberia, dla nas powiedzą, że specjalnie trzymali nie wymłóciwszy gorzki łubin, by otruł się człowiek, to jakaś kara Boska" i zaczęła chodzić po kuchni mówiąc - "co teraz robić?" - "Uspokój się kobieta, czort jego nie weźmie, nie zdechnie... o, już idzie zbladszy do mieszkania i dziesiątemu powie, że łubin gorzki, żarć nie można". Zachodzi, widząc mamę zakłopotaną, powiedział: "choziajka, uże niczego, niebezpiekojtieś". Mama podniosła mu lekarstwa i spytała; trzymając butelkę z roznieconą w wodzie kamforą, pakiecik sody pitnej i mały flakonik z rycyną, parę pakiecików proszków od bólu głowy "kogucik", "może coś z lekarstwa?" - spytała. "Towaryszcz" popatrzał na te proponowane leki, palcem pokazując spytał: "co to?"... a co to?... mama jemu tłumaczyła, co od czego. Kamforę, proszki od bólu głowy nie wziął, flakonik z rycyną palcem odepchnął, mówiąc: "to nie nado", wziął do ręki sodę stołową, poprosił o łyżkę, szklankę wody i jakiegoś kwasu. Mama nalaza z dzbanka chlebnego kwasu, którego używała dla gotowania bureczków, podała szklankę wody i życzyła jemu zdrowia. "Towaryszcz" odlał do połowy w szklance wodę, wlał łyżkę kwasu, potem wsypał wzięwszy na koniec łyżki sodę i zaczął mieszać... gdy w szklance podniosła się biała piana, wypił wszystką zawartość szklanki i poszedł do pokoju.

- "Trzeba było jeszcze wlać czym więcej rycyny i dać niech wypije, niech pobiega na podwórz" - nie wytrzymując ze śmiechu powiedziała sąsiadka. Nie mogłem i ja wytrzymać ze śmiechu. Mama śmiejąc się przyłożyła do nosa palec tsss.. żeby on nie słyszał. Późnym wieczorem mama przymknęła drzwi pokoju... "towariszcz" chrapał jakby nic nie było, a miska z kapuśniakiem była pusta, tylko leżał w niej obsmoktany kawałek kości. Tym wieczorem mama dobrze odczytała ojca, że w porę nie sporządkował łubinu, bo mogła być wielka bieda. Ojciec jej tłumaczył: że ten łubin nie jest trujący, tylko on gorzki i dlatego dla żywioły on nie smakuje, a glebę wzbogaca przez korzenie w azot, a zielona masa, zaorana, daje dużo mineralnych substancji potrzebnych dla ozimego żyta - jak ściana rośnie żyto, a na tym miejscu po życie w następnym roku rodzi owies w słomę i w ziarno.

W naszych miejscowościach o słodkim łubinie mało było słychać, tylko o nim pisano w miesięczniku "Plon". Natomiast siano żółty i sini łubin. Żółty łubin rósł nisko, bardzo ładnie kwitł, ale mało dawał zielonej masy. Kwiat siniego łubinu nie przyciągał oczu, ale dawał dużo zielonej masy. Jeszcze w XVI wieku w Wielkim Księstwie Litewskim, na wzór polsko-niemiecki było wprowadzono po trzy poletka. Na pierwszym siano zboże ozime, na drugim - zboże jare, a trzeci "odpoczywał" dla posiewu ozimych. Otóż na tym trzecim nie siano. Tylko o wiele później był sprowadzony z zagranicy łubin sini, a potem żółty. To było pod koniec XIX wieku. Na naszych terenach łubin zaczęto siać z początku 1930 r., a w naszej wsi tylko po wyjściu na kolonie, przypuszczalnie mniej więcej od 1936 roku. Część łubinu siano wcześniej - na nasiona, a reszta później, by nie dojrzał, a był

tylko co po przekwitnięciu i posiadał przy zaoraniu jak najwięcej zielonej masy. O słodkim, pastewnym łubinie u nas nie było słychać. Posiany łubin na nasiona, gdy dojrzeje, łamano go na ranku, gdy jego strączki nie były zbyt suche i wiązano słomą w snopki. Nie żęto go a łamano, dlatego że miał kruchą łodygę. Jak jego łamano wczesnym rankiem, albo pod wieczór, tak i zwożono do zagrody, bo gdy był suchym, przeschniętym, pękały strąki i wysiewały się nasiona. Pod strzechą gumna albo obory robione taką niby półkę z żerdzi lub z desek, w pół ściany, na którą stawiano snopki. Młócono, gdy był "suchy mróz" i sypano do skrzyni i leżał aż do posiewu. Myszy też nie interesowali się im. Szczurów w owe czasy ja nigdy nie widziałem. Na tym ot miejscu pod oborą, nasz "toweriszcz" i znalazł ten "groch".

Rok 1946-ty zapamiętał się wszystkim. Nastąpiły trzeszczące mrozy. Temperatura dochodziła do 40°. Wymarzły sady. Trzeszczały ściany domów. Nie pomagało liczenie 12-tu łysych, bo jak wiadomo, jeżeli naliczy się, wymieni się po nazwisku 12 mężczyzn łysych - "pękał" mróz. Dawał się we znaki brak soli. Widziałem sam, jakie były kolejki po sól, przy jednym jedynym sklepie zbudowanym kilka lat przed wojną spółdzielnią "Społem", przy boku placu rynkowego w miasteczku Raduń. W kolejce po sól mogli stać tylko silni mężczyźni. Tego tłoku nie mogłaby wytrzymać żadna kobieta. Widziałem, jak jednego razu podjęto do góry mężczyznę, a ten po głowach stojących ludzi w kolejce popełził do środka sklepu przez wybitą szybę w oknie nad drzwiami. A tam ze środka sklepu ktoś jemu deską po głowie jak wmaczał, ten po głowach zawrócił z powrotem i "wylądował" na miejscu startu. Od kogoś tam jeszcze po boku dostał i poszedł sobie poskrobując

czub na głowie. Może człowieku na gwałt potrzebna była sól dla konserwacji zakłótego kabana i dostał, tylko zamiast soli, po boku i po czubie. Inni brali ze sobą siemie lniane, len, czy jeszcze coś z produktu rolnego i przez zamarznięte mokre łąki i krzaki, po śniegu do pasa chodzili po sól przez granicę do Ejszyszek. I przynosili. Oj słodka była ta słona sól. Mówiono, że "nie takie Sroli jedli bez soli". Jedli wówczas prawie bez soli wszyscy, nie tylko te przysłowiowe "Sroli"; kto miał jeszcze w zapasie starego solonego mięsa czy słoniny, kładli do garnka po kawałku czy kawałeczku jak u kogo wychodziło, ale technologii robienia kiełbas i przechowywać słoninę i mięso bez soli nikt nie znał, takiego cudownego wynalazku jeszcze nie było. Niektórzy świeże mięso i słoninę tróchę posoloną kładli do beczółki, hermetycznie ją zakrywano i wpuskano do studni... Mówią, że dobrze wychodziło. O lodówkach domowych nikt jeszcze i nie śnił. Dużo komu udawało się wrócić z za granicy szczęśliwie... których złowiono na granicy, dostawiano ich do Radunia, do "sztabu" granicznej jednostki wojskowej, która była rozlokowana w żydowskiej szkole rabinów, w synagodze i w jeszcze kilku domach. Cała ta terytoria była obnieszona wysokim szczelnym płotem z desek, po wierzchu kolczastym drutem obciążnięta. Była sporządzona brama z okrągłych pni i desek, przy której całą dobę stali na warcie żołnierze. Przywożonych tutaj "naruszyteli" badano,, sporządzano protokoły; na pierwszy raz odbierano wszystko co kto miał i uprzedzano, że w wypadku drugiego razu będą karani więzieniem i kazano iść do domu. O ile, ja wiem, dużo komu pro~~w~~adziło się nieźle, bez wpadki chodzili po kilka razy. Było i takich, co dobrze zarabiali przeprowadzając przez granicę Żydów i ludzi innej narodowości po kilka

razy. Byli to ludzie pochodzący z ^oPółki okupowanej przez Niemców. Ale nie każdemu "fortuna kołem się toczyła". Pewnego razu moje ziomki Nosowicz Jan i Lewon Józef jak wyszli i po dzisiejszy dzień nie wrócili. Rodzina Lewon Józefa, jako on był kawalerem, nie ucierpiała, natomiast rodzina Nosowicza Jana w kwietniu 1940 r. została wywieziona na Syberię. Po wojnie wyjechała do Polski, gdzie i po dzisiejszy dzień mieszka. Mówili, że przez granicę oni nieśli jakieś bardzo ważne papiery, które znaleźli przy rewizji osobistej. Jak mówiono "komu wojna, a komu krowa dojna".

Tymczasem zakończyła się paszportyzacja. Ojciec już był zawsze w domu. Pewnego razu wróciłem ze szkoły i odrabiam lekcje. Ojciec siedział obok i przyglądał się, czasami zwracał uwagę na błędy. W ten wieczór powiedział dla mnie, żebym jutro nie szedł do szkoły. Na moje pytanie dlaczego? - ojciec surowo odpowiedział: "nie twoja rzecz, powiedziałem i basta". - Chociaż zapytałem "dlaczego", ale byłem z tego zadowolony, nawet cieszyliśmy się, kiedy nie było jakiejś lekcji, a to cały dzień... oho! Na pojutrze też powiedział nie iść, na trzeci dzień jakiś zdenerwowany skądś wrócił i powiedział: "jutro żebym był w szkole". Poszedłem. Wszyscy byli na miejscu jakby nic nie było. Tylko po kilku latach ojciec mi wytłumaczył, że to była "zabastowka", żądaliśmy od władz, żeby był wykładany język polski, a jeżeli już w żaden sposób nie można, to żeby był wykładany rosyjski, tylko nie białoruski..." - nas zebrano i zagrożono - tłumaczył ojciec, - że jeżeli jutro nie będą dzieci w szkole, to was razem z dziećmi zawieziemy do białych niedźwiedzi". Nie było więcej co robić, tylko zgodzić się z reżymowym dyktatem. - Nikt nas o nic nie pytał, tylko jeden z rejonowych naczelników wygłosił krótki

referacik, jak to władza sowiecka sprawiła się z Kołczakiem, Judeniczem, Denikinem, odniosła zwycięstwo na Chałkin-Gole, z interwencją "Eŭtenty", ze swymi wrogami "białymi", zgruchotali opór Białopolaków, sprawią się i teraz z pozostałymi jeszcze wrogami, którym nie podoba się władza sowiecka.

W szkole zaczęliśmy otrzymywać listy od dzieci z tej samej klasy jak my, z m. Witiębska. Treść listów była bardzo przyjazna, wyrażali żal, że my przez długie lata byliśmy przez panów uciemiężeni, byliśmy niewolnikami. Cieszyli się za nas, że i u nas wzeszło słońce swobody, że i my już jesteśmy ogrzani stalinowską troską za nasze lepsze szczęśliwe jutro. Zapytywano, jaka jeszcze potrzeba pomoc /oprócz starych, zużytych podręczników/. Jakoś mnie rozżaliły te gorące słowa moich rówieśników i postanowiłem napisać do nich list. Napisałem. Na początku podziękowałem za wysłane książki. Że pomocy żadnej nie potrzebujemy, że w domu mamy dwoje koni, około 20 owiec, 5 krów, kury, gęsi i mam ulubionego psa Drzeka. To samo mają i wszyscy wiejscy moi koledzy, może kto więcej, a kto mniej. Gospodarki nie mają tylko moi koledzy narodowości żydowskiej. Oni są dobrzy koledzy i z nami Polakami kolegują się i przyjaźnią się. W naszej klasie tylko jedna dziewczynka ryża Żydóweczka Szerlin Gita pochodzi ze wsi gdzieś koło Naczy. Wzysztko mamy w dostatku, tylko u mnie szkolny mundurek już za ciasny, ale nie ma gdzie kupić, bo sklepy są puste. Napiszcie, jaka u was szkolna uniforma? My nosimy taką, jak widzicie na załączonym zdjęciu. /na zdjęciu załączonym do listu byłem w granatowym mundurku, zapinanym do szyi błyszczącymi guzikami, z białym przyszywanym kołnierzem, w kamaszach, w kloszowych spodniach/. W domu są kłopoty z solą, nie możemy kłóć kabanów i robić kiełbasy.

Nie pamiętam, co tam jeszcze napisałem i wysłałem. Kopertę, którą kupiłem na poczcie, można powiedzieć, że złożona z papieru w kopertę i czymś troszeczek pomazane - tylko nie klejem, bo jego "szwy" ani jak nie trzymały. Jakośkolwiek włożyłem list, śliną "pomazałem", przycisnąłem dobrze i wrzuciłem do skrzynki pocztowej. Chyba za jakich parę tygodni zachodzę na pocztę i dla mnie wręczają list - ten samy, mój, rozstrzepany zupełnie, zdziwiłem się, dlaczego?.. czytam: "wozwraszczajetsia tak, kak nie ukazan dla kakoho kłasa". Zobaczyłem, że do tej samej szkoły dotarł, nie pamiętam, jaki był numer tej szkoły, ale ani jak nie mogłem zrozumieć: że list będąc w tej samej szkole, do której i był pisany, zwrócono otwartym, rozstrzepanym... Tę zagadkę, oraz dlaczego ten "paszportysta", robotnik NKWD mieszkając u nas, zawsze patrzył krzywo, z podełba - zrozumiałem o wiele-wiele później. Jesienią 1939 r. była zadośćuczyniona moja prośba i spełnione marzenie: w Lidzie, na rynku, kupiono dla mnie rower. Trochę używany, ale ładny, takiego koloru ja jeszcze nie widziałem; marka "Kryss", rozmiar kół 26x2, opony "Dunlop", obody nikielowane, błotniki szerokie w trzech kolorach - jednym słowem "cacko" nie rower. Nie pamiętam ile rubli zapłacili dla kolejarza. Z niecierpliwością czekałem wiosny, bo już nastąpiły mrozy, wypadł śnieg i sezon "rowerowy" już był zakończony.

Z przyjściem władzy radzieckiej gminne miasteczko Raduń zostało miastem rejonowym. Ze wschodu zaczęli się zjeżdżać urzędnicy. Na początku zimy, czy trochę później - dobrze nie pamiętam, "zginęli" gdzieś polscy nauczyciele /oni nas uczyli od początku roku szkolnego/. Nie wiem, dokąd oni wyjechali. - A może do miejscowości Kuropaty?... Wywnioskowałem to dlate-

go, że jak pisano w prasie, przy izhumacji zamordowanych tysięcy ludzi były znalezione kalosze marki Łotewskiej. "Rygawar". Ponieważ Łotwa z Rosją nie miała kontaktów handlowych, ten kto ich nosił mógł być tylko z kresów wschodnich Polski. Ja sam w zimie nosiłem na wojsłakach kalosze tej marki. Były to kalosze bardzo dobrego gatunku, a kalosze innej marki /firmy/ nie cieszyły się popytem. Chociaż były o wiele tańsze, dlatego że po krótkim ich noszeniu odklejała się podszwa. Codziennie znajomiliśmy się z "nowymi" uczniami, dziećmi przyjechawszych ze wschodu z rodzicami urzędnikami. Wkrótce zaprzyjaźniliśmy się z nimi. Byli oni koleżeńscy, bez fanaberii i życzliwi. Przyjechali i nauczyciele. Dyrektorem stał, nazwiska nie pamiętam - Aleksander Iwanowicz. Wykładał dla nas historię. Na lekcje przychodził i chodził po mieście w białych gumowych baskietkach. Inne nasze przełożone nauczycielki były bardzo skromno ubrane; bluzki czy sukienki były uszyte bardzo "prosto" z jakiegoś tam cienkiego materiału z bawełny. Tak samo chodziły ubrane i żony urzędników. Bardzo nas dziwiło ubieranie się jako nauczycieli mężczyzn, tak i urzędników, a nawet uczniów przyjechawszych ze wschodu, gdy oni nakładali bluzy i nosili ich po wierzchu spodni, podpasane w biodrach jakimś paskiem z materiału albo rzemiennym czy brezentowym szerokim pasem. Niektóre nosili bluzy koloru "chaki", z naszywanymi po wierzchu bluzy, na piersiach, kieszeniami i też podpasane w biodrach pasem. Ubierali się jakoś dziwnie i skromnie, ale przez jakiś czas zmieniali swoje toalety i mało różnili się od miejscowych. Początkowo widząc ich skromność, a może być zacofanie, jakoś było ich szkoda. Pewny Rosjanin wyjął z kieszeni tabak, zwykłą gazetę, oderwał kawałek gazety, skręcił papie-

61

rosa i przypalił zapalnikami. Stojący obok mężczyzna, widząc że z gazety będzie robił papierosa, zaproponował mu cienkiej bibułki "Poniatówka", a ten nie wziął od niego i powiedział - "tonkiej bumażki nie nado, u nas chwatajet dzieńek na tołstuju" - odpowiedział. Było jakoś dziwnie, że tacy "bogaci" kręcą papierosa z gazety nasiąkniętej farbą z domieszką ołowiu. Oprócz tego tytoniu, takiego jak u nas palono, "wiarus" - "kto zapali, ten pochwali" - pisano było na paczce i specjalnej bibułki nie było widać. Były marki tytoniu siekanego z tytoniowych badyli, a nie z liści tytoniowych. Niemcy później nazwą "holztabak". Widziałem w sklepie i palących gotowe papierosy: "Biełomor-kanak" i inne. Bardzo oni nie lubili czysto, schludnie i pięknie ubranych. Tych ludzi "panami" nazywali - "burżujami" i jeszcze nie pamiętam jakimi. Natomiast lubili oberwanych, brudnych i hultaj. Opowiadano, że mieszkali na wsi dwoje braci. Ojciec podzielił całą gospodarkę po połowie, wybudował oddzielnie dla drugiego syna dom i żyli oni każdy sobie. Jeden z nich był niechlujny i hultaj co nie miara. Chodził zawsze brudny i oberwany, a w jego mieszkaniu przez sufit i dach zaglądały promienie słońca. W jego brata był ład i porządek, w domu było czysto i pięknie, dziedziniec był ślicznie ogrodzony, po którym "spacerowały" stadko kur, gęsi i świń. Oni właśnie tego brata sowieci i nie lubili - nazywali go "kułak". A tego pierwszego oberwańca i hultaja - "wot eto nasz sowietskij czełowiek" - mówili. - Taka była stalinowska logika i filozofia. - Wszystko do góry nogami.

Pewnego urzędnika wielodzietna żona w Raduniu do Herasimowiczów codziennie przychodziła po mleko, a za nią ciągnęła się gromadka, siedmioro dzieci. Nie wiem, ile ona brała co-

dziennie mleka, ale słyszałem jak pani Herasimowiczowa proponowała brać więcej - bo co to znaczy taka ilość na taką gromadę dzieci, i zawsze nalewała więcej czym prosiła, tak od siebie. Nieraz chwilę-drugą posiedziała u pani Herasimowiczowej, ale gdy zaczynała się rozmowa o życiu, ta kobieta z dziećmi, o ile pamiętam nazwisko Rondowcowa, od razu wychodziła ze łzami w oczach. Jednego razu ona powiedziała: "ja wszystko widzę i rozumiem, i nie daj wam hospodi takiego życia, jak nam" - uprzedziła, żeby tylko o tym nikomu nie mówiła. - "Nam nie razreszajetsia wstupać s wami w razgowory, na szcoto etoho oczeń stroho". Wszystko jedno wiedziano o ich "rajskim życiu", o represjach zwykłych "prostych" ludzi i wykształconych, o konclagrach tylko mało wiedziano, zupełnie mało o popełnionych zbrodniach i w jakimś stopniu nie wówczas nie wiedziano.

Niekiedy, nie pamiętam, raz czy dwa w tygodniu przychodziła do klasy jakaś czarnowłosa z ciemnymi oczami kobieta. Zimą była ubrana w jakąś kurtkę po wierzchu białą sierścią, w męskiej zimowej czapce. Całą godzinę opowiadała o szczęśliwym dzieciństwie w Związku Radzieckim. Że o nich bardzo troszczy się wódz i ojciec, towarzyszc Stalin i pod jego wodztwem partia komunistyczna. A Moskwa taka śliczna, taka piękna, że jeżeli ktoś przyjedzie - nie chce wyjechać... Tam jest taki plac, na którym z trybuny mauzoleum można usłyszeć głos naszego kochanego Stalina, nawet można go zobaczyć. Pokazywała zdjęcia, jak kąpią się w morzu szczęśliwe sowieckie dzieci. Ktoś zapytał: "czy Moskwa jest ładniejsza od Warszawy czy Wilna?" "Warszawa i Wilno nie jest do porównania z Moskwą, jeździe i przekonacie się" - odpowiedziała. Ależ tak rozchwaliła Moskwę, że naprawdę chciało się jechać zobaczyć.

Nie wyobrażano sobie, jakie jest tam piękno, jeżeli ładniejsza od Wilna, bo w Wilnie chyba był każdy z nas, a w Warszawie wątpię, czy ktoś był. Jednego razu do mnie powiedział Żydek, który siedział obok w szkole - "buja ona, bzdury plecie, że Moskwa jest najładniejszą... chyba ona nie była w Warszawie czy w Wilnie. Ja byłem tam i tam, urodziłem się w Warszawie i wiem, że jest piękną, a może być i najpiękniejszą na świecie". - Ten Żydek za polskich czasów nie chodził razem ze mną do szkoły i ja go w Raduniu nie widziałem. Widocznie w czasie wojny niemiecko-polskiej wyjechał z rodzicami z Warszawy. Ojciec jego był Rabinem. Nazwisko miał Bom^{-Szelester}Wolf, a dlaczego to później jego nazwisko zmieniono na Kindler ~~Szelester~~^{Wolf}. O dalszym jego losie po wydarzeniach 22 czerwca 1941 roku, o jego losie nic nie wiem. Była to rodzina inteligentna. Gdy ja zachodziłem do nich razem z Wolfem, zawsze zaczęto rozmawiać po polsku, nawet między sobą.

Nie drzemała propaganda i na wsi. Często zbierano lud wiejski na takie "schody", zebrania. Na tych zebraniach wychwalano władzę sowiecką, jaka ona jest dobra, ludowa, bez panów i kapitalistów, że wśród chłopów, wśród prostego ludu są tacy, którzy mogą i potrafią kierować państwem. Każdy ma prawo wybierać swoich deputatów, swoich przedstawicieli w rządzie i, naturalnie, sami, każdy z nich mogą być wybrani na deputowanych do Rządu Radzieckiego. Opowiadano o tym, jak władza ludowa wzięła w swoje ręce kierownictwo zwyciężając caryzm, burżujów i kapitalistów: Dienikina, Wrangela, Judenicza i innych, odbierając od nich władzę. Rozgromiono najeźdźców pod Chałkin-Gole. Zwyciężono wojnę z Finami. Że buduje się lepsze jutro. Że władza sowiecka najdemokratyczniejsza w świecie. Zadawano i pytania dla lektorów. Pytano,

dla czego sklepy są puste, dla czego we wsi, tutaj, na miejscu, nie dla wszystkich, a dla niektórych sprzedaje się tkaniny, na bluzę żeńską tylko po spisku i po 2 m?... Dla czego tutaj, w naszym sklepie, tak również i w raduńskich sklepach nic nie ma, tylko likiory i wódka? Politrak tłumaczyła, że to wszystko tymczasowo, że za jakiś czas wszystko będzie, czego tylko człowiek potrzebuje, będzie wszystkiego zawałone.

Jednego razu na takim zebraniu po szkalowaniu władz carskich, jako więzienia dla ludu i pozbawienia ich praw, jako władzę bogaczy i uciemiężycieli - poprosił słowa chłop ze wsi Straczuny Walukiewicz Bolesław. On zaczął opowiadać: że sam na swoje własne oczy widział, gdy służył w carskim wojsku, przy wchodzie do jakiegoś tam parku na bramie było napisane: "Zapreszczajetsia niżnim czynam chodit i sobak woditi". - "Ot widzicie, jakie nierównoprawie było przy caryzmie?" - podchwycił politruk. - Walukiewicz nie tylko sam nie mógł chodzić, ale nawet i ze swoim sobakiem, a teraz chodzi gdzie chce tylko - ktoś powiedział na sali... Sala wybuchła śmiechem, politruk widocznie nie zorientował się z czego się śmieją, stał jak wkopany, zerkając oczyma po sali. Później zaczął się szmer półgłosem rozmów na sali, a słowa wziął przewodniczący sielsowieta i przypomniał, że nie każdy jeszcze rozliczył się z państwem po wywózce drewna na kolejową stację Bastuny. Uprzedził, żeby w najkrótszym czasie było wykonane. Ludzie rozchodzili się do domu ze śmiechem i w niezłym humorze.

Tymczasem życie na wsi szło swoim najeżdżonym torem. Tak samo zbierano się do sąsiadów "na kaczany", na szatkowanie kapusty. Panny zbierały się z kądzielami na wieczorki jesienne i zimowe. Jakichś ostrych zmian trybu codziennego

życia nie było. Niezauważalnie nadeszła wiosna. Nagle, jak grzmot z jasnego nieba, dowiedziano się, że o świcie jeszcze gdy ludzie spali, zabrano dwie rodziny, Nosewicza Jana i Kaszkiewicza Juliana. Na Syberię wywieziono - mówili. Rannem zebrali się ludzie; od razu patrzyli z oddala, a potem przybliżyli się do samego domu Kaszkiewicza. Zabierano wszystko, co było w domu, obórze i gumnie. Wszystko, do gołych ścian, zabierano i ładowano do wozów przez kilka godzin. Z mieniem Nosewicza sprawili się prędkiej, bo mało czego było zabierać "do gołych ścian". Tym działaniem Sowietów wszystkim zranili duszę. Starsi ludzie przechodząc koło tych zabudowań żegnali się i modlili się - by Bóg ulżył mękę wywiezionych męczenników, i nie dopuścił złoczyńców do wyrządzania męk i krzywd ludzkich. Sam gospodarz wywiezionej rodziny Nosewiczów - Nosewicz Jan nie wiadomo za co był w więzieniu. Wywieziono jego żonę Kazimierę i troje dzieci. Jedno z nich, sama młodsza od urodzenia była głuchoniema. Z rodziny Kaszkiewiczów sam gospodarz Julian Kaszkiewicz nie powrócił z wojny obronnej, został zabrany do niewoli niemieckiej. Wywieziona została jego żona Kaszkiewicz Anna z dwojga dziećmi. Wywiezione zostali do dalekiego Kazachstanu. Po wojnie rodzina Nosewiczów wyjechała do Polski, a rodzina Kaszkiewicza powróciła do swej rodzinnej wsi, ale nie znaleźli w domu męża i ojca Kaszkiewicza Juliana. Wrócił on z niewoli w czasie niemieckiej okupacji. Został dowódcą placówki Armii Krajowej. Aresztowany został w zimie 1945 roku. Po odbyciu terminu w lagrach, do domu nie wrócił, pozostał na Syberii, taką wyraził chęć. Ożenił się i pozostał na zawsze.

Ta wywózka na Syberię dała jeszcze więcej do zrozumie-

nia, jaką mamy władzę, jej wrogość, bezczelność, sadyzm, bezduszność, niewolę dla Boga duszę niewinnych ludzi. Nawet dzieci wywożono i traktowano jako niewolników. Ta władza "ludowa" w pełni pokazała swoje oblicze. - To jeszcze nic, to są początki raju sowieckiego - opowiadali niektórzy Rosjanie - zobaczycie jeszcze, co będzie dalej. - Że wkrótce od ludzi, wszystko pozabierają: ziemię, żywy inwentarz, pozostawiają tylko jedną krowę na rodzinę i ogród dla cebuli i sadzenia trochę kartofli. Tego ludzie nie wierzyli, mówili, że tego być nie może, bo z czego będziemy żyć, jeżeli na parę hektarów człowiek odczuwał niedostatki. Wieśniacy nie wyobrażali sobie i nie bardzo wierzyli. A pogłoski o wywózce na Syberię były rozmaite. Jedni mówili, że wszystkich wywiozą tych, którzy służyli w wojsku burżuaznej Polski - z rodzinami!... drudzy mówili wywiozą tych, te rodziny, które posiadają więcej czym dwie krowy, mówiono jeszcze, że tych co mają więcej czym pięć ha ziemi... a przewodniczący sielsowjeta twierdził, że żadnej wywózki więcej nie będzie. Nie wierzyli mu, bo on był swój, z naszej wsi - Zdenowicz Bolesław. Natomiast przyglądano się mu na ręce, czy nie ma jakichś znaków, bo sowieci "swoich" ludzi partyjnych na rękach robili jakieś znaki, jakieś litery i cyfry, które w żaden sposób nie można zmyć. Nawet jednego razu, gdy on kosił bez koszuli, jedna kobieta obeszła go dookoła, znienacka przyglądając się, czy nie ma jakichś znaków, specjalnie oznaczonych na ciele. Później ona twierdziła, że do samego pasa żadnych znaków nie posiada, bo patrzyła sama własnymi oczyma i może zagwarantować, że on nie jest komunistą. Dowcipni żartowali, że ona Staśka jeszcze zbiera się poprosić, by zdjął wszystko niżej pasa, tak, dla szczegółowego przebadania... ale nie wiadomo, czy zdejmie, bo ona jest za stara. Jednak przewodniczący

sielsowietu Zdanowicz Bolesław rzeczywiście był swoim człowiekiem. Dobrze i życzliwie odnosił się do ludzi i tylko tym zasłużył dobrą opinię. Tylko dlatego on został nie tknięty przez faszystowską rękę, gdyż na takich jak on polowali Niemcy i policja.

Pewnego dnia, pod koniec kwietnia 1940 r. przed sielsowietem zebrała się z okolicznych wsi wielka masa ludzi, przeważnie kobiet. W ten dzień przyjechali dwóch jakichś wielkich urzędników z rejonu. Ludzie, kobiety krzyczeli w jeden głos, żeby pozwolili wyjechać do Litwy. Ci urzędnicy wmawiali dla ludzi, że tam, w Litwie nikt ich nie czeka; jak mogą porzucić swoje kąty rodzone, nasiedzone wiekami miejsce... Kobiety nie dawały się na perswazje, wszystko jedno pójdą jak stoją, wszystko zostawią - tylko na Litwę... Niezauważalnie jeden z naczelników odjechał do Radunia, a prezes Zdanowicz Bolesław przez gospodarza domu, gdzie był zakwaterowany sielsowiet Żalis Andrzeja poprosił, żeby niezauważalnie uprzedził, by ludzie się rozchodzili, bo wkrótce przyjadą enkawudziści. Masa ludzi zaczęła tajać, pozostało kilku, a przez kilka minut rozeszły się wszyscy. Za parę minut... widzimy jadą, konno i na dwóch furach enkawudziści. My dzieci też daliśmy chodu i nic na ten raz nie było.

Tymczasem zaczęto siew wiosenny, sadzenia kartofli i ogrodów. Nigdy nie świętując dni 1 i 2 maja toteż ludzie wyszły na pole. Do sielsowietu przyjechali jacyś urzędnicy i zaczęli chodzić po polach i odczytywać swoje morale, wstydzić i zagrażać, że cały Związek Radziecki czci to święto i nikt nie pracuje, a wy!... tylko swoje święto rozumiecie! dla was tylko pascha święto!... gdzie niegdzie nawet z wściekłości do oraczy wyrażano się na "łacinie" i zapisywali do

swoich blaknotów... - to było najstraszniejsze, bo mogło grozić spotkaniem z białymi niedźwiedziami. A jednak życie szło dalej, jak zwykle, po tej samej najeżdżonej koleinie. Niedzielami, po nabożeństwie, zbierała się młodzież, tylko jakoś odczuwało się nieswojsko, jakby czegoś brakowało.

Ktoś, do dzisiaj mnie niewiadomy, ułożył słowo piosenki w związku z wywózką na Syberię osadników. Zazwyczaj śpiewały dziewczęta. Oto jej słowa:

Oj wy bolszewicy, oj wy bezbożnicy
Po co wywozili naszych osadników.

I powywozili, i pomarnowali,
Nasi osadnicy z głodu umarli.

Oj wy bolszewicy, przekłete bandyci,
napadli wśród nocy, jak wilki z ukrycia.

Bez Boga, bez wiary, żyjecie jak bydło
Od was nie obroni i święte krapidło...

Szatanem podszyli żyjecie beztrosko,
Spotka was nieszczęście, spotka kara Boska.

Mniej więcej słowa tej piosenki były takie, a pierwsze dwie zwrotki - oryginalne.

Pod koniec maja w sąsiednim lesie pojawiły się żołnierze. Zamieszkały w lesie i nigdzie się niepokazywali. "Może oni głodni - mówiła mama - człowiek zawsze musi być człowiekiem" i posyłała mnie z którąś z młodszych sióstr włożywszy do koszyczka parę dziesiątków jajek, jeden lub dwa sery i kostkę 0,5 kg masła. - "Ile dadzą, za tyle oddajcie, niech rozumieją, że u nas są ludzie z dobrym sercem. Na przykład:

mój brat Dominik służył w Jerewanie, opowiadał i zawsze chwalił miejscowych ludzi, którzy często ich częstowali winogronami z winem. W połowie czerwca nikt chyba nie widział, gdzie i dokąd wymaszerowała ta jednostka wojskowa, która była zakwaterowana w pobliskim lesie, tylko dowiedzieliśmy się, że już granica rosyjsko-litewska jest zdjęta, otwarta. Ludzie runęli na Litwę do Ejszyszek, do Wilna, by coś kupić z obuwia, z ubrania, bo u nas jak zwykle sklepy świeciły pustką. Jeżeli ktoś kupił kamasze - za tydzień czy dwa odklejała się podeszwa i przywiązywano ją sznurkami, bo nawet ani jakiego kleju nie było, by ją podkleić. Przeklinano taką robotę na czym świat stoi.

Z Litwy zaczęły iść pogłoski, że wkrótce bolszewicy będą zamykać kościoły. Już ze szkół powyrzucali krzyże. W jednej ze szkół we wsi /na Litwie/ Popiszki, pewien mieszkaniec wsi nie dał wyrzucić, sprzeciwił się władzom i na koniec, po kryjomu krzyż wyrzucili na śmietnik. On podniósł ten krzyż i okolicznie oznajmił: że Bóg ukarze barbarzyńców, a za trzy tygodnie spod kamienia, niedaleko tego miejsca, gdzie był wyrzucony krzyż wytryśnie cudowna woda. Na początku lipca zaczęli masowo do tego miejsca schodzić się ludzie. Dzień i noc szli ludzie gromadami z rozmaitych dalekich stron: od Lwowa, Brześcia, Białegostoku, Grodna i innych miejscowości. Po drodze zmęczeni zachodzili na nocleg, na sianie - przecież było lato - takie same jak zawsze, zaczynano kosić łąki. Chyba nigdzie nie można było tak się wyspać, jak na świeżym pachnącym sianie. Na jutro znowuż pod wieczór zachodzili inni pielgrzymi. W poufnej rozmowie zaznaczano, że tak dalej być nie może, muszą być jakieś zmiany na lepsze. Tak... każdy

żył nadzieją... W określony dzień zebrała się ogromna masa ludzi. Przybyli nawet rozmaite inwalidzi - kalecy - dla ocaczenia. Miejscowa ludność do pielgrzymów odnosiła się nie przychylnie. Chyba każdy inny byłby takim samym, gdyby mu wydeptano wszystko, co rosło na ziemi. Pielgrzymi widząc, że wyrządzają krzywdę dla miejscowych - zbierano składki - pieniądze na pokrycie szkody. Ale żeby wszystko by było tak, jak zapowiedziano, byłoby nic. "Na wszelki wypadek" przybyli i milicjanci, straż porządku. Starano się ludziom wyjaśnić, żeby szli do domu, że nie może być żadnych cudów. Tymczasem nie wierzono i czekano na cud. Jak o wiele później dowiedziałem się nazwisko "cudotwórcy" było Szpilewski. Wyszedł z podjętym wysoko krzyżem, z tym samym co był wyrzucony na śmietnik, prosił ludzi modlić się. Dwóch mężczyzn zaczęło wykopywać na połowę w ziemi leżący kamień... odkopano... w jamce po kamieniu było sucho... na ten raz woda nie poszła. Pielgrzymi zaczęli rozchodzić się z pustymi fiolkami dla cudownej wody. Jakoś nie pamiętam, żeby ktoś chodził z naszej wsi, chyba że nikt nie poszedł. - Może dlatego, że ksiądz Cz. Sztejn na kazaniu z ambony mówił, żeby nie szli, bo żadnego cudu nie będzie. - Lepiej do Kalwarii schodzić - proponował parafianom. To samo głosili księża z sąsiednich z Raduniem parafii.

Niezadowoleni pielgrzymi zachodzili na nocleg zmęczeni by odpocząć przed nie bliską drogą w swoje rodzinne włości. Byli przygnębieni i nie mogli sobie uświadomić, dlaczego dali się nabrać nie fortunnym pogłoskom.

U nas w gumnie na sianie nocowali 3 czy 4 grupy po 5-7 ludzi idących na "cud" i z nieudanego cudu. Mama częstowała

świeżym mlekiem, no i słoniną, masłem i serem swojej roboty. Tak jak miejscowi pielgrzymi wyrażali swe myśli, że tak dalej być nie może, że wkrótce muszą być zmiany, że silne państwa Ameryka i Anglia nas wyzwolą z niewoli. Ta nadzieja krzepiła ludzi i dodawała sił i energii do wytrwania. A przecież tak stęsknili się już po swojej Ojczyźnie - Polsce. Mówiono, że ta nasza Polska, po tak długiej niewoli na tak krótki okres błysnęła światłem wolności i znowuż na krótko udaliła się gdzieś tam... w mało komu znany świat, wykrwawiona, poszarpana, rozdarta, ale nie zwyciężona... Tak jak kiedyś i teraz nie upadła przed nikim na kolana, nie upadła na duchu... Bóg i cały świat wiedział, że musi zatriumfować sprawiedliwość i prawda musi pokonać znienawidzony gwałt, morderstwo, poniewierkę, męczeństwo...

Zakończył się drugi rok szkolny, ale ani jak nie mogłem sobie uświadomić, dlaczego to "dogóry" nogami poprzewracane są słowa. Na przykład: "myło", "czaszse", "mojtie", "kircicz", "dierewnia" i inne, a dlaczego nie tak ładnie brzmiące słowa "mydło", "często", "myjcie", "cegła", "wieś" itd.

Nastąpiło lato. Jak to było zawsze, po wiosennym siewie wożono z lasu drzewo na opał. Piłowano je, rąbano i układano pod ścianę gumna, podstrzechę, by je za lato wyschły na zimę. Odrabiano tzw. "szarworek". Każdy wieśniak był zobowiązany jakichś tam 2 tygodnie pracować na budowie drogi. Wożono ~~komuś~~ ^{kamieniz} żwir, wykopywano po bokach drogi rowy. Te lata 1940 i 1941 budowę drogi przechodzącej przez wieś zaniechano. Natomiast każdy gospodarz wsi mający konie, a konie posiadał każdy, musiał zebrać i zawieźć po 10 m³ kamieni na budujące się lotnisko w pobliskiej miejscowości Horodenko

na posiadłościach majątkowych pani Generałowej Wiery nazwiska nie pamiętam. Zbieranie i wożenie kamieni na budujące się lotnisko, to robota konia i jednego mężczyzny. A inni dorośli mężczyźni i kobiety musieli odrobić na lotnisku, zdaje mi się 2 tygodnie na równowaniu terenu, ładowaniu do ciężarówek żwiru czy piasku. Pewnego razu wziąłem łopatę i ze starszymi chłopcami wsi poszedłem i ja za manusię. Byłem przydzielony do ładowania żwirem ciężarówki. Po załadowaniu trzeciej ciężarówki wskoczyłem na żwir i pojechałem z wiatkiem. Był bardzo gorący dzień, przy ładowaniu pot lał się ciurkiem. Tymczasem na ciężarówce było bardzo przyjemnie. Aż patrzę dojeżdżamy do jakiejś bramy. Żołnierze odemknęli bramę, wjeżdżamy, aż tam zrozumiałem, że pracują więźnie. Wskoczyli na ciężarówkę i wyrzucają ten żwir, ja stanąłem i patrzę, chciałem pomóc, ale mnie nie pozwolili, mówili, "to nasza robota". Podeszło do mnie ich kilku i bardzo prosili, żebym następnym razem przywiózł jakiejś wazeliny "bornej", czy jakiejś innej".- Na słońcu pękają usta, twarz - mówili. Popatrzyłem ja na ich i bardzo mi zdziwiło - to znaczy tak wyglądają więźnie, przecież widzę je pierwszy raz. Były strasznie wynędzniałe. Od słońca czy z przyrody były ich ciała czarne jak murzynów. Żwir wysypali koło betoniar-ki, która kręciła się z ciastem betonu. Wskoczyłem ja na ciężarówkę, by jechać znów ładować żwirem. Kierowca wskoczył na ciężarówkę, by podrzucić ze stojącej żelaznej skrzynki do pieca drzewo i zdziwił się, jakim sposobem ja dostałem się tutaj w "zonie zakluczonych", i kazał mnie wychodzić. Ja w żaden sposób. Straszyl mnie wyrzuceniem z ciężarówki, ale ja ni z miejsca, wnet "wlip ja iz-za ciebia" - powiedział dodając trzypiętrowe "mati", "mati" i ruszył z miejs-

ca. Tymczasem wojskowi enkawudziści odemknęli wrota, zobaczyli pod ciężarówką, jeden z nich podjął się stojąc na kole, zobaczyć co w ciężarówce i kazał jechać. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, kierowca wyszedł u szoferówki podeszedł do mnie, poklepał ręką po ramieniu i powiedział: "choroszo połuczyłoś, a to mogło mnie wletiet kak sledujet, a tiebia poka wyjaśnilib, posiedielby tam, w zonie, na czerpaku pochlobki". Moi koledzy, tam na pracy, widząc mnie zmienionego w kolorze i piąte przez dziesiąte rozumiejąc słowa szofera, stali wypytywać mnie co się stało. Opowiedziałem im od początku do końca. Jeden z nich starszy w wieku nie bardzo mi powierzył. Przekonał się, gdy mu opowiedział szofer. - "Ty jesteś szczęśliwy" - mówił ten starszy człowiek z sąsiedniej wsi po imieniu ⁿA^ćndruś /tak jego nazywali/, - "bo mogli zatrzymać do przeprowadzenia śledztwa, jak, dlaczego, jakim sposobem, jaki był zamiar przekroczenia zony zakazanej, toż kryminał...". Nie tylko ten dzień rozmawiano o tym przejściu, ale wystarczyło jeszcze i na następnych parę dni. Toż popadło na "zęby" ⁿA^ćndrucia. Mieszkał on w sąsiedniej wsi Składańce, jego kołonia, posiadłości w parę hektarów ziemi graniczyły ze wsią Stara Kozakowszczyzna. Litwini tam mieszkali i między sobą rozmawiali tylko po litewsku, nawet gdy obcowali z nimi Polacy. Wspomniany ⁿA^ćndruć /Andrzej/ zajmował się robieniem kłumpi i reperował stare obuwie. W kryzysowych czasach 1940-45 latach, gdy nie było gdzie kupić obuwia on okolicznie obuwał wszystkich. Na luksusową podeszwę szła olcha, rosnąca na jego własnej ziemi, koło domu. Był trochę odczytanym, niebrzydki mężczyzna, a gdy swatał się do pańienek, jeszcze będąc kawalerem, gdzieś w oddali wśród nieznanomych

52

przedstawiał siebie, że on pracuje w piśmie podań. Cieszył się powodzeniem. Lubił żartować. - Gdy przychodzili do niego "obuwać się", reperować stare obuwie, czy robić nowe kłum-
pie, klienta prosił usiąść obok jego. A gdy ten siadał, pod-
rzucał rzemień z gęsto nabitymi gwoździami. A ten co siadał,
wiadano bez przyzwyczajenia siedzieć na ostrych gwoździach,
szybko podnosił się skrobiąc tyłek, a ten już krzyczał na
dzieci - że to oni porozrzucają wszystko, co w ich ręce po-
padnie i przepraszał klienta. Klient na taki żart musiał być
dobrze znajomy, ale unikając usiąść na ostre gwoźdźki cza-
sami przez najmniejszą ostrożnością jednak siadał. Jak to się
mówi "nosi wilk, ale i niosą wilka". Oj, nieraz przychodzi-
ło się bez przyzwyczajenia i samemu majstru-szewcu przysiąść
na gwoździe. A robiono to tak: jeden siedząc obok częstował
papierosą i dawał przypalić z zapalną tak, aby on troszecz-
ko przywstał i w ten moment drugi kolega od tyłu mgnowienno
podkładał na krzeselko przyniesiony ze sobą kawałek skóry,
nabity ostrymi gwoździami. Okazywało się, że i on, pan maj-
ster-szeweć też nie był przyzwyczajony siedzieć na takich gwoź-
dziach i szybko się podnosił dając do zrozumienia, że rewanż
przyjmuje, tylko humor miał inny. Nie śmiał się tak, jak ci
przyjaciele. Był jeszcze jeden szewc już za wsią Składańce,
w okolicy Jatowty pan Żeromski. Ten szewc kłumpi nie robił,
ale tylko poprawiał stare obuwie. On zawsze zapytywał się,
co słychać we wsi, na świecie i sam lubił opowiadać rozmaite
historie, ze starego testamentu. Nawet, gdy przychodził do
kościółka, a było jeszcze za wcześniej, więc siadał na brzeg
narów, na których wnoszono trumnę zmarłego do kościoła, zekła-
dał nogę na nogę i zaczynał głośno czytać z pamięci o Sodomie

i Gomorze lub inne historie. Zawsze znachodziło się ciekawskich i gromadka ludzi ciągle się powiększała, aż dopóki dzwony swym głośnym ślucznym echem nie zaczynały wołać wiernych na nabożeństwo.

Pewnego razu, gdy on siedział na brzegu tych narów, ktoś na żarty podjął za drugi brzeg narów i ten nasz mówca przewrócił się do góry nogami. Pilni słuchacze nie mogli powstrzymać się ze śmiechu. Mówca wstał jakiś niezadowolony, wytrzepał z ubrania piasek i więcej już nie miał humoru do czytania. Jakaś kobieta zaczęła kajać nie wiadomo kogo, że takiego ważnego człowieka przewrócili do góry nogami. W ten moment zadzwoniła sygnaturka kościelna, zapraszająca na wieczorne nieszpory. Jeszcze tym latem 1991 r. tego majstrę kłumpiarza spotkałem w rejonowym miasteczku Woronowie. Tym razem rozmawialiśmy po litewsku, a była różnica w tym, że jeszcze "w tante" czasy rozmawialiśmy po polsku i mieszkaliśmy po sąsiedzku na Polskich Kresach Wschodnich, a tym razem on Litwin mieszka na Białorusi, a ja Polak, mieszkam na Litwie. W tej litewskiej wsi jeszcze mieszkał Walicki Feliks. Był on taki cichonia, że trudno od niego wycisnąć słowa, ale jak zajdzie do mieszkania, no to już patrzaj - jego dobrze, bo jeżeli coś schowa w mieszkaniu, to już długo pokręcisz głowę, póki znajdziesz bardzo potrzebną na ten raz rzecz. O tych dwóch szewcach zawsze o nich pamiętano jesienią, gdy następują chłody. W swojej wsi Starej Kozakowszczyźnie, takich rzemieślników nie było. Nie było też i innych, na przykład jak: kowala, stolarza, krawca, cieśli i innych. Prawda, była jedna krawcowa do przysycia maniszek do płótnianych koszul. Sierpy przed żniwami kobiety nosili ostrzyć, nabiwać ząbki do kowala we wsi Ożeliszki.

Do kowala ukuć konia czy lemiesz zaostrzyć jeżdżono do wsi Nowej Kozakowszczyźnie. A jeżeli dobre buty zrobić, kamasze, czy pantofle obowiązkowo zwracano się do szewca w miasteczku Reduń do pana Busza. Nikt nie mógł uszyć bluzkę, sukienkę, spódnice, czy garnitur, jak krawiec, czy krawcowa z potomków Izraela. Nigdzie lepszych tkanin damskich czy męskich nie można było znaleźć oprócz sklepów bławatych żydowskich. Rowery rozmaitych gatunków krajowych i zagranicznych można było znaleźć tylko u Żydka pana Rogowskiego. Wystarczało zaświadczenia z gminy o posiadaniu własnej ziemi czy żywego inwentarza, i można było wybrać przy niewielkim zadatku rower najlepszego gatunku według swego gustu. Dobre i śliczne, bardzo lekkie podejmowano nawet jednym palcem rowery z ramą "Kamińskiego", torpedą "Pery", czy "Torpedo", koła na drewnianych obodach, z oponami "Dunlop". Patrząc na nie dużo komu ciekła ślinka. Do kościoła młodzież przyjeżdżała na rowerach. Na cmentarzu przykościelnym w zwykłe niedziele ich było setki rozmaitych gatunków i firm. Na odpuszcie ich było jeszcze więcej. Koło cmentarza przy wejściu skupiono się kilka lub kilanaście straganów z rozmaitym towarem, najwięcej z upominkami. To tu, to tam pojawiał się z noszonym ze sobą składanym stolikiem "naparstkarz", czy z dwoma hartami pustymi i jednym asem i wyglądało bardzo prostu odgadnąć, w jakim miejscu jest as, czy pod jakim naparstkiem znachodzi się kostka. Tuż, blisko, zapraszali pokrzykując, kupować smaczne jabłka czy gruszki. Na wozach ich było mnóstwo. Sprzedawano ich garncami. Na wsiech wówczas nie było sedów. Zaczęto je sadzić po reformie rolnej, po przejściu na kolonie. Od razu na kolonii jakoś było nie swojsko, dookoła pusto,

tylko koło płotów czasami sadzono jakąś brzozę, lipę czy klon, krzak bzu czy jaśminu lub akacji.

Sady zaczęły się mnożyć po przejściu na kolonię zawdzięczając księdzu proboszczu Cz.Sztejnowi. To on na ziemi należącej do plebanii, na kilku hektarach założył szkółkę owocową. Pewnej jesieni pojechaliśmy koniem do księdza, by kupić 10 drzewek owocowych. Nie pamiętam, ile ojciec za nie płacił. Ksiądz Cz.Sztejn poradził, jakie brać drzewka, oznaczył je przykręcając drucikiem do gałązki zrobioną z dykty metkę 1,5x5 cm i odciskiem słów drukowanych "Szkółka owocowa, Raduń, plebania". Poradził, jak je wykopać, pożegnał się i odszedł gdzieś po swoich sprawach. Ojciec w ślad powiedział: można pozazdrościć mu pracowitości. To był niesłychanie pracowity i zdolny do wszelkich robót ksiądz. Sam konie kuł, ule i ramki dla pszczół robił sam. Jednym słowem, wszystko robił sam. Jeszcze nawet i prowadził sklep bławatny w m. Raduń.

Słysząc były pogłoski, że Sowieci będą spędzali znowuż do wsi. Wszystko będzie ogólne nasze. Będzie stołówka jedna na wszystkich. Kobietom nie trzeba będzie gotować jedzenie, wszystko będzie gotowe, nawet ubrania. Odziana, obujana, nakarmią. Nawet spać będą wszyscy razem pod jedną kołdrą. Pieniądzy nie będzie też, bo i po co oni; będzie raj na tej krwi i potem zroszonej ziemi. Nie wiem, czy kto wierzył w ten raj. A zresztą, czy mogli wierzyć komuniści, politruki w swoje bajki. Przecież nikt więcej nie mógł wiedzieć jak oni, ile umiera ludzi z głodu i chłodu w konclagrach, zamęczonych przez NKWD, rozstrzelanych i skazanych na męczeństwo bezprawnie, bez sądu... Ot taki jest raj sowiecki, jakiego świat nie widział.

Tymczasem w maju miesiącu zaszli do nas deputat siel-sowieta /gminy/ z jakimś Rosjaninem i zaproponowali zakon-traktować cielaka. Rosjanin wytłumaczył, że po kontraktacji od razu otrzyma pieniądze, ale tego cielaka nie ma prawa sprzedać bez rozporządzenia władzy. Jednocześnie dla zachęty wymieniono nazwiska gospodarzy, z którymi już były za-warte umowy. Bez wahania się ojciec się zgodził i podpisał jakiś dokument. Nieco później otrzymał za tego cielaka pie-niądze. Życie jakoś szło tak powoli, że drugie lato okupa-cji казаło się chyba dziesiątym. Do ojca, jako wykształco-nego na tamte czasy i czytającego prasę, a niekiedy i słu-chającego radia, wieczorami przychodzili sąsiedzi. Ze stro-ny przysłuchiwałem się ich rozmów. Jednego razu podziwiali rodaka ze swej wsi Pietraszko Dominika, jako zdrajcę, a później często powtarzali jedno i to samo. ... Jak on mógł to powiedzieć przed różnymi enkawudzistami i politrukami na walnym zebraniu mieszkańców wsi. - Na tym zebraniu po-litruicy wychwalali władzę radziecką, jako najlepszą na świecie... że władza jest ludowa i każdy może być wybranym w wyższą władzę... O sile, która może rozgromić każdego wroga, który sięgnie na państwo radzieckie, tak jak roz-gromiono Japończyków na Chałkin-Gole i Finów. A gdy zapy-tano na zebraniu, czy wszyscy zrozumieli to, co było mó-wione - wszyscy zamilkli, jeszcze raz powtórzyli i po raz trzeci, a wszyscy milczeli, nikt ani słowa. Wówczas podej-muje się Pietraszko Dominik i mówi: "oni wszystko rozumie-ją, ale im to nie podoba się". Od tego czasu każdy od niego się stronił. Rozmawiali, prognozowali, co będzie dalej. Mówili, że wszystko jedno tak być nie może. Całą nadzieję

kładli na Anglię i Amerykę na zbawienie od Sowietów. Sam Pan Bóg nie pozwoli na barbarzyństwo i ześle jakąś karę. Pan Bóg już zesłał karę na nas wszystkich, z takimi słowami wtrącała do rozmowy mama, jest to kara Boska... jak ksiądz mówił... że teraz trzeba więcej modlić się jak nigdy do tego, by odwrócić od nas rozmaite klęski i nieszczęścia.

Zawsze między sobą łamali głowę, co będzie dalej. Przecież tak jak jest dalej być nie może. Bardzo rzadko, ale czasami wieczorem przychodził nasz legionista cichonia Jankowski Maciej. On najwięcej milczał i zawsze był poważny i zamyślony. Jednego razu przyszedł "pod muchę" i był aktywnym i rozwiązywał tę zagadkę, co będzie dalej, bardzo prosto. Co będzie! Co będzie! Nie pamiętacie, co było w 1919, 1920 r.? Zapomnieli, jak Polacy pędzili Sowietów? Popędzimy tak, że gacie będą trzymali w zębach. Pamiętacie przecież, jak pędzili ich Niemcy, a później my. Tylko jedna jest zagwozdka, żeby im nie pomagali Niemcy, bo te psie syny są silne. Zaczynał opowiadać, jak z Wilna pierwszy raz baszłyków pędzili, a drugi raz spod Warszawy, aż łachmocie trzęsły się. Ten musi przegrać i zawsze przegrywa, gdy sięga po cudzą własność. Z nim, Maciejem, zawsze było wesoło tylko nie "na sucho", wówczas rozwijała się myśl i pojawiał się dobry humor i nastrój.

Końwiejsze bęszdy dochmesone u drzewa
 rade III Stalin Kaput.

str.	Wiesza	jest	ma byc
14.	9 od wtenchur	wiscie	mście
19	9 od dołu	traby	araby
21	12 od wtenchur	ekspers	ekspres
28	13-14 od dołu	2 saszadów	szawetów
30	1 -u-	obnarnicy	obozniki
45	7 -u-	wiedzielisyng	rozumie listny
51	8 od wtenchur	rad nimi	rad nami

J. Golewicz

Stalin kaput

Nastąpiły letnie wakacje 1941 roku. Wakacje, tak zawsze czekane były nie dla wszystkich. Zazdrościłem to i bardzo dla dzieci, swych kolegów i koleżanek urzędników. Swawola. Nikt ich nie budzi ze wschodem słońca, jednym słowem, pełna wygoda i odpoczynek. Spią, ile im się podoba, kąpią się w rzece ile zechcą, piłkę pędzają na łące, zbierają kwiaty, wsłuchują się w melodyjny śpiew ptaków w lesie, akowronka w polu. Natomiast dla dzieci ze wsi, również i dla mnie, odpoczynek nie w pełni tego słowa znaczeniu. Trzeba było pracować, pomagać pleć len, ogród, kartodłę. Dobrze dla mnie było, że nie trzeba było paść krów. Pastwisko graniczyło z zagrodą ogrodzone kolczastym drutem. Nawet poić nie trzeba było, bo wykopałem w samym niskim miejscu pastwiska studzienkę, w której nigdy nie brakowało wody. Krowy doiła mama tylko z rana, a moim obowiązkiem było pomagać doić w obiad i wieczorem.

22 czerwca 1941 r. o świcie obudziły detonacje bomb w m. Lida, ale z samego rana nikt nie wiedział, kto i dla czego. Mówiono, że to uczenia wojskowe. A ja jak zwykle w niedzielę byłem swobodnym i jeździłem do kościoła. W tę niedzielę nie pamiętam, dlaczego nie pojechałem do kościoła, a ze swymi rówieśnikami spotkałem się około Majaka, stojącego na najwyższym we wsi miejscu, służącego jako topograficzny znak. Wysokość jego była ponad 30 m. Pogoda w ten dzień była dobra. Było ciepło, niebo pokrywały wysoko, powoli płynące, małe, białe obłoczki. Niektórzy z nas byli zgromadziwszy się na samy wierzch, gdzie była podłoga i ok-

2

ragły z desek mały stolik. Otóż na tym stoliku grano w oczko /21/ w karty na zapalki. W porównaniu z czasów polskich zapalki były bardzo tanie. /Za jedno jajko można było kupić 5 pudełek/. Przyznać się szczerze, ja lękałem się leżeć na wierzch dlatego, że kołki, po których trzeba było iść poruszały się, gdy wyschły i było niebezpiecznie. W stronę Naczy, gdzie budowało się lotnisko na południowo-zachód od Radunia, słychać był wybuch i walił w powietrze ciemny, gęsty dym. W przeciwległej stronie było tak samo i na drugim budowanym lotnisku w Bohorodno. Tu i tam słychać był warkot samolotów. Wielki dym w Naczy na budowanym lotnisku paliły się cysterny z jakimś smarem-benzyną i naftą. Później usłyszeliśmy detonację bomb w stronę lotniska Pohorodno. Zaczęły się podejmować czarne kłęby dymu. Palały się cysterny z jakąś cieczą, które sam widziałem w "zonie" więźniów - pomyślałem, ale i w głowę nie przyszło, że to już wojna znowuż - druga na powitanie jeszcze nie skończonej pierwszej. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że Hitler bez wypowiedzenia wojny, tak jak Sowieci na Polskę 17 września 1939 roku, napadł na Rosję sowiecką, że w rejonowym miasteczku Raduń idzie ewakuacja urzędów i urzędników na wschód. W miasteczku panuje wielki popłoch, krzyk, gwałt, Rosjanie ładują się kto na ciężarówki, kto na furmanki i ^{dyla} dyla dają. Będąc koło majaka widzimy przelatuje jakiś czarny samolot. Patrzymy, aż on zniża lot i zakręca z powrotem. Ci, którzy byli na majaku dawaj chodu z niego, a my odbiegliśmy dalej do siedziby Butrymowicza Jana. Tymczasem samolot na niskim poziomie od ziemi przeleciał koło samego "majaka" i poleciał dalej. Widocznie przekonał się, że wojskowych nie ma, a tylko dzieciarnia w białych koszulach - dał spokój. Ogarnął jakiś strach i wszyscy rozeszli-

my się po domach. Po obiedzie, tak w pół dnia, dowiedziano się, że miasto Lida w gruzach, cały centr miasta został wyniszczony doszczętnie. Ja patrzyłem na rodziców i starałem się zgadnąć, co oni odczuwają, jak reagują na takie wydarzenia. Widzimy, jak sąsiad Jerzy Kaszkiewicz stojąc na dziedzińcu przysłuchując się, powraca się w różne strony. Ależ tak samo jak i moi rodzice, przeważnie ojciec. Patrzymy, przychodzi do nas sąsiad i zaczyna się rozmowa. A co najstraszniejsze, że musi przejść front działających wojskowych, przecież wojna tylko się zaczęła. A może pogodzą się, bo niby to Hitler ze Stalinem przyjaciele. Przecież bez żadnej umowy między nimi Sowieci nie napadliby na Polskę, musiała być zmowa - twierdził ojciec. - Że to była zmowa, dowiedzą się o wiele później i to cały świat. Tylko te trochę później cały świat dowie się o zbrodniach w Katyniu. Jednak w tej rozmowie ojca z sąsiadem doszli do wniosku, że to wojna, a front musi być przecież, granica z Sowietami aż za Białymstokiem, za Grodnem, a to my 150-110 km. I tak rozmowa po rozmowie, patrzymy idą do nas jacyś trzej mężczyźni. Podchodzą do dziedzińca i stoją przy bramce, ja podbiegłem, otworzyłem im bramkę, zachodzą na dziedziniec i proszą napić się wody. Patrzymy, pytamy, skąd? Dokąd? Wygląd mieli jakiś nie swiecki, wynędzniałe, chude-chude twarze, popękane usta, na czarno opalona twarz, obute były w porwane trzewiki. Jeden z nich niósł coś w worku. Mama zdziwiła się bardzo widząc tych nędznych, nieszczęśliwych ludzi i zaczęły ciurkiem kapać z oczu łzy. Poprosiliśmy ich usiąść pod płotem, w cieniu na ławeczce. Mama wyniosła dzban świeżego mleka i kubek. Gdy zdjęli z plec worek, przystosowany jako plecak i położyli na trawę, przez jedną z dziur w worku zobaczyłem kartoflę.

6

Powiedziałem o tym ojcu i mamie. Ojciec nachylił się, palcem pomacał i zapytał, co mają w worku. Była tam gotowana kartofla przygotowana na drogę do domu z więziennego lagru. Gdy ojciec dowiedział się, że oprócz kartofli w worku więcej nic nie ma, wziął tę kartoflę i wysypał dalej koło chlewa, na trawę dla świń. Worek położył koło podróżnych i sam nic nie mówiąc poszedł do domu. Przyniósł bochen czarnego, z mąki szatrowanej, upieczonego chleba i może z kilogram słoniny. Oczy podróżnych błysnęły wdzięcznością, radością i odrobiną szczęścia. Nie wierzyły oni, że w całej wsi i okolicznie wiać z sąsiednich wsi nikt nie siedział w więzieniu. Opowiadali o życiu w rajach sowieckim z płaczem. Podróżni odpoczęli i odeszli kłaniając się i dziękując za okazaną dobroć. Były to więźniowie przymusowej pracy z rozbombardowanego budującego się lotniska koło Naczy. Od nich dowiedzieliśmy się o niektóre szczegóły. Przylecieli dwa samoloty nisko koło ziemi, pokręciły się parę razy nad lotniskiem. Wszyscy więźniowie powychodziły z baraków i oddaliły się dalej, od jakich by nie było zabudowań i wraz zaczęły zrzucać bomby. Od bomb zaczęła drzeć ziemia i czuliśmy ogłuszające detonacje. Enkawudziści zaczęli krzyżeć, by nie rozchodzili się, ale z początku tak, a przez pewien krótki czas wyłamali płot i dawaj kto gdzie. Od razu oni siedzieli w pobliskim lesie, a potem gdy dowiedziano się, że to rzeczywiście wojna, że wkrótce będą już Niemcy, tak oni daj Bóg nogi... Rzeczywiście, byli to nieszczęśliwi ludzie. Gdy zobaczyli na grubą słoninę, to jeden mówi, że takiej nie widział już 15 lat, drugi też i trzeci też nie widzieli przez kilka lat. A za co siedzieli? Jeśli wierzyć ich słowom to można z pewnością powiedzieć, że za nic! Jeden za brzenne siana dla krówki, drugi też za wiadro bura-

ków, a trzeci, że znaleźli przy nim dwa kieszenie grochu. Ojciec w te ich słowa wierzył, bo czytał w gazecie, a sąsiad pluł w oba boki i nie wierzył, że za takie przestępstwo ktoś gdzieś może sądzić za dwa kieszenie grochu?... nie ma takiego państwa w świecie. - Jest takie państwo, twierdził ojciec, te państwo nazywa się Rosja Sowiecka, - jeszcze gorzej, jeżeli ktoś napisze na ciebie, że ty źle mówił na władzę sowiecką, na 10-20 lat zabierają ciebie do lagru bez żadnego sądu. Nie zauważono, jak ten dzień przędko przeleciał i już kłoniło na podwieczorek. Sąsiad w żaden sposób nie mógł sobie oświadczyć, że za takie głupstwa zabierano do niewoli, odszedł do swego domu popluwając i burcząc coś sobie pod nosem. Zobaczyliśmy jeszcze w ślad podróźnych. Oni szli we wskazanym ojcem kierunku. Już widać było, jak podchodziły do rzeki Dzitwa, do tego miejsca, gdzie przechodzono przez rzekę, przez położone w poprzek rzeki na płasko ociosane bierwiono.

Nastąpił już drugi dzień niemiecko-sowieckiej wojny. Całą noc było słychać dźwięki przelatujących samolotów. Jako polskie samoloty po dźwięku motorów można było odróżnić od niemieckich, tak samo była różnica w dźwięku rosyjskich od niemieckich samolotów. Mówiono, że Raduń jest pusta. Sowiecka władza ewakuowała się na wschód, a Niemcy jeszcze przyjść nie zdążyli. Mniej więcej po obiedzie postanowiłem pójść do Radunia, bo rowerem jechać ojciec zakazał. A ja na prosto biegiem przez łąki i nie zauważyłem, jak już byłem w Raduniu. Rzeczywiście, sklepy były otwarte i puste. Natomiast w księgarni chociaż półki były puste, ale na podłodze wałały się masa książek. Wobec tego zacząłem się ko-

pać i znachodzić coś sobie potrzebnego. Znalazłem podręczniki potrzebne mi dla 8, 9 i 10 klas: algebrę, deutsch, chrestomatię, fizykę, geometrię-trygonometrię, biologię- jednym słowem znalazłem i wziąłem wszystkie potrzebne dla mnie podręczniki dla kontynuowania nauki szkolnej. Zeszytów nie znalazłem ani jednego. W Raduniu tymczasem było cicho. Mieszkania, w których mieszkali moi koledzy Rosjanie, były puste, wszyscy wyjechali na wschód. Ulice miasteczka były puste, tylko gdzieś tam ktoś z gospodarzy stał koło swych domów, zaczepiali przechodniów by dowiedzieć się, co słychać, co będzie dalej. Taki wakuum być nie może. A ja tymczasem naceliłem się iść do domu. Szedłem podbiegając i ogarniał mnie jakiś strach, dlatego oglądałem się w tył. Około 3 kilometrów od Radunia we wsi Straczuny spotkałem Niemców. W sadzie pod jabłonią stało kilka ciężarówek i motocykli. Z kuchni polowej stojącej pod starą lipą unosił się do góry dym. Jeden z żołnierzy, jakiś oficer, widać to było z zewnątrz po ubraniu wojskowym, wykrzyknął do mnie kom! Kiwając palcem. Podeszłem. Guten tag - powiedziałem, odpowiedział on tym samym. Wziął ode mnie książki i zaczął przeglądać. W chrestomatii na początku znalazł Józefa Stalina. Od razu twarz stała surową, zaczął krzyżeć, wyrwał kartkę z Józefem, przyłożył do tyłka, zrobił się wściekły, jeszcze głośniej zaczął krzyżeć Stalin kaput! farschtejn? Kaput! Farschtejn? - farschtejn - odpowiedziałem. Kartkę z Józefem porwał na kawałki i wrzucił do paleniska kuchni polowej. Oddał mi książki i sam poszedł do grupy żołnierzy, leżących pod jabłonią. Zrozumiałem, że nie mają do mnie żadnych pretensji, zrobiło mi się lżej i weselej, bo naprawdę miałem strachu. Zatrzymałem się koło kuchni polowej przy

7

której stał mój kolega z jednej klasy Kowkiel Julian. - Nie lękaj się ich, zwrócił się on do mnie, oni bardzo źli są na Sowietów, a do nas nie mają nic. Tymczasem kucharz mieszał, mieszał wielkim czerpakiem nie bardzo rzadką zawartość kotła. "Pan, mówi do kucharza kolega Julian - u ciebie uszy jak u świni", a ten uśmiecha się i powtarza kilkakrotnie jo, jo, jo i dalej miesza zawartość kotła. "Pan..., jak żeżrecie to, żeby wam biegunka nie dała spokoju... na trzy metry w dal..!" tutaj ja nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, a Julian na to "nie lękaj się, oni nic nie rozumieją po polsku" i znowuż zaczyna: "Pan, żeby wy głowę...". A kucharz mieszając czerpakiem w kotle wciąż te swoje "jo, jo, gut", a ja stojąc uszczypnął sobie rękę do bólu, jak to robiliśmy, żeby uspokoić śmiech na lekcjach, i ani jak to mi nie pomagało, śmiałem się do posinienia. Tymczasem kucharz widocznie zrozumiał, że śmiejemy się z niego, wyjął czerpak z kotła, jak zakrzyczy rous! i do nas z tym czerpakiem, my chodu. Kolega Julian poszedł do pobliskiej stąd swojej chaty, a ja sobie do domu, oglądając się, czy się nie pędzą za mną. Podeszłem dalej i skręciłem na lewo, by iść łąką, by nie spotkać się z Niemcami. Idąc czasami "brał" mnie ten samy śmiech, ale to już nie w kompanii i śmiech nie posiadał takiej mocy, takiego porywu, jak w zakazanym miejscu.

W domu ojciec przepatrzał przyniesione książki, ja jemu opowiedziałem, co było przy spotkaniu z Niemcami we wsi Straczyny: jak, widocznie oficer krzyczał na cień Józefa Stalina, a potem go spalił... jak mój kolega Kowkiel "żartował" z kucharzem i o tym, jak ten kucharz Niemiec machając w powietrzu czerpakiem pędził nas od kuchni, i za co pędził... Ojciec trochę śmiał się i zagroził mi, żebym nigdzie nie

łaził, gdzie nie trzeba, bo tak dostaniesz, że skóra twoja będzie wisiąca na płocie.

Tymczasem szosą Raduń-Bastuny ciągnęło się w nieskończoność masa samochodów. Wśród nich z oddali widzieliśmy jakieś dziwne samochody, jak gdyby bez motorów. Od razu zaczynała się szoforówka, gdzie siedział szofer i jeszcze ktoś, a gdzie motor? Takie samochody my nazwaliśmy "kurnose". W powietrzu bardzo wysoko latało kilka samolotów sowieckich. Latały tak wysoko, że trudno ich było zauważyć, wyglądały takie małe, jak wróble. W tym nagle słyszymy w stronie idących samochodów silną detonację bomby jedną, przez parę minut drugą. Słópy kurzu i dymu zasłoniły jadące samochody, ale dla samochodów widocznie nic nie poszkodziło, bo jak oni szli, tak i idą dalej bez zatrzymania się. Gdy maraton samochodów zakończył się, dzieci pobiegły zobaczyć miejsca detonacji bomb. Były one około 100 m od szosy i na 1,5 m ugięcia. Po tym dziecinnym zwiadzie mężczyźni ustalili, że to były bomby małego kalibru - 200 kg. Po tym za jakichś kilka minut było słycać detonację bomby gdzieś w Raduniu, czy koło Radunia. Tak była zrzucona bomba lotnicza około 50 m od drogi, ale tam już było o wiele większe wgłębienie i szersze. Mówili, że to było 500 kg bomba. Pierwsze szli niemieckie czołgi, motocykle, za nimi samochody ciężarowe, a dopiero na trzeci-czwarty dzień obozy konne. Duże tłuste konie ciągnęły czymś naładowane fury. Konie były jakieś też nie każdemu widziane: ogromniaste, szerokie, grube, kopyta wielkie, ogony małe - "belgijskimi nazywano. Taki jeden koń może ciągnąć załadowany samochód - mówili. Te konie do ciężkiej artylerii wykorzystuje się w wojsku - twierdził "znawca", służący kilka lat temu w wojsku Białymon

Zygmunt. Zaraz za jakich kilka minut z południa na północ przeleciał nie tylko wysoko samolot, który pozostawił za sobą jakąś białą szeroką wstążkę. Kobiety zapytały u "znawca" Bałtromuna Zygmunta: co to ma znaczyć ta biała wstążka? - Zygmunt podniósł głowę, pochylił na bok, przymrószył lewe oko, spojrzał badawczo i określił "to oznacza, że znaczy się, po tą linię na prawo nie ma wroga". Zaczęli dopytywać się "z jakiej strony tę "wstążkę" zaliczyć do prawej strony? - Ot jakie wy baby niepamiętliwe, toż wiadomo, że od Redunia, od tej strony, skąd przeszło wojsko" - tłumaczył Zygmunt. Tymczasem mężczyźni kładli się ze śmiechu- słysząc to tłumaczenie dla kobiet - "znawcy" Zygmunta znając, że on lubi czasami skłamać, tak, prosto w oczy puścić dym.

W powietrzu wciąż wrzało. Gdzieś nie tak daleko słychać była walka powietrzna. W stronę Ejszyszek, gdzieś między miasteczkiem Ejszyszki i naszą wsią słychać było warkot karabinów maszynowych i nisko latały kilka samolotów. Ta walka trwała kilka godzin. Nazajutrz dowiedziano się, że samoloty niemieckie zaatakowały jakąś cofającą się jednostkę wojskową sowiecką w miejscowości Płytnica, na równym terenie koło wsi Miadziusze. Był okropny bój, walka trwała do ostatniego żołnierza. Samolot pędził się i atakował karabinem maszynowym nawet za każdym żołnierzem. Dużo tam poległo rosyjskich żołnierzy. Dużo matek i ojców nie doczekano się swoich synów, braci, mężów. Czyżby po winie poległych szła ta okropna wojna? W czym zawinił ten prosty żołnierz, bez żadnego znaczenia, jakiego rządu on był żołnierzem, jeżeli on nie był napastnikiem, jeżeli on bronił swego życia? Kto chciał umierać za "taką" czy ową ojczyznę? Kto chciał zostawić sierotami swoje dzieci? Polegli na wojnie, zamordowani i

zakatowani zamilkły na zawsze. Więc kto odpowie na te pytania? Może ich dzieci, wnuki lub ocalałe w życiu ich rodzice, siostry, bracia? Nikt nie wiedział, że na tym się nie skończy. Nikt nie wiedział i nawet nie przypuszczał, ktoś wówczas żyjący, że będą gdzieś walały się jego kości, w nikomu nie znanym miejscu...

 Nie pamiętam któregoś dnia od początku niemiecko-sowieckiej wojny, zajechały na starą wieś, do zagrody Ziemienczuk Stanisława kilka fur zaprzęgniętych końmi niemieckie żołnierze. Zaczęła się zbieranina prowiantu. Do naszej zagrody zaszli dwóch Niemców. Było to w same południe. Wszystkie krowy i owce były z pastwiska wpuszczone do zagrody. Wówczas jedna z pięciu krów była jeszcze z cielakiem - drugi miesiąc. Ponieważ nie było gdzie podziać mleko, cielaka od krowy nie odłączali. Tak cielak pasł się razem z krowami. Codziennie ja w dodatek dawał pić jeszcze miskę świeżego mleka z ubitymi 3-4 jajkami. Za to był on tkusty i rzeźki. Ot na niego, na tego cielaka i padł wzrok Niemca. Przyciągnął on tego cielaka za szyję, drugi Niemiec zdjął z zawiasów bramkę z płotu, położyli na bramkę, i nożem po szyi i powieźli. Wówczas ja myślałem, że dla mniej najwięcej było szkoda tego cielaka, bo chyba ja najwięcej go doglądałem. Ojciec mnie jakby uspokajał, mówiąc - to nic, żeby na tym się skończyło, to byłoby luksus. Ale widział czy nie, gdy jeden Niemiec łapał cielaka, a drugi przypatrywał się na klacz ze źrebakiem na łące. Klacz była ładna, kasztanka, zarodowa - mówili. A źrebak jaki był!... jak lalka. Jego też poikem mlekiem z jajkami. Druga klacz nie była wielka, stara i mało silna, ale przyprzeży, do drugiej silnej, ona była potrzebna. Jak już pisałem, pod koniec sierpnia 1939 roku ładną dobrą klacz

zmobilizowano na wojnę, a tę którą mieliśmy, teraz kupiliśmy już za ruble, nawet w dodatek dopłaciliśmy kilkanaście dolarów, posiadanych w starym zapasie, ot tak na czarny dzień. Więcej na ten raz działań wojennych na naszych i pobliskich terenach nie było. Radio londyńskie donosiło, że front już przybliżył się do Moskwy. Późną jesienią w Raduniu nie na długo zatrzymała się na postój hiszpańska jednostka wojskowa, podążająca na front. Hiszpański wojskowy kapelan odprawiał mszę świętą w raduńskim kościele.

Zaczynało się już inne nie sowieckie życie. W rozmowach mówiono, że jaki diabeł był lepszy - pokaże życie, przyszłość. Na ścianach przydrożnych domów lub innych zabudowań, czy na płotach z desek pojawiły się rozmaite ogłoszenia. Każde ogłoszenie głosiło o bezwzględnej podporządkowaniu się władzom niemieckim, za nieposłuszeństwo i przeciwstawienie się władzom - mówiło dalej ogłoszenie - będą niezwłocznie karani śmiercią. Na wierzchu każdego ogłoszenia widniał orzeł czarny, z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Groźba śmiercią i czarny orzeł budziły w ludzi jakiś nieludzki wstręt. Odwracano głowę, przechodząc koło tych ogłoszeń. Nie wiadomo jak teraz, ale nie tak dawno kajzerowskie Niemcy wszystko pod miotłę od ludzi powymiatali. Ludzie byli spuchnięci z głodu, opowiadali starsi mieszkańcy wsi. A jak będzie teraz - zobaczymy - mówili.

Jak zwykle przy każdym nowym rządzie zaczynało się od spisu ludności, posiadanego żywego inwentarza oraz ziemi, Każdy przypuszczał, że od posiadanej ziemi i żywego inwentarza będzie musiał płacić podatki naturą czy pieniędzmi. Ale, ponieważ to jest czas wojenny, przyjdzie się płacić tylko

12

naturą. Z sąsiedniej wsi sołtys, jeszcze z polskich czasów, Biblis Stanisław przywiózł dla ojca rozmaite papiery i prosił, by ojciec zapełnił te papiery, właściwie, by przeprowadził ewidencję ludzi, żywego inwentarza i ziemi. Tutaj mama w lament, nie leż gdzie nie trzeba! "Niech spisy prowadzą ktoś inny, tylko nie ty". "Ależ kto w naszej wsi może to wszystko zrobić? - nikt, albo prawie nikt" - wtrącił się w rozmowę polski sołtys. - Do wojny on był sołtysem na dwie wsie - Nową Kozakowszczyznę i naszą Starą Kozakowszczyznę. Zaczęła się rozmowa. Polski sołtys zaczął pół głosem: "Jakie były kajzerowskie Niemcy i co oni powyrabiali - my doskonale wiemy. Wiemy, jaki był głód i wiemy, właśnie doskonale, że do tego przyczynili się swoi niemieckie sługusy, przez nich tylko ludzie głodowali. A co mamy teraz? Wójtem raduńskiej gminy zgodził się być pan Cimachowski Bolesław, policjantów też postaramy się mieć swoich ludzi i innych urzędników też". Jeszcze coś mówił dla mamy, ale zupełnie po cichu. Za chwilę usiadł i zaczął tłumaczyć: na ewidencję trzeba brać nie wszystko to, co kto posiada. Trzeba wziąć jakąś propozycję, żeby jakiś pyskаты nie robił zarzutu innym, że on płaci więcej, a inny mając to samo co i on, płaci mniej. Może nie ze złej woli, ale żeby nie oskarżył kogoś dla Niemców, bo z nimi rozmowa krótka - wszędzie i za wszystko grożą karą śmierci". Tymczasem mama napiekła słoniny i pokrajała swojej roboty kiełbasę i postawiła na stół. Ojciec pokrajał chleba i postawił na stół butelkę bimbru. Długo oni we dwoje siedzieli i rozmawiali pół głosem. Aż patrzemy, ktoś zawraca rowerem do nas. Przyjechał. Był to nauczyciel z sąsiedniej wsi pan Piątkowski. Rozmawiali oni o czymś - do zmroku.

 Nie za długo, za jakiś tam czas, zrobiono w naszej cha-

cie wolne zebranie gospodarzy całej naszej wsi. Obecny był na nim ten samy sołtys z sąsiedniej wsi Biblis Stanisław. Omawiano, jakim sposobem od naszej wsi dostarczyć na punkt dla Niemców dwie jałówki. Jeżeli nie dostawimy my sami, w takim wypadku Niemcy wezmą sami. Jednogłośnie przyjęto propozycję niektórych obecnych na zebraniu bym nie dopuścić do tego, żeby Niemcy "gospodarzyli" sami. Omówiono, kto ma do sprzedania te dwie jałówki, oceniono, ile każdy gospodarz ma spłacić dostawcom zboża. W rachubę szło żyto, z czego można piec i jeść nasz chleb powszedni, bo pszenica u nas nie rodziła i nikt jej nie siał. Rachowano tak: koszt tych jałówek dzielono na "włoki", później na pół włoki i tak dalej, i robiono spis ile kg kto miał zapłacić dla "poszkodowanych". W tym wypadku przywożono wagę i natychmiast każdy musiał przywieźć, a jeżeli ktoś miał mało ziemi, przynieść należność. Takie rozliczenia się z okupacyjną władzą niemiecką trwało do końca roku. Na tym pierwszym walnym zebraniu ojca wybrano jednogłośnie, sołtysiem. Ojciec postawił warunek, że zgadza się na 2-3 miesiące, a później powinni wybrać kogoś drugiego. Mama też płakała i prosiła, żeby po 2-3 miesiącach wybrano drugiego. Zaczęła się paszportyzacja, wydawania dowodów osobistych. Wszystkim wydawano. Jednak powstrzymano się w wydaniu dowodu osobistego dla byłego "predsiedatiela sielsowietu" Zdanowicz Bolesława. Znowuż w domu narada, co robić!?!... Szkoda człowieka, a do tego już takich jak on rozstrzelano nie jednego, i "polowano" nadal. W tym wypadku ojciec pisze mniej więcej takie podanie, w którym miejscowi ludzie twierdzą, że on, Zdanowicz Bolesław nie był i nie jest komunistą - jest takim zwykłym wieśniakiem, jak wszyscy, że

10

chodzi każdą niedzielę do kościoła. Jeden z pierwszych to podanie podpisał proboszcz parafii raduńskiej ksiądz Czesław Sztejn. Próbował ojciec, by podpisali to podanie ludzie zamożniejsi, z sąsiedniej wsi. Ci odmówili mając pretensję, że Sowietci chcieli ich wziąć na ewidencję jako "kułaków", a takich jak "on" warto niszczyć dlatego, że pracował na władzę sowiecką. Ojciec w rozmowie w domu dziwił się bardzo, że nawet nikomu nie zrobiwszy żadnego zła, a ludzie są na tyle "krwiożerni", pragną ^m wiaścić byle za co. "Takich" ludzi musi kiedyś uświadomić jakaś kara Boża. Toż tak niemożliwie, niewinnych, może trochę winnych, popychać w przepaść. Po jakimś namyśle ojciec z podpisem zwracał się rzadko do kogo, a później zaczęliśmy my, całą rodziną podpisywać te podanie rozmaitymi nazwiskami, to prawą, to lewą ręką. Wówczas te podanie było wręczone we właściwe ręce i ojciec przywiózł dla sąsiada Zdanowicza Bolesława dowód osobisty. Dużo przyczynił się, by nie wydać ludzi na zagładę nasz proboszcz ks. Czesław Sztejn. To był rzeczywisty sługa Boży, który ogłaszał i twierdził z ambony kościelnej, by czcili każdego bliźniego jako siebie samego. O nim musi być napisana książka. Wątpię, czy ktoś napisał, chociaż jakieś krótkie wspomnienie, a tyle on dobra zrobił dla ludzi.

Dowiedziano się, że na stacji kolejowej Bastuny Niemcy znaleźli skład z cementem, a niemieccy wojskowi sprzedają za bimber /dobry bimber, a nie byle jaki/. Mieniają na masło, słoninę i świeże mięso, a cement był dla nas bardzo potrzebny. Ojciec zawinął w białą płótnianą serwetkę około 2 kg słoniny i kazał mnie jechać z sąsiadem. Obok szosy Raduń-Bastuny Niemcy zamieniali linię telefoniczną. Zamiast

prostych już przygniłych słupów stawiali nowe drewniane, na czarno przesiąknięte jakimś płynem czy smołą. Zamiast zardzewiałych żelaznych drutów zaciągali swoje, w kolorze miedzi. Jakoś nie cieszyła oko ta nowa przeprowadzana linia, chociaż ona była i lepsza, a jednak jaka by nie była, ale swoja. Nieraz do niej słupa, chodząc do szkoły, przystawiano ucho, by usłyszeć jakiś swoisty dźwięk. Przy dobrej pogodzie dźwięk był słabym, natomiast przy wietrznej słup wydawał jakiś przyjemny, silny przerywisty dźwięk. Nie udawało jednak się takim sposobem usłyszeć rozmowę telefoniczną, przecież mówiono, że rozmawiają po drutach. Takie było pojęcie dzieciinne o telefonie. W Bastunach koło składu z cementem zastaliśmy kilka furmanek. Ryży, wysokiego wzrostu, chudy jak pałka Niemiec prowadził barterowy handel. Handel ten nie był podobny rynkowemu handlu - targować się nie pozwalał. Na oko oceniał: ile szufli można było wziąć cementu i basta. Dobrze byłowidać, że był "pod muchę". Lubił porządek - jeżeli pokazał na palcach, ile pozwalał wsypać szufli cementu do worka i więcej ani-ni. Bardzo nie podobał mu się kurz z cementu, toteż stał na świeżym powietrzu. Opowiadano, że godzinę temu jakiś wieśniak za próbę wziąć więcej cementu, dostał po uszach i wypędził ze składu z kwitkiem. Jeden jakiś mężczyzna, kupic taki jak my podszedł do naszego wozu i uprzedził, żebym nie starali się wziąć więcej ile on pokaże na palcach, bo jużdzisiaj jednego "ochrzcił" po uszach.

Sąsiad Adamonis podzoękow^ł za uprzedzenie - wiemy już o tym - powiedział. Wzięliśmy tyle, ile było pokazane na palcach i jadąc z powrotem sąsiad zatrzymał konia i powiedział mnie, żebym ja obserwował z obydwóch stron, czy nie widać

jakiegoś samochodu, a sam poszedł metrów 30 do słupa telefonicznego, od którego zwisały dwa druty. Silno pociągnął za jeden koniec, później za drugi. Zwisające ze słupa druty były lekko oderwane. Skręcił w dwa kółka, przyniósł do wozu i położył pod słomą. Ruszyliśmy jechać. Tuż blisko od zakrętu drogi pokazały się na przeciw jadące dwa samochody. Ogarnął mnie jakiś strach, przecież wieziemy skradzione druty. A cement? Cement kupiony po barterowej umowie. Kręciło mi się w głowie... a Niemiec, ten wysoki, ryży i chudy cement sprzedawał przecież nie swój przywieziony z Rzeszy, a widocznie ten cement należał do służby budowy lotnisk, stalinowski. Ot, jaki porządek, pomyślałem. Tymczasem minęły nas taksówka, widocznie z oficerami i samochód ciężarowy, kryty z opuszczoną od tyłu płachtą, tylko była słychać niemiecka gwara, widocznie pojechali niemieccy żołnierze. Sąsiad Adamonis powiedział, że dobry ten drut, będzie porąbany na gwoździe. A jak z tego drutu można będzie zrobić gwoździe? - zapytałem. Bardzo prosto, odrąbał młotkiem na ostrzu starej siekiery kawałeczek takiej długości jak gwoździ, jeden koniec zaostrzył przeklepując na obuchu tej starej siekiery i gwoździ gotowy. A mało gdzie są gwoździe potrzebne. Chociażby płot naprawić. Czym przybijesz sztankietkę? Przecież już dwa lata, jak nigdzie nie dostaniesz ani jednego gwoźdźka. Jak były w polskich sklepach, to i były. Przecież sowieckie sklepy były puste. Szkoda było czasu szukać coś potrzebnego, a do Litwy iść było przez państwową granicę bardzo niebezpiecznie. Wiesz przecież jak poszli przez granicę do Litwy Nosowicz Jan i Lewon Józef, to i po dzisiejszy dzień ich nie ma. Rozmowa po rozmowie i nie zauważyliśmy, jak już byliśmy koło domu.

17

Nie zauważyliśmy, jak nadeszła jesień i zima. Bardzo było przeciwnie, dziko widzieć i słyszeć, że Niemcy wprowadzając swój porządek, zaczęli prześladować Żydów. Szkoda mi ich było bardzo, przeważnie kolegów i koleżanek, z którymi razem chodziłem do szkoły. Obsoweliśmy razem w jednej klasie, siedzieliśmy razem - nawet z jednym Żydkiem Kindler Wolf siedzieliśmy w jednej ławce. Szkoda nawet było pewnego Żydkę, który jednego razu latem, koło żydowskiej synagogi wymazał mi sadzą twarz. Ujrzawszy ten widok getta chciało mi się zapomnieć mając krzywdę na niektórych z nich, gdy przy już sowieckiej władzy wymawiali nam, Polakom; że "wystarczy wam, to wam nie za Polską". Ciągle myślałem i nie rozumiałem tych wymówek, za co oni się na nas gniewają. A może za to, myślałem nieraz, że pewnego razu w 1938 roku po ciemnej jesiennej nocy Żydzi zauważyli na swych domach, w których byli sklepy, na ścianach, napisane pędzlem, czarną farbą "ŻYD" - wielkimi literami. Zamalowane były również czarną farbą szyldy sklepów. Mówili wówczas, że z Wilna przyjechał jakiś facet i z miastowymi podrostkami nocą wykonał tę brudną robotę. A może ta zemsta była konkurencyjna. Zaczepiano tych wieśniaków, którzy szli do sklepów żydowskich, a nie do polskich. Nawet były wypadki, że niezauważalnie z tyłu ktoś czarną farbą, pędzlem po plecach pociągnął. Bankrutowali, nie mogli wytrzymać konkurencji właściciele sklepów p.p. Surginiewicz i Gil. Nie rozkwitła też spółdzielnia spożywców "Społem". Jednego razu ojciec kazał mi zaprzęgnąć konia do sań i jechać pomóc przejechać, przewieźć domowe rzeczy z ulicy Dolnej na ul. Możejkovską, znajomą nawet krewną panią Herasimowiczową, w żydowskie mieszkanie - dlatego, że w jej mieszkaniu i we wszystkich mieszkaniach na

ul. Dolnej będzie żydowskie getto. Pojechałem. Zajechałem pod dom pani Herasimowiczowej, ale ją już nie znalazłem, była już odjechawszy ze swym skromnym domowym inwentarzem. Obstały mi Żydówki, interesując się, może coś mam do zjedzenia sprzedać. Wiedziałem, że dla Żydów jest ciężko, że są oni w niewoli, wziąłem ze sobą kawałek słoniny. Jakie oni byli wdzięczni!... płacili mi pieniądze, dawali 10 rubli rosyjskich, nie brałem, ale jedna Żydóweczka położyła te 10 rubli pod worek i ukłoniwszy się odeszła. Jakoś tak wyszło niespodziewanie, że słoninę oddałem dla jakichś nieznajomych Żydówek, a przecież wiozłem, by oddać komuś ze znajomych kolegów, koleżanek. W ten dzień nie widziałem ich ani jednego. Zacząłem zawracać konia, aż patrząc idzie policjant i zatrzymuje się koło tego domu, z którego mam wyjechać. Podjechałem z podwórka i zawracam na miasto, podchodzi ten policjant i mówi: bądź ostrożnym, bo jeżeli zauważy żandarm, to dobrze będzie, jeżeli otrzymasz gumowej pałki, a to może być i gorzej. To był policjant Szostak Antoni z sąsiedniej wsi - swój człowiek. On i jeszcze inni tacy jak on dużo kogo wybawili z rąk żandarmów, albo nie dopuścili do ich rąk, tym samym ocalili życie. Ponieważ nie wielki dobytek był już przewieziony, pomagałem dla pani Herasimowiczowej sporządzać się. Ta zima była sroga. bardzo śnieżna i zimna. Częste zamiecie śnieżne utrudniały samochodom pokonywać drogę Raduń-st. kolejowa Bastuny. Na odśnieżaniu drogi i robienia płotów z brył śnieżnych zapobiegających zawianiu drogi z okolicznych wsi byli naznaczane piesi robotnicy z rydlami. Osobny odcinek drogi dla odśnieżania mieli Żydzi. Każdy dzień, gdy pracowali Żydzi, jeden z nich prawie zawsze przychodził do nas. Mamusia zawsze mu nalewała gorącej zupy z mięsem i

13

dawała mu ze sobą kawałek chleba, i słoniny. Czasami niekiedy on prosił parę główek cebuli i czosnku. Ten Żydek był nie raduński, nie "nasz", gdzieś spod Warszawy, bo wszystkich "swoich" raduńskich prawie znałem każdego. Zapomniałem, z jakiego miasta. Nie wyobrażałem sobie, jak będzie dalej i co będzie dalej. Ten Żydek był lekko ubrany jak na taką srogą zimę aż za lekko. Każdy raz mamusia kazała mu rozuć się i mokre skarpetki kładła do gorącego pieca, które momentalnie wysychały. A jednak raz, gdy on był obuty w cienkie skarpetki, popatrzyła mi w oczy i nic nie mówiąc wzięła z zapiecka moje wełniane skarpetki, ręcznie robione z owczej sierści i kazała mu nałożyć natychmiast. Zawsze był ten Żydek jakiś smutny, przygnębiony, w tym od razu poweselał z zadowoleniem i jakimś szczęściem zabłysły mu oczy. Między ~~mi~~^{nam} zaczęła się rozmowa. Okazało się, on jest młodszy ode mnie o jeden rok, nazywa się Berek, skończył też 6 oddziałów polskiej szkoły. Po tym jeszcze kilka razy przychodził i czuliśmy się kolegami. Zawsze czekałem go jako najlepszego kolegę. Opowiadał on, że będzie uczył się na doktora. Wojna długo nie pociągnie, Ameryka z Anglią jak "dadzą" z drugiej strony i będzie koniec wojny. Nas wszędzie prześladują, ale za co? Na naszej ojczyściej ziemi nie dają żyć ^a Żydy. Przecież ta ziemia jest od tysiącleci żydowska, izraelitańska, już przeszło 5 i pół tysiąca lat, jak ona jest naszą, żydowską, od samego stworzenia świata według starego testamentu... Chce się doczekać, być lekarzem... pojechać na swoją ojczyznę, tam leczyć rannych, chorych. Czyba i ty dobry człowieku, kolega, też masz jakieś dobre marzenia i zamiary - zwrócił się do mnie. Opowiedziałem jemu, że ojczyzna Polska jest ukrzyżowana, deptają ją hitlerowcy i Sowietci, co do zamiaru - mam chęć zostać księdzem,

ale to jest trudno z nauką... jeszcze trzeba zakończyć gimnazjum i tylko wtedy iść do seminarium, a to drogo kosztuje. Jeżeli uda się wstąpić do państwowego gimnazjum w m. Lidzie, 960/?/, a jeżeli do prywatnego, to trzeba będzie się na kark rodziców. Bardzo źle, że nie mogłem skończyć 7-klasówkę, może wkrótce po skończeniu wojny zakończę i będę próbował jechać do Niepokolanowa i tam kontynuować naukę w seminarium księży misjonarzy. Zakończyć i pojechać w świat, uczyć wiary katolickiej, Chrystusowej. Chociaż kolega Borek przychodził na krótko, na parę godzin - zawsze czekałem go i rozmawialiśmy jako najbliżsi koledzy. Wówczas zdawało mi się, że z nikim tak szczerze nie mogłem rozmawiać, jak z tym nieszczęśliwym Żydkiem Berkiem. Podziwiałem zamiary i patriotyzm kolegi Berka. On też przeżywał, martwił się o swoją Ojczyznę. Miał zamiar jechać na pomoc dla swoich braci, Izraelitów... Przy pożegnaniu zawsze obiecywał przyjść na jutro czy pojutrze, jeżeli nie wywiozą ich gdzieś indziej, w inne miejsce. Tymczasem nadeszła wiosna. "Pąkł" mróz, zaczął tajać śnieg. Nie doczekałem już przyjścia kolegi Berka. Późną wiosną tego roku /1942/ przyszła okrutna wiadomość. Niemcy zebrali wszystkich Żydów z getta na plac rynkowy dla egzekucji. Mówiono, że przed zebranymi wystąpił rabin z przedmową. Mówił on: "że przyszedł czas rozpląty, /nie wiem tak czy nie/, że taki los jest przewidziany, że to jest kara Boża i rabin na czele kilkusetnej gromady Żydów pieszo, powoli, w ekskorcie Niemców poszli do miejsca egzekucji. Dla egzekucji Żydów był sprowadzony batalion katów. Nie wiem, skąd pochodzili ci kaci i skąd oni przyjechali. W krótkim czasie ponad 1000 osób getta

21

zostały wymordowane. Z miejsca egzekucji jeden Żydek, kowal, miejscowy raduński uratował się ucieczką, broniąc się kamieniami przed prześladowającego go Niemca. Ocalało wszystkiego około 30 osób. Po przyjsciu Sowietów spotkałem się z jedną z ocalałych Żydóweczek ze szkolnej ławy Tanowicką Belą. Znanego Żydka Berka nie widzę do dzisiaj, widocznie został zamordowany. U Żydóweczki Beli była okrutnie zniekształcona twarz. Trochę później jej już nie widziałem. Widocznie gdzieś wyjechała. Nie odważyłem się zapytać, gdzie i w jaki sposób została skaleczona. Wiedziałem, że także rozmowy są nieprzyjemne. Współczułem dla niej. Dzień za dniem czas płynął szybko. Nie pamiętam, zdaje mi się ~~ekspres~~ ^{express} wileński czytał ojciec często, nie wiem jakim sposobem on dostawał. Prasa pisała o zażartych walkach pod Stalingradem, pod Leninhradem, na Łęku Kurskim. Surowo było wzbronione słuchać radia. Ale słuchaliśmy u sąsiada, trochę dalej od naszej zagrody, Jasionisa Władysława i mego dziadzi, brata mamy Zdanowicz Juliana. My swego radia nie mieliśmy, bo było niebezpiecznie.

Oprócz niedzieli ja nigdzie nie wychodziłem. Jednego razu latem słyszemy dźwięk motorów samochodowych, aż patrzymy jadą do nas taksówka i samochód ciężarowy. Ojciec w takim wypadku zawsze wychodził z domu, dalej, do sąsiada i obserwował zza kąta. Przyjechali 4-ch żandarmów i około 10 policjantów - jakichś nie znajomych. Kazał mamie zrobić obiad. Jeden z Niemców sam poszedł do ogrodu i nabrał wielki pęk cebuli. Mama przyniosła swojej roboty kiełbasy, kawałek solonej szynki i grubej słoniny. Jeden z nich Niemiec zamienił mamę w sporządzeniu jadła. Napiekł na patelni dużo słoniny i chyba jakieś z 3 kiełbasy i przygotował razem z cebulą. Szynkę soloną pokrajał tak, nie pieczoną. Ja zaś krajałem chleb.

Pokroiłem dwa duże bochanki. Najbardziej szkoda mi było chleba, bo trzeba było jechać do młyna 10 km, albo mleć na żarnach. Ciężka to była robota. Każdy dzień trzeba było zmleć dla świń więcej 10 kg zboża, owsa z pieluszką /taki czarny groch/ ręcznie. Czasami mleliśmy we dwoje ze starszą wiostrą. Bywało, że trzeba było i mleć żyto na chleb - każdy tydzień po jednym pudu /16 kg/ około 20 kg. Ta ilość mąki rozowej wystarczała nie więcej jak na tydzień chleba. Chleb mama umiała piec bardzo smaczny. Były wypadki, jeżeli brakuje chleba, pożyczano się u sąsiada, ale mama starała się nie pożyczać, a my kręciliśmy nosa, jeżeli ktoś z sąsiadów pożyczal u nas, dlatego, że oddawali o wiele niższej jakości chleb i smaku. Przy pożyczaniu czegokolwiek czy oddawaniu, ważono na bezmienie, starym jeszcze, carskim, z odznaczeniami na funty. /1 funt = 40 dkg/. Było takie przysłowisko: "jako w Wilnie tak i tutaj, 40 funtów to i pud". Gdy było już wszystko gotowe, Niemcy sobie ponieśli do pokoju, a dla policjantów kazano jeść na kuchni. Jeden z nich, Niemiec, zapytał u mamy "schnaps?" Mama popatrzyła na niego badawczo i z szafki kuchennej dostała butelkę, chyba 60° bimbru, 4 stogramówki. Niemiec naleł do jednej trochę i wypił smakując - o gut, gut i poniósł do pokoju. Tymczasem policjanci sprawdzili zawartość szafki kuchennej, ale nic nie znaleźli. Policjanci rozmawiali po rusku z mieszaniną białoruskiego. Jeden z nich próbował parę słów po polsku: "pani dajcie nam jedną butyłka sznapsu". Mama wybraniała się, że więcej nie ma, jest trochę tylko na korzeniach, dostała z za poduszki i oddała. Pochwalili, że dobra i oddali pustą butelkę z suchymi na dnie korzeniami jakichś ziół. Niemcy najadłszy się do syta wyszli na dziedziniec w dobrym humorze, toteż lęk ich,

który był z samego początku, stał zanikać z nadzieją, że nie wydadzą jakiejś szkody. Policjanci z kuchni przeszli do pokoju i śmieli się z czegoś nie wiadomo. Za kilka minut Niemcy rozkazali zbiórkę. Wszyscy wyszli i zaczęli siadać do samochodów. Starsza siostra podeszła do mnie i powiedziała, że z szufladów szafy, z pokoju zginęli dwa komplety skór na dwie pary butów z cholewami. Ja nic nie myśląc, podeszłem do taksówki i powiedziałem dla Niemca. Rozmawiać po niemiecku ja nie mogłem, ale mogłem tylko porozumieć się piąte przez dziesiąte, znając to, co uczyli w szkole niemieckiego i to co zacząłem uczyć się sam z podręcznika Deutsch, który przyniosłem z rozkradzionego sklepu. Tymczasem Niemiec dał rozkaz wszystkim policjantom zejść z ciężarówki i stać w rząd. Bez pardonno zapotrzebował przyznać się, kto skradł te dwa naborry na buty skórzane i dwa wełniane sweterki moich dwóch młodszych sióstr. Jeden z Niemców podeszedł do szoferówki samochodu ciężarowego i wyjął spod siedzenia skradzione rzeczy, te same dwa wełniane kolorowe sweterki i skór na dwie pary butów i jakieś nowe pantofle. Wszystko, co swoje, ja zabrałem, a żadne nowe skórzane pantofle oddałem mówiąc, że to nie moje. Niemiec potrząsnął tymi pantoflami i podeszedł do jednego z policjantów i uderzył to z prawa, to z lewa postoletem po głowie. Z rozbitego policzka pokazała się krew. Jakoś zrobiło się nie swojsko, widok był nieprzyjemny.

Niemiec krzyczał rozwścieklony, machając w jednym ręku pantoflami, w drugiej ręce, prawej, postoletem. Później wykrzyknął "raus!" i policjanci jeden za drugim momentalnie już byli w ciężarówce. Niemiec coś burczał pod nos, podeszedł do taksówki, zaburczał motor i pojechali. Mama

napadła na mnie, po co ja powiedziałem, teraz policjanci mogą zemścić się nad nami... lichy z nimi z tą skórą..., albo te sweterki, wełnę mamy pod dostatkiem, zrobiliby drugie, może jeszcze lepsze. Licho z nimi z tymi butami... o, kłumpie masz i to dobrze, aby żyć. Wtem niezauważyliśmy, jak zaszedł ojciec. Mama opowiedziała oskarżając mnie, że ja zameldowałem Niemcom. - Dobrze zrobił, synu, że powiedział. Czort z tymi policjantami, dobry człowiek nie pójdzie do niemieckiej policji, To przecież nie nasi, a jacyś, widać, przyjezdne, dla likwidacji gettów. A zajechali po drodze, widać żarć chcieli, zajechali, że dobrze zewnątrz wygląda dom. Chociaż oni bandyci, ale lubią porządki i czystość. Sowieci lubią hultaj, u których chata na kurzej nodze i przez sufit widać słońce, a te na odwrót. O tym, że nie lubią, jak drudzy kradną, nie tylko słyszeliśmy, ale i widzieliśmy. Kilka kilometrów od Radunia pewien wieśniak-gospodarz na jutro rano zauważył, że ze stodoły przepadła sieczkarnia. Długo nie zastanawiając się, zameldował o tej kradzieży na raduńskiej żandarmerii. Do tego, jeszcze widocznie, podpowiedział podejrzanego winowajcę, gdyż policja od pierwszego razu odnalazła skradzioną sieczkarnię i aresztowano dwóch jego sąsiadów, które przyznały się do winy. Niemcy, żandarmi, nie wiem dokładnie, sądownie czy sami od razu winowajców orzekli na karę śmierci przez powieszenie. Przez kilka dni skazańcy wisiały na szubienicach, ustanowionych na placu rynkowym. Nie tylko sam poszkodowany, nawet ani nikt nie myślał, że za takie nieznaczne przestępstwo będą skazani na śmierć. A może władze okupacyjne, niemieckie chciały pokazać, że nie umieją żartować, by podporządkowywały się ich

rozkazom, ustawom i porządkom. Poszkodowany był zaszokowany tym skutkiem i bardzo żałował swego postępku zameldowania na żandarmerii. Rozumieli go nie tylko okoliczni mieszkańcy, ale nawet i rodziny skazańców. Niektórzy twierdzili, że to dobrze, dobra nauka dla innych, żeby nie kradli, że tylko takim sposobem trzeba wykorzeniać złodzie.

Wiosną 1942 roku Niemcy zabrali od nas klaczę ze źrebakiem do szkoły rolniczej, hodowli zarodowych koni. Dla rolnika to był okropny cios. Rolnik bez konia nie rolnik, jako cygan bez konia nie cygan. Druga klacza była stara i słaba, obejść się z nią było nie sposób. Ojciec kupił znowuż dobrą klaczę, ale było daleko do tej, którą zmobilizowano pod koniec sierpnia 1939 r. i tej, którą zabrali Niemcy, chociaż jak na czas wojenny zapłaciliśmy drogo - 100 pudów żyta. I nie drogo, bo zboża wystarczało po rozliczeniu się z władzą okupacyjną. Podatki pieniężne i naturą były o wiele mniejsze jak za dobrych polskich czasów. Przychówek świń czy rogowiczy, albo owce nie sprzedawano na rynku. Nikt nie przyznawał ni marek niemieckich, ni rosyjskich rubli. Handel był barterowy. Na rynek do m. Lidy wieziono nieraz masło, czy słoninę, by wymienić na jakieś rzeczy potrzebne w gospodarce czy w domu, na przykład, wiadro, garnek czy jeszcze coś. Albo coś z ubrania czy obuwia. Jednego razu w Lidzie nie dojeżdżając do rynku na ulicy zatrzymał jakiś Niemiec z tłumaczem. Zapytano, co mamy. Mama pokazała w koszyku jajka i masło. Niemiec zobaczył, że jajka są wielkie, żółte i masło też dobrego gatunku, zapytał ile chcemy. Ja powiedziałem, że chcemy zasienić na coś gospodarskiego, czy z obuwia. Niemiec zabrakł to, co mieliśmy, napisał na kartce adres, bym ja przyszedł za długiem. Tłumacz uprzedził, że bym

ja Boże broń nie szedł. Nie poszedłem. Nie szkoda było, że to co mieliśmy zabrał esesowiec, dlatego że mieliśmy pod dostatkiem. Mama bardzo żałowała ślicznego plecionego z łoży koszyka, Koszyk był czterokątny z nakrywką podobny na niewielki kuferek. To była pamiątka mamy ojca - mówiła. W ten dzień, na pozostałe dwa kawałki słoniny zamienialiśmy na jedną parę kaloszy, miedzianą miednicę i parę metrów białej w kwiatki tkaniny na damską bluzkę. Tak potrzebnego wiadra do noszenia wody nie nabyliśmy. Latem chociaż są dni długie i najdłuższe, toteż na wsi one były krótkimi. Trzeba było pracować od świtu prawie do ciemna. Przez całe lato ja nigdy nie byłem wyspany z wyjątkiem z soboty na niedzielę. Jesienią całe długie wieczory spędzałem przy książce. Literaturę piękną prawie nie czytałem. Po pierwsze, że nie miałem i trudno było ją dostać, a po drugie, że postanowiłem się uczyć. Długo przeżuwałem nowe algebraiczne zadania. Ciężko też szła i fizyka. Najgorzej jeszcze, że nie miałem na czym pisać. Pisałem na każdym bądź jakim kawałeczku papieru. Starłem się uczyć niemieckiego. Jednego razu ojciec przywiózł mi parę książek "Ogniem i mieczem", "Dzikuska" i zszyte miesięczniki "Ilustracja Dolska". Te miesięczniki przewertowałem kilkanaście razy, przeczytałem wszyściutko od "A" do "Z". Tę lekturę ojciec przywiózł z m. Lidy od pana Trzebińskiego. Gdy bywali ojciec z mamą w Lidzie - zawsze zajeżdżali do pana Trzebińskiego. Opowiadał ojciec, że rodzina Trzebińskich przejechała do m. Lidy z centralnej Polski, z miasta Grudziądza. Tam, w Grudziądzu wydawał dziennik "Gazeta Grudziądzka". Nie zainteresowałem się, z jakiego powodu i dlaczego państwo Trzebińscy zmienili miejsce zamieszkania. A szkoda. Przypuszczam, że może być uciekli od Niemców po klęsce wrześniowej

24

1939 r. Jaki ich los spotkał, gdzie oni są dzisiaj, nie wiadomo. Mamusia po przyjęciu Sowietów zachodziła do tego mieszkania - nie znalazła ni ducha.

Czas mijał w bólu. W jesienne wieczory w naszym domu zbierali się sąsiedzi, by coś się dowiedzieć, co się dzieje na świecie. Każdy opowiadał, gdzie coś słyszał, jak tam na niemiecko-sowieckim froncie. O ciężkich walkach na froncie pod Moskwą, Kurskiem, Stalingradem. Mówiono, że Niemcy, jeżeli pokonają Sowietów, to trzeba będzie pracować na panów-niemieckich osadników, przez nich być poniewieranymi, być parobkami. Inni, Kaszkiewicz Władysław i Babul Julian byli innego zdania. Niemcy, to są gospodarze, lubią porządek, są pracowici, i z takimi jeszcze można żyć. Żyliśmy pod carską Rosją, też można było żyć, nie głodowaliśmy, jak za kajzerowskich Niemców. Trocki Piotr zawsze opowiadał, jak on służył w wojsku carskim, brał udział w wojnie z Niemcami, gdzie został ranny w nogę i od tego czasu chromiał. - Nie daj Boże pozostać pod cudzą władzą - mówił on. Lepiej może być gorzej ale w swojej ojczyźnie - Polsce, niż dobrze w cudzej. Zawsze jesteś cudzym, jak w cudzej chacie, zawsze parobkiem, poniżonym, bezprawnym... Ojciec zawsze uważnie wysłuchiwał i na koniec brał słowo. Prawda chłopcy, że cudzy, cudza władza jest zawsze cudzą, nie swoją, nie przyjazną do podwładnych, jakby ona miękko nie słała - byłoby zawsze twardo. Wiemy, jakie były kajzerowskie Niemcy, jak oni wszystko wymiatali - do jednego ziarenka od wieśniaków. Że głodowali, że byli opuchnięci z głodu, to ich nie obchodziło, patrzali tylko siebie i swoich. Ostatniego prosiaczka, ostatni kawałek chleba ze stołu zabierali. Teraz, dzisiaj, ile ludzi zgładzili z tego świata. Powiecie

27

może, że zamordowali tylko Żydów i komunistów! Poczekajcie trochę, jeżeli pokonają Stalina, to się wezmą za nas, przecież z nimi - Niemcami, jesteśmy w stanie wojny. Jeżeli nie daj Boże Niemcy wygrają wojnę, to mogą z Polakami obejść się, jak z Żydami. Może być nie od razu, przez jakiś czas wynarodowić. Opowiadał mi jeden pan, tłumaczył dalej ojciec, że Niemcy mają już wypróbowane takie zastrzyki, które działają na kobiety na bezpłodność. Ot i masz tobie, wyniszczenie Polaków, nie mordując, a na razie wykorzystując jako niewolników. Hitleryzm już przekonał swą ideologią swych rodaków, że niemiecka rasa, aryjska, jest najlepsza na cały świat. Co chodzi o Rosjan, tam dominuje komunizm. Tam wszystko jest rządowe: fabryki, rozmaite przedsiębiorstwa, handel i rolnictwo. Dla każdej rodziny jest pozostawiony tylko ogród koło domu, by posadzić kartoflę i ogrodninę. Więcej trzymać jak jedną krowę zakazane i tę nie dają czym wykarmić. Co, nie słyszeli, jak opowiadał niektóre z ^{Sowietów?} sąsiadów? Na zimę, by wykarmić krowę zbierają w lesie brzoźowe gałązki z liśćmi. Wiążą pęczkami, suszą i karmią w zimie. Koszą gdzieś koło płotów, na poboczach dróg, suszą kartoflanik. Za malejszą okrucieństwo wziętą ze wspólnego rządowego gospodarstwa rolnego karzą więzieniem. Sami widzieli, ile więźniów, setki, tysiące na budowanych lotniskach w Horoden-
ce i koło Naczy. Nikt z zaborców nie jest i nigdy nie będzie naszym orzyjacielem. Zrobiło się cicho-cicho, siedzieli pochyleni, oparci na kolana łokciami i o czymś głęboko myśleli. - Słyszeliśmy o porządkach w Niemczech, jakie jest nędzne życie u Sowietów - przerwał milczenie Trocki Piotr... Tylko mnie ani jak nie przychodzi do głowy, ciągnął dalej,

jak można żyć tylko z jednego ogrodu, jeżeli tobie zostawia
 razem z zabudowaniami i z dziedzińcem tylko 0,3 ha... tego
 nie może być, ani jak nie chce się wierzyć... Weźmijmy w
 naszej wsi,... jeżeli kto ma całą włokę ziemi, pracuje jak
 wół, ale ma za to, żyje jako gospodarz, jeżeli ma chociaż
 pół włoki - żyje dobrze, w dostatku. Kto ma czwartą część
 włoki, już temu gorzej. A weźmijmy naszych Zdanowiczów: Bo-
 lesława, Aleksandra i Adelkę, pół włoki na trzech - już źle.
 Wychodząc na kolonię ze wsi jednemu przypadła stodoła, dru-
 giemu chlew, a trzeciej - chata. W jednym z tych zabudowań
 trzeba i mieszkać, i krówkę z jakimś przychówkiem trzymać,
 i karm na zimę składać, a jeżeli mieć tylko 0,3 ha - to jak
 żyć, z czego? Jak odziewać się, obuwać się, wychowywać dzie-
 ci. To jeszcze dobrze, że na razie można było zarobić na me-
 lioracji, na kopaniu rowów przydrożnych.... a jak to wszy-
 stko się skończy, co robić? Co robić... co robić, to zoba-
 czymy - zaczął Babul Julian - jak jest, jak będzie, to zo-
 baczmy, to wszystko od nas nie zależy, ale wy powiedzcie,
 jakie chytre są Litwini w sąsiedniej wiosce Składańce, moi
 panie, pamiętacie przecież za Polską oni między sobą tylko
 po litewsku, chociaż ty po ichnemu nie rozumiesz, jeżeli ich
 dwoje, a ty trzeci, to będziesz siedział jak na tureckim
 kazaniu, tak, mój panie, a teraz, mój panie, widzisz co ro-
 bi się - wszyscy zapisali się Polakami, mój panie. Widzisz,
 co robi się? Oni, mój panie, coś przeczuwają, ależ wszyscy,
 jak jeden zrobili się Polakami, mój panie. - Nic tu dziwne-
 go - zaczął ojciec, dobrze oni robią. Nasz raduński wójt
 gminy, pan Cimachowski nam tłumaczył, że Polska z Niemcami
 w stanie wojny, a dlatego mobilizować Polaków na wojnę z
 Sowiecami nie mogą, nawet nie mają prawo, ale Litwinami, z

Litwą są w dobrych stosunkach dyplomatycznych i wszystkiego
 może być, mogą ze sobą domówić się o pomocy wzajemnej prze-
 ciw Sowietów. A komu to potrzebne, przecież Litwa nie wymó-
 wiła wojnę Sowietom, a iść na wojnę za Niemców nie ma dur-
 niów. - A dlaczego to twój szwagier Julian Zdanowicz - za-
 czął Trocki Piotr - mówił, że sam słyshał po radiu z Moskwy,
 że w czasie sowieckiej ofensywy wzięto do niewoli 2 tysiące
 Niemców i 500 litewskich psów /sobak/. Może być znaleźli
 ochotników? Ale nic dziwnego, na Litwie - w Wilnie i innych
 miastach wszędzie litewska policja, mówią, że oni pomagali
 dla Niemców likwidować getta żydowskie - zgodzili się wszy-
 scy. Ja byłem bardzo zadowolony z przyjscia sąsiadów. Sie-
 działem gdzieś dalej i przysłuchiwałem się ich rozmowie. To
 było dla mnie jakimś odpoczynkiem, a zarazem zacząłem się in-
 teresować, co dzieje się na świecie. Lubiłem bardzo słuchoć
 rozmaite historyjki o strachach i o rozmaitych wypadkach.
 Sam ja nigdzie, oprócz niedzieli, nie wychodziłem. Bałem się
 jeszcze karosty, gdyż prawie wszyscy ją mieli. Mówiono, że
 rozmnażała się ona nawet przez podanie ręki. O karoście do
 tego czasu zupełnie nie słyshałem. Mama opowiadała, że za tam-
 tych Niemców też była epidemia karosty i tyfusu. Od tyfusu
 wówczas kilka ludzi zmarło. Jednego dnia, w zimie, u nas było
 zrobione walne zebranie mieszkańców wsi. Po zarządzeniu
 władz niemieckich trzeba było przedstawić trzy furmanki w
 saniach gdzieś tam za Mińsk. Na zebraniu doszli do zgody,
 kto jedzie z mieszkańców, czyje konie będą, czyje sanie i
 zrobiono składkę na drogę furaza - karmu dla koni i furmanów.
 Wyjechali trzech chłopdów. Rzem pojechali i z innych wsi
 gminy raduńskiej. Ledwo minęło dwa tygodnie, powrócili nasi
~~obszarnicy~~ ^{obozniki}. Żywe, zdrowe, tylko konie były oskaźnione, po-

chudziakę. Właściwie dobrych koni i nie naznaczali, ot takie, bym mogli ciągnąć puste sanie. Podjechawszy tam dalej, za Mińskiem, oboznicy domówili się koniom nie dawać wody, nie poić pod dostatkiem, a tylko trochę, żeby mogli wleć swoje nogi. Ta metoda pojenia posłużyła osłabieniu koni. Konie niechude, a nóg swoich prawie nie mogą podejmować. Niemcy zobaczyli, że nie ma żadnej korzyści z tego obozu, kazali jechać do domu. Oho, bardzo dobrze! Napili koni jak trzeba, nakarmili i galopem żywe i zdrowe powrócili. Tym razem udało się nabrać Niemców. Na razie rozliczali się z Rządem niemieckim tak, że nie było gdzie podziąć zboża, mięsa i in. Zaczęli z żytniej mąki pędzić bimber. Z jednej stawki, z jednego puda mąki /16 kg/ otrzymywało się 6 l wódki, o 40^o mocy. Nie pędząc samemu, można było kupić za 16 kg /pud/ żyta jeden litr wódki. Kolonie wsi byli po obie strony drogi, Ejszyszki-Żyrmuny. Tam, po drugiej stronie drogi zaczęli urządzać bale w każdą niedzielę po kolejce. Te kolonie pobudowane w jeden rząd wzdłuż łąki nazywano Suwałkami. Dzisiaj u Witukiewicza na Suwałkach będzie bal - mówiono. Oprócz pijatyk zaczęli grać w karty, w oczko /21/, czasami po parę dni i nocy bez przerwy. Grano w karty popijając bimber i paląc papierosa, czasami bez zakąski. Najczęściej zakąsywano kwaszoną kapustą. Dobrej zakąski karciarzom nie dawano dlatego, by się rozeszły. Dla pijatyk były przyczyny - przepić Niemców. A jak zaczęła się epidemia tyfusu, to mówili, że trzeba ratować się wutunią - tak, by być zdrowym. Gdzieś dalej front, okropna rzeź, morderstwo, dużo gdzie głodują, a tu masz tobie, piją, w karty grają choćby co. Czyż nie paradoks? Mówiono, żyeczono sobie nawzajem, żeby nie było gorzej. O takim życiu w niemieckim tymczasowym

zaborze ja nie śmiałem nikomu mówić. Jeżeli bym opowiedział komuś z władzy partyjnej czy tajniaku UB, mógłbym być popłaćć się życiem. Latem 1942 roku ja z mamą pojechaliśmy furmanką do szkoły rolniczej w miejscowości Berdówka, by zobaczyć swoją zabraną klacz i źrebaka. Droga była nie tak daleka, jakichś około 20 kilometrów. Berdówka - śliczny pałac, a dalej od pałacu wzorowo utrzymane stajnie dla koni. Z jednej strony tej ślicznej miejscowości rozpościerał się las.

Dopytaliśmy się, gdzie mieszka mastalarz, który dogląda zabraną od nas klacze pan Romejko. Wytłumaczyliśmy mu, że przyjechaliśmy zobaczyć swojej klaczy. Pan Romejko chętnie i życzliwie przyjął na noc. W ten dzień, pod wieczór wyprowadzono na przechadzkę, nie pamiętam dobrze, chyba około 20 ogierów. Ogiery bardzo śliczne, tłuste jak zarżali, jak pójdzie echo do lasu... jednym słowem było bardzo przyjemnie - czego dotychczas ani razu nie słyszeliśmy. Nie opodał zobaczyliśmy swoją Kasztankę. Podeszliśmy bliżej. Kasztanka nie zwracając zupełnie uwagi rwała i jadła rosnącą jej po kolanach koniczynę. "Malutka" popatrzył na nas i na moje słowa "malutka" choć tu nie reagował jak przedtem będąc tam, gdzie się narodził, gdy przynosiłem mu miseczkę mleka z wbitymi 2-3 jajkami. Porozmawialiśmy z mamą, że jaką mają wygodę, tu nie tak, jak było tam, tam trzeba było ciągnąć wóz, pług, bronę. Trzeba było zarabiać na jedzenie sobie i dla nas. A tutaj... wygodą, że lepszej być nie może. Przenocowaliśmy, niby załatwiwszy sprawę, nazajutrz rano wyjechaliśmy do domu. Załatwiwszy... to znaczy zobaczyliśmy swoją stratę. O nie! nie dlatego przyjeżdżaliśmy, by tylko zobaczyć, a prosiliśmy łaskawie, by pan Romejko w razie czego zabrał do siebie tę klacz i zwrócił nam za dobrym wynagrodzeniem, przecież

tak nie będzie. Niemcy będą musieli wycofać się z naszych, w ogóle z cudzych terenów. Jak ojciec tłumaczył swoim wioskowym, że Niemcy z Sowietami wykrwawią się, a potem, nieza długo, Ameryka i Anglia ich stąd wymiotą. A Rosja po tej krwawej bojni na długo zapamięta, jak odbierać wolność dla innych narodów i państw. To dla Sowietów będzie wielką szkołą. Z zdaniem ojca byłem zgodny i uważałem, że inaczej być nie może. Dalej, z każdym dniem cota z głośniej rozmawiano o wielkiej zorganizowanej armii partyzantów, polskich, a nie tych, jak mówili, ruskich, które na Wisińczy pokazali się parę razy, nawet przejechali się parę razy z harmoszką po bliskich koło puszczy wioskach i siedzieli sobie w głębokim lesie. Jednego razu mój kolega Janek Kaszkiewicz dał mi przeczytać niewielki kawałek papieru i kazał mi przeczytać. Zrozumiałem, że to polska gazetka podziemna "Biuletyn informacyjny". W nim była opisana akcja wyzwolenia polskich partyzantów z więzienia lidzkiego. Czytając zamierała w żyłach krew. To była bohaterska odwaga, bardzo niebezpieczna. Ci bohaterowie, ich 16 ludzi pod dowództwem ppor. Chmara z tego lidzkiego więzienia, jak go nazywano "kamionka" odbito i wyzwolono 77 osób, Jesienią, 1942 roku, daty dobrze nie pamiętam, ojciec, mama i starsza siostra były zaproszone na chrzciny do Butrymowicza Jana. Starsza siostra Jolcia była kumą. Ja z dwoma młodszymi siostrami pozostałem w domu. Siostry poszły spać, a ja długo siedziałem i czytałem książkę "Ogniem i mieczem" przy zawieszonym w kuchni oknie. Okna wówczas zawieszano tak, by nie było widać żadnego strumyka światła. Poszedłem spać dosyć późno. Nagle poczułem jakiś krzyk, i widzę koło mnie stał ktoś z kieszonkową latarką i krzyczał do mnie ręce do góry! Podjąłem. Ten "gość" z latarką zaczął łajać się

"co nie chciał nas wpuścić! Myślał, że my nie wejdziemy! Widzę, że po kuchni chodzą jeszcze parę osób, a ten krzyczy, co najważniejsze, nie podejmuje ręki na mnie. Ja zacząłem tłumaczyć, że nie słyszałem, późno położyłem się spać... może panowie pozwolą zapalić lampę? zapytałem. "Zapal", otrzymałem komendę. Dostyc prędko znalazłem zapalki i zapaliłem lampę. Wziąłem wiszące ze ściany do kieszeni wszystkie klucze. Poprowadzili mnie do pokoju i kazali odemknąć szafę. Odemknąłem. Jeden z nich wsadził rękę i zaczął przebierać wiszące siostry sukienki i bluzki "wszystko damskie" - wymówił i nachylił się patrzeć i macać rękoma, co jest na dole szafy, przecież wszystko trzeba wiedzieć. Zwiadowca był niezły, patrzę, aż wyciąguje butelkę z przezroczystą cieczą i potrząsa przed zapaloną lampą, widać był znawcą bimbru. "Panie poruczniku, co z tym robić - zabrać!" - dał komendę porucznik z cieczą pod nosem, widocznie nie miał chusteczki do nosa. Tymczasem ja zamknąłem na klucz szafę i czekam na komendę, co mam robić dalej. Znowuż jeden facet "panie poruczniku, trzeba jeszcze tam zobaczyć" - kiwnął głową w stronę wyjścia. Porucznik daje mi komendę iść razem na podwórko. Ja wychodzę na ganek, pocisnąłem za kłamek i doszedłem do wniosku, że drzwi ganka zamknięte. - A jak oni weszli wewnątrz - pomyślałem, widocznie przez okno. Kazali mi odemknąć spichlerz, odemknąłem. Widocznie pan porucznik określił, że w spichrze i tylko tam można porozmawiać. Zachodzi jeszcze jeden, jaki miał on stopień wojskowy, to było ściśle tajne. On odemknął stojącą tam w spichrze starą szafę i wziął ode mnie lampę, zaczął kontrolować, co w niej leży. Z półki wziął do ręki szynkę i zaczął się niej przypatrywać, nawet podniósł do swego smarkatego nosa dla organoleptycznego kontrola. Ja stojąc potwierdziłem, że bardzo dobra i smaczna, jeżeli

chcecie, to proszę bardzo. Ten jegomość wyszedł z szynką, ja zaś pozostałem z panem porucznikiem, z którego nosa ciekło, chociaż ciągle szmorgał nosem. Nie było jednak rady, więc wziąłem nos dwoma palcami, wysmarkałem i wyrzuciłem przez drzwi na podwórko. Kulturny, pomyślałem, drugi to by łapnął, jak łapciem na podłogę. Gdy sporządkowałem nos, zaczął mnie badać, tak, bez zapisu, na papierze. "Proszę powiedzieć, może tutaj ktoś ma broń, ubranie wojskowe". - Tego mówię, że nie wiem. Kto i miał wojskowe ubranie, to już znosił do tego czasu za ponad trzech lat. Na tym badania były zakończone. Dobrze się obeszło, pomyślałem, widać jacyś dobrzy ludzie i po pysku nie dostałem, a ta szynka czy butelka spirytusu bimbrowego, to głupstwo, można nawet im i podziękować. Więc ja wsunąłem rękę w zasiek z owsem i dostałem jeszcze trzy butelki żytniówki, domowej, robionej dla siebie, w razie jakichś gości, nawet przefiltrowanej przez drzewny węgiel, nie pozostało jakiegś trucizny, jakichś krokodyłów. Gość czym prędzej te butelki wcisnął do kieszeni i dawaj wychodzić, ja za nim i zamknąłem drzwi spichrza na klucz. Ależ kulturny pan porucznik, nawet i nie podziękował za taką dobrą żytniówkę. Widocznie podziękować dla chłopca nie pozwoliły panu porucznikowi ambicje i jego inteligencja. W ten czas ich reszta stało koło ganka. Było ich około 6 ludzi. Pan porucznik na pożegnanie nawet zagroził: "żeby przez dwie godziny nigdzie nikt nie wychodził, a jeżeli nie, to będziecie spaleni, zniszczeni" i jeszcze tam coś nie pamiętam". Przyrzekłem, że ani komu nie powiem i do następnego dnia nigdzie nie będę wychodził. Zamknąłem na klucz ganek, powiesiłem lampę i zobaczyłem na budzik wiszący na gwoździu na ścianie. Było już około 5 godziny, ucieszyłem się, że wraz będzie świa-

tło, a do tego już powinni wrócić z chrzcin rodzice ze starszą siostrą. Zgasikiem lampę i położyłem się spać. Sen ani jak mnie nie brał. Patrzyłem wciąż w okno. Niebo było roziskrzone gwiazdami. Niezadługo w oknie pokazała się jakaś większa gwiazda, która jak strzałka godzinowa zegarka poruszała się w prawo, tak niezauważalnie, ale dosyć szybko. Widzę już z jednej szyby przechodzi na drugą i dalej. Sen mnie ani jak nie bierze. W głowie przechodzą rozmaite myśli. Nie szkoda mi było ni wódki, ni szynki, ale wciąż myślałem o wybitym oknu w pokoju. Skąd weźmiemy szkła w takim kryzysowym czasie. Jak to będzie zimą z zamkniętym jakimś szmatami oknie. Coś mi nie chciało się wierzyć, że byli to polscy partyzanci Armii Krajowej. Pan porucznik zupełnie nie wyglądał na porucznika. A może... Wtem jakoś zaczęły się nużyćroczy. Nie wiem ile czasu ja zdrzemałem, przez sen usłyszałem za oknem rozmowę. Zakupano w okno i ja skoczyłem z łóżka i czym prędzej podbiegłem do okna, bo myślałem, że to pan porucznik ze swoją świtą, żeby nie wywołać gniew. Okazało się, że do okna zapukał ojciec. Odemknąłem drzwi, było ich czterech. Zapaliłem lampę i zobaczyłem, że przypro-wadził siostrę z chrzcin kum, chrzczonego dziecka matki rodzony brat-Trocki Antoni. Wszyscy "pod muchą" głośno rozmawiają, a ja krzyczę cicho! Cicho! Siostra zaszła do pokoju i od razu się zaniepokoiła, a to co! a ja cicho! Zaraz opowiem od samego początku. Do pokoju zaszli ojciec i matka. A co z oknem? - zapytał ojciec. Zaraz, zaraz, dajcie odetchnąć... nie tak dawno byli goście, cicho rozmawiajcie, bo mogą wrócić i zacząłem od początku... Widać, że byli dobrzy ludzie, bo z szafy nic nie wzięli, tylko tę butelkę spirytusu... ja im odemknąłem szafę i zamknąłem. Klucze

byli u mnie, więcej z szafy nic nie wzięli, powiedzieli, że tu nic nie ma, tylko panienskie, do kufra wsadzili rękę do dna, też po skontrolowaniu ja zamknąłem na klucz. Potem poszliśmy do spichrza. Wzięli z półki kumpiak i więcej nic. Pytali się, może u kogo jest broń palna, ubranie wojskowe, za to, że nic więcej zła nie zrobili ja im jeszcze z zasięka oddałem trzy butelki żytniówki. Więcej nic nie zabrali. Ojciec nie zcierpiawszy, o mało że nie wyraził się po łacinie "mać ich tak a tak bandyci". Ja na to: cicho tatuś, bo oni może pod ścianą stoją i słyszą. "Bandyci, złodzieje, psia ich w majtkach" - twardym głosem wypowiedział ojciec. Mama tylko patrzyła na mnie, wszyscy stali cichutko, jak gdyby to rozważali, co zaszło w tym domu, w ich nieobecności. Mama na ojca, ty zobacz pod materacem, pod łóżkiem czy jest nowy kozuch, tylko co usąty dla wyjazdów". Ojciec nachylił się i podniósł się z kolan, tylko wymówił: "ani ducha". Otwarte naścież okno ojciec zamknął. Brakowało jednej długiej szyby. "Zobaczmy pod oknem z zewnątrz, jak będzie światło" - powiedział. "Bandyci, złodzieje, oni nie są partyzantami, oni kompromitują należytą Armię Krajową. Tamci tak nie robią, nie rabują". Ojciec był widać zdenerwowany "nie wzbogacą się czytając pracą złodzieje... nieś czegoś na ząb położyć - powiedział do mamy. Wziął ode mnie klucze i poszedł do spichrza. Przyniósł butelkę żytniówki i postawił na stół, "wypijem panie kumie" - powiedział. Ja poszedłem spać. Nie pamiętam, czy choć trochę zasnąłem. W pokoju słychać było głośno rozmawiali. Głośną rozmowę można było rozróżnić kuma Trockiego Antoniego. Kum był zamożnym gospodarzem, posiadał całą włokę ziemi /około 24 ha/. Ojciec z kumem nawzajem zwracali się

między sobą "Panie dziedzicu". Ojciec wówczas miał 40 lat, a trzydzieści z hakiem miał "Pan dziedzic" - kum. Było to z soboty na niedzielę. Na jutro wszystko załatwiwszy z żywiołą poszedłem na starą wieś tam, gdzie zawsze spotykaliśmy się z kolegami, w domu Ziemienczukówny Walentyny. Ja z nią sympatyzowaliśmy się nawzajem. Kochaliśmy się od dzieciństwa konspiracyjnie. Czasami pocałowaliśmy się, ale tylko w policzek, pocałunek w usta będzie o wiele później. Gdy zaszedłem, głośno zaczęli śmiać się ze mnie. Od razu nie zrozumiałem w czym rzecz. Gdy zaczęli wypytywać, jak ja twardo spałem z wieczora, aż do południa. Zrozumiałem, że wiedzą już o gościach nieproszonych, które zawitali wśród nocy. Ale skąd wiedzą? - niedoumiewałem. Widać było po zachowaniu się, że razem z gośćmi był o wiele starszy ode mnie Kaszkiewicz Janek. Nie gniewałem się na niego zupełnie. Wiedziałem, że jego brat Stanisław ma związek z jakąś "paczką". O wiele później mnie pokazywał Janek Kaszkiewicz rewolwer "siódemka belgijska" - mówił. Był on mały, nie większy dłoni człowieka. Niby żartem niby na serio mówił mnie, żebym ja porwał stosunki z Walentyną. To już była groźba, a miałem dopiero tylko 17 lat. Zginąć, odejść z tego świata po tej tylko przyczynie byłoby głupio i nie patriotycznie. Co innego zginąć za ojczyznę, żebym na wieki było wyryte na kamieniu moje nazwisko wśród innych poległych za ojczyznę - choć dzisiaj, zawsze, w każdej chwili. Z tej właśnie przyczyny zaniechałem spotkania z Walentyną. Gdy wychodziłem na wieś, to tylko do Swiatłowskich lub też gdzie indziej. Nie mogłem nie być czasami na wiejskiej potańcówce, na zabawie - tak nazywanej. Przecież tak chciało się posłuchać muzyki harmonii czy akordeona. Najgorzej było latem, gdy zaczynała się kośba, a tro-

chę później zbiór plonów. Ale mnie wybawiało siano w stodo-
le, gdzie spałem przez całe lato do późnej jesieni. Więc
po wczesnej kolacji szedłem spać do stodoły, słysząc melo-
die walca czy skocznej polki w sąsiedniej wsi, albo też za
drogą na "Suwałkach". Jak można było położyć się spać...
Stałem odzianym za drzwiami, a gdy usłyszałem strzęk klucza
w ganku, ostrożnie, po malutku, by nie skrzypiały drzwi
stodoły wychodziłem i biegiem, zajęczym kłusem pędziłem
na "Suwałki". Wieczorynki były w domu Pietraszko Dominika
albo Zdanowicza Dominika, właściwie gdzie była większa
sala i drewniana podłoga. Dlatego, że wówczas nie mieli
drewnianych podłóg około 70 proc. domów mieszkalnych...
Jednego razu dom, gdzie była wieczorynka był okrążony par-
tyzantami i kazano wychodzić wszystkim przez drzwi. Koło
okien stali partyzanci z bronią, a wychodzących przez drzwi
rewidowano, szukano broni palnej. Nie wiem, czy u kogo coś
znaleźli, ale wszystkich rozpędzili przedwcześnie jak zaw-
sze rozchodzili się bez przymusu. Bywało, że wracam do do-
mu przy śpiewie skowronka i tylko zdążysz położyć głowę do
poduszki, już słychać strzęk klucza w drzwiach ganka domu
i za parę minut słychać stukanie klamką drzwi stodoły "Wste-
waj, już czas". Odzywam się, mama odchodzi do chlewa doić
krowy. Czasami jeszcze tylko przyłożę głowę do poduszki, a
już drugi raz stuk w drzwi - to już mama krowy wydoiła, a
ja wstaję i idę chwiejąc się do studni i umyвам zimną wodą
twarz - tak lepiej czuje się, więcej rzeźko. Tatusz jakoś,
mnie się zdaje, że więcej żałował, pozwalał więcej odpo-
cząć. Ojciec tymczasem już doprowadził do porządku kosa i
szliśmy kosić. Łęka była w trzech miejscach: 3 ha błotnis-
tej koło rzeki Dzitwa, 2,5 ha koło wsi Straczuny, mróg

część porośnięta olchą. Koło zagrody mieliśmy 2 ha na pastwisko. Będąc na wsi zawsze nigdy nic nie chciałem - tylko by wyspać się do syta. Było jeszcze dobrze, gdy byłem w domu ojciec, ale gdy ojca aresztowano, to już dla mnie było we dwoje ciężiej, czasami zupełnie ciężko. Kosić dobrze jeszcze przy rosie, ale gdy słońce wyżej się podejmie - wówczas było o dwa razy ciężiej. Do domu powracałem zupełnie zwiędłym. Jak mówiono: jeżeli znienacka zaczepisz nogą za słomkę i możesz upaść. W domu już był zgotowany barszcz z kawałkiem mięsa. Nigdy nie skarżyłem się na apetyt.

O Armii Krajowej zaczęto mówić coraz głośniej. Mówiono, że już są zorganizowane całe dywizje, a to już jest siła. Było to w sierpniu 1943 roku. Za rzeką Dzitwa w stronę Horodna usłyszeliśmy huk wystrzałów, a trochę później silną detonację, jak gdyby to wybuch jakiejś bomby. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że rozbrojono około setki Niemców i policjantów. Wszystkie dobro z pałaca zakadowano i wywieziono ze sto furmanek. A żeby Niemcy nie osiedlili się, znowuż pałac wysadzono w powietrze. Po tej akcji AK czuliśmy się o wiele bezpieczniej. Żandarmi z Radunia lękali się robić napady i wyjazdy do wiosek i osiedli. Ojciec dowiadywał się z radia i gazet, że Niemcy czują się nie bardzo dobrze. Sowietci idą górą i wygrywają ofensywy wycieśniając Niemców, zdobywając coraz to nowe miasta i osiedla. Mężczyźni zaniepokoiли się, że wkrótce skończy się ta zacisza. A tymczasem pędzono bimber, żytniówkę, każdą niedzielę młodzież organizowała potańcówkę, wieczorynkę, wypiwano żytniówkę i śpiewano:

... Czerwone jabłuszko rozkrojone na krzyż,
Czego ty Hitlerze, krzywo na nas patrzysz.

Czerczel za wodą, Ruzwelt za wodą,
 Uciekaj Hitlerze, bom cię powiodą,
 Choć ty czołgi masz, samoloty masz,
 Ale ty Hitlerze wojny nie wygrasz.

Czego ty Hitlerze nad Lamanszem stoisz,
 Czy ci słońko piecze, czy się deszczu boisz.

Czerczel za wodą, Ruzwelt za wodą,
 Uciekaj Hitlerze... itd.

Mi oś nawaliła, dlatego tu stoję,
 Ni mi słońko piecze, ni się deszczu boję.

Czerczel za wodą, Ruzwelt za wodą... itd.

Przez dłuższy już czas panuje cisza jak gdyby to nadcho-
 dziła jakaś olbrzymia po swej wielkości i sile burza. Po
 większych lasach stacjonowali się jednostki wojskowe Armii
 Krajowej. Latem 1943 roku, pamiętam w niedzielę rano przy-
 jechał na koniu w siodle do sąsiada B.W. jakiś wojskowy w
 mundurze armii polskiej. My, koło domu swego z ojcem i mamą
 obserwowaliśmy w czym rzecz, jaka cel przyjazdu takiego goś-
 cia. Myśleliśmy, może jakiś z tych "poruczników", które przy-
 zwyczajili się robić wypadły do co bogatszych gospodarzy. Nie
 po kryjomu, nie! Prosto tak, bez pardonu gospodarz musiał
 wpuścić wśród nocy do swych posiadłości. Ci, goście, pewni
 siebie, kontrolowali, "sprawdzali" w szafach, kufrach i in-
 nych kryjówkach - gdzie co leży. Oni, "porucznicy", decydo-
 wali co pozostawić dla gospodarza, a co mieć nie miał pra-
 wa i zabierali na "odbudowę" Polski Niepodległej. "Poruczni-
 kom" byli "awansowani" niektóre z naszej wsi tam, gdzie da-
 lej, za kilka kilometrów, a tamci na przykład w naszej wsi.
 Przecież "pracując w podziemiu" musieli ściśle ukrywać swą

tożsamość. Uważali, że bardzo jest niesprawiedliwie, że więcej pracujący, a może i nie, miał więcej od nich. A tak pójść i zabrać w biały dzień słoninę czy coś podpatrzonego, z ubrania, możesz kaczergą po łbie dostać i płakać wstyd... Patrzymy dalej, już widać jedzie z powrotem, a z nim pieszo w ubraniu wojskowym z opuszczonym karabinem idzie obok konia sąsiad. Kto to był konny wojskowy i czego, po co zabrał ze sobą sąsiada ubranego jak na defiladę? Tylko przez kilka dni dowiedzieliśmy się, że w ten dzień byli zabrane nie tylko sąsiad, ale kilka ich "poruczników". Kazali położyć broń, ubranie wojskowe, dostali po miękkim miejscu nie wiem ile wyciorów i zostali uprzedzeni, że jeżeli jeszcze ktoś z nich spróbuje "porucznikować" - będą skazani przez sąd polowy na karę śmierci. Po wizycie wojskowego na koniu, okolicznie nie było słychać wizyt "poruczników". Dalej panowała cisza. Pewnego wieczoru zaszli do nas dwóch młodych żołnierzy AK. Ojciec dał mi zadanie razem z żołnierzami przejść część kolonii wsi od A do C, po tej stronie drogi, a po drugiej na "Suwałkach" pójdzie ojciec sam. Ci chłopcy AK byli zupełnie nie znajomi, jeden z nich był Romek, a drugi Leszek, mieli nie więcej niż po 20 lat. Skąd oni pochodzą, z jakich stron, było niewiadomo, i nie starałem się dowiedzieć. Nie wiem, czy autentyczne ich były imiona, przecież oni byli w konspiracji. Chodząc od domu do domu zbieraliśmy co kto mógł dać. Niektórzy pytali u mnie, co w takim wypadku dać, co dają inni. Nikt nic dla nich nie żałował. Najwięcej dawali po kawałku solonej słoniny, a niektórzy dawali jeszcze w dodatek po parę kiełbas - swojej wiejskiej roboty. Ja, chodząc pomyślałem, gdzie teraz, w tej chwili, sąsiad Jankowski Józef, który tak, jak te dwaj, może gdzieś zbiera dla swych kolegów,

bym nie głodowali, aby byli syci idąc gdzieś na organizowaną, zaplanowaną starannie akcję. Gdzie on teraz? Jesienią przynosili do nas, a pewien człowiek zabierał maskując na pierwszy rzut oka, w słomie na wozie rozmaite wełniane rzeczy: swetry, rękawice, skarpetki, szaliki. Wszystko to było zrobione w tych domach, gdzie są panienki na wydaniu. Przygotowanie tych rzeczy byli zamówione ojcem w każdym domu. Na takie coś nie robiono walnego zebrania, przecież to wszystko było potrzebne dla podziemnej AK, dla swoich chłopów. Pewnego razu przyjechali furmanką z prośbą do ojca, bym dla AK dla kuchni polowej, przy krótkim postoju potrzebny jeden kaban przeszło 100 kg. Ojciec pomyślał, kiwnął głową na gości i wyszli na dziedziniec. Ja stałem na ganku. Widzę, ojciec poprowadził pod chlewik, gdzie stały świny. Patrzę dalej... wypuska jednego i zamyka drzwi. Jeden z żołnierzy wyjmuje z pochwy brauning i strzela do prosiaka, ten przekulił się, a ojciec nożem jego i poszła krew. Prawidłowo pomyślałem - trzeba wypuścić krew. Żołnierze załadowali do woza, pokłonili się podając ojcu rękę - pojechali. Ojciec dla mamy w domu powiada, co ja będę za jednego kabaną zbierać składkę we wsi... lichy z nim, z tym kabanem... żeby na tym kończyło się, to byłoby bardzo dobrze. Na zdrowie dla naszych żołnierzy. - My siedzimy w domu, w cieple, czujemy się jakoś bezpiecznie, a oni biednieńkie, czy deszcz, czy śłota, czy spiekota - nikt ich nie pożałuje, ni ojciec, ni matka - z jakimś bólem wypowiedziała się mama. Natomiast na wsi i dalej spokojnie i cicho. Kontynuowali dalej profilaktykę leczenia się od tyfusu i karosty przezroczystą żytniówką. W naszym domu na tyfus nikt nie chorował. Dla mnie pierwszemu w domu zaczęły świerzbieć ręce

44

między palcami, później zaczęło swierzbieć całe ciało. Trzeba było się leczyć - ale czym? Ktoś poradził leczyć się nawarem tytoniu. Więc mama do kipiącej wody nałożyła dużo badylów tytoniu. Na szczęście, jego było w dostatku, gdyż na wsi palono tylko samosad. Palił i ojciec, a dlatego każdy rok sadził dużą grzędę tytoniu. Dojrzałe liście zbierano iłożono do kupy. Przez parę dni we środku kupy zaczyna się być gorąco. Wówczas nizanano na grubą nitkę, przywiązywano do żerdzi i zawieszano pod strzechą. Liście w środku kupy stają się żółte, jeżeli ich więcej przetrzymać - zgniją. Żółte, wyschłe liście, jeżeli dobrze drobno pokrajać - to wygląda, jak kiedyś za dobrych czasów tytoń "wiarus". "Kto zapali, ten pochwali", pisano było na opakowaniu. Bibułki, jak kiedyś "Poniatówki" nie było, więc papierosa kręcono w gazecie. Późną jesienią wyrąbywano siekaczem badyle, zbierano z nich dojrzałe nasiona, a resztę stawiano pod ścianą. Te właśnie badyle używano do leczenia karosty. Jak wspomniałem, łożono do gorącej wody i stawiano do gorącego pieca. Za pół godziny wyciągano z pieca i wylewano do balej czy wanny, siadano w niej i płukano swierzbiące miejsca, a później zmywano się czystą ciepłą wodą. Z początku żadnych maści od karosty w raduńskiej aptece nie było. Później już trzeba było zanieść nie solonego tłuszczu i aptekarz robił siarczaną maść. Jednego razu patrzymy w stronę naszej zagrody jedzie jakaś taksówka /samochód osobowy/. Wychodzi z niej wysoki chudy Niemiec i pyta się u mnie po niemiecku, czy mamy wielkie świnie. Ja jemu jak umiałem, tak po niemiecku odpowiedziałem, że innych świń nie mamy, oprócz tej, co chodzi po podwórku z małymi prosiętami. O, nein! - odpowiedział Niemiec i się

zapytał, skąd ja umiem po niemiecku. Odpowiedziałem jemu, że uczyłem się w szkole, a teraz mam podręcznik niemieckiego i nadal się uczę. Niemiec poklepał mnie po ramieniu, dostał z kieszeni papierosa i chciał poczęstować - nie wziąłem, powiedziałem, że ja nie palę. Poklepał mnie jeszcze po ramieniu i odjechał. Patrzyłem w ślad, gdzie on pojechał, nie daj Boże, bym zajechał i wziął kabana u sąsiadów. Ci mogliby pomyśleć, że ja naprowadziłem, ale ten Niemiec wyjechał na drogę i pojechał dalej. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że w sąsiedniej wsi zabrakł kabana. Oficer ten był ubrany w wojskowe polowe ubranie, widocznie jechał z frontu.

Żyliśmy codziennie w jakimś strachu, nie pewni jutra aż do wiosny 1944 r. Mówiono i proszono Boga, żeby tylko nie było gorzej, jak mamy teraz. Maj miesiąc podchodził ku końcowi. 20 maja w sobotę pod wieczór usłyszeliśmy w stronę powiatowego miasteczka Raduń pojedyncze strzały karabinowe, zmieniając się seriami strzałów z broni automatycznej i CKM-ów. Był cichy, pogodny podwieczorek. Nawet dobrze było słychać rozkaz przez megafon "Szwaby, zdawajcie się!" Głos spikera przerywały serie broni mechanicznej. Słowa "Szwaby, zdawajcie się!" było powtarzane kilka razy. Nie trwało to długo i nastąpiła cisza. Stało ciemnieć. Przypatrywaliśmy się, w stronę Radunia czy nie widać, nie daj Boże, pożarów. ^{Zrozumielismy}Sciemięliśmy. Zaczęło się cicho-cicho. Wiedzieliśmy, że żołnierze Armii Krajowej spekniali kolejną akcję rozbrojenia żandarmerii i policji. Bardzo ciekawiło o szczegóły tej akcji, ale to już nie na dzisiaj i czekaliśmy jutrzejszego dnia. W tę noc do głowy przychodziły rozmaite myśli. Co będzie dalej, teraz Niemcy mogą mścić się, może być łapanka, egzekucja i kto wie, co jeszcze mogą narobić... Jak zawsze mama wstawiała

pierwsza. Jakoś ja zerwałem się z łóżka, mama mnie powiedziała, żebym pospał dzisiaj - przecież mamy niedzielę, a na podwórku cicho-cicho, a ni-nic nie słychać - jakby wiedząc, co mnie interesuje - powiedziała. O godzinie 10 rano pojawił się nad Raduniem samolot. Warkot jego przybliżał się, to na jakiś czas zanikał i tylko było słychać detonacja bomb, tam, gdzieś za Raduniem, w lesistej miejscowości. Tam samolot kręcił się w powietrzu prawie do obiadu, a później znikł. Nastąpiła cisza-cisza. Ale wszystko jakoś było nie swojsko, jak gdyby to ta cisza zapowiadała jakąś burzę. Nikt dalej od swojej zagrody nie odchodził, jak tylko do bliższego sąsiada. W ten dzień, w niedzielę, nad zachód słońca - widzimy jadą od strony Bastuny na Raduń dwa pancerne samochody i jedna ciężarówka. Po ciele na ten widok przeszedł dreszcz. Spodziewaliśmy się zemsty. Natężyliśmy słuch w stronę Radunia. ... Przez dłuższy czas panowała zwykła cisza. Wnet nad zmrokiem zobaczyliśmy na szosie powracające te same dwa pancerne samochody i jedną ciężarówkę. Naza jutrz dowiedzieliśmy się, że oddział AK, po udanej akcji, zabrał do niewoli wszystkich Niemców, żandarmów i z luftwaffe. Zdobyto było dużo broni, amunicji, a najważniejsze, że była zdobyta radiostacja luftwaffe. Wszystkich Niemców zabrano do lasu, a jednego z nich zwolnili i dali zadanie, że niewolników wypuszczą wówczas, gdy wypuszczą Niemcy polskich niewolników-więźniów z więzienia w m. Lidzie, ewentualnie zrobić zamianę. Niemcy przywieźli więźniów AK dla zamiany. Ponieważ na rzece Radunka został spalony most, Niemcy musieli zatrzymać się nie dojeżdżając 0,5 km do Radunia. Jeden z Niemców z białą chorągiewką przyszedł do miasteczka

47

i poprosił o skontaktowanie się z oficerem AK. Natychmiast było powiadomiono, no i rychło przyjechał na ślicznym koniu oficer w asyście adiutanta. Domówili się o zamianie. Niemcy przyprowadzili Polaków, a Polacy Niemców i została wykonana zamiana. O tym powszechnie opowiadano, chociaż w książce autora Janusza Prawdzic-Szlaskiego "Nowogródzczyzna w walce 1940-1945" o tej zamianie ni słowa. Samolot, który latał nad Raduniem i dalej, zrzucił kilka bomb w lesie około wsi Sołtaniszki, nikomu te bomby nie zaszkodziły. Po tej akcji w ogóle stało spokojnie i cicho, za to wkrótce stało słychać na wschodzie głuche detonacje bomb i artylerii. Burza wojenna nadchodziła ze wschodu. Straszno było pomyśleć, że przyjdą Sowieci. W nocny czas wrzało w powietrzu. Samoloty słychać wysoko latały na wschodni-zachód i zachodni-wschód. Z miasta Lidy przejechał do wsi Zdanowicz Eljasz, z rodziną pan Cieślak Antoni. W Lidzie posiadał on warsztat tokarski, na którym wyrobiono kołowrotki, sita, rozmaite śliczne rzeczy z wykliny i jeszcze tam coś. Uciekli od bombardowania, front przybliża się z wielkim tempem - mówił. Za kilka dni będą już tutaj Sowieci. Kanonada na wschodzie była z każdym dniem wyraźnie głośniejsza. 8 lipca, pod wieczór poszedłem powinszować koleżankę Rusielewicz Elżbietę z dniem imienin, ale długo nie mogłem tam być i zwróciłem czym prędzej do domu. Samoloty latały nie wysoko, bo warkot motoru był o wiele głośniejszym jak przedtem. Tu i tam widać paliły się zawieszane w powietrzu jakieś latarnie. Strach mnie ogarnął jeszcze większy. Na podwórzu pod ścianą stali wszyscy z domu. Nikt nie spał. Nagle usłyszeliśmy silną detonację, aż zadrżały ściany. Ojciec powiedział, że gdzieś bardzo blisko jest zrzucona bomba, gdzie koło drogi. Mama mi dała wymówkę, że

ja gdzieś w teki czas wałęsam się. Milczałem, niby to czułem się winnym. Aż nagle gdzieś z drugiej strony dziedzińca odczuliśmy silny wybuch, aż powiało wiatrem. A noc była cicha-cicha i pogodna. W powietrzu nadal wisiąły jakieś latarnie. Znowuż były słychać detonacje bomb w stronę miasteczka Żyrmuny, ale już to było o wiele dalej. Po tych detonacjach widać było od razu małe, a później coraz większe żarzenie. Coś paliło się. Mama stała koło ściany i słychać było mówiła po cichu: - "Nie daj Boże, już komuś coś się spaliło, nie daj Boże, żeby bomba popadła w dom... może kogoś zabiło" - przemówiła mama. Na jutro dowiedzieliśmy się, że bomba pierwsza upadła na pole z żytem, które już dojrzewało do zbioru, należące do Zdanowicz Adeli, blisko domu mieszkalnego. Nikomu szkody nie wyrządziła, tylko w miejscu wybuchu była do kolana jama - jama i dookoła niej na 20 m było wypalone żyto. Druga bomba była zrzucona też do dojrzewającego żyta z identycznie wyrządzoną szkodą. Mówiono, że to były bomby małego kalibru - 50-100 kg. A w trzecim kierunku, rzeczywiście w Żyrmunach, od bomby spalił się młyn. Ofiar w ludziach nie było. Sąsiedzi w czasie żniw wyrządzoną szkodę przez bomby dla poszkodowanych zrobili składekę po 10 snopów, dlatego, że ci poszkodowani żyli w gorszych materialnych warunkach. Był to dobry dobrosąsiedzki gest. Mamy brat Zdanowicz Julian poradyjnie, jak nadaje moskiewskie radio, tak jak spiker radiowy mówił: "W noc z 8 na 9 lipca nasi bohaterze lotnicy w masowym bojowym wylocie wyrządziły w tyle wroga wielkie straty. W rejonie Raduń zbombardowano odstępujące w chaosie żywą siłę wroga. Dla wroga naniesione wielkie straty w sile i technice. Zostały zabite i ranne setki niemieckich żołnierzy i zdrajców wiasowskich. Bombardowanie składów wojennych

wywołało lunę pożarów. Bombowce bez żadnych strat powróciły do swoich jednostek wojskowych". Sąsiadka Zosia, Kaszkiewiczowa Jerzego żona, wysłuchała ten komentarz radiowy i coś w niedoumieniu zapytała: "a gdzie to pod Raduniem tyle było zabitych, gdzie i jakie składy wojskowe paliły się, kiedy to było - ja nie słyszałam?". - "Co i nie słyszała, i nie wiesz co wczoraj w nocy działo się?" - zapytał na serio dziadzio Zdanowicz. - Dalpan nie słyszeliśmy. Ja nie mogłem wytrzymać i zaśmiałem się, uśmiechnęli się wszyscy obecni. Sąsiadka pani Zosia stała i jak widać było, nie zupełnie zrozumiała o co chodzi. A tymczasem szło lato w pełni, jak zawsze ciepłe, kwitnące na łąkach i polach. W gumnach już pachniało miodem świeże z kwitnących łąk, siano. A jak spać na nim jest przyjemnie! - trudno opowiedzieć. Ze wschodu coraz głośniej były słychać detonacje artyleryjskich pocisków, oznajmiających o przybliżeniu się działkań wojennych. Jako i wszyscy mieszkańcy zaniepokoiłiśmy się, co robić. Uciekać? Ale gdzie, dokąd. Do tej rozmowy ja nie wtrącałem się i nie mogłem mieć pojęcia, co się robi w takich wypadkach. Roiko mi się w głowie, a co można zrobić? Wiadomo, co my robiliśmy po 17 września 1939 r. i po 22 czerwca 1941 roku. Nic nie robiliśmy! Ale te przybliżające się ze wschodu wielkie "grzmoty" przewidywało wielką burzę. A może tak przejdzie jak wichur... Ogarniał jakiś strach, aż ciarki przechodziły po ciele. Po szosie ze wschodu na zachód pojawiły się samochody i furmanki. Mówili, że front już blisko, z parę dziesiątków kilometrów. Furmankami i samochodami uciekały na zachód własowcy - Ukraińcy, którzy wiernie służyły Niemcom. Uciekali też i Litwini, służące wiernie policji niemieckiej. Szczegól-

nie własowcy /ukraińskiej narodowości też wiernie służący Niemcom/ zajmowały się rabunkiem i gwałtem. Wszędzie i wokół szła pogłoska o nie pokazywaniu się na oczy młodym kobietom i dziewczynom. Front tymczasem już był blisko-blisko, spodziewano się przyjscia Sowietów wieczorem, dzisiaj albo jutro na ranku. W domu narada, co robić. Domówiliśmy się, że ja ze starszą siostrą i młodszymi siostrami pędzimy żywiołę na łąkę pod rzekę Dzitwa i czym dalej od drogi, i tam, gdzie więcej krzaków. Zapędziłem z siostrami żywiołę i wróciłem się zabrać razem klacze. Zobaczyłem - ojciec wykopał i zrobił w sadzie schron. Od zabudowań metrów na 5 od domu mieszkalnego, chlewa i stodoły odpiłował drewniany sztankietowy płot. Żeby z pożarem jakiejś zabudowy pożar nie mógł przenieść się na inną budowę. Mama mi włożyła do torby pół bochanki chleba, ser biały twarogowy i chciała położyć kilka jaj - nie wziąłem, dlatego że mogłem łatwo ich rozbić. Usiadłem ja konno i jadę nad rzekę, nie po łące, a polnej drodze. Ni z tego ni z siego słyszę od strony drogi Ejszyszki-Żyrmuny wystrzał. Ja zeskoczyłem z konia i skręciłem w lewo na łąkę, w krzaki. Zobaczyłem na drodze, tam jechali kilka konnych w jakimś ciemnym jednakowym ubraniu - policjanci - pomyślałem, a ci pojechali dalej. Pod rzeką było wielkie stado krów. Ucieszyłem się, że będę ja nie jeden, ze swoimi siostrami. Tak będzie smagłej, weselej w tak straszny czas. Wszystkiego nas było więcej 20. Byli to moje rówieśnicy i kilku było od nas starszych ludzi. Przeważnie z sąsiedniej wsi Składańce, do której ja chodziłem do szkoły. Łąka, na której byliśmy, też nie nasza i nie z naszej wsi. Starsi rozejrzeli się dookoła i mówią, że stado trzeba podpędzić dalej, tam, gdzie więcej krzaków

kozy i większa odległość od zabudowań z jednej strony rzeki i z drugiej. Będzie bezpieczniej - mówili. W takiej kompanii czuliśmy się bez strachu i nikt nie udawał siebie tchórzem. Nie zauważyliśmy, jak zaszło słońce i zaczął się zmrok, aż zrobiło się ciemno-ciemno. Gdy ściemniało, ucichły wystrzały, tylko były słychać gdzieś blisko pojedyncze po tamtej stronie rzeki, we wsi Wojkuńcy. W niebie rożko się od warkotu samolotów. Nad nami kilka razy przelatywał tam i z powrotem zupełnie nisko dwupłatowiec. Gdy on nadlatywał, patrzyliśmy do góry i rozmawialiśmy po cichu - żeby nie usłyszał pilot. Tak nam się wydawało. Na pojedyncze wystrzały karabinowe nie zwracaliśmy uwagi. Aż widzimy coś błyska po tamtej stronie rzeki. Nagle ogień się powiększa i dobrze było widać pożar. Określiliśmy, że pali się jakieś zabudowanie Adamonisów. Tam, w tym kierunku, gdzie pożar, około jakich 400 metrów były zabudowania dwóch braci Adamonisów. Na jutro ujrzeliliśmy, że to spaliła się stodoła. Mówiono, że zapalono tę budowę specjalnie, by odznaczyć linię frontu. Chyba, że tak, sama stodoła się nie zapaliła. Tę noc prawie nie spaliśmy, tylko nad ranem zdrzemnęliśmy trochę. Obudzili nas rano, rano, o wschodzie słońca kobiety co przyszły z wiadrami doić swoje krowy. Trochę później przyszła mama, ale bez wiadra. Powiedziała pędzić swoje stado do domu. Już szosą poszli Sowieci, Niemców też nie widać. Sowieci już w Raduniu, a może i dalej. Nasze krowy z przychówkami pasli się na tej łące w jednej grupie nie łącząc się z drugimi. Tylko nie było wielkiego byka. Widocznie przyłączył się do innych "panienek" - pomyślałem. Obeszłem całe stado i nie znalazłem. Nic więcej nie miałem robić, jak zabrać klaczkę i wracać do

domu. Poprosiłem swoich składańskich kolegów, że zawiadomi-
li, jeżeli dowiedzą się, gdzie on teraz. Szosą przerwami
jechały samochody ciężarowe.

Ważniejsze błądy dostarczone w druku
 rozdz. IV. Hitler Kaput

str.	która	jest	ma być
8	7 od dołu	trzy lata młodszy	trzy lata starsi
8	6 -u-	1927 rocznik	jako 1927 rocznik
16	14 od wierzchu	pod Modziejkiem	pod Modlinem
18	3 -u-	Pietraszko Bronisława	Pietraszko Bronisława
19	3 -u-	Lagrodzono	zagrodzono
25	6 od dołu	(puste miejsce miejscu	obok kościoła Sarnego Biednej
31	7 od wierzchu	wsz Paszkowce	wsz Paszkowce
39	16 od dołu	żeby w jednym miejscu	żeby w tym miejscu.
41	10 -u-	a może diabli	co może diabli
42	12 -u-	złota	placeli
45	7 od wierzchu	złota	rabowali swoich
50	4 -u-	nie posadzonego	nie posadzonego
52	4 od dołu	przypominać się	nie przypominać się
57	5 od wierzchu	jęłci gęsi	jęłci gęsi
57	12 od dołu	Sprekujęcyh.	Sprekujęcyh
60	14 -u-		

J. Bolewit

która 13 i 14, od dołu, na str. 27 wykreślam, proszę
 że o tym piszę nie ma potrzeby, nie pomyślane.

J. Bolewit

Hitler kaput

Z jednej strony cieszyliśmy się, że front działań wojennych zapowiadanych wielkimi "grzmotami" błyskawicznie przeszedł i przeniósł się hen dalej - gdzieś pod Grodno. Jak to często bywa z nadchodzącą ciemną chmurą, częstymi grzmotami i uderzeniami piorunów w asyście z rażąca wzrok błyskawicą, przechodzi prawie na sucho tylko trochę wkrapiając ziemię jak ksiądz kropidłem na "Asperges me" - w kościele. Dziękowaliśmy Bogu, że ta burza przeszła szczęśliwie i prawie nie wyrządziła, okolicznie, żadnej szkody. Obawialiśmy się natomiast, jakie będą stosunki Sowietów do miejscowej ludności. Czy i kiedy, i w jakim stopniu zaczną się represje. Od razu, czy po skończonej wojnie. Widać było, że przewaga Sowietów z aljantami nad Niemcami była znacznie większa. Tymczasem przeszedł już drugi dzień, jak skończyła się niemiecka okupacja i zaczęła się, odnowiła się inna. Trzeba było szukać swego bugaja. Wszędzie pytałem się w sąsiedniej wsi, ale tam jego nie było. Radzili schodzić za las do wsi Maguny czy Pliki, dlatego że najprawdopodobniej on może być tam. Aż na trzeci dzień przyszedł mój kolega Przeplasko Feliks i zawiadomił, że jakiś byk znajduje się we wsi Pliki. Nakazywali, żeby go czym prędzej zabrać. Poszedłem. W zagrodzie Gruździsów zobaczyłem stoi i odpędza ogonem owadów. Wyszła na dziedziniec pani Gruździsowa i mówi: - "Bardzo dobrze, że przyszedłeś po tego diabła. Toż taki jest zły, że nie dopuska do siebie nikogo, bardzo jest agresywny". Zamówiłem ja do niego "Kasztan" choć tu! On podjął głowę i zamyczał. Podeszedłem do niego, pogłaskałem po twarzy, po bokach, nałożyłem na rogi wierówkę, jeszcze raz pogłas-

2

kałem po głowie i poprowadziłem. Widać, że był głodny i czasami zmuszał mnie przystanąć, gdy po drodze idąc zaczął zrywać trawę i jeść żarłocznie. Czasami stawałem na chwilę, by pozwolić mu oddalić głód. Spotkałem nieznanego w sędziwych latach człowieka. "Dokąd?" - zapytał. "Widziałem tego bugaja w zagrodzie Gruździsów. On jest bardzo agresywny, a z tobą patrzaj jak... jak ciebie słucha i nie sprzeciwia się... Jak zwierzyzna poznaje swego gospodarza". Poradził, żebym nie prowadził drogą,... a ten las, z prawa, prawdopodobnie zajęty na odpoczynek, jakaś sowiecka jednostka wojskowa... patrzaj żebym nie popadł twój wychowanek do kotła polowej kuchni. Bierz kierunek z lewej strony lasu daleko nie oddalając się od drogi na lewo są mokradła nie do przejścia. Ot weźmij tak kierunek i wskazał ręką. Tak ja i zrobiłem. Zaszliśmy w głąb lasu, aż widzimy, że już las się skąncza i zaczęły się gęste krzaki, olchy i brzozy. Podeszliśmy jeszcze trochę i wyszliśmy na niewielką polankę, a trawa miękka i wielka, tutaj mój wychowanek nachylił głowę i zaczął pełnym gardłem jeść. Nie przeszkadzałem dla niego. Ja stoję sobie i przeglądam się na krzak leszczyny, na rosnące orzechy. Nachyliłem gałąź i zacząłem zbierać orzechy. Spróbowałem - można już ich zrywać. Podjąłem głowę i włosy mi podjęły się na głowie, i stałem jak wryty... podchodzą do mnie z baczkiem około jakichś 5 litów trzech Niemców żołnierzy. Tymczasem byk podjął głowę i patrzy, jak gdyby to rozważając - iść z pomocą czy nie. Żołnierze wyglądali zmęczeni, a może nawet i głodni. Po wyrażeniu twarzy zrozumiałem, że krzywdy wyrządzać nie mają zamiaru. Przywitali się ze mną ze skinieniem głowy i zaczęli wypytywać, jaka to jest miejscowość. Jeden z nich wyjął z kieszeni mapę i

3

zaczął palcem szukać tej miejscowości. Mapa była tak zwinięta, że na jej wierzchu widniała ta miejscowość. Zobaczyłem i ja. Pokazałem im, gdzie się teraz znajdujemy. Oni określili, gdzie, w jakiej stronie południe, gdzie i mają iść. Zapytali zresztą, jak iść żeby nie spotkać się z sowietami, by omijać miasta i miasteczka, idąc w stronę Grodna. Pokazałem. Oni podziękowali odeszli we wskazanym mną kierunku. Trzeba i mnie iść - pomyślałem. Wziąłem wierówkę do ręki, pogłaskałem swego wychowanka i poszliśmy. Nie przeciwik się on i jak gdyby sam śpieszył do domu, do swego stada, widocznie nie spodobало się mu w gościach być głodnym na dziedzińcu. Doszliśmy do domu bez żadnych przeszkód. Z każdym dniem przycichały pociski artyleryjskie w miarę oddalania się frontu działek wojennych. Dniem i nocą słychać było warkot samolotów. Wieczorami widać były wstęgi świateł reflektorów szukających w powietrzu samolotów nieprzyjacielskich. Tam, niedaleko od nas, w miejscowości Horodenka, gdzie Sowietci jeszcze do wojny budowali lotnisko, często widać był kurz od wzlatających w powietrze ciężkich samolotów-bombowców. W pewien dzień przyjechali z lotniska trzech żołnierzy na starym ciężarowym samochodzie ZIS-5. Prosilili u ojca, bym zebrał od sąsiadów ogrodniny. Mnie kazał ojciec wyrwać, które większe z ogrodu rzepy i jakich 20 krzaków cebuli. Przyniosłem wielki kosz rzepy i wielki pęk cebuli z korzeniami. Żołnierze wrzucili to wszystko do skrzyni samochodu i powiedzieli "chwatit" /wystarczy/, podziękowali, jeden z nich dał dla mnie portmonetkę na papierowe pieniądze, albo dokumenty i odjechali. Portmonetka na widok była ładna, miała dużo przedziałów, ale nie była skórzana - uszyta z dermentyny.

Dziadzia Zdanowicz Julian, któremu pokazałem na jutro portmonetkę, popatrzył zewnątrz, do środka i powiedział: że to najlepszy sowiecki gatunek skóry firmy "moki-kaka" i roześmiał się. "Lepszego u nich nie ma" - powiedział na dodatek. Siedzieli oni z ojcem u nas na schodkach ganka i rozmawiali. Przysłuchując się rozmowie zrozumiałem: że teraz będą Sowietci brać, mobilizować nas na front. Nie trzeba iść. Słyszałem - opowiadał dziadzio Zdanowicz, że tak nie będzie, Sowietci są u nas tymczasowo. Jeżeli nie po dobremu, to wyproszą stąd a juksz! Anglia i Ameryka przez Francję posuwają się wielkim tempem na wschód. Oni, Sowietci i Niemcy, jak koguty są wykrwawieni i Boże broń nie trzeba pomagać, w żaden sposób. W Raduniu tak jak jeszcze do wojny Sowietci organizują rejon. Odkrywają rozmaite urzędy i sadzą w nich swoich partyzantów. Naszych żołnierzy AK tam gdzieś koło Wilna okrążyli z czołgami i wywieźli na Rosję, widocznie na roboty przymusowe na Syberię. Teraz trzeba patrzeć na wszystkie cztery strony. Trzeba być ostrożnym, bo zwierzę ranione zawsze może być niebezpieczne. Pewnego dnia patrzemy jadą konno, we czterech. Zauważyliśmy gdy byli już blisko, uciekać już było bezsensownie. Ojca na ten czas nie było w domu. Otworzyłem wrota. Zajechali na dziedziniec, zsiadli z koni. Ja z mamą zaczęliśmy prosić zejść do mieszkania. Jednego ja poznałem. Był to jeszcze do wojny sekretarzem partii. Z jego córką uczyliśmy się w jednej klasie - Kuleszowa Tania. Starszej jego córki, uczącej się wówczas w 7 klasie imię nie pamiętam. Gdy oni usiedli ja zapytałem: "A gdzie jest Wasza Tania? Obydwie na Urale uczą się w instytucie. Popatrzył na mnie badawczo i zapytał: "A ty co porabiasz?" Opowiedziałem dla

5

niego, że te lata okupacji przy Niemcach szkół nie było, uczyłem się sam, w domu, a teraz nie wiem, co dalej. Zaszła do pokoju mama i zapytała: "Może towarzyszy kuszat chotitie?" /Może towarzysze chcą jeść/. Jeden z nich z narzutką na plecach bez rękawów z zapięciem pod szyję i czarnymi wąsami, włosy też czarne jak żuk powiedział: "Jeśli czego nibud imiejetie to pożałusta". Ja z mamą wyszliśmy na kuchnię. Mama zaczęła krajać słoninę i cienkimi plasterkami szynkę, a ja zająłem się krojeniem chleba. "Nie wiem jak robić, jeżeli im na prędko, to zaniosę tak na surowo, a jeżeli mają czasu, to można upiec jajęcznicę. Schodź i zapytaj się" - powiedziała mnie mama. "Można i podżaryć s żukom" - odpowiedzieli bez namysłu /Można i upiec z cebulą/. Podjedli i pojechali. Widać, że byli głodni, gdyż talerze były czyste - czyściuteńkie, tylko w jednym talerzu leżał mały kawałeczek chleba. Czego oni byli, z jakimś interesem, czy tak sobie - nie wiadomo. Nic przecież nie mówili, ani się pytali, tylko się zapytali gdzie ojciec i na tym wszystko. Złego czegoś od nich nie spodziewaliśmy się, widać było po ich obejściu. A może zajechali pokuszat /pojeść/? Może być. A może chcą w naszej wsi organizować sielsowiet /gminę/ tak jak było za pierwszym Sowietem? Potocznie w rozmowie, jeżeli coś chodziło z lat do nastąpienia wojny niemiecko-sowieckiej to się mówiło za pierwszymi Sowietami. A to już były drugie sowiety. Mówiono jeszcze, że mogą być te drugie Sowiety inne jak były pierwsze. Wówczas wojskowe, żołnierze czy oficerowie nie mieli naramienników z odznaczeniami stopni wojskowych, a teraz mają /pohony/. Że marszałek Żukow nałożył na ramiona pohony, takie same jak carskie były. Że obiecywał

dla żołnierzy po wojnie zwrócić odebraną od nich ziemię. - Jest pohony - będą i zagony. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że sielsowiet /gmina/ rozlokowała się we wsi Waszkiele - 2 km od centrum rejonu. Prezesem sielsowietu zostałznaczony partyzant Wojniło Piotr - Białorusinin. Po wsiach jeździł konno czy rowerem zawsze z automatem P.P.Sz. Niezły był człowiek. Wkrótce u sąsiada koło drogi przyjechali i zakwaterowali się kilka żołnierzy i 2 oficerów w stodole Babul Adolfa. Do ojca przyjechał prezes sielsowietu Wojniło Piotr i kazał być ojcu deputowanym, tymczasowo do powszechnych wyborów /głosowania/. Zarządził, żeby we wsi dostarczyć, nie pamiętam, ile jałowej czy jakiejś dorosłej rogacizny. Ojciec zwołał zebranie i oznajmił, ile sztuk trzeba dostarczyć do punktu. Rozliczono, kto przyprowadza i zdaje żywność, kto komu i ile spłaca zbożem. Punkt był blisko po sąsiedztwie z Babul Adolfy. To ci żołnierze i oficerowie byli kupcami - za darmo, dla wojska, dla zwycięstwa - mówili. Ze swoim starym bykiem mieliśmy kłopotów, a do tego podrastał drugi, więc ojciec tego starego zaprowadził dla żołnierzy na punkt. Ja nie pomagałem, dlatego że było mi jego bardzo szkoda. Po powrocie ojca za godzinę czy dwie patrzymy, biednie nasz wychowanek, naprosto przez posiewy do sadu i zaczął myczeć, jak gdyby to prosząc ratunku. Zaraz z tyłu za nim przychodzi z karabinem żołnierz. Ojciec zobaczył, że on wrócił z wierówką na rogach złowił go i wręczył koniec wierówki żołnierzowi, a ten jeszcze dowiązał drugą wierówkę, by była dłuższa i pałką zaczął go pędzić. Odpędziwszy dalej stał jak wmurowany, a później widzimy, chce napaść na żołnierza. Żołnierz go uderza kolbą karabina i nagle słyszymy wystrzał.- Bezpiecznik odskoczył, dobrze że wystrzał nie spowodował

4

nieszczęśliwego wypadku, a to mogło być gorzej - powiedział ojciec. Wtem widzimy przybiegł drugi żołnierz i dlatego we dwoje dali radę. Mama stała na ganku i powiada: "Ot widzicie, nawet żywioła odczuwa swą śmierć i wybawia się od niej, ucieka, a jak człowiek... idzie sam na śmierć, chyba rozumiejąc, że nie ma zbawienia, jak to było w Raduniu z Żydami. Wieczny im pokój". Szkoda i żywioły, przecież hoduje się, ile pokłada się pracy, a tu masz... - pomyślałem. Albo morderstwo w Katyniu, 15 tysięcy oficerów.Polskich... bandyci. Polegnąć na froncie - to inna rzecz, a to... zebrać w konc-lagier i we wszystkich wymordować, bezbronnych ludzi, mądrych ludzi. Wkrótce otrzymałem wezwanie o stawienie się na komisję medyczną w komisariacie wojskowym. Poszedłem. Myślałem, że mnie nie wezmą do wojska mając słaby wzrok. Lekarze powierzchownie popatrzyli i orzekli, że jestem zdolny do wojska. Wręczyli wezwanie, by stawik się za trzy dni. Mieć ze sobą łyżkę, kubek i dwie pary bielizny. Wracam do domu z opuszczoną głową. Dowiedziałem się, że niektórzy chłopcy, by nie iść na front urządzili się na poczcie dla budowy linii telefonicznej. W domu zaczęła się narada. Mama powiedziała, że nie na budowie linii telefonicznych bardzo niebezpiecznie, jeden już leży w szpitalu - spadł ze słupa, mówią, że zostanie inwalidą. Wzięła ze sobą moje wezwanie i poszła do Radunia, do swojej stryjecznej siostry Andziulewiczowej na naradę, może ktoś z urzędników pomoże. A zresztą, u niej zamieszkał partyzant, weterynarz, może coś załatwi. Niezadługo wróciła z dobrym humorem i zaczęła tłumaczyć, że ten weterynarz obiecywał pomoc i kazał jutro mnie przyjść do niego. Poszedłem z samego rana, bym zastać w mieszkaniu.

Znalazłem. On się ubrał, do bocznej kieszeni położył brauning i mnie kazał iść z nim razem. Patrząc zawraca na lewo z Pocztowej ulicy na Komisariat wojskowy. Zachodzimy do środka, wzię ode mnie wezwanie i tylko co wydaną książeczkę wojskową i zaszedł do jednego z gabinetów. Po kilku minutach wychodzi i idziemy w stronę, gdzie on mieszka, na ul. Pocztową. Oddaje mi moje dokumenty i mówi: że mnie urządził na pracę felczera weterynarii, albo sanitarem. Zgodziłem się choć kim by nie było - tylko nie na front. Zobaczyłem na te wezwanie i ujrzałem okrągłą pieczętkę i atramentem napisane "otsroczeno na 15 dni". Ucieszyłem się, oho, 15 dni to też coś znaczy. Już mogę chodzić bezpiecznie, nie trzeba chować się. Napisał on zaświadczenie, że ja pracuję w przychodni weterynaryjnej na stanowisku sanitara. Położyłem te wszystkie dokumenty do kieszeni i pieszo do domu. Po drodze spotkałem dwie furmanki z żołnierzami. Jeden z nich wyskakuje z wozu i prosi mnie o dokumenty. Pokazałem swobodnie, nie lękając się. Popatrzyli i zwrócili mi z powrotem. Ci żołnierze byli z czerwonymi naramiennikami, nazywano ich "chapunami". To byli żołnierze wojsk NKWD. Takim sposobem on mnie przedłużył trzy razy. Prawie dwa miesiące byłem wolnym. Na czwarty raz już mu się nie udało. Znowóż bieda, co robić? Niektórzy moi koledzy zapisali się o rok, dwa nawet i trzy lata ^{starsi} młodszy ode mnie i otrzymali wezwanie do wojskowego komisariatu na ćwiczenia, na dwa miesiące, ¹⁹²⁷ 1927 rocznik. A ja byłem i jestem 1926. Oni mi poradzili, żebym i ja przyszedł na te ćwiczenia. Poszedłem, zapisano mnie 1927 rocznikiem. Uczył nas młodzieńki lejtnant. Uczyli chodzenia w nogę, znajomili z bronią, karabinem i automatem, próbiliśmy długim ostrym bagnietem zawieszony worki ze słomą. Jednego razu

9

poprowadzono nas do lasu i pokazano, jak w razie potrzeby wysadza się w powietrze. Lejtnant przywiązał do drzewa toż, coś w rodzaju kawałka mydła, później odprowadził od niego sznur /zapomniałem, jak się nazywa/ i koniec podpalił. Kazał odbiegnąć dalej i położyć się na ziemi. Wybuch był silny, drzewo odcięło jak nożem, tylko nie równo, a porozrywane końce. Marszem przyszedliśmy koło komisariatu i na komendę stój! staliśmy na ulicy. Koło komisariatu stali trzech oficerowie. Stałem ja nie swęjsko, bałem się, żeby mnie nie poznali. Aż patrzę oficer, starszy lejtnant, gdy my rozchodziliśmy się palcem mnie powołał. Ja wówczas na stojącego obok mnie chłopca powiedziałem, że go wołał lejtnant i poszedłem do drugiego budynku. Aż przychodzi ten mój kolega i mówi, że mnie wołał, a nie jego. Poszły ciarki po ciele, stoję i myślę co robić, popadłem się... patrzę zachodzi ten sam lejtnant i do mnie strogo wykrzyknął: "Dlaczego nie zjawiasz się, kiedy cię wołam!?...". Podchodzę i on każe iść razem. Zaszliśmy do gabinetu i zaczął na mnie krzyczeć, wyrażać się nie literaturnymi słowami, a ja stoję opuściwszy głowę. Co będzie, to będzie - pomyślałem. "Gdzie twoja książeczka wojskowa, chciałem oszukać nas! Czego milczysz?". Ja odezwałem się starając wyjaśnić, że nie jestem winny, przecież nie chowam się... myślałem, że to też armia. Książeczkę wojskową nie ma przy sobie, w domu pozostała. Przepraszam, ja to bez żadnego umysłu. Widzę, że zmiękczał. Wziął kartkę i zaczął myśleć. - Ja tobie piszę wezwanie na odprawę, na piątek, przyjdiesz czy nie - zapytał. Przyjdę - powiedziałem. Wziąłem wezwanie i poszedłem do swoich kolegów - kursantów. Podeszli do mnie i Kowalewski Janek powiedział: mówięm Tobie, że popadł się jak trzeba, tylko prosz Boga, a teraz puś-

cili ciebie to i patrzaj, kombinuj cośkolwiek. Co robić dalej - zobaczę, ale choć parę dni jestem wolny. Komisariat wojskowy był w domu Cimachowskiego Bolesława. Z czasów polskich był posterunek policji. Dalej od ulicy, w ogrodzie stał drugi dom mieszkalny, w którym mieszkali państwo Cimachowscy. Z Helą i Jadzią Cimachowskich uczyliśmy się w jednej klasie. Ich ojciec Cimachowski Bolesław pracował wójttem gminy, nawet i za niemieckich czasów. Była to bardzo dobra i wielce poważana rodzina. Wówczas ten dom był pusty, w którym Komisariat Wojskowy wykorzystywał jako punkt zbiorczy. Do tego domu przywozili z rejonu złapanych mężczyzn dla odprawki na front. Nie wiem takiego wypadku, żeby ktoś przyszedł sam. Chodzili po wsiach, we dnie i w nocy żołnierze NKWD. Wiedzieli oni, kto jeszcze pozostał i chowa się. Czasami wiedzieli nawet, gdzie się ktoś chowa. Mieli oni ze sobą grube druty, więcej metra długości. Otóż tym drutem prółi w słomę w stodole i czasami zachodzili. Od razu pędzili do NKWD na badanie, a stamtąd albo na front albo do Grodna do więzienia.

Dla mnie te parę dni terminu stawienia się na punkt zbiorczy przeszły bardzo prędko. Tymczasem ojciec spotkał starego znajomego pana Szławień Marka, byłego nauczyciela. Tak wyszło z rozmowy, że ma ze mną biedę, albo chować się, albo iść na front. Wszystkie możliwości, by pozostał, są wyczerpane. Pan Szławień wysłuchał i obiecywał pomoc. Jutro rano poszliśmy z ojcem we dwoje. Ja pozostałem u krewnych, a ojciec poszedł z moimi dokumentami. Przez jakiś czas ojciec wrócił, ale nie w humorze. Kazał, żebym ja jutro sam przyszedł, a on dzisiaj wieczorem porozmawia z komisarzem

wojskowym. On, komisarz, powinien dać sankcję na wyjazd do Grodna na kursy przygotowawcze nauczycieli. Inaczej, bez jego wizy nic nie wyjdzie, zatrzymają, schwytają i do ciupy albo na front. Na jutro rano poszedłem do Rejonowego Wydziału Oświaty Ludowej. Tam dla mnie napisali skierowanie do Grodna na kursy przygotowawcze nauczycieli. Okazuje się, że kierownikiem oświaty rejonu była moja, do wojny, nauczycielka języka rosyjskiego. A pan nauczyciel Szławień w wydziale oświaty pracuje księgowym. On mnie pocieszył, że "zgodę" na wyjazd do Grodna dadzą obowiązkowo, że komisarz twardo obiecał, tak co nie bój się, a zresztą ja też pójdę i będę stał na ulicy, w razie czego jeżeli się przyczepią ci oficerowie, to ja do komisarza... Do komisariatu wojskowego zaszliśmy z kierowniczką oświaty Chatulewską Marią. Pan Szławień pozostał na ulicy. Trzęsły się u mnie nogi i ręce. Do gabinetu oficera ona zaszła jedna, a ja pozostałem na korytarzu. Stoję i trzęsę się od strachu, ale co będzie to będzie, jeżeli co, to ucieknę przez ogrody, ale na front nie pójdę. Stoję... słyszę otwierają się drzwi... Wchodzi ten samy starszy lejtnant i narzuca się na mnie, jak pantera. Tobie trzeba było przyjść wczoraj po wezwaniu!... dlaczego nie przyszedł! Otwierają się drzwi drugiego gabinetu, wychodzi widocznie na ten krzyk, komisarz w stopniu wojskowym podpułkownik i zwraca się do oficera - w czym rzecz? A ten oficer daje się na mnie jak wściekły. Komisarz wówczas popatrzył na moje dokumenty i powiedział: "Co zrobisz, trzeba pomóc dla rejonowego Wydziału Oświaty, obejdziemy się bez niego - wszystko jedno wojna idzie ku końcowi i tak zwyciężymy". Te słowa komisarza tak mnie podniosły na duchu, stałem napięty, zrównoważony, wprost nie wiedziałem, co czynić z radości. Jednak są dobrzy

102

ludzie ci Sowieci, nie wszyscy są zdegradowani, zepsuci... - pomyślałem. U niego na piersiach mundura mnóstwo rozmaitych orderów i medali, wygląd miał dobry, ludzki, sympatycznie różniący się od tego lejtnanta jak niebo i ziemia. W ten dzień zaszedłem jeszcze do Wydziału Oświaty. Pan Szławień Marek wytłumaczył mi co i jak, wypisał jeszcze służbowe skierowanie, towarzysz kierowniczką podpisała i opatrzyła okrągłą pieczęcią i życzyła mi szczęśliwie dojechać, zakończyć te studia przygotowawcze i szczęśliwie powrócić. Podziękowałem jej, ukłoniłem się i wyszedłem z jej gabinetu. Zaszedłem jeszcze do pana Marka, on mi parę anekdotów odwalił, na pożegnanie podał rękę i życzył szczęśliwie wrócić. Ten raz do domu wróciłem szczęśliwym. Oho, przecież nie trzeba będzie żyć jak zając tropionemu przez ludzi i wilków, i spać z otwartymi oczami. Wszyscy w domu byli zadowoleni, bo jak na razie to tylko ze mną mają biedę. Nikt sam nie szedł, by go zabrali na front. Codziennie skyszeliśmy nowinę, że tego, a tego zkapali i popędzili jak zwierza do Radunia. Łapuny /żołnierze NKWD/ chodzili i w dzień, i w nocy. Dowiedzieliśmy się, że w sąsiedniej wsi nawet znaleźli i wyciągnęli ze schronu, który był urządzony w studni. Na terenie wsi nie było blisko lasu, dlatego z chowaniem się było trochę gorzej. Schrony robili pod piecem, pod podłogą, a najwięcej w stodołach. Wykopywali bunkier pod siano albo pod zbożem. W sąsiedniej wsi zkapany sąsiad i odesłany do wojska, jak było umówione napisał list do swego kolegi matki, jak gdyby to jej syn jest zabrany. A on ten kolega ukrywał się, a później gdy otrzymali ten list, gdy zachodzili "łapuny" ona pokazywała ten list ze stępem "poczty polowej" i ci nie mieli żadnych pretensji. Nie

pokazywał się nikomu we wsi i wszyscy wierzyli, że ten jest zabrany. O tym nie tak dawno opowiedział mi mój stryjeczny brat Jan Adamicki. Jednym słowem, nikt sam nie szedł. Czekano na zmianę władzy, nie tej sowieckiej, a innej.

Długo nie czekając na jutro zabrałem się w drogę do Grodna. Jak zwykle dobrze wiadano, że jedzenie jest na każdy dzień najpotrzebniejsze. Więc do drewnianego kuferka /żadnej walizki nie miałem/ położyłem na zmianę bieliznę i więcej, co najpotrzebniejsze, a reszta mama nałożyła słoniny, boczku i duży bochen chleba. Odmówiłem, by mnie furmanką podwieźli, zabrałem się i poszedłem. Ojciec położył mi do kuferka, wcisnął, bo był pełny, dwie butelki 0,5 l bimburu i poradził: "Wyjdiesz na szosę, gdy pojedzie jakiś samochód wyjmij jedną i trzymaj w kieszeni, i podejmij do góry rękę z butelką - zatrzyma się na pewno. Tak ja i zrobiłem, dosyć do miasta Lidy dojechałem prędko, a z Lidy do Grodna choć piorunem pal. Wojna! Pociągi jako takie, pasażerskie nie kursują. Ktoś mi poradził, że trzeba wyjść trochę dalej od stacji w stronę Grodna i patrzeć, pilnować, gdy towarowy pociąg już ruszy, czym prędzej wskakuj na schodki wagonu z hamulcem i jedź. Tak ja i zrobiłem. Przecież nie ja jeden, a dużo takich jak ja którym trzeba jechać. Pociągi towarowe zawsze, nie wiem czym były załadowane, były strzeżone przez wojskowych z karabinami z nasadzonymi bagnietami. Trzeba było iść równoległe z wagonem z hamulcami, a gdy stanął nabierać szybkość, wtedy już staraj się wskoczyć czym prędzej. Nie zwracaj uwagi, jeżeli na ciebie krzyczą wartownicy, oni już ciebie nie dopędzą. Takim sposobem, trochę później jeździłem nie raz - co dwa tygodnie. Na kursy się spóź-

nikiem, ale jeszcze przyjęli. Zakwaterowano mnie w bursie. Piece nie palono. Brakowało opału. Zimno. Spałem na sienniku nabitym słomą. Poduszczerka legła z waty i jeden koc. Na szczęście byłem ubrany w krótkim kożuszku, który na noc mi służył kołdrą. Spałem skurczony, bo jeżeli nogi wyciągnę, to czuję chłód. Do końca kursów pozostało już prawie jeden miesiąc. Nikt się nie skarżył i nie potrzebował elementarnych wygód. Każdy rozumiał, że jest wojna i życzył sobie, żeby nie było jeszcze gorzej. Razem ze mną w tym samym pokoiku, mniej więcej 14 m² mieszkali czterech Białorusinów: ze Szczuczyna, Żołudoka, nawet z Wołożyna. Rozmawiali jakimś innym białoruskim językiem. Byli źle usposobieni do Polaków. Kolegowałem ja z jednym Polakiem od Baranowicz po nazwisku Chojnicki Władek. Rozumieliśmy jeden drugiego, byliśmy jednych myśli, jednakowo tęskniliśmy za tą jedyną na świecie i najlepszą Polską. Całymi dniami słyszeliśmy kanonadę pocisków artyleryjskich, detonację bomb. Nocami było jakieś zacisze, tylko reflektory machali swymi ogonami. W powietrzu prawie bez przerwy było słycać warkot motorów samolotów. Często wyła syrena. W kinie często przerywało się wyświetlenie filmów przez wyłączenie światła elektrycznego. W ten czas po ciemności zaczynał się śpiew "Wstawaj strana ogromnaja, wstawaj na śmiertnyj boj"... itd. Za jakiś czas odwoływano alarm lotniczy i nadal pokazywano film np. "Bogdatskij wor" i inne stare filmy o rajach i szczęśliwym życiu ludzi w Związku Radzieckim. Na szczęście, że kino było blisko. Późno wieczorami nie pozwalano chodzić po mieście, był ogłoszony "Komendanckij czas". Pomimo tego, że nie pozwalano chodzić późnymi wieczorami, nawet i "wczesnym" wieczorem iść jednemu było wielkie ryzyko. Często wieczorami i nocą sły-

szeliśmy krzyki. Już kogoś rozuwają i rozbierają - mówili, albo gwałt, jeżeli był słychać kobiecey głos. Z Władkiem osobno gdzieś na korytarzu spotykaliśmy się prawie codziennie. Rozmawialiśmy o wszystkim, nie tailliśmy przed sobą nic. Najwięcej o tym, co będzie dalej, o Armii Krajowej, która pomagała dla Sowieców zwyciężyć Niemców. Jaki to był błąd - mówił mnie Władek. - Przecież Sowieci, którym nasi pomagali, nadal pozostali silni, a co gorsze, żeby podziękować za to - jeszcze które pozostały, tropią ich, sadzą do więzień, wywożą na Syberię do łagrów. Tą rozmową kolega Władek mi więcej otworzył oczy. Zacząłem lepiej rozumieć co się działo i co teraz się dzieje. Prawdę on mówił. Był na parę lat starszy ode mnie i orientował się więcej, głębiej i lepiej. Ciągłe nas interesowało, co będzie dalej. Co było, przecież już wiemy. Do kogo my będziemy należeli? Co będzie z Lwowszczyzną, Wileńszczyzną? Ja dla niego tłumaczyłem, że musi być tak, jak było do 1939 r., do początku wojny z Niemcami. Przecież jak Niemcy tak i Sowieci bez żadnej przyczyny by zagarnąć Polskę, nasze tereny - napadli i rozszarpali na części. Musi być, musi ożyć sprawiedliwość, musi Polska zmartwychwstać. Stałem na swoim, przecież słyshałem rozmowę starszych ode mnie ludzi, od polskiego podziemia. Tak musi być - nie inaczej! Anglia, Ameryka i Francja złamią kark oboim nieprzyjacielom. A juksz^{1/} z naszych terenów! - To będzie tak, jak sprawa potoczy się dalej - tłumaczył mi Władek. Myślisz, że ja jestem innej myśli - tłumaczył dalej Władek... nie, ja też życzę tego i chcę - jak tobie wytłumaczyć - u każdego koszula jest bliżej ciała, każdy, dajmy

^{1/} Słowemjuksz! pędza się świń.

na to, najpierw patrzy siebie, a później kogoś. Oto zobaczysz, że tak będzie. Na przykład Francja na trzeci dzień wojny będąc solidarną z nami, z Polską, wypełniając międzynarodową umowę wypowiedziała dla Niemców wojnę. No i co z tego? Anglia też była solidarna z Francją. Te oba państwa, na które się spodziewała dyplomacja Polska - ani jednego wystrzału nie zrobili. Oni sami byli słabi i dziękowali Bogu, że ten Hitler rzucił się na Polskę. Przede wszystkim oni tak myśleli. Niezadługo padła ofiarą i sama Francja. Bestia, Niemcy silni byli, a teraz ich mrozy podmroziły i odstępują jak kiedyś Napoleon. Daj Boże, żeby nam pomogli, ale coś nie chce się wierzyć". Podziwiałem jego erudycję polityczną. Z jego opowiadań ojciec jego był leśniczym. Na polsko-niemieckim froncie pod ^{Modlinem} ~~Modlinem~~ został wzięty do niewoli. Powrócił do domu, gdy zaszli Niemcy. Bardzo upadł na zdrowiu, chyba dlatego zwolnili z niewoli. Teraz lęka się Sowietów, żeby nie wywieźli na letnisko do białych niedźwiedzi. "Zapisali się do Polski, chyba nie przyjdzie się pracować u siebie nauczycielem. Po tej nauce będę miał choć jakiś dokument, zaświadczenie, że przeszedłem kursy przygotowawcze nauczycieli, może przydadzą się tam w Polsce". Takie on snuł plany na przyszłość. On też za lata okupacji niemieckiej nigdzie się nie uczył. Miał wówczas skończoną szkołę powszechną - 7 kl. W 1939 r. zaczął uczyć się w gimnazjum, ale wojna ma swoje wady i jest panią losów ludzkich. - Kogo odeśle do Abrahama, kogo tymczasowo pocieszy, ale nikomu nie jest przyjacielem. A kto wówczas mógł przewidzieć i policzyć, ile wojna ofiar ludzkich będzie miała w swoich żniwach. Nie patrząc dookoła siebie, nie, a wziąć globalnie, na wszystkich kontynentach świata dokąd ona się przerzuciła. Ale naj-

14

więcej zebrała ofiar ludzkich z Polski, w granicach 1939 r. Nikt dokładnie nie zliczy, ile poległo z głodu, chorób i nieludzkiego bytu, poniewieranych i zamęczonych, zamordowanych w sowieckich Gułagach, więzieniach, łagrach, w nieludzkich warunkach życia i niewolniczej pracy. Dziesiątki tysięcy kości ludzkich na powierzchni ziemi syberyjskiej widzimy w filmach dokumentalnych. Patrzymy ten widok z drżącymi ustami, z wyciśniętymi z oczu jak kryształ kroplami łez. Wpatrujemy się w ten widok, by poznać swoich najbliższych, znajomych. Teraz muszę przerwać pisanie, nie wiem na ile czasu, na ile godzin, nie mogę pisać... cisną się łzy bez miary... Mało jest polskich rodzin, których nie dotknęła ręka barbarzyńców. W młodszym wieku mogłem znosić nie zauważalnie, sercem, a teraz szybko się rozżalam. W owe czasy żyliśmy nadzieją. Z ust do ust cieszyliśmy się nowinami, czekaliśmy zmiany na 1-go. Jeżeli nic nie wychodziło wówczas czekano 15-go, później na Nowy Rok, dalej po Nowym Roku i tak w kółko. Te wszystkie nowiny były kimś słyszane z "Głosu Ameryki", czy z audycji polskiej z Londynu. Zabraniano mieć i słuchać radia. Boże strzeż jeżeli by znaleźli - Syberią, Gułagiem pachło. Przy pierwszym spotkaniu rozmawiano i cieszą się, że już niezadługo będziemy wolni. Ot dlaczego ja nie mogłem na 100 proc. uwierzyć dla kolegi Władka. Wierzyłem, że coś robi się drogą dyplomatyczną, ale nie bardzo wierzyłem, by czoła swe stawiali nasi sojusznicy. Doczekaliśmy się dnia zakończenia nauki, wydano zaświadczenia i pożegnawszy się z kolegami, a przeważnie z Władkiem powędrowałem do domu. Dom znalazłem na pół pusty. Aresztowano i zamknięto w areszcie ojca. Nie zdawałem sobie sprawy za co aresztowano, jeżeli nikomu nic złego nie zrobił. Aresztowano

42

nie jego jednego lecz dużo kogo. Niektórych odprawiono do armii, a Witukiewicz Piotra, Zdanowicz Juliana, Szostak Juliana, Pietr^aszko Bronisława, Kaszkiewicz Juliana, Babul Wincentego, Kaszkiewicz Stanisława, Boładź Juliana i Boładź Leona - mego ojca. Kilka dni ich przetrzymano w Sońki murze i wywieźli do Grodna. Tymczasowo aresztowanych trzymano u byłej właścicielki domu, co na rogu ulicy Mieszczańskiej, Żydówki, nie wiem jej po nazwisku, nazywano ją Sońka. Po wojnie jej nikt nie widział i nie słyszał, na pewno była zamordowana przez Niemców. Otóż ten dom na rogu, końcem do placu rynkowego był ogrodzony wysokim płotem z desek, po wierzchu płota obciążonym kolczastym drutem. Żydówka Sońka w tym domu mieszkała, a z końca domu od placu rynkowego miała sklep bławatny. Po dwóch ścianach od podłogi do sufitu na półkach leżeli zawinięte w ciuki rozmaite tkaniny, dla różnych płci. Kto mógł przewidzieć, że gospodynię tego domu zamordują, a w jego ścianach będzie przytułek dla nieszczęśliwych mordowanych ludzi. Późnymi wieczorami, kto mieszkał blisko, albo przechodząc ulicą słyszeli jęki i krzyki w niebogłos katowanych więźniów. Siedziba katów NKWD znajdowała się na przeciwległym węgłe domu ulicy Możejkowej. Z tego małego więzienia pędzono na widoku wszystkich do swej siedziby NKWD, a z powrotem już trzeba było prowadzić, bo skatowany człowiek słabo mógł wlec nogi. Pewnego razu ja stoję na ulicy z kolegami-nauczycielami koło siedziby rejonowego Wydziału Oświaty, aż patrząc prowadzą z założonymi do tyłu rękoma ojca. On mnie nie zauważył. Dla mnie zrobiło się źle, wówczas jeden z kolegów patrzy na mnie i mówi "co z tobą" - odpowiedziałem że nic, ot tak sobie zbladłem. Wydział Oświaty był równoległe na węgłe tej samej ulicy. Zaraz po

aresztowaniu było opisane i nałożony areszt na wszystko, co tylko mieliśmy: zabudowania, żywy inwentarz, maszyny rolnicze i meble. Zagrożono, żeby nic a nic nie zginęło, w przeciwnym razie grozi więzienie. Zboże było wymłócone i odwiezione do m. Lidy za symboliczną cenę. Płacili przecież, za wóz zboża można było kupić paczkę papieros - nie więcej. Nie zdążyliśmy młócić i czyścić zboże i wozić. Chodzili po chatach agenci i grozili, żeby czym prędzej określoną ilość odwieźliśmy, ale nie dali spokoju. Jeszcze przyskali zawiadomienie, żeby dodatkowo zawieźć "w fond Krasnoj Armii". - Ostawiliśmy dla swojej wyzwolicielki. A jakże, rozmowa krótka, nikt nie sprzeciwiał się. Jeżeli kto coś zaczynał biedolić, to od razu stawiali takie pytanie: "Co, nie chcesz dla swojej wyzwolicielki? Przecież ona was wyzwoliła od niewoli niemieckiej." Od razu po "wyzwoleniu" trzeba było zdawać dla państwa określoną ilość mięsa, mleka, jaj, siano, kartoflę, sierść owczą - za symboliczną cenę. O, teraz jesteśmy wolni, wyzwolili, oczyścili zasieki od zboża, od masła, - bo trzeba było zdawać o ile pamiętam po 560 l mleka od krowy; od skarpetek i rękawic czy swetra wełnianego; od jajecznicy, podzielili się kartoflą - drugim chlebem wieśniaka i innym. Za jeden rok jak oczyścili gospodarzy, a co będzie dalej? - głód i nędza - tak jak kajzerowskie Niemcy w 1915 roku - mówili. Ludzie chodzili opuchnięte od głodu, latem jedli lebidę... tak i teraz będzie. Pozabierali wszystkich młodych mężczyzn, posegrowali ich kogo do więzienia, kogo na front sowiecko-niemiecki. Wszyscy czekali jakiejś zmiany: albo nas Anglia i Ameryka wyzwolą, albo Sowietci nas wymordują. Terazniejsi Sowietci to nie te, co byli przed Niemcami. Tamci mordowali oficerów, profesorów i rozmaitych mądrych i boga-

20

tych. A teraz wszystkich po porządku. Gdzie to widzia-
ne, żeby zabierać wszystko od gospodarzy i to oprócz
bardzo wielkich podatków pieniężnych.

Tymczasem w Rejonowym Wydziale Oświaty dali mnie
prawo organizować nauczanie dzieci, gdzie mi lepiej od-
powiada. Nazwano mnie 3 szkoły: we wsi Jaciuny, w Nowej
Kozakowszczyźnie albo w Składańcach. W Jaciunach była
szkoła specjalnie zbudowana jeszcze za carskich czasów -
rządowa, a w tych dwóch wsiach w lokalach prywatnych.
Bardzo mi się chciało założyć szkołę w swojej rodzonej
wsi - Stara Kozakowszczyzna, ale jako tutaj szkoły nig-
dy nie było, rzecz zrozumiała, nie było i żadnego in-
wentarza. Głównie, że nie było szkolnych ławek. Opowia-
dano, że przy Niemcach kajzerowskich, jakaś pani w kape-
luszu kilka miesięcy uczyła dzieci, tak, prywatnie, bez
szkolnych ławek, za wiejskim dużym stołem. Przychodzili
dzieci uczyć się których posyłałi rodzice, ale gdy nastał
głód - wówczas już było nie do uczenia się. Początkowo
wybrałem szkołę w Jaciunach. Obeszłem wszystkie domy w
Jaciunach i we wsi Horodyszcze, dlatego że tam uczyli
się dzieci z tych dwóch wsi, a parę lat przed wojną
jeszcze z niewielkiej wsi Straczuny. Z tych wsi wszyst-
kich dzieci podlegających nauczaniu wziąłem na ewiden-
cję. Miałem ogłosić przez ludzi, kiedy zaczną się pierw-
sze lekcje. Tym razem wieczorem do mnie przyszli sąsie-
dzi. Jeden z nich zaczął rozmowę od tego, że przyszli
dowiedzieć się, kiedy już ja zacznę uczyć dzieci, sły-
szeli, że jestem nauczycielem. Jeden z nich był ze wsi

Składańce. Mówił, że czekają na mnie, a dzieci już przerosły, przecież przez trzy lata nie było żadnej szkoły. Zdziwili się bardzo, że chcę wskrzesić szkołę w Jaciunach, o trzy kilometry dalej niż w Składańcach. Byłoby nieładnie, żebym odmówił, dlatego że jest blisko i przecież ja sam tam uczyłem się. Prosimi dać zgodę, a oni pójdą i pomogą przygotować lokal szkolny. Bez zastanawiania się dałem zgodę. Przecież większa połowa mojej rodzonej wsi z 1935 roku posługiwało się szkołą w Składańcach. Znowuż trzeba było obejść wszystkie domy, w których były dzieci szkolnego wieku. Musiałem zapisać i określić, do której klasy będzie chodził i ilu będzie uczniów w każdej klasie. Te cyfry musiałem przedstawić do rejonowego Wydziału Oświaty. Przyznać się szczerze, nie bardzo chciałem pracować ze swymi sąsiedzkimi dziećmi. Przedstawiłem sobie, że będę musiał pracować z uczniami rostem równym ze mną, o mało młodszymi ode mnie, rozmaitego wychowania - czasami z daleko nie świecącym przykładem. Ciągle myślałem z czego zaczynać. Program nauczania otrzymałem, natomiast nie było skąd wziąć podręczniki, zeszyty, ołówki, pióra e.t.c. Nie otrzymałem nawet dziennika, kręciłem nosa, że wszystkie przedmioty w języku białoruskim i parę godzin tygodniowo rosyjski. Pewnego zimowego dnia, właściwie wieczora, ze swym kolegą Felkiem Przeplasko po zakończonych lekcjach poszliśmy, akurat w połowie drogi od szkoły do mego mieszkania, na wieczorki do Matusewicza, gdzie mieszkały dwie panienki. Wiedziałem, że tam przyjdzie moja sympatia Wala. Siedzimy sobie, rozmawiamy i nagle słyszymy, że ktoś chodzi pod oknami, aż słyszymy ktoś zachodzi /drzwi były nie zamknięte/. Wchodzą jeden, drugi, trzeci

i czwarty. Ubrane w kożuchach, po wierzchu w białych płaszczach z płótna lnianego swojej wiejskiej roboty. Wszyscy z automatycznymi karabinami. Jeden z nich zapytał: "Kto z was jest nie z tego domu, cudze". Ja z Felkiem powiedzieliśmy, że my jesteśmy cudze. - "Proszę o dokumenty". Felek starszy ode mnie na rok wyjął i przedstawił zaświadczenie, z komisarjatu wojskowego, że jestem na ewidencji jako 17-letni.

Jeden z gości dostaje z pod płaszcza planszetcę, wyjmuję brulion i zapisuje jego nazwisko, imię, imię ojca i miejsce zamieszkania. Następnie podałem ja swoją książeczkę wojskową i zaczęły mi drżeć nogi. Przeląknęłem się bardzo, po pierwsze, że na pierwszej stronie książeczki jest wklejona kartka, na której ukośnie był czerwony pasek z napisem "zabronirowan" i dalej na jaki termin: "do końca wojny". Zapisał wszystko to co i dla kolegi Felki. Pomyślał, zastanowił się i zapytał, gdzie ja pracuję. Powiedziałem, że pracuję nauczycielem. Ten gość wychodzi za stołu i mówi do mnie, "chodź ze mną" i wychodzi z mieszkania, ja idę w ślad za nim. Myślę, dokąd on mnie prowadzi i co robić... jeżeli będzie się brał za automat - będę próbował uciekać. Prowadzi mnie dalej za dom... Noc była cicha i światła od księżyca. Stanął i zapytał, gdzie ja mieszkam - pokazałem. - "Czy są tutaj we wsi Sowieci?" - "We dnie i do tego czasu ich nie było widać, a teraz nie wiem". Później rozpytywał kto mieszka i pokazywał na sąsiadów tego domu - opowiedziałem każdego po nazwisku. - "Gdzie mój ojciec" - zapytał. - Powiedziałem "w więzieniu". - "A czy wiesz, kto jego wsadził" - powiedziałem, że nie. Na tym kończyła się rozmowa. Kazał mi iść. Zachodzę, a wszyscy siedzą zbladzi od strachu. W domu z tych "gości" nikogo nie było. Pani Matusewi-

czowa ledwo mogąc wymówić powiedziała, że jeszcze nigdy tak się nie złąkła, jak teraz. Jednym słowem zataiwszy oddech wsłuchiwali się, czy nie będzie słyhać wystrzału. Ucieszyli się, gdy ja weszłam. Byłam z uśmiechem, wesoły, grając rolę bohatera - wiadomo przed dziewczynami. Gdy ja wychodziłam, jeden z gości poprosił ile można słoniny, wzięli i wyszli. Właściwie ja chyba byłam więcej nastraszonej, jak ktoś tam z obecnych. Wiedziano przecież, że nie tak dawno we wsi Jatowty, blisko od naszej wsi, przyszli w nocy goście, wyprocedzili na podwórzu Pukszlisa A. i zamordowali. Takim sposobem zgładzili pana Wilbik ze wsi Jaciuny. Takie nowiny były codziennie. Nie żałowano i nauczycieli. Na jutro rano idąc do szkoły koło swego dziedzińca spotkałem kolegę /na kilka lat starszego ode mnie/ Janka Kaszkiewicza, ze śmiechem na twarzy zapytał, czy mocno ja się przeląkłam, mówił, że on stał pod oknem, czy ja go widziałem. Powiedziałem, że nie, ale to słabe żarty, każdy by się przeląkł. Pocięszył mię, żeby się nie lękał dopóki on z nimi razem. Jeden z nich był lotnik z niemieckiego luftwaffe, Niemiec, Akowcy. Jeszcze późną jesienią zamordowano sąsiada Zdanowicza Bolesława z rodziną: żonę i syna. Ciężko rannych wrzucano do ognia podpalonego domu mieszkalnego z przybudówkami. Zamordowano ich cztery osoby. Jedną kobietę przyprowadzili z sąsiedniego domu, nie miejscowa, ewakuowana od frontu z pod Smoleńska. Straszna zbrodnia. Znalezione cztery ciała opalone. Jeden z nich Julian Zdanowicz, mój kolega - jednolatki. W owe czasy można było się spodziewać wezystkiego i od Sowietów, i od miejscowych bandytów-wyrodków. Jednego razu kolega Janek mi powiedział, że trzeba niszczyć skugusów sowieckich, którzy u Sowietów pracują. Na te słowa powiedzia-

łem z zapytaniem - nie, już ja jestem sowieckim sługusem... nie już ja będę stracony, jak niektórzy inni - głęboko pomyślałem. Janek mi obiecywał nietykalność, bezpieczeństwo. Rozumiałem, że od niego zależy żyć mnie czy gnić... na razie on mi daruje życie to jedne - jedyne. Wówczas kilka razy przeczytałem, nie pamiętam czyje to były słowa, z czytanki szkolnej opowiadanie pt. "A żeby ziemia dawała światło", o wynalazcy lampy naftowej Łukaszewiczu. Między innymi były takie słowa "Ziemia nasza matka rodzona. Ona człowieka chlebem złotym karmi, trawy i mchy mięciutkie pod głowę zmęczoną mu ściele, ona gościniec bezpieczny pod nogi mu kładzie. A kiedy życiem strudzony umrze - ona mu grób zaciszny jakby kolebkę szykuje, ażeby spoczął na wieki wiecznie". Od tego czasu te słowa zapamiętałem na zawsze... O wieczności, gdy człowiek umrze, ale w tamte czasy najwięcej "szli do tej kolebki z rąk wyrodków społeczeństwa, bandytów, złodziei, "patriotów" - kryjących się pod parasolem AK. Zimą 1945 r. zdaje mi się w styczniu miesiącu postanowiłem pojechać do Grodna, zawieźć dla ojca paczkę. Razem wziąłem paczkę i dla Szostak Juliana. Podwoził mnie na saniach krewny Szostaka - Jan Jonis. Nie, nie do Grodna a do Radunia, a tam już jak chcesz trzeba było dobierać się do Grodna. W drodze do Radunia uprzedził mnie: mówią, że ja pracuję u Sowietów, żebyś był ostrożny i zerwał z nimi. "To co mam robić?... zwolnić się z nauczycielskiej pracy?" "Nie - poradził - możesz pracować, ale tylko Sowietci do ciebie przyjeżdżają do domu". Te jego słowa przesiąknęły iskierkami naskroś. Zastanowiłem się, t.zn. że ja już jestem punktem obserwacyjnym, kandydatem do kolebki ziemskiej. Wiedziałem, że on nie należał i chyba nie należy do

podziemia AK. Sowieci jego nie biorą do wojska dlatego, że jeszcze nie podlega służbie, brakuje mu lat. A we dnie może poruszać się wszędzie, gdzie tylko chce, a noc jego matka karmicielka, żerując na życiach ludzkich. Opowiedziałem, jakie mam związki z Sowietami. Faktem nie przeczyłem, że byli u mnie Sowieci. Jeden z nich nocował, inspektor szkolny, wizytował moją szkołę i wiedziałem, że on jest głodny, zaprosiłem do domu na obiad i tym razem zanoctował. Druga wizyta Sowietów: przyjeżdżali do domu w mojej nieobecności dwóch oficerów z Raduńskiego Komisarjatu Wojskowego. Czegoś oni szukali, chcieli "kupić" kabanka nieźle już podkarmionego, ale mama pokazała im nałożony areszt NKWD na żywy i martwy inwentarz, i jeżeli zabiorą, to potrzebne jest pokwitowanie odbioru. Tymczasem dla kabanka skazanego imi na śmierć ten werdykt zaniechano. W stodole znaleźli mój rower. Sliczny, w dobrym stanie rower, który nie był opisany przez NKWD. Zabrali mówiąc, że to "trofiej". Słuchał on mego tłumaczenia i jak gdyby to wziął pod uwagę, że ci Sowieci to nie te, za których można mordować. Tylko wykrztusił: "a ludzie mówili inaczej". "Nie trzeba słuchać ludzi tych, którzy śmierć komuś wyrokuja. Przez takich ludzi giną zupełnie niewinni, Bóg musi ukarać tych, które przyczyniły się odebraniu życia - powiedziałem dla niego tłumaczaco. Ojciec, ksiądz raduńskiej rapafii Sztejn Czesław i inni z naszej wsi siedzieli w więzieniu obok kościoła *farneq*, wówczas nieczynnego. W więziennej poczekalni dla przekazania paczek było kilka ludzi, przede wszystkim były kobiety. Aż ciarki chodzą po ciebie, gdy odmyka i zamyka ze skrzypem i stukiem okienko, przez które robotnik NKWD przyjmuje paczki. A porządki były takie: początkowo trzeba napisać na kartce naz-

wisko, imię i imię ojca, i miejsce stałego zamieszkania, i swoje imię i nazwisko. Tylko przez jakiś czas wywoływał po nazwisku przesztowanego i zabierał paczkę. Niezadługo oddawał kartkę.

Na kartce poznałem ojca ręką pisane "dziękuję" i podpis. Takie paczki z chlebem, słoniną i cebulą wozikiem kilka razy. Późną jesienią 1945 roku ojca w grodzieńskim więzieniu nie znalazłem, na kartce było napisane "ubył". Czekaliśmy listu już nie od zachodu, a ze wschodu. Pierwszy list otrzymaliśmy z węzłowej stacji kolejowej Oreza bez adresu. Pisał, że wiozą na Północ, gdzie i dokąd - niewiadomo. Gdy zajedzie na miejsce, wyśle list, ale o tym później.

Przez całą zimę nie dawali ludziom spokoju enkawudziści. To tu, to tam wyciągali z kryjówek mężczyzn. W jeden zimowy dzień kierownik rejonowego Wydziału Oświaty towarzysz Krolikow Wołodia wziął mnie razem do Grodna, do pomocy otrzymać podręczniki. Pojechałem z wielką chęcią z zamiarem pełniejszego zabezpieczenia podręcznikami swoją szkołę. Otrzymaliśmy wówczas wielką ilość podręczników i zeszytów. Jego staraniem, a moją fizyczną pomocą załadowaliśmy je na stacji kolejowej do dwóchośnego towarowego wagonu. Jechaliśmy w tym wagonie drząc z zimna, zęb na zęb nie popadał. Na stacji Bastuny przy krótkim postoju pociągu ledwo zdążyliśmy wypchnąć na śnieg te książki i zeszyty. Zaszliśmy do dyżurnego stacji, by się ogrzać. Bardzo mi szkoda było swego kierownika oświaty, gdyż jak na zimę był lekko ubrany. Był obuty w zwykłe proste żołnierskie buty, ubrany w palto i na głowie miał czapkę "uszanke". On więcej drżał z zimna ode mnie, ale widać, że człowiek był zahartowany. Pochodził z Syberii. Na stanowisko kierownika oświaty przyszedł z party-

24

zantki sowieckiej. Bardzo dziwnie i głupio oddał swe życie. Jednego razu jechał furmanką z m. Lida. Niedaleko od m. Żyrmuny zauważył w krzakach dym - blisko drogi. Nic nie myśląc poszedł na ten dym, a tam go spotkano serią z PPSz. Skonał na miejscu. Zastrzelili go samogoniarze - tak mówili ludzie. Nie wiem, czy ktoś odpowiadał za to morderstwo. W ogóle za wszystko, co by się nie stało, odpowiedzialni byli miejscowi. Jeżeli mordowali jedni drugich NKWD nie czyniło przeszkód. Zdaje mi się, o ile pamiętam, 25 lutego 1945 r. w niedzielę musiałem być obecnym na rejonowej konferencji nauczycielskiej. Więc gdy spotkałem z rana idąc do szkoły /o tej porze jego zawsze spotykałem, gdy on szedł do swego domu od swoich krewnych, ^{od} Kaszkiewicza Józefa/ kolegę Janka poprosiłem, żeby on mnie podreperował buty, że jadę na konferencję nauczycielską. On mi krótko powiedział, że idzie spać, prawie nic nie spał. W nocy byli w Janopolu i od gospodarza Bronisława Borki zabrali wielkiego kabana. Podreperować mi buty może tylko wieczorem, żebym ja przyszedł tam, do Józefa Kaszkiewicza, od którego on powraca. Wczesnym wieczorem poszedłem, jak my i domówiliśmy się. Tam u Kaszkiewiczów zastałem dwóch dziewczyn z Ejszyszek. Jedna na imię Wacia, była już dorosłą - około 18 lat, a druga Irenka, jakichś lat 8-9. Do późnego wieczora przesiedziałem i nie doczekawszy Janka poszedłem do domu. Na jutro w saniach pojechałem na konferencję. Wróciłem w dobrym humorze. Jak nie być dumnym, jeżeli na konferencji, wobec pedagogów rejonu szkolny inspektor z Grodna towarzyszy Tatiana Filipowna pochwaliła mnie za metodykę prowadzenia lekcji w szkole. A żyło się tak, przeżył dzień - chwała Bogu. Myślano zawsze,

27

jak przeżyć dalej do tego 15 czy 1 następnego miesiąca. Wciąż, chociaż nie wierzyłem, ale czekałem tych cudownych dni przekazywanych z ust do ust. Jak oni ciągną, psie braty, to wyzwolenie. Naprawdę nadojadło już czekać, ale bez tej nadziei byłoby żyć jeszcze ciężiej. Przynosili do mnie czytać i odpisywać listy z dalekiej północy. Każdy pisany list, jego treść była przesiąknięta nadzieją na lepsze jutro. Często pisano tak: "powodzi się dobrze, żeby tylko nie było gorzej. Brakuje tłuszczu i witaminów, zaczynają boleć zęby. Choruję na cynkę, po której wypadają zęby". Proszą przysłać paczkę ze słoniną i cebulą. "W krótkim czasie mają przyjechać Ania z Amelcią, a gdy wyzdrowieje, to przyjedzie i pani Frania". Nadzieja - nadzieją, ale ona podtrzymywała na duchu, pomagała wytrzymać, wyżyć w nieludzkich, nieznośnych, bardzo ciężkich warunkach. Niestety, nie wszystkim udało się przenieść swoje kości w rodzinne strony, pod swój własny dach, do swoich rodzin, by je położyć obok kolebki swoich najbliższych każdemu świętych relikwii. W odpowiedziach na listy męczenników pisałem listy pocieszenia, życząc powrócić jak najrychlej pod swoją rodzoną strzechę. Życzyłem męki lżej znosić, nabierać sił, pocieszać jeden drugiego, że na nich czekają doterminowo. Otrzymaliśmy od ojca drugi list z obwołu archangielskiego, ze stacji Jarcewo, Pisak, że chorował i teraz czuje się nie tak zdrowo, Na roboty do powału lasu nie chodzi, pracuje na miejscu, robi łuczywa dla tynkowania ścian. Pracuje w cieple i ma robotę nie ciężką. Trzeci list był krótki, że czuje się nieźle, mają wieść gdzieś w inne miejsce. Gdy dojedzie do miejsca napisze. Z nowego miejsca otrzymaliśmy list pisa-

ny 4 lipca 1947 roku. W tym liście pisał: "Kochana rodzinno! W pierwszych słowach mojego listu witam was tymi Bożymi słowami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, czekam odpowiedzi:... Donoszę z dalekiej strony o swoim życiu, z dalekiej strony północnej, ani oko widziało, ani ludzka noga była, gdzie ja jestem zesłany; rozkosz moja uścisk serca, radość moja - oczy zwrócone zawsze na południowy zachód, pociecha moja - pisanie listu. Całe zadowolenie moje, gdy otrzymam wiadomości rodzinne, lub paczkę czekolady". Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego pisze "... paczkę czekolady", rozumieliśmy to tak, że zwykła paczka jako rarytas w rodzaju czekolady. Dalej ta strona listu pociemniała z biegiem czasu, że nie sposób przeczytać. Na drugiej stronie listu pisze: "Donoszę o przyrodzie: rośnie szybko wszystko prawie w oczach, za tym co nie jest ciepło, z jednej strony słońce grzeje, a z drugiej strony chłodno i światło, razem i wiosna i lato. Już koszą trawy. W tych dniach deszcze przechodziły i chłodno, siedzę w baraku ubrany i obuty, i tak czuję chłód. Wyrosły trawy leśne, pojawił się iwan-czaj w kotle, tak jak u nas grabuzd. To mi się zdaje wszystko - nie mam co do pisania, bo jedna i ta sama piosenka bez końca - łagier i las. Rok ten jest główny. Dziękuję za paczkę, którą otrzymałem 1.VI, wysłaną 19.V. Nie zapominajcie o mnie, nie ma co z żywności, to może tytoń niedrogi, bo u nas ma wielkie znaczenie i to jest chleb. Piszcie listy, co słyhać u was we wsi, jak zasieli, jaki jest spodziewany urodzaj, ciężko nie pracujcie, martwić się nie ma co, cieszcie się, że jesteście zrodzeni od Boga, a Pan Bóg nie opuści. Matka Boska co świeci w Ostrej Bramie zetnie głowę wężowi. Całuję rodzi-

nę, uściskam wszystkich. Do widzenia do miłego zobaczenia jak najrychlej. Wasz rodak i podpis". Sliczny miał charakter pisania. Wśród setek mogłem odróżnić list ojca. Podpis był autentycznie taki samy jak za dobrych czasów.

W lutym miesiącu 1946 r. do naszej zagrody podjeżdżają kilka furmanek. Do domu zachodzą dwóch enkawudzistów. Z planszетки dostają jakieś papiery. Był to protokół - spis wszystkich rzeczy, żywego inwentarza i nieruchomości. Z początku mnie nie było w domu, zawołała mnie młodsza siostra ze szkoły. Przyszedłem czym prędzej. W pokoju już rozbierali szafę z lustrem, ładowali na sanie świń. Ich pisk roznosił się dookoła. Widać było sąsiedzi koło swych domów obserwowali, co się dzieje. "Modliliśmy się patrząc i prosiliśmy Boga, żeby Wam dał zdrowia, myśleliśmy, że was na Syberię wywożą". - mówili potem. Furmanki były zebrane ze swojej wsi - sąsiadów. Widać było, jak oni opuściwszy głowy pomagali dla enkawudzistów z wielką niechęcią. Więc ja ich prosiłem o pomoc, dlatego, że wszystko jedno nic nie zrobisz - co zechcą to i zrobią. "Lepiej byłoby odchorować ten czas niż być obecnym na takim widoku, na takiej sprawie" - mówili. Wówczas pozostawili zabudowania, kierat, konia i jedną krowę. Zabrali trzy krowy, dwie owcy, dwoje świń i szafę. Chcieli zabierać zboże z zasieków. Prosiliśmy, żeby zboże nie zabierali, dlatego że więcej nie ma, jak tylko na wiosenny siew. Sąsiedzi potwierdzili, że liszniego nie ma, a jeżeli nie posiadać wiosną - to i dla państwa nie będzie. Nie zabrali. Bardzo mi szkoda było starej świni, która za kilka dni miała dać potomstwo. Krowy też były na ocieleniu.

Dzień był słoneczny, już topniał śnieg, ale na wieczór stało marznąć i miejscami był goły lód. W taką pogodę na

dziejniece do studni krów nie puszcaliśmy. Było dla nich niebezpiecznie przed ociepleniem upadnąć z poślizgu. Nosiliśmy wodę wiadrami - poiliśmy ich na miejscu w chlewie. Ja razem z sąsiadami-furmanami, gdy doszło zabierać krów, aż nam w pięty kolnęło. Prosiłiśmy nie zabierać bo ślisko, a jeżeli już tak koniecznie trzeba, to drugim razem, gdy nie będzie ślisko, szkoda ^bwiednej żywioły. Enkawudziści byli pijani. Nie wiem, gdzie się oni napili, jak mówił sąsiad Sadowski "żeby oni smoły się napili". A sąsiad Boładź Jan uciekł z koniem i pojechał gdzieś dalej do sąsiedniej wsi i wrócił do domu późnym wieczorem. Mówił później: "nie mogę znieść takich widoków, który był u was. Tego świat nie widział takich zbrodniarzy jak ta święta ziemia nosi, czemu ich Bóg nie karze, nie już my zasłużyliśmy na takie męki. Wprost nie chce się wierzyć, że jeszcze gdzieś jest piekło. Piekło jest tu na tej ziemi i diabli panoszą się tutaj. Ale jak jeden mędrzec powiedział, kogo Pan Bóg kocha, temu krzyż daje". Ot i dał krzyż i trzeba jego nosić jak Chrystus idąc na Golgotę". W związku z ucieczką sąsiada z koniem, musiałem zaprzęgnąć swego konia w sanie. Widok był nie do zniesienia. Czym zawiniła ta żywioła? Krowy idąc obok san przywiązane wierówką często w poślizgu padały. Swoi mężczyźni pomagali im wstać przypodejmując. Czasami od razu się nie udawało, wówczas podchodził enkawudzista i karabinem walił krowie po plecach. Nie mogąc znieść ten widok podchodziłem i zapraszałem, żeby nie pozwalać katować, a pomagać lepiej podejmować. Jeden z enkawudzistów odciągnął kurek automatu i do mnie "zastreliu"! Mężczyźni mnie za pod rękę odciągnęli i prosili, żebym nie laźł im w oczy, bo oni pijane mogą zrobić to, co jest nie pożądane. Jakoś

już prawie wieczorem dobraliśmy się i podjechaliśmy do gniazda złoczyńców. Na moich saniach leżeli związane 2 owce i kazali podjeżdżać do stołówki. Pod nóż pójdą - pomyslałem. Dzisiaj - jutro powinny być z potomstwem. Zniszczą ich i jeszcze nie zobaczywszy białego światła małe bacie. Za co oni zostali skazane na przedwczesną niszczycielską śmierć. Nie zdążyliśmy wyładować owce, aż podjeżdża furmanka ze świńmi. Też wyładowali skazanych pod nóż. Szafę wyładowali do Prokuratury. Nieźle będzie dla wysokich panów - towarzyszy będących na straży prawa powiesić swoje palto i uczesać się przed lustrem - za darmo, za czyjąś pracę - zdobyte, zarabowane. Koło stołówki zauważyłem kierownika stołówki towarzysza Gołowieszkina. Zwróciłem się do niego, co mam zrobić, żeby wyręczyć skazaną pod nóż maciorę, która lada chwila na dniach miała porodzić potomstwo. On dla mnie poradził schodzić do towarzysza Osokina, kierownika wydziału finansowego rejonu. To od niego też zależy, te pieniądze za mięso pójdą do rejonowego budżetu. Poszedłem do jego mieszkania, ponieważ już były godziny po pracy. On mnie znał z widzenia. Kiwał głową i myślał, jak tu mi pomóc. Opowiedziałem mu, maciora i owce są już w stanie dzisiaj - jutro mieć potomstwo, szkoda marnować. Po namyśle powiedział, trzeba było do tego gdzieś pochować, albo sprzedać, nie trzeba było się lękać - nie odpowiedzialiby za to, a teraz możesz zamienić maciorę na prosiaka jakiegokolwiek. Żeby była sztuka, a z owcami nic nie poradził. Dziwił się, dlaczego nie sprzedali krów, nie trzeba było się lękać, za to by nic nie było, przecież zdawaliście mięso dla Państwa, płaciliście podatki. Biedny Polak po zgubie - pomyslałem. Poszedłem znowu do

kierownika stołówki. On obiecał maciorę zamienić, tylko żeby na jutro, trochę wcześniej. Zawróciłem konia i pojechałem do domu. Mój wniosek zamienić prosiaka na maciorę w domu poparli wszyscy. Na jutro zamiast iść do szkoły, pojechałem do Radunia z prosiakiem. Młodszej siostrze kazałem schodzić do szkoły i uprzedzić dzieci, że lekcji dzisiaj nie będzie. Zamieniłem. Gdy przywiozłem do domu, maciora zachorowała, nic nie jadła i na jutro "zrzuciła" jedenaście malutkich prosiaczków. Byli one nie żywe. Długo chorowała maciora, a gdy nadeszła wiosna, zaczęła ryjąc szukać jakichś kokonków. Wprost na oczach zaczęła się poprawiać, wyglądać coraz gładszej. Ostry grzbiet chudego ciała zaczął się chować w ciele. Maciora zaczęła nabierać w ciele, stała weselsza, zwinniejsza aż stała wyglądać tak jak przed wyrokiem niszczącym zwierza. Z bólem patrzyłem na nią, przeklinając nieludzką władzę. W ogóle wszystko wyglądało, jak gdyby to po jakimś kataklizmie. W oczach świecił się pustką węgiel pokoju, gdzie stała szafa. Chlew i chlewiki też były puste. Nocami długo nie mogłem zasnąć. W głowie kłębiły się rozmaite myśli, a gdy zasypiałem, męczyły mnie jakieś straszne sny. Oczy miałem czerwone z zalany mi krwią w oczach krwionośne strumyki. Wciąż nie wierzyłem, że tak będzie dalej, że można będzie żyć w takim piekle. Czekaliśmy z niecierpliwością tego 1-go, czy 15-go. Nie traciliśmy nadziei. Ta nadzieja pomagała nam dźwigać krzyż. Enkawudziści wciąż panoszyli się i wydobywali z chronów i rozmaitych kryjówek swych ofiar. W Raduniu oprócz NKWD, które było rozlokowane na rogu ulicy Możejkijskiej, w niemałej ilości, pojawiła się druga jakaś jednostka wojskowa NKWD, na rogu ulic Nackiej i

Grodzieńskiej. Z tego domu usunęli właściciela z rodziną pana Wiencis. Na dziedzińcu tego domu zawsze stał wojskowy czółg. Dom ten był w porównaniu niemały - było w nim chyba cztery pokoje z salką na poddaszu. Będąc uczniem raduńskiej szkoły czas od czasu zachodziłem w czasie półgodzinowej przerwy kupić za 5 groszy od pana Wiencisa bułeczkę z cukrem.

Po okolicznych wsiach i zaściankach szły pogłoski, że gdzieś w okolicach miasteczka Zabłocie pojawiły się w różnych ubraniach, w cywilnym i wojskowym partyzanci, które nazywali siebie "zielonymi". Nawet w ich "otriadzie" był duchowny wiary prawosławnej pop. /batuszka/, z długą czarną brodą, w ryzach odprawiał nabożeństwa /obiedniu/. Nabożeństwa były odprawiane w jednych z chat wsi Paskowce. Zaproszono na nie okolicznych mieszkańców. Pop twierdził, że prawosławna wiara jest wiarą Chrystusową taką samą, jak ich, Polaków, katolicka. Jeden i ten sam Bóg, Jezus Chrystus i Matka Boża, że da Bóg i powrócą carskie porządki w Rosji, a na tych terenach będzie władza polska. W tym z pomocą Boga i Ameryki, z Anglią będziemy wolni i swobodni. W owych miejscowościach bogatych dookoła lasami miały przytułek po nieudanej akcji "Ostra Brama" żołnierze AK. Zielone ubiegały się o połączenie się z oddziałami AK. Prowadziły negocjacje, żeby powiększyć siłę dla obrony przed NKWD, żeby razem zjednoczywszy swe siły planować akcje wypadowe - na przykład na Raduń. Razem pod jedną komendą robić wypady rozpoznawcze - razem. Po kilkakrotnym spotkaniu uwierzono im. Może być z jakimś podejrzeniem, ale byli oni z każdym razem coraz bliżej. Dokładnie nie wiem, jak tam

35

było w samej rzeczy przy ostatnim w ich życiu spotkaniu. Jednym słowem, pewnego dnia w lutym miesiącu 1945 r. od samego rana w miasteczku Raduń, na śródmiejskim placu pod ścianą spółdzielni zobaczono około 10 zwłok męskich w jednej bieliźnie z przerżniętymi głęboko ranami w poprzek gardła. Na tą poniewierkę ludzie nie szli, tylko pojedynczo ktoś przychodził i przeklinał w myślach morderców. Był widok okropny. Leżały w białej białutkiej bieliźnie, jak gdyby to specjalnie ubranej przed spodziewaną śmiercią, bose. Bielizna na wszystkich była jednakowa - bluza i kalesony. Jeden z nich miał z przodu łysinę i w ustach widać był srebrnego koloru ząb, a może ich kilka - dobrze już nie pamiętam. Z twarzy wyglądał na inteligenta - chyba był dowódcą - pomyślałem wówczas. Na głowach nic nie mieli. Okrutna zbrodnia jeszcze z poniewierką. O tej zbrodni nie wspomniano w książkach pt. "Operacja Wileńska AK" autpra Romana Korab-Żebryka oraz w "Nowogródzczyzna w walce 1940-1945" autora Janusza Prawdźca-Szłoskiego. Po tej zbrodni zupełnie "zginęli" "zieloni". Gdzieś w ciepłe sporządzonej na luksusie siedzibie albo w restauracji okrapiali swoje orderki, wyższe czyny i większe gwiazdki na ramionach "zielone" bandyci. "Zasłużyli", ale tylko na przekleństwo i karę Bożą. Tylko wszechwidzący Bóg żeby ich nie ominął - krwiożerców. Po tej zbrodni, o której wiadomość rozeszła się szeroko w świat, był ułożony wiersz:

Szumi las pieskowski i ten gaj zielony.
Tam gdzie przechodziła armia czerwona.
Ale nasi chłopcy byli tacy głupi,
Zaczęli się łączyć do czerwonej grupy.

Tak razem chodzili na różne wyprawy,
 Z jednej miski jedli, razem pili kawę.
 Aż pewnego razu na wioskę Piaskowce,
 Napadli na śpiących jak wilki na owce.

I tak ich męczyli, piłą gardło różnili,
 Dotąd nie odeszli, póki nie wycięli.
 Po złodziejsku w nocy, by morderstwo skryć,
 Krwawymi rękami powrzucali w ZiS.

Przywieźli ofiary pod raduńską ścianę,
 I powrzucali gołe, zmarzłe ciała.
 Dla urągania wyrzucano trupy,
 Dla pochwały siebie, swojej wilczej grupy.

Po kryjomu w nocy ofiary zabrali,
 Tylko wiatr był świadkiem, gdzie ich pochowali.

Spicie cicho- słodko, bohaterowie sławni,
 Wasze walki, męstwo naród nie zapomni.
 Gdzie Wasze mogiły, gdzie Wasza kolebka?
 Przysnijcie się dla mnie, ja o Was pamiętam.

Były ułożone 4 zwrotki, a resztę pisząc te wspomnienia ułożyłem sam. Wówczas wieś była jeszcze niewyludniona, jak dzisiaj. Gdy zaniechano łapanek, to już po wojnie, jak zawsze były organizowane potańcówki. Ocalałe chłopcy czasami zbierali się z sąsiednich wsi. Otóż na tych potańcówkach z tego wiersza nieznanego autora, ułożyli melodię i śpiewano ją gdy nie było kogoś podejrzanego. Młodzieży było nie-

mało, przeważnie dziewcząt na wydaniu. Nie we wszystkie domy jeszcze zawitało większe nieszczęście.

Rok szkolny podchodził ku końcowi. 9 maja 1945 roku zabrał mnie ze sobą do Grodna kierownik Wydziału Oświaty towarzysz Wołodia Krolikow. 26 kilometrów do m. Lidy szliśmy pieszo. W Lidzie ujrzelśmy odświętnie ubranych i dobrze podchmielonych wojskowych - z wywieszonymi na pierśsiach orderami i medalami. Zeszliśmy do Lidzkiego Rejonowego Wydziału Oświaty. Kierownik nas spotkał z powinszowaniem z Pobiedą /ze zwycięstwem/ i zaprosił nas do pokoiku obok jego gabinetu służbowego, gdzie tymczasowo mieszkał. W czterech ścianach plus minut 6 m² stała jakaś niewielka graf-szafa, tapczan, mały drewniany stolik i jedna taburetka. Nie byłaby to Pobieda, jeżeli ją nie skropić bimbrem. Gospodarz dostał puszkę rybnych konserwów i otworzył ją jakimś dziwnym, podobnym na bagnet nożem, położył pół bochenki czarnego rozowego chleba, jedną cebulę i postawił jedną szklankę. Ze swego gabinetu przyniósł pełną litrówkę bimbru. U swego szefa zapytałem nieznacznie, może z portfela dostać słoninę i swój chleb? Wołodia popatrzył na mnie i powiedział do swego druha: no cóż z wódką nic nie możemy pomóc, a zakąskę mamy trochę, na drogę, dostań - powiedział mnie. My bardzo chcieliśmy jeść, a ta puszka rybnych konserw nic dla nas troje nie znaczyło, tym bardziej popiwając bimber. Tę noc nocowaliśmy na miejscu, na podłodze. Na podłodze były rozściane jakieś szmaty i mieliśmy jedną na dwóch małą poduszczykę oraz jeden na dwóch koc. Razem z nimi cieszyłem się, że już wojna jest skończona i piłem bimber za "Pobiedę".

Na jutro rano wyjechaliśmy do Grodna w pasażerskim, zrobionym z desek ławki, wagonie towarowym. Na ten raz nie przywieźliśmy nic. Szef mój został niezadowolony, pluł pod nosem i burczał na te bezporządki w Obwodowym Wydziale Oświaty.

Miasto Lida chociaż nie było tak daleko, bo tylko 26 km, ale ulic nie znałem. Centrum miasta było wyburzone przez niemieckie lotnictwo. Dziwem pozostało, ocalało, kościół rzymsko-katolicki. poczta ze szklanym dachem zbudowana przed samą wojną. Ocalały dalej od centra wszystkie małe drewniane i murowane domy mieszkalne. Jeszcze ocalała dalej od centrum duża kilkupiętrowa murowana szkoła. Oto w tej szkole, od razu po przyjsciu Sowietów, była organizowana szkoła pedagogiczna. W tej szkole uczyłem się korespondencyjnie. Na lekcje i egzaminy przyjeżdżaliśmy zimą i latem. Pierwszy raz urządziłem się do jednego dużego pokoju z Białorusinami, zapoznałem się z dobrymi kolegami Zdanowiczami Jankiem i Lucjanem, Kirel i inni, nie pamiętam już po nazwisku. Ale było wśród nich bardzo okropnych białoruskich chamów. Jeden raz nie wiem, coś powiedziałem nie tak jak dla niego się chciało, tak on moje rzeczy wyrzucił z pokoju, z drugiego piętra. Ja dla niego kazałem, by przyniósł i położył na ~~miejsce~~ miejscu. W tym czasie jeden z nich wziął mnie za rękę i wyprowadził na korytarz, i zaproponował, że on przyniesie. Poszedłem ja sam i przyniosłem swe rzeczy na miejsce. Więcej ja z tym trzymajmordę nie rozmawiałem. Tę zimę mieszkaliśmy w nieopalonej bursie. Zimą na te dwa tygodnie zbieraliśmy się przynosząc ze sobą pusty siennik, szedliśmy z nim na rynek i prosiliśmy kto ile da słomy czy siana. Napełnialiśmy ten siennik i jeden koniec zaszywaliśmy. Spaliśmy na

tym sienniku nakrywając się z domu przyniesionym kocem czy z wełny tkanym swojej wiejskiej roboty, dywanem. Na wierzch kożuchem i tak było jak wytrzymać. Wytrzymywaliśmy, bo umieliśmy drzeć. Jednego razu mówiono, bo z nie naszego pokoju, we dwóch poszły na przyszkolny stadion, by zdobyć drewna i nie powróciły. Aresztowano ich i osądzono. Latem 1945 roku ja z kolegą Kożuchowskim Stanisławem zamieszkaliśmy w półpiwnicznym pokoiku. Pochodził on ze stacji Rożanka, wsi Łagody, szczuczyńskiego rejonu. Jeszcze poznałem się z braćmi Kropa, z którymi korespondowałem przez dłuższy czas, zanim nie wyjechali do P_olski. Nie pamiętam daty, w sierpniu miesiącu 1945 r. zebrano nas wszystkich studentów i poprowadzono na dworzec kolejowy, na spotkanie z żołnierzami-zwycięzcami, które powracały ^(z Niemiec) do Związku Radzieckiego. Studentki dziewczęta, Rosjanki i Białorusinki na spotkanie przyszły z bukietami kwiatów. Wkrótce podjechał długi towarowy pociąg z krytymi towarowymi wagonami /tzw. cieletnikami/ pełnymi odświętnie ubranymi żołnierzami. Na piersiach po kilka, a czasami i po kilkanaście orderów i medali, były wesołe, tu i tam grały na harmoszkach. Starszy oficer skomentował, żeby była cisza ~~o~~ i dał komendę na baczność! Nagle zrobiła się cisza, tylko gdzieś w oddali słychać był cienki huk lokomotywy-kukułki, robiącej porządek przy formowaniu zestawów i rozformowaniu. Pchała wagony na właściwe miejsca i tory, za sobą i przed siebie. Ktoś z cywilnych wystąpił i podziękował żołnierzom i oficerom za dzielną walkę, za zwycięstwo nad hitleryzmem, za pokonanie ich we własnym berłogu. Starszy oficer podziękował za takie serdeczne i gorące powitanie i rozeszliśmy się kto gdzie, ja z kolegami poszliśmy do bursy by powtórzyć matematykę, ponieważ na jutro

trzeba było zdawać egzamin ustny. Już nad wieczór wrzało u nas w bursie od żołnierzy wyzwoleńców. Pełne ich były korytarze. W ten wieczór nie mieliśmy światła. Dlatego ja pożegnałem się z dziewczynką z sąsiedniego pokoju i przyszedłem do swego. Kolegi mego Stasia Kożuchowskiego jeszcze nie było, gdzieś flirtował. Spaliśmy na jednym, przysposobionym z drzwi, łóżku. Ja zdjąłem marynarkę i pantofle, w spodniach tymczasowo położyłem się czekając na kołgę. Wnet nieoczekiwanie ktoś silnie targnął drzwi. Drzwi się otworzyły i wchodzi dwóch czy we trzech żołnierze, świecąc latarką widząc, że ja leżę, jeden z żołnierzy zapytał, czy są tu dziewczyny. Widząc, że nie ma, obświecili wszystkie ściany i podłogę, aż patrząc jeden z nich zabrał moją marynarkę i pantofle i przez drzwi... Ja nie wiedząc co robić wybiegłem do korytarza i krzyknąłem "Okradli"!... przybiegł mój kolega Stanisław, wyszli studenci z sąsiedniego pokoju, a tych żołnierzy ani ducha. Poradzili mi zameldować na milicję. Ja środkiem ulicy pobiegłem. Zachodzę i opowiadam w czym rzecz. Powiedział mi jeden oficer, że to nie ich rzecz, tutaj służba bezpieczeństwa, a nie milicja i pokazali kędy, w jakim kierunku znaleźć milicję. Przybiegłem, opowiadam co i jak. Na pytanie odpowiedziałem, że to byli żołnierze, a nie cywilni. Oni mnie powiedzieli, że to nie ich rzecz... trzeba zwrócić się do wojskowej komendatury. Pokazali, w jakim kierunku, gdzie znajduje się. Nareszcie już jestem w komendaturze. Jak zawsze opowiedziałem, gdzie, co i jak. Dyżurny poruszał ramionami i powiedział, że na razie nie może pomóc, wszyscy patrolują miasto, rozeszły się każde grupy we wskazane miejsca. Rozejrzałem się po tej komnacie, oprócz dyżurnego oficera na podłodze spali 2-3 żołnierze.

Tymczasem oficer wypytywał, gdzie ten rabunek zaszedł. Zorientowałem się, że od miejsca zajścia wypadku jest blisko. komendatury. Zachodzi jakiś oficer dyżurny, daje zadanie iść razem ze mną i tam gdzieś na tej ulicy jest grupa dyżurnych. Odnaleźć ich i razem przekontrolować cały gmach szkoły-bursy. Noc była jakaś ciemna, szliśmy z dyżurnym oficerem środkiem ulicy i słyszemy idą nam naprzeciw jakaś grupa. Mój współtowarzysz zapytał hasło, ci odpowiedzieli. Zbliżyliśmy się. Opowiedział w czym rzecz. Przełożony tamtej grupy powiedział, że oni tylko co tam byli... wszyscy śpią, cisza, porozmawialiśmy, powiadają i nic nie zameldowali jakiegoś wypadku. Wówczas oni na mnie, dlaczego ja kłamię. Zaświecili latarką, zobaczyli że ja jestem bosy i w koszuli i nie dowierzając mi powiedzieli, że wracać z powrotem nie będą, że ja kłamię. Jeden z nich na moją prośbę zaproponował zobaczyć, a jeżeli nic, to dostaniesz-powiedział. Poszliśmy. Oni zawracają na lewo, ja powiedziałem, że nie, nie w tej bursie, a w drugiej, dalej, w szkole pedagogicznej. Powierzyli dla mnie, że w dalszej bursie oni nie byli, a byli w tej bliższej, w której wszystko w porządku. Podeszliśmy do gmachu szkoły. Poprosiłem ja, żeby w ^{tym wejściu} ~~jednym miejscu~~ naznaczyć dyżurnego, by nikogo nie wypuskał, a my pójdziemy przez drugie wejście. Zachodzimy. W jednej z sal harmider-zaszliśmy. Było tam ^u dziewcząt około dziesięciu wojskowych. Postawili ich w rząd i kazali mi poznawać świecąc latarką w twarz. Wiadomo było, że ja nie mogłem poznać, a oskarżyć niewinnego, Boże broń nie można. Poszukiwanie po już ostygniętym śladzie, nie było pozytywnym. Kazali mnie zejść jutro z rana. Poszedłem. Opisałem w podaniu, jak wyglądają skradzione rzeczy. Zaproponowali dla mnie iść na bazar, tam możesz czasami

znaleźć sprzedającego. Nie poszedłem. Na bosy, w koszuli poszedłem zdawać egzamin, ten ostatni na te lato z matematyki ustnej. Zdałem za jedno i z psychologii awansem. Wszyscy rozjeżdżają się. Ja poszedłem na punkt, gdzie zdają kontyngent zboża. Znalazłem sąsiadkę Butrymowicz Janinę. Z nią, jej furmankę, wróciłem do domu. Jeszcze jadąc myślałem, że letniego nic nie mam co obuć - oprócz wojsłaków, ale to przecież nosi się tylko zimą. Myślałem, w co ja się obuję na rejonową konferencję przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego 1945-1946 r.r. Materialnie, w domu już jesteśmy prawie na zero, a trzeba i bardzo jest potrzebny rower. Jak to się mówi "jak kiń - tak klin". Mój rower, który zabrali jako trofeum, pewnego dnia znalazłem na rynku. Był już nie moim. W domu rozmawialiśmy, że jest bardzo trudno, że żadna władza tak by nie mogła za tak krótki termin ogołocić, obebrać, obrabować. Mama płakała często, najwięcej gdy była jedna. Mówiła, że to Bóg ukarał nas wszystkich. Ja tymczasem nie zgadzałem się z określeniem mamy, a wciąż siebie myślałem, że to nie Bóg, a diabeł rządzi, a Bóg odstąpił w stronę, żeby nas przekonać i pokarać, ^{co} a może diabeł. Tak długo być nie może. Trzeba nabrać sierpienia i siły, by wytrwać. W rodzinnym gronie pocieszaliśmy się nawzajem, a czas tak wlekł się pomalutku ślimaczym krokiem. 1 września rozpoczął się rok szkolny. Tej daty czekałem, jak jakiegoś wielkiego święta. Chociaż poszedłem na pracę pedagogiczną nie z powołania, chociaż być nauczycielem nigdy nie marzyłem, jednak tak się przyzwyczaiłem, wydawało się, że nigdy z tego zawodu nie ustąpię, nie zamienię na żadny inny - nigdy w życiu. Sam prowadziłem 1-4 klasy w dwie zmiany i nie czułem żadnych trudności. Codziennie szedłem do szkoły jak na jakąś rekreację. Często enkawudziści z daleko krzyczeli stój! Stawałem.

pokarać(?)

Podchodzili, sprawdzali dokumenty. Wówczas jednym-jedynym dokumentem była książeczka wojskowa, a wkładka z ukośnym czerwonym pasem, służyła mi jako status quo. Jednego razu zatrzymał mnie podoficer NKWD, wylegitymował i zaczął ze mną rozmowę o szkole. Mówił, że on jest z zawodu nauczyciel, że wkrótce zwalnia z wojska, czeka z niecierpliwością, by pełnić swój zawód, za którym bardzo się zdłużył. Współczułem mu i rozumiałem go z rozmowy i w ogóle z jego oczu, że ta jego służba "łapania wrogów" nie w jego charakterze. Na początku roku szkolnego przysłali do mojej szkoły drugiego nauczyciela. Była to dziewczyna rodem gdzieś od Bobrujska, ze wschodniej Białorusi. Ona, Lachowicz Maria została naznaczona kierowniczką tej szkoły, a ja pozostałem prostym nauczycielem. Zaczęliśmy pracować we dwoje. Dla mnie było o wiele lżej, gdyż mogłem więcej pomóc w gospodarskiej pracy, w domu. Czas jakoś zaczął upływać prędzej i zwykliśmy się ciężarem codziennego życia. Nastąpił Nowy Rok 1946, który nie spełnił naszych nadziei. Trudno. Zaczęliśmy czekać znowuż 15, 1 każdego miesiąca. Na oczekiwanie lepszego jutra nadzieją na niepodległość posłużyła przedmowa W.Czerczela w Collage Fulton West w obecności prezydenta USA G.Trumana o organizacji związku z wezwaniem o zjednoczeniu się przeciw Związkowi Radzieckiemu i państw Europy Wschodniej. Prasa sowiecka potępiała ten zamiar Czerczela i inne państwa za zamiar, zamach, na szczęście i wolność państw socjalistycznych. Nawet gazeta dla dzieci młodszych klas wówczas pisała, że Czerczel sięga na ich szczęśliwe dzieciństwo, chce zasłonić słońce szczęścia /"Pionierskaja prawda"/. Ja osobiście ten króciutki artykuł czytałem dużo komu dla dobrze zaufanych sąsiadów i znajomych. Komentując to tym, że nawet i dla dzieci

sowiecka ideologia oskarża W.Czerczela o "złych zamiarach". Powiedziałem, że znałem "dobrze zaufanych" współmieszkańców, a kto wówczas wiedział, że są, albo mogą być jacyś agenci między swymi. Prawda, jednego z mężczyzn zdolnego, młodego, zdrowego nie posadzili do więzienia, nawet przy łapaniach jego zabierali razem z innymi, ale wkrótce przychodził do domu. Mówili, że współpracuje z NKWD, ale to jest bez udowodnienia i jego nazwiska i imienia nie wymieniam. On i dzisiaj żyje w podeszłym wieku. Jeżeli przed kimś zawinił, zdradził kogoś, niech dla Niego Bóg wybaczy. Na wystąpienie W.Czerczela komunistyczna partia i Rząd Sowiecki nie tylko szkalował państwa kapitalistyczne i ich Rządy w prasie, ale jeszcze szczerzej była "zawieszona" żelazna kurtyna. Jeszcze więcej panoszyło się NKWD łowiąc "wragów naroda". Trzeba było być bardzo ostrożnym w rozmowach, głębiej w duszy trzeba było zachować sympatię do zagranicy, ba nawet i do swojej ojczyzny - Macierzy Polski. Zaczęła się w nieskończoność tak zwana "zimna wojna". W wielkim przedwiekonnym poście zwolniono mnie z pracy nauczycielskiej. Zostałem z rodziną na obrabowanej przez Rząd sowiecki gospodarce rolnej. Wciąż nie traciliśmy nadziei na zmianę władzy. Wciąż rozmawialiśmy o nowinach, chociaż jakichkolwiek, mających treść w wypowiedziach zachodnich mężów stanu. Wciąż rozmawiano o wywózkach na Syberię. Nie dawano spokoju nie tylko latem, ale i w zimie. Na każdego konia i gospodarza był zaplanowany wywóz z lasu drewna w każdym zimowym okresie. Las ten był w odległości do 30 km. Jechano tam na kilka dni wioząc ze sobą karm dla konia i dla siebie. Wywożono z lasu na odległość parę kilometrów drewno liściaste o średnicy 50-80 cm. Łamały się sianie, czasami nie wytrzymywały i

konie. Jak zwykle, jeżeli bez wynajęcia miejscowych ludzi korzystając się z wzajemnej pomocy sąsiada, uwzględniając zapas pasz dla konia i dla siebie, by wykonać plan trzeba było jechać dwa-trzy razy. Wynając ludzi na miejscu nie miałem za co. Klnąc na czym świat stoi tę władzę pracowałem jak wół prawie za darmo. Powiedzieć, że za darmo się pracuje Boże broń, nie było można, przecież ~~szcieli~~^{stacili} symbolicznie. Byłoby to nieprawdą i można było oskarżać za oszczerstwo władzę. Tej samej władzy "najlepszej" i "najdemokratyczniejszej". Tymczasem, tych, którzy po jakiejś przyczynie nie służyli w wojsku, zaczęli mobilizować na roboty przymusowe. Otrzymałem wezwanie i ja. Co robić?... w domu znowu narada, Ja domówiłem się z sąsiedniej wsi z Kulikowskim Stanisławem i pojechaliśmy do Wilna "szukać choroby". Tak, jak choroby. Przenocowaliśmy w Wilnie u jego kuzyna Gruzdzisa, a na jutro rano poszliśmy do szpitala św. Jakuba. Potrzebna nam była rentgenoskopia z dolegliwością płuc. Poprosiłem siostry miłosiernej o pomoc spotkania się z doktorem rentgenologiem. Dostępnym bardzo prędko, bo chyba za jakichś 5 minut do poczekalni zachodzi doktor. Kolnęło trochę w pięty, gdy zobaczyłem pod białym kitem wojskowe ordery i medale, i zahawałem się, czy mścić prawdę, jak kłamać, oraz wątpiłem w załatwienie sprawy. Doktor zrozumiał, w czym rzecz i zapytał: "czem mohu pomocz?" Zacząłem krótko tłumaczyć, że pędzą do wywózki drewna z lasu, a zdrowie nie bardzo służy... potrzebne jest zaświadczenie, że nie mogę fizycznie ciężko pracować... mój kolega też - powiedziałem. Gdy doktor zwrócił wzrok na kolegę Skaśka: "Teraz - powiada - ja nie mogę nic zrobić, jeżeli chcecie, to przyjdźcie jutro rano o godz. 9". Podziękowaliśmy i daliśmy słowo, że przyjdziemy jutro rano. W ten dzień opuściliśmy szpital ten z nadzieją na pozytywne za-

łatwienie sprawy. Jednak były i obawy. A jeżeli jutro rano zamiast rentgena znajdziemy się w łapach enkawudzisty i wystartujemy na Łukiszkach: blisko, jakichś sto metrów, może trochę więcej od szpitala. Pobrodziliśmy po mieście Wilno i zmęczeni wróciliśmy na nocleg do kuzyna Staśka, by na jutro rano-rano być w szpitalu. Wówczas nie to, co myślałem, ale nawet i we śnie nie śniłem, że przyjdzie się mieszkać w tym bardzo pięknym mieście Wilno, które nazywają drugą Florencją. Rzeczywiście, warte tej nazwy.

Tyle kościołów i każdy jest po swojemu piękny. A jakie bogate ich wnętrza, ich strojne i piękne filary, figury świętych i aniołów przypominają ich dzieje służeniu Bogu, a malowidła ścian i obrazów świętych, nie widzianych mną dotąd nigdy, wyglądało wszystko, że to jest mieszkanie Boga w otoczeniu Świętych i aniołów.

Do szpitala przyszedliśmy /z ul. Konarskiego/, jak było powiedziane rano-rano. Za jakichś 15-20 minut przyszedł na pracę nasz lekarz. Rzuciwszy nas wzrokiem kazał poczekać 5 minut. Wkrótce nas powołała siostra miłosierna do rentgenowskiego gabinetu. Na prześwietlenie, jak wówczas mówiono, ja stałem pierwszy. Obracał mnie to przodem, to bokiem i przyglądał się "w dzieciństwie były osłabione płuca, widać zagoniony początek gruźlicy między 2-3 żebrami z lewej strony" - powiedział. Wszystko to trwało 3-4 minuty i kazał iść ubierać się. Po mnie stanął kolega Stanisław. Kiedy pisał nam na kartce papieru wyniki przyświetlenia, prosiliśmy by napisał coś tak, by nie mogli wysłać na ciężkie prace. - "Jak wy zapłacicie, tak ja napiszę" - powiedział bez żadnych ogródek doktor. A co my mieliśmy ze sobą, by zapłacić lekarzowi oprócz 1,5-2 kg skłoniny, więcej nic. Na przykład, ja więcej czegoś

44

nie mogłem mieć. Wręczył on nam swoje oświadczenia lekarskie i powiedział, że - "napisał, aby powtórnie przejść rentgen po sześciu miesiącach". Wyszliśmy my na plac Łukiski, usiedliśmy na ławeczce i zaczęliśmy czytać, co ten lekarz napisał. Napisane było dużo co, po łacinie i po rosyjsku, ale taki charakter pisma był nieczytelny, że dosłownie nic nie rozebraliśmy, co i jak. Pomimo to wszystko jesteśmy zadowoleni, że mamy taki-siaki dokument. Widocznie coś dóbrego napisał, jeżeli proponuje jeszcze przejść rentgen po sześciu miesiącach - doszliśmy - do wniosku. Wówczas przypomniałem słowa mego wujka "chorujem Bóg wie czy umrzem". Gdy siedzieliśmy na ławeczce na Placu Łukiskim wyobrażałem sobie, że tu gdzieś szukając wzrokiem stał mój wujek Julian na jarmarku "na Kaziuka" i sprzedawał kołowrotki, berda do tkania i rozmaite wyroby z wykliny. W ten samy dzień na ciężarówce przyjechaliśmy z Wilna do Ejszyszek. Byliśmy głodni jak psy, a pieniędzy nie mieliśmy ni on ni ja. Pomyślałem, że idąc do domu po drodze zajdziemy do kuzyna Kozłowskiego, który był zawsze bardzo gościnnie. Od Ejszyszek do mego domu 11 kilometrów, a do domu Staszka jeszcze dalej - 13-14 km. Dziadzio Kozłowski przyjął nas tak, jak wyobrażałem sobie, bardzo gościnnie. Tak gościnnie, bo ciocia Kozłowska napiekła na słoninie jajęcznicę. Wymachaliśmy pełny talerz z czarnym, rozowym pachnącym chlebem. Dziadzio Kozłowski wypytywał nas, jak idą sprawy, co słyszeliśmy w Wilnie. Opowiedziałem ja, czego i po co jeździliśmy do Wilna. Mówiłem dla niego prawdę. Wiedziałem, że też mają kłopoty z synem, Mietkiem, też znajduje się on między niebem a ziemią. Ja natomiast mając chociaż siaki-taki "świstek", mając znajomość z lekarzem, co prowadzi komisję w komisariacie wojskowym, plus

znajomość siłki takie z zastępcą komisarza wojskowego komisariatu, czułem się w dobrym humorze. Zdawało mi się, że on, ten zastępca komisarza kapitan Strebkowi jest bardzo surowym i zupełnie niedostępnym. Nie, i jeszcze raz nie. Człowiek, jak człowiek. Kilka dni temu zachodziłem do niego na mieszkanie. Okazuje się, że bardzo dobra inteligentna rodzina. Nawet wielki zegar ścienny zdjął ze ściany i oddał dla mnie. Mówił, że on zepsuty, a jego miejsce zamieszkania jest nie stanowcze i ciągać jego ze sobą nie warto. Obiecywał pomóc dla mnie, co tylko może. Więc ten "świsstek" z rentgena to będzie wszelkie usprawiedliwienie. Podweseliwszy się dobrze u kuzyna Kozłowskiego jajecznicą ze słoniną, te reszta 5 kilometrów było osiągnąć jednym zamachem, jednym tchem. - Nie bardzo już wierzę w jakieś zmiany - mówił dziadzio Kozłowski, co z tych zmian, jeżeli nas wyniszczą, nie będzie nas, to dla kogo te zmiany są potrzebne. A zresztą, my sami nic nie możemy zrobić, a kto za nas zrobi te zmiany władzy. Dużo tam komu coś obchodzi - tłumaczył dziadzio Kozłowski. "Oni nas wszystkich wyniszczą" - określiła swoje zdanie ciocia Kozłowska. "Pozostanie wszystko to jak w Sodomie i Gomorze". - dodała. Bardzo dobrzy ci moi kuzyni Kozłowskie, bardzo gościnni, tacy dobrzy, sprawiedliwi i zawsze odkryci z dobrym sercem, życzliwi, rzetelni i uczciwi. Zaczęły się takie czasy, że bieda chyba nie ominęła ani jednego domu. Pożegnaliśmy się z państwem Kozłowskimi i poszliśmy ze Staszkiem, czując się podnieceni i w dobrym humorze. Stach podziwiał gościnność i dobroć moich kuzynów, a te jego słowa pochwały podniecały mnie jeszcze więcej. Po drodze do domu spotkaliśmy robotnika NKWD Wołodia Staszaniuk. Chociaż my czuliśmy się bezpieczni, jeżeli chodzi o

4

dokumenty, ale jakoś przy spotkaniu takich jegomości chcąc niechcąc przechodzą ciarki po ciele. Nigdy nie można było być pewnym, gdyż nie wiadomo co oni mogą odwalić w takim państwie bezprawia. Wołodia zapytał u mnie, skąd idziemy - odpowiedziałem, że byliśmy w Wilnie. On i my poszliśmy swoją drogą. Wołodia sławił się bardzo praktycznym "hyclem". Jeżeli trzeba było kogoś aresztować, on umiał wytropić ślad, gdzie on się chowa. On rozumiał zachowania się ludzi w domu, w którym, albo z którego był nielegalniak. Czasami przez dłuższy czas siedział nocami i dniami koło tego domu w stogu siana, albo był zamaskowany i leżał koło domu w krzakach agrestu, czy innych jagód, podsłuchiwał rozmowy i obserwował. Oto jeden z takich wypadków. Rodziewicz Jan był na nielegalnym położeniu, chociaż nie był nie bandytem, ni złodziejem. Miał schron wykopany w stodole. Pewnego ranka jego żona - Rodziewiczowa Marysia jak zawsze wstała o wschodzie słońca. Wyszła z domu, oglądnęła się dookoła, zobaczyła za stodołą, za chlewem, za domem, zaczerpnęła wiadro wody ze studni, odemknęła stodołę i mówi zwykłym głosem "chodź, nie ma nikogo ani duszy" i poszli do domu obydwaj z wiadrem wody. Śladem za nimi Wołodia Steszaniuk, "dobroje utro" /dobrego ranka/. Podziewać się nie było gdzie. Oprócz niego byli jeszcze inni tacy "Wołodi". Potrafili oni nawet usunąć psa, który przeszkadzał tropić nielegalniaka. Zawdzięczając swojej mamie, ja nie tak dużo znajdowałem się na nielegalnym położeniu. Zawsze, gdy ja nie mogłem się pokazywać i siedziałem gdzieś w ukryciu, wszędobylska mama przez drugich innych zawierała znajomość i znajdowała radę w potrzebnych dla sprawy ludzi. Po kilku latach jeden z naczelników NKWD po tym, gdy jego zwolnili z pracy, mówił mi - że oni, NKWD, wiedzieli wszystko i o wszystkich, kto czym zajmuje się i kto

co wart.

Najwięcej ich interesowało tych, którzy byli związani z AK i tych również, którzy posiadali broń palną, i pod widem AK rabowali sklepy wiejskie, a jeżeli oni ^{rabowali} pobrali swoich lub ich mordowali - oni starali się nie widzieć i nie słyszeć. Ci ostatni dla władzy radzieckiej nie byli niebezpieczni i ich aresztowania odkładano na dalej, którzy też byli wyłowieni.

✓ Z każdym rokiem zaczęły "rosnąć" podatki pieniężne i produkty rolne w naturze, które trzeba było oddawać dla państwa doterminowo, nie uważając na terminy wskazane w nakazach płatniczych po bardzo niskiej symbolicznej cenie. Agenci władzy chodzili do każdego domu i zagrażali o odpowiedzialności przed władzą sowiecką za "sabotaż" będą kerani więzieniem. Tak na przykład, my płaciliśmy:

1. 240 rubli "wojennoho nałoha" za 1945 r.
2. 375 rubli "- " za 1944 r.
3. 2264 rubli podatka dochodowego z gospodarstwa,
4. po 150 rubli podatka kawalerskiego i panińskiego ze starszą siostrą.

Bardzo szkoda, że nie zachowano należną płatę naturą zboża, mięsa, mleka, sierści, jaj i miodu za symboliczną opłatę. Niektórzy Rosjanie z wielkim lękiem, by się nie dowiedzieli NKWD, po cichu opowiadali, że tak samo działało się w samej Rosji... od razu gnębili podatkami i naturą.... dosłownie wszystko zabierali, ale ludzie czegoś czekali, że tak być nie może, że zmieni się stosunek władzy do rolnika, że to jest jakiś błąd, albo przestępstwo przed władzą w Moskwie, o której sam "ojciec" Stalin nie wie... Wiedział on dokładnie o wszystkim i sam dawał takie wskazówki. To było niszczenie rolnika, planowe i permanentne. Jeszcze wy póki sami,

51

swoimi rękoma pracujecie i płacicie, to chociaż trpczę jeszcze na życie coś przylipnie, do ręki" - mówili. Że wszystko jedno trzeba zdawać się, choć trochę w kątach pozostanie coś do życia, przeżycia, wszystko jedno nie wytrzymacie - mówili. Wszystko jedno zabiorą konia, krowę, wóz, pług, uprząż, stodołę oraz wszystkie, kto jakie ma maszyny rolnicze. Kręcono głowę i czekano na zmianę władzy. Zasięgano rozmaitych wiadomości, kto gdziekolwiek bywał gdzieś dalej. Dzielono się wiadomościami otrzymanymi z dalekiej Północy. Kto nic, a ktoś i pisał, że przyjadą ciocia Amelcia z Anią. Nie wierzono, że można będzie żyć bez gospodarki i gospodarstwa domowego - być żebrakiem. Cierpliwie ludzie żyli nadzieją, która pomagała trwać dalej i cierpieć.

Ja tymczasem urządziłem się na pracę w Raduniu w Rejonowym Wydziale Zdrowia. Nas było troje: kierownik Wydziału Zdrowia lekarz Gulidow, ja księgowym i trzeci był mój pomocnik statysta, zajmował się statystyką, Kostrykow. Na pracę jeździłem rowerem. Znajomił mnie z księgowością bardzo dobry i życzliwy człowiek - księgowy Rejonowej Oświaty pan Szławień Marek. Jeżeli coś nie rozumiałem, zwracałem się do niego o kilku krokach pod jednym dachem w miejscu jego pracy. Musiałem urządzić się gdzieś na pracy, by nie zabrali gdzieś do kopalni węgla albo na Ural do ciężkiego przemysłu maszynowego. Niektórych - sąsiada Adamonis Wincentego i Babul Jana tam odwieziono. Praca na gospodarce, na roli nie liczono pracę, liczył się nigdzie nie pracującym. Staraniem się urządzić tam, gdzie nic się nie ma do czynienia z ludźmi. Na przykład, jak Rejonowy Wydział finansowy, w którym trzeba naliczać podatki oraz ich pobierać od ludzi, ostatni rubel od małych dzieci. Dobrze nie pamiętam, zdaje mi

się było to 12 maja 1948 roku. Pod koniec pracy, od wscho-
 du widać było nadchodzić ciemna chmura. Pod
 koniec pracy podeszła blisko strasząc ciągłymi grzmotami i
 biciem piorunów. Patrzyłem przez okna biura i myślałem, że
 gdzieś w mojej wsi dobrze nalało, bo długo ta chmura deptała
 się na miejscu w stronę mojej wsi. W miasteczku przeszedł
 nieduży deszcz i ja rowerem pojechałem do domu. W dwóch ki-
 lometrach od Radunia spotkałem powracającą straż pożarną.
 Jeden ze strażaków zaczął mnie machać ręką by ja się zatrzy-
 mał, zatrzymała się i ciężarówka pożarna. Mnie już kolnęło
 w pięty, że coś niedobrze. Naczelnik straży pożarnej zaczął
 u mnie pytać, gdzie ja jadę i dlaczego, ta późno z pracy.
 Ja dla niego odpowiedziałem, żeby nie zawracał głowy, a po-
 wiedział w czym rzecz. - Wiesz co - powiada, - palił się
 dom, ale pogasiliśmy, nic tam strasznego, jedź i patrzaj,
 żeby rzeczy, które wyniesione z domu, ktoś nie skradł. -
 Nie pamiętam, jak usiadłem na rower, kręciłem pedałami co się
 aż momentalnie byłem blisko domu. Od południa były czarne
 osmalone ściany, a z drugiego końca wybuchnął ogień... ja
 zacząłem krzyczeć dzikim głosem. Rzuciłem rower i zacząłem
 nosić wodę ze studni i polewać ściany gdzie jeszcze dymił
 się mech między bierwionami ~~ściany~~. Na kuchni leżało zmo-
 czone gaszeniem pożaru parę worków kartofli niedosadzonej
 w ten dzień przed burzą. Budowa stała bez dachu. ~~PW~~ w pokoju
 na podłodze leżały grudy mchu, trocin i cegieł od runącego
 komina. Piec szwedzka z białych małych kafli stała jak gdy-
 by nic się nie działo. W składzie na zboże stała mocno opa-
 lona szafa, opalona mocno podłoga, a w zasiekach znajdowało
 się mokre opalone z wierzchu w węgiel zboże. - To były na-
 siona jeszcze nie ^{posianego} posadzonego w tę wiosnę jęczmienia i owsa.

W trzecim zasieku było żyto na chleb powszedni mokre i opalone. Nie wystarczy do nowego urodzaju - pomyślałem. Wątpiłem, czy nadaje się na siew opalony jęczmień i owies. Spaliła się też na strychu wisząca w krytych koszykach słonina i szynki. Chodziłem prawie bez pamięci i myślałem, jak będzie żyć nam, pracować ciężko nie mając co jeść. Zaczęli mnie opowiadać od początku co i jak. Od północy stała formować się wielka chmura. Siostry z mamą sadziły kartoflę. Oborywał kartoflę z sąsiedniej wsi Kolendo Franciszek. Gdy się zaczął deszcz, wszyscy przyszli do domu i siedzieli na kuchni. Grzmoty były częste i silne z biciem piorunów. Nagle mocno zaświeciła błyskawica i jak trzasnęło aż poruszyły się ściany. Otworzyły się drzwi pokoju i po kuchni pokocił się jakiś ciemno-sini kłębek. Nagle mama i jedna siostra zaczęły krzyczeć, że silnie zaboląły nogi... Siostra Bogumiła podeszła ni stąd, i owąd otworzonego okna i krzyknęła ~~e~~ palimy się!... przez okno widać były kłęby dymu. Trzeba uciekać z mieszkania, ale siostrę i mamę po tym kłębku, co kocił się przez kuchnię, nie mogą stać na nogi. Tylko zostali nie naruszeni i w dobrym samopoczuciu siostra Bogusia i robotnik, Kolendo Franek. Wkrótce przybiegli sąsiedzi i zaczęli wynosić z domu. Najpierw wynieśli mamę i siostrę Elżunię, a potem co się dało schwycić. Niezadługo przyjechała straż pożarna z komendantem na czele tow. Kijaszkinem. Na razie gaszono wiadrami ze studni, za kilka minut zjednoczono węże pożarne i zaczęto pompować mechanicznie z kudry co na dziedzińcu sąsiada Adamonis. Słomiany dach szybko się spalił i zaczęli palić się ściany. Pogorszyło gaszenie, gdy zerwał się szklany lak /butka/ z 20 l nafty. Rozciekła się nafta po podłodze, a później i pod podłogę składzika ze zbożem... zwiększył się ogień... płomień

ogarnęła cały koniec domu. Tylko dostateczna ilość wody z sąsiedniej kudry pomogło zlokalizować ogień. Pozostały mocno opalone ściany, chociaż one nie runęły, ale już więcej nie nadawały się na budulec. Były obwęglone, obydwie strony ścian. Jeden koniec domu, gdzie był pokój opalone były tylko same wierzchnie bierwiona. Dom ten był zbudowany w 1935 roku po przejściu ze wsi na kolonię i stał niedługo, bo tylko za ledwie 13 lat. Przychodzili odwiedzać krewni i znajomi. Pocieszali, podtrzymywali na duchu. Sąsiadka Kaszkiewicz Kazimiera, nazywano we wsi po mężu Władysławie, Władukowa powiedziała pocieszając, że "kogo Pan Bóg kocha, temu krzyże daje". Na jutro pojechałem na pracę o wiele później jak trzeba. Statysta Kostikow powiedział, że lekarz szukał mnie. Aż patrzył zachodzi lekarz, szukał mnie. Popatrzył na mnie i zapytał, co się stało? Opowiedziałem krótko o nieszczęściu. Poprosił u mnie potrzebne mu dokumenty i kazał jechać do domu i porządkować się. Zaczęło się cygańskie życie. Mieszkaliśmy w stodole. Sąsiad Pilecki na dziedzińcu zbudował piecyk dla gotowania posiłku i karm dla świń. Rozmawialiśmy, że jak by co nie było, a bez domu się nie obejść. Zaczęliśmy dopytywać u ludzi, może kto wie, gdzie można kupić budulec, a ja po paru dniach pojechałem na pracę - trzeba było. Na trzeci dzień na pracę zachodzi lejtnant NKWD Krywicki i oznajmił dla mego kierownika lekarza Gulidowa, że on mnie aresztuje. Lekarz Gulidow przeczytał jakiś tam papier, zmienił się w kolorach. Ja nie wiedząc co robić, siedzę jak owca nie mogąc wymówić ni słowa. Długo nie czekając enkawudzista kazał mnie iść razem. Zobaczyłem ja na lekarza, ... on siedział, raptem wstał z krzesła i z żalem współczucia patrzył na mnie. Wychojąc spotkaliśmy kierownika szpitala lekarza Szarofiejewa.

On coś chciał u mnie zapytać, ale nie pozwolono mi z nim rozmawiać. NKWD znajdowało się w kilku krokach na drugiej stronie ulicy. Zaprowadzono mnie do gabinetu i od razu ten lejtnant Krywicki zaczął zaczął mnie wypytawać. Do tej chwili zupełnie nie wiedziałem, za co jestem aresztowany, dlatego, że nie czułem żadnej winy. Zaczęły się badania. Oskarżono mnie, że ja u pracownicy zlewni mleka w Raduniu kupiłem kwit wypisany na moje nazwisko o dostawie 2 kg słoniny w zamian za należącą się dostawę mleka do zlewni. Wówczas, o ile pamiętam, obowiązkowa była dostawa od każdej krowy po 560 litrów mleka dla państwa, po symbolicznej cenie. Dostawka mleka była obowiązkowa, za niewykonanie groziło ukaranie więzieniem. W zamian za mleko można było zdawać masło albo słoninę, które zaliczały się po 20 l mleka od kilograma. Oho! nie daj Boże było nie rozliczyć z państwem. Czasami było lepiej zdać, oddać słoninę czy masło z braku czasu czy innych przyczyn. Nie uwzględniano nawet jeżeli krowa z jakichś niezależnych od gospodarza przyczyn padła... wszystko jedno wyznaczona ilość mleka, masła albo słoniny musiały być oddane. Inaczej już jesteś na ewidencji "wragów naroda". Enkawudzista śledczy oskarżał mnie, że ja słoninę nie zdawałem, że ona, robotnica zlewni Masłowa po mojej prośbie napisała kwit na 2 kg za wręczone jej pieniądze, nie pamiętam, za jaką sumę pieniędzy - rubli. Za te 2 kg słoniny zaliczone jest mi nieprawomierne uiszczenia zadłużenia w oddaniu dla państwa 40 l mleka. To było pierwsze badanie. Przyznać muszę, że jeszcze ze mną obchodzono się nieźle. Prawda, głos śledczego enkawudzisty podwyższony, przeplatający się nieliteraturnymi słowami, "po łacinie", nie był w parze z pięścią. - Nie wiem, dlaczego - może w ten czas dla niego ręka nie świerz-

biała. Przerzuciłem oczami napisany protokół i podpisaniem. Enkawudzista zawołał dyżurnego milicjanta i kazał mnie zabrać. Ten wypełniając swój służbowy obowiązek kazał wszystko wyjąć z kieszeni, co tylko mam i zdjąć pas od spodni. Wszystko, co miałem w kieszeniach, i pas od spodni położyłem na stół. Oprócz tego, kazano zdjąć z ręki zegarek. Dyżurny sporządził protokół, w którym wymienił wszystko ode mnie odebrane. Papierosy "Niemen" pozwolił wziąć ze sobą. Powołał drugiego milicjanta i kazał mnie zaprowadzić do "katałaszki". Prowadzono mnie tak, bez naręczników, ręce do tyłu. Iść było zupełnie blisko. Szedłem opuściwszy w dół głowę - wstydzikiem się spotkać znajomych, jak jakiś wielki przestępca - bandyta czy złodziej. Zaprowadzono za wysoki, zrobiony szczelnie płot. Zazgrzytały klucze w zamkach. Żelazna sztaba wypuszczona z rąk klucznika wydała jakiś niesamowity dźwięk, aż poszły ciarki po ciele. Odemknięto drugim kluczem, wewnętrznym w drzwiach zamek. Wpuszczono mnie w niewielką celę - /kameru/ mniej więcej 3x2 m. Od ściany do ściany na wysokości około 30 cm z desek zrobiona prycza, a w kącie stała parasza. Koło progu na podłodze leżał rozszlany sweter. Od progu szerzej zrobiłem krok, by nie nastąpić na ten sweter. Za mną zatrzesnięto i zamknięto na klucz drzwi. W tej celi było tylko jedno okno, na pryczy leżeli czterech na zero ostrzygniętych młodych ludzi. Jeden z nich osrożył się na mnie i wysokim tonem głosu zapytał: "co, pierwszy raz w katałaszce, mów prędko skąd pochodzisz i za co ciebie do naszej kompanii przytulili..." Może stukaczem jesteś, to my zaraz ciebie... podaj sweter i to prędko!" Podjąłem z podłogi u drzwi leżący sweter i podaję do ręki temu krzykaczowi. "Nie tak podajesz, idź z powrotem..." Ostąpiłem parę

kroków do drzwi i jeden z nich mówi nie bądź inteligentem, rzuć na niego tym swetrem. Rzuciłem i przysiadłem na pryczy, zacząłem opowiadać, za co mnie tutaj wrzucili i skąd pochodzę. Zaczęli śmiać ze mnie i nie chcieli uwierzyć, że za takie głupstwo posadzili, radzili mnie ^{nie} przyznawać się, w żaden sposób. Zaprosili mnie, żebym odpoczął, położył się na "miękkich" deskach, przepaszali, że lepszym czymś poczęstować nie mają, a co chodzi o poduszkę i pierzynę, to wszystko będzie na kamionce w Lidzie. /Więzienie w m. Lidzie nazywano "kamionką"/. Położyłem się na plecy i podłożyłem ręce pod głowę zamiast poduszki, obok, cicho nie wtrącającego się w rozmowę młodzieńca. Był to chłopiec lat 20 z pulsującą się żyłą nad łbem w miejscu usuniętej części czaszki głowy: "To ojciec po namowie macochy cisnął we mnie miedzianym kubkiem i złamał kość, którą usunięto w szpitalu... myśleli, że mnie zabił, ja leżałem nieprzytomny. To sąsiad mnie odwiózł do szpitala" - opowiedział mi sąsiad po przyczym Później dowiedziałem się, dlaczego był dobry sweter położony przy wejściu na podłozę. - Jeżeli ^{Jeżeli} "gość", którego wpychają do celi jest pierwszy raz, to on od progu daje szerszy krok, by nie nastąpić na dobre czyste ubranie, sweter, marynarkę, czy palto. - Jeżeli w "gościach" nie pierwszy raz - wyciera się nogi jak wycieraczką, ^{to oznacza} ~~ma~~ już praktykę być "gościem". Wieczorem dla mnie przynieśli w glinianym dzbanie zupę z kawałkami mięsa i pół bochenki chleba. Gdy milicjant mnie podawał ten dzban z chlebem, chyba że specjalnie, otworzył drzwi celi szerzej, aż ja zobaczyłem mamy stryjeczną siostrę Andziulewiczową. Ona mnie pomachała ręką i powiedziała, że więcej nie trzeba będzie. - Zrozumiałem, że mnie wypuszczą. Tymczasem byłaznaczona komisja dla sprawdzenia księgowości w rejonowym

wydziale zdrowia. Parę dni mnie nie ruszali z miejsca. Tych trzech sąsiadów brali po jednym na badania z nastaniem zmroku. Powracali z lekka poturbowani. Nie żartowali, jak parę dni temu, leżeli na deskach stękając, a czasami nie wstawali, by posilić się przyniesioną zupą raz jeden w czasie obiadowym. Zdaje mi się na czwarty dzień przyszli po mnie i poprowadzili do biura rejonowego Wydziału Zdrowia. Tam siedział lekarz Gulidow, jakieś dwie kobiety i śledczy NKWD Krywicki. Przedłożono mi podpisać akta sprawdzenia księgowości. Aż włosy mi na głowie stanęły, gdy siedząca za stołem kobieta powiedziała mi, że brakuje w kasie 2000 rb. podjętych z banku. Nie zgodziłem się i zapotrzebowałem powtórnego sprawdzenia. Lekarz też nie zgadzał się z wynikiem sprawdzenia, więc zarządzono sprawdzić повторно w mojej obecności. Ponieważ już było daleko za południem, powtórne sprawdzenie zaczął od jutra. Wynikiem tej decyzji byłem zadowolony, dlatego że czułem się niewinnym, a że będę parę dni jakby na wolności, to wielkie dla mnie miało znaczenie. Koledzy z katałaszki prosili, bym przyniósł żeletkę do golenia, tą, którą temperowałem ołówki. W celi tak powoli wlekl się czas, jak nigdy, chociaż graliśmy w karty albo w żyżki. W mojej obecności jeden raz zabrali karty, ale za jakieś pół godziny zrobiliśmy drugie takie same - z gazety. A robiliśmy karty tak: gazetę zaginaliśmy równo w rozmiarach zwykłych kart, cięliśmy i sklejaliliśmy po dwie kartki sokiem przerzutego zębami czarnego chleba. Sklejone kartki trzymały bardzo dobrze i były sztywne i twarde. Wówczas ołówkiem znaczyliśmy ich znaczenie. Graliśmy po cichu. Jeżeli było słychać, że ktoś podchodzi do drzwi, karty chowaliśmy. Organizowaliśmy grę w żyżki, przeważnie wtedy, gdy mieliśmy nowego śgościa". Graliśmy

w ten sposób: we dwóch siadało na pryczy i nakrywano im kocem głowy, reszta staliśmy naprzeciw, jeden ze stojących uderzał łyżką po głowie jednemu z siedzących, a ten zgadywał, kto uderzył, zgadnięty winowajca siadał na pryczy zamiast tego, kto zgadnął i nakrywał kocem głowę. Nowego gościa starano się posadzić z lewej strony, wówczas siedzącemu obok jego z prawej strony dawano największą łyżkę. Ten czasami uderzał siebie po głowie i "zgadywał", a kilka razy swego sąsiada. Ten zgadywał pokazując palcem na stojących i do głowy dla niego nie przychodziło, że uderza jego siedzący obok sąsiad. Przez dłuższy czas cierpiał, a później zlił się, że stojący kłamią, nadojadają dla niego cierpieć i wychodził z gry pokrobując swój czub. Rzeczywiście była gra sprawiedliwa i siedzący z lewa nie mógł podejrzewać, że wali najgrubszą i najcięższą drewnianą łyżką siedzący od prawa kolega po nie-szczęściu. Po tym, że byli wszyscy ogoleni na "lux" podejrzanie padło na mnie. Wiadomo było, że tylko ja mogłem przynieść żeletkę z biura, ale przy rewizji celi nic nie znaleźli oprócz kawałeczka szkła, którym mówili, usprawiedliwiali się, że ogolili się tym szkłem. Wkrótce czterech aresztowanych odesłano do Lidy i jakoś stało się smutno, ale nie pusto. Do tej celi wsadzili jakiegoś Rosjanina, który bardzo umiał opowiadać rozmaite historie, potem drugiego przestępcę za to, że uciekł z miejsca przymusowej pracy. Uciekł z Uralu nie znosząc ciężkich warunków pracy i głodu. Nie był on sądzony, nie, wprost młodemu mężczyźnie wręczano wezwanie w rodzaju mobilizacji i musiał stawić się we wskazane miejsce. Zbierali po kilkadziesiąt osób i wieźli w nieznane. Najwięcej wieźli do kopalni albo na fabryki giganty. Każdemu była norma określonej pracy - plan. Karmić albo nie było czym w dostatku, albo dla porządku, by nie rozjadali się jak kapi-

talisty. Najprawdopodobniej, że pracować, wypełniać ciężkie roboty ochotników nie było, nie mieli czym i karmić. Skudne jedzenie przechodziły przez kilka rąk i do każdego coś kleiło się, a do tego partyjne kierownictwo, tak co pozostawało - dawano robotnikom głodnym i bezbronnym.

Ale mnie nie schodziło z myśli cygańskie życie rodziny, zamieszkanie w stodole. Jakim sposobem i za co zbudować dom a budować trzeba. Znajdując się w biurze przy powtórny sprawdzaniu lekarz Gulidow powiedział mi, że będzie rozmawiał z prokuratorem, by wypuścić mnie. Na razie jego nie ma - gdzieś wyjechał, a oni mnie aresztowali bezprawnie. Po paru dniach komisja ustaliła, że żadnych machinacji nie ma, a ja przy aresztowaniu przekazałem 25 rubli więcej niż trzeba, które trzeba zwrócić. Podpisałem ten dokument sprawdzenia. Lekarz zaczął wstydzić tych kobiet, że fałszywie była ustalona suma pieniędzy przywłaszczona księgowym. "Co by było, jeżeli by on podpisał bez powtórnego sprawdzenia - ^{sprawdzących} siedział by nie wiedząc za co" - wstydził tych kobiet ^{sprawdzących} ~~sprawkujących~~ księgowość za mój okres pracy doktor Gulidow. - Jest jeszcze jakieś prawo człowieka - praworządność - pomyślałem. Teraz ciąży mi tych 2 kg słoniny, swojej własnej, nie skradzionej ni od państwa, ni od ludzi, a jednak jestem aresztantem. Czekałem tego dnia z niecierpliwością, kiedy mnie wypuszczą jak zwierza z klatki. Aż pewnego dnia, na ósmy dzień z samego rana zabrali mnie na przesłuchanie. Jak zawsze ręce musiałem mieć złożone w tyle i iść naprzeciw milicjanta. Zaprowadzili mnie do pewnego gabinetu, aż patrzę siedzi za stołem w milicji prokurator. Popatrzyłem na mnie "widocznie poznał, gdy parę razy byłem w jego mieszkaniu z jego bratem. Bywałem parę razy, tak sobie, na kilka minut. Wreszcie zaczęła wypytywać, od razu z biograficznych danych, a później

o tym, jak było ze słońcą. Opowiedziałem tak, jak mówiłem na poprzednim badaniu. Nie srożył się prokurator, wypytywał w pół głosu i bardzo taktycznie i po ludzku, jakby to było w przyjacielskiej rozmowie. Po zakończeniu protokołu podał dla mnie, by ja przeczytał i podpisał. Wszystko było zapisane tak, jak ja mówiłem, bez żadnej poprawy. Podpisałem. Powiedział on, że ja dzisiaj będę w domu. Nie, nie w domu, a w stodole - pomyślałem. Wyszedłem z tego gabinetu i mnie kazano iść samemu do katałazki. Przychodzę. Dyżurny był zdziwiony, że ja przyszedłem jeden, bez konwoju, ale mnie zamknął do "klatki". Jak zawsze koledzy po nieszczęściu wypytyją, o co pytały i jak ja mówiłem. Tak było zawsze. Zawsze zeki z praktyką pouczają, jak mówić na śledztwie. Zawsze uprzedzali nie przyznawać się do winy, ani w jakich warunkach, choćby i mordowali, męczyli, palcy do drzwi przyciskali, choćby stawili na gorącą patelnię... Ten dzień był dla mnie bardzo długim. Czekałem. Obiada nie jadłem, oddałem jednemu mężczyźnie, nie miejscowemu, pochodzącemu gdzieś z daleka, któremu nikt nie miał przynieść nawet kromki chleba.

Zegarka nikt z nas nie miał - nie pozwalano, ale odczuwałem, że już podwieczorek. Nie już to zmienili decyzję². Po zachodzie słońca milicjant otwiera celę i na mnie patrząc powiedział, bym wychodził z celi ze swymi rzeczami, co miałem ze sobą. Zaprowadza mnie do dyżurnego i sam odszedł. Przeszedł śledczy i kazał oddać wszystkie moje rzeczy, które były odebrane przy areszcie. Praktycznie oddano dla mnie wszystko i kazano podpisać, że wszystko otrzymałem. Śledczy zaprowadził do gabinetu i uprzedził, żeby ja nikomu nie mówił za co siedziałem i ile czasu. Cóż było robić, przyrzekłem, że nikomu nic nie będę mówił i podziękowałem nawet mu, że dla

mnie daruje wolność jako swemu przyjacielowi, od którego zależy, być mnie wolnym czy nie. Wyszedłem z tego domu, w którym katowano niewinnych ludzi już o zmroku. Starsi ludzie i dzisiaj pamiętają, jak w tym domu kaci NKWD katowali skazańców. Późnym wieczorem każdy, kto przechodził ulicą słyszał krzyki ratunku. Nawet żyjący po sąsiedztwie w swoich domach słyszeli krzyki i stękania ofiar. Może jeszcze za wcześnie, ale z biegiem czasu powinno być w tym domu, gdzie mieściło się NKWD muzeum cierpień i męczeństwa. Pełna asymilacja i wrodzony strach nieprędko jeszcze nastąpi odrodzenie, samopoczucie być sobą takimi, jakimi byli ich przodki, rodzice... wychowanie w szkołach już trzeciego pokolenia naniósł ciężkie trudne do wyleczenia rany.

W ten wieczór odległość od NKWD do domu jakich 4,5 km pokonałem nie wiem za ile minut, ale w domu byłem bardzo prędko. Tylko przez miasteczko szedłem wielkimi krokami, a dalej na prosto przez łąki biegiem... W domu powitali mnie, ale nie byli zdziwieni. Prokurator mówił dla mamy, że z więzienia, z tymczasowego aresztu wypuści. W ten dzień czekano mnie z samego rana. Przecież powiedział prokurator, a nie enkawudzista, tylko niedoumniawali dlaczego, że tak późno a jeszcze mnie nie ma. Tymczasem, gdy ja siedziałem, mama była i domówiła się kupić bierwiona na ściany domu. Więc trzeba zwalniać się z pracy. Lekarz Gulidow ubolewał, że tak się stało, że nie przyszło się dalej pracować. Żałowałem i ja tej pracy, tych ludzi z którymi obcowałem i odeszłem ze łzami w oczach. O tej pracy długo nie mogłem myśleć, przecież nagli druga - budowanie gniazda - domu bez zwlekania, bez odkładania na dalsze odleglejsze czasy. Nie schodziła z głowy myśl za co, za jakie pieniądze, których nie ma, kupić budulca i zapłacić dla cieśli. Poszedłem do władzy

rejonu, gdzie mnie poradzili z sielsowietu /gminy/ wziąć zaświadczenie o tym, że dom się spalił i na tej podstawie dadzą zarządzenie wydać z banku pożyczkę. Wziąłem 1000 rubli. Tego było za mało, ale spodziewaliśmy się może zniżą podatki czy dostawę na elewator zboża. Jeszcze dzięki Bogu byli na wsi prywatne gospodarstwa i każdy gospodarz miał konia. Więc codziennie jeździłem po bierwiona, już na Litwę za miejscowością Nacza i za wsią Ginele, około 20 km w jedną stronę. Ponieważ kupiłem prywatnie jechaliśmy tak, żeby być na miejscu pod wieczór, by jechać z budulcem przez rejonowe miasteczko Raduń w schodzie słońca, gdy jeszcze wszyscy śpią. Obawiałem się, by nie odebrali i nie pociągnęli do odpowiedzialności za ten kupiony skradziony z lasu budulec. Inaczej bierwionów na dom kupić legalnym sposobem nie było możliwości. W ten dzień domowiłem się, ilu furmankami przyjechać tzn. ile on bierwionów może przygotować. Ten "on" to był gajowy. Codziennie walił w lesie sosny i oczesywał obydwie strony. Zabierałem na miejscu, w lesie. Oczesane było wieść bezpieczniej, jak gdyby to niewiozę z lasu, a gotowe i na końcu pnia był sztańp. I tak codziennie. Po wyładowaniu 3-4 furmanek po 2 bierwiona ja swego konia karmię, by znpuż jechać po południu. Siadam na rower i jadę po ludziach prosić na tłokę 2-3 gospodarzy i kładnę się trochę pospać. Jadąc krótką letnią nocą i w ogóle miejscami trzeba było iść i pomagać dla konia podpychając naładowany wóz, a o śnie nie było i mowy. Droga od lasu do Radunia była bez twargedo pokrycia, piaszczysta, a to w wyniku 3/4 drogi. Tę ilość bierwion, którą przywoziliśmy, cieśla ich obrabiał i kładł na ścianę, ponieważ na jutro miał już przywiezione drugie. I tak w kółko codziennie, do zbudowania ścian. Materiał na dach kupiłem w nadleśnictwie, wyrąbywałem, ładowałem i przywoziłem sam. Dach,

który spalił się, był kryty słomą. Ojciec zbierał się pokryć ocynkowaną blachą, ale nadeszła wojna, a wówczas nie wystarczało pieniędzy przy przejściu na kolonię w 1935 r., gdy trzeba było jednocześnie budować wszystko na gołym polu bez żadnych zarośli lub drzew. Ale to były dobre czasy. A teraz?. co robić. Budować trzeba koniecznie, ale teraz inne czasy. Między wyzwoleniem nas a codzienną rzeczywistością była bardzo wielka przestrzeń, a żyć trzeba. Otrzymaliśmy od ojca list z lagru... pisze, że podupadł na zdrowiu, siedzi w ciepłe i robi kuczyna dla tynkowania ścian. Żeby kołyszą się, oprócz innej choroby każdego więźnia Gułaga męczy cynga z braku witamin. Prosi w następnej paczce przysłać cebuli. Odpisuję list. Zbieramy się wysłać paczkę, pomimo tłuszczu wysłać cebulę. Rozmawiamy między sobą, chyba nie wie, że jeszcze jedno nieszczęście nie ominęło nas. Domówiliśmy się w liście o tym nic nie pisać, by się nie nerwował. Czas szybko leci. Było lato, nastąpiła już jesień. Roboty - ani usiąść. Zebrałiśmy plon. Trzy fury zboża odwozłem dla państwa na elewator do miasta Lidy. Jadąc z powrotem trzeba było wieźć cegły na piec, też kradzione, bo były dobywane z ruin powojennych domów. Ktoś się nie lenił z mieszkańców miasta dobywał te cegły, by też żyć, na chleb czy może na alkohol. Mniejsze z tym, na co on tracił, ale mnie robił on dobrze, ponieważ nigdzie cegieł nie było można dostać. Oprócz zboża trzeba było wozić i oddawać dla państwa siano, kartoflę ponad tonę na stację kolejową Bastuny. Trzeba było codziennie zdawać mleko, od owiec~~z~~ sierść, jajka, mięso żywca 50 kg, 12 kg suszonego tytoniu. To wszystko za symboliczną cenę. Jeszcze skrupulatnie był wyliczony dochód z gospodarstwa w pieniądzach i trzeba było płacić ponad tysiąc rubli. Nawet prosiaka jakiegokolwiek zakłół dla siebie - trzeba było zdzierać skórę i

zdawać na punkt. Jednym słowem pozostawało tylko na skromne wyżywienie się. Przecież potrzebne było i ubranie, obuwie. Z ubraniem było lżej. Noszono bieliznę lnianą i swojej roboty, swojej roboty z owczej sierści marynarkę i gacie. Obuwaj się w co chcesz. Kupowano kalosze i robiono na zimę wojski, a latem chodzono na bosiaka, tytko do kościoła idąc obuwano jakieś buty czy pantofle i to szli na bosiaka, obuwano tylko pod kościołem. Po mszy i nieszporach znowu rozuwano się i na bosiaka do domu. Jeżeli ktoś na rowerze, to jechał w obydwie strony obuty. To było nowe takie stare życie. Uciemiężano tak, by sami poszli do kołchozu. Kto więcej miał ziemi oprócz pieniężnego podatku tej sumy, którą zebrał jeszcze i zapłacił, obkładano jeszcze podatkiem dodatkowym. Chodziła po ludziach taka anekdota, czy może i prawda: jednego gospodarza mającego większą ilość ziemi obłożono podatkiem pieniężnym /oprócz wszystkiego co tylko ziemia rodzi/. Gospodarz zebrał wszystko, co można, by się rozliczyć z państwem, by nie nawoływał na siebie biedę i zapłacił określoną niemałą sumę pieniędzy. Wówczas kierownik wydziału podatkowego kazał inspektorowi jeszcze naliczyć mu dochodowy podatek i dać termin krótki, by zapłacił na miejscu, w miejscu jego zamieszkania. Gdy inspektor powrócił, naczelnik zapytał: "jak się zachowywał ten "kułak" ten odpowiedział, że płacić, ~~to~~ już nie ma skąd wziąć. "Jeżeli płacze, to może jeszcze zapłacić". - I zapłacił. Cóż, trzeba jeszcze raz obłożyć jego podatkiem. Naliczono jeszcze określoną sumę podatku. Inspektor doręcza temu "kułakowi" jeszcze dodatkową nakaz płatniczy. Gdy inspektor powrócił, naczelnik go zapytał: "co mówił ten kułak, czy zapłaci tę sumę podatku?" Inspektor zawierzył swego naczelnika, że już ten "kułak" nie zapłaci, już nie płacze, już się

śmieje. Naczelnik uwierzył, że już nie ma z czego zapłacić i dla niego wszystko jedno, płakać nie ma co. W trybie przyspieszonym "dobijali do obucha" trochę zamożniejszych, a ci słabsi planowo "dojrzewali" do upadku starego systemu gospodarowania, by zacząć od nowa i kroczyć do lepszego jutra. Już zaczynając od 1948 roku dla wszystkich jednakowo te stare kapitalistyczne prowadzenia gospodarstw rolnych stawało w poprzek gardła. A ci, których nietypowe położenie jak na przykład po konfiskacji mienia, albo nieobecność gospodarza - męskiej ręki do pracy, gdzie była sama kobieta z małymi dziećmi, już nie płakali i śmiać się brakowało sił. Dla nich już było wszystko jedno, kołchoz czy Syberia. Gorzej już chyba nie będzie - mówili. Woleli - niech będzie i kołchoz, ależ chociaż ciszej, ale jeszcze czekano jakichś zmian. Chodzili ustnie, nie pisane pogróżki, że jeżeli kto z pierwszych podpisze się do kołchozu, będą karani śmiercią za zdradę. Mówiono, żeby nigdzie nikt nie podpisywał żadne papiery. Nawet na pocztce, gdy ktoś kiedy otrzymywał pieniądze, starał się, wykręcał się, by nie stawić swego podpisu. W niektórych wypadkach zamiast podpisu stawiono trzy krzyżyki - tak jak w przeszłe czasy, gdy naród był niepiśmienny. W samej rzeczywistości we wsi było takich kilku ludzi. Co rok w maju miesiącu trzeba było jeszcze pieniężną pożyczkę dawać dla państwa. Chodzono po chatach po kilku aktywistów. Agitowano, proszono, a niekiedy i grożono Syberią - dla tych którzy nie mieli pieniędzy. Trochę później, gdy już zapędzono do kołchozu, tak samo trzeba było dawać pożyczkę, chociaż człowiek miał tylko ogród i płacili robotnikowi po 20-30 dkg ziarna pośladu za pełny dzień pracy. Prosto nie do wiary, żeby przy takich zarobkach w kołchozie, mając 0,3 ha ogrodu, jedną krowę i jakiegoś prosiaka trzeba było

płacić podatku dochodowego 87 rb., 40 kg mięsa żywca, 210 litrów mleka, 75 jajek, 0,5 kg od każdej owcy sierści, 100-150 rb pożyczki. Magiczne cyfry, dzisiaj młodzi nie chcą wierzyć, bo skąd trzeba było brać? Często kołchoźniki zadawali takie pytania: żeby o ile urzędnicy dają pożyczkę dla państwa jednomiesięczny zarobek, to kołchoźnicy mogą pożyczyc dla państwa cały roczny zarobek w kołchozie - 40-50 kg poślada ziarna. Czy to można było nazwać życiem. Nastął głód. Nie mieli z czego piec chleba. Mówiono, że pan Sierbałowicz aresztował i zabrał dzieżę, w której miesili chleb i łopatę, którą chleb sadzono do pieca. W domach prawie u wszystkich nie odczuwano zapachu chleba. Kilka kilometrów mężczyźni szli z wieczora i całą noc stawali w kolejce, by otrzymać jedną bochenkę chleba w Raduniu, w sklepie pieczywa. Nie wszystkim udawano się otrzymać tę bochenkę naszego chleba powszedniego, tylko zaledwie trzecia albo czwarta część było szczęśliwych. Czasami tę bochenkę po kromce spożywając w powrotnej drodze do domu mało pozostawało dla dzieci. Większa część stojących w kolejce musiała być zadowolona tylko zapachem chleba naszego powszedniego. Kobiety nie mogły stać w kolejce, dlatego, że fizycznie byli za słabi. Tak się zaczęło nowe "szczęśliwe" życie. Niektórzy mówili, że nie straszne jest już więzienie, czy lagr, gdzie choć małą kromkę chleba się dostawało. Tylko na wolności jest zawsze lepiej, lżej można pokonać głód.

Ten rok, 1948, był niezwykle krótkim. Tak szybko przeszło lato... Nastąka chłodna jesień. Mieszkać po cygańsku, w stodole, już było niemożliwie. W kuchni odbudowanego domu zabrakło cegieł na komin i na te jedyne okno nie mieliśmy

ni desek, ni czym płacić dla stolarza. Co robić? Jak się mówi, a zima już na nosie. Cierpieliśmy chłód, ile mogliśmy. Sąsiad Kaszkiewicz Jerzy zaproponował, by zamieszkali u niego. Na razie, tymczasowo, zamieszkaliśmy u sąsiada, ale nie schodziło z myśli, by jakośkolwiek zamieszkać w swoich własnych ścianach. Zaczęły się już przymrozki. Sąsiad Pilecki Eliasz zaproponował w drugim końcu domu przeznaczonego na kartoflę, na zimę zamieszkać. Poradził i sam zbudował z gliny piec. Zwykły chlebny piec, tylko bez komina. Ucieszyliśmy się bardzo, gdy pierwszy raz podpaliliśmy ten piec, gdy zrobiło się ciepło jak w raju. Nie szkodziło, że gdy piec paliło, musiały być otwarte drzwi, w mieszkaniu pachniało dymem. Przy paleniu w piecu otwarte drzwi 2/3 ich od dołu zawieszano kocem. Dla zejścia dymu wystarczało 1/3 nie zawieszonych kocem drzwi. Chłodem wiało przez drzwi po nogach, a gdy zakończono palenie, tak było dobrze, ciepło i przyjemnie w swych kątach. Kupno budulca i opłata dla cieśli wymiotko wszystko z kątów i z kieszeni. Wszędzie było pusto, tylko dla posiłku mieliśmy kartoflę z kwaszoną kapustą. Jedna jedyna krowa, która dawała mleko dla rozkoszy. Wielki post, bodaj największy nastał, gdy przed ocieieniem się mniej więcej dwa miesiące przestawano doić, gdyż mleka dawała mało i te już nie miało smaku mleka. Po ocieieniu się można było ukraść od cielaka mleko dla zabarwienia zupy. Po 2-3 tygodniach cielaka odłączano od krowy i pojono gotowanym siemieniem lnianym, zabielonym świeżym, ciepłym mlekiem. Dla siebie pozostawało na razie połowę mleka. A już wiosną trzeba było mleko oddawać dla państwa i tylko pozostawało tyle dla siebie, ile można było ukraść od nowo narodzonego cielaka. Ojciec z lagru pisze,

63

że upadł na zdrowiu, wypadają zęby, prosi ponownie wysłać cebuli, tytoniu i jakiegoś tłuszczu. Wysłać trzeba, ale skąd, co wziąć, gdyż my sami mieliśmy to co w lagru. Tylko cieszyliśmy się taką taką wolnością, którą przynieśli dla nas ze wschodu nasi "zbawiciele". Ani jak nie wypadało czytać list w kręgu rodziny bez łez. Nie zazdrościliśmy ni komu dla tych, których ominęło takie nieszczęście, jak nas. Myśleliśmy i rozmawialiśmy w kręgu rodziny, żeby to nie konfiskacja i nie pożar... chociażby nie pożar... Wiedział ojciec tylko o konfiskacji mienia. Nie wiedział zaś o pożarze. Nie pisaliśmy mu o tym, by nie przeżywał. Dowie się tylko po sześciu latach, gdy powróci. Prosił, by paczki wysyłali kuzyni ojca... Wysyłali, ale rzadziej, jak kiedyś my sami. Ot, żeby my mielibyśmy tyle, ile mieli ewakuowani za Niemcami od frontu działań wojennych spod Smoleńska Rosjan, którym ojciec zbierał ze wsi zboże i słońinę... i nasi ludzie ich przygarnęli pod swój dach... czasami przychodzili do głowy takie myśli. Ja nie mogłem siedzieć w domu, gdyż nie było co robić, a żyć trzeba. Urządziłem się w Raduniu na pracę w spółdzielni spożywców księgowym. Mogłem już ja lepiej zjeść, ale wiedziałem co jedzą w domu... Otrzymywałem i dostarczałem do domu pieczony chleb, a na Wielkanoc przyniosłem parę kilogramów mięsa. Jakie mieliśmy dobre święto, nawet moja rodzina zjadła po kawałeczku mięsa. Otrzymywałem ja bardzo mało, tak było wówczas. Nie odmawiałem, jeżeli ktoś wołał mnie na obiad. Za rok czasu zwolniono mnie z pracy. Nie, nie za jakieś nadużycie. Ja sam nie rozumiałem wówczas, dlaczego mnie zwolnili z pracy. Znowu wróciłem do swego pustego domu. Mieliśmy tylko jedną krowę i konia. Ta sama ziemia nie dawała takich urodzajów jak przed laty. Przyczyną tego było brak

obornika, jak kilka lat przedtem, a sztucznych nawozów nie było. Dochodziło do pełnego upadku gospodarki. Już nastał czas, że nie straszny był i kołchoz, bo otrzymany urodzaj wystarczał tylko dla rozkiczenia się z państwem i na nasiona. Nawet nie było z czego płacić podatek dochodowy i asekuracyjny. Oczywiście pracować trzeba było za darmo. Mniej już rozmawiano o zmianie władzy. Dużo kto z gospodarzy nie przeciw byli iść, wstępować do kołchozu, ale bano się nocnych swoich bandytów, by nie odebrali tego ostatniego i najdroższego na świecie - życia. Akowców już nie było słychać, grasowali natomiast swoi hultaje-bandyci, których ślad zostawiał biedę i śmierć. Rabowano nocami wiejskie sklepy. Pokuszano się obrabować w Raduniu bank. Niektórzy nie doliczali się po nocy owiec w chlewie. O wiele później dowiedziałem się, że planowano od nas zabrać ostatniego karmionego dla rozliczenia się z cieślami za dom prosiaka. Rozpłodziło się tyle złodziei, że nawet nie wzruszało ich odebrać torbę od żebraka. We wsi żył i mieszkał w pustym domu po wywiezionych na Syberię rodzinę Nosowiczów, Rosjanin, przywieziony przez Niemców od frontu, staruszek Smoleński /tak jego nazywano, że został przywieziony od Smoleńska/ i od tego zabrano ostatnich coś z pół worka żyta, zarobionego kosząc łąki u wdów żywych męży pomieszczonych w lagrach.

Wkrótce był organizowany kołchoz. Już dużo komu nie było żadnego wyjścia - zostali zapędzone do kąta i innego nie było wyjścia, jak wstąpić do kołchozu, pomimo lęku, że czyjaś ręka może surowo ukarać nawet pozbawieniem życia. Podałem podanie i ja. Gdy zaproponowano, jaką dać nazwę nowemu kołchozowi: imieni Woroszyłowa, im. Stalina, Lenina czy jeszcze jakąś inną nazwę. Ja zaproponowałem, by nazwać "Jutrzenką"

53

/Zaria/. Tak i zapisano w protokole ogólnego zebrania mieszkańców wsi Stara Kozakowszczyzna, chociaż "kręcił nosem", dlatego nie nazwano imieniem hersztów partii, obecny na zebraniu instruktor rejonowego komitetu partii Tereszczenko. Za jakiś czas zobaczyłem na szyld kołchozu i na papierze, gdzie widać była nazwa kołchozu Krasnaja Zaria. Wszystko jedno skręcili po swojemu, dodali słowo "krasnaja", tzn. upolityzowali.

Ja osobiście myślałem pojedę gdzieś - gdzie moje oczy poniosą. I tak głód w domu i tak. A prawo dla mieszkańców wsi pańszczyźniane jak kiedyś, sprzed 80 laty. Nikomu nie wydawano paszportów, tak co nigdzie nie wyjedziesz. Głód jednak jest najsroższy od władzy. Chłopcy wiejscy szli z ochotą do wojska. Dalej kombinowali, jakby nie wrócić do domu. Niektórzy żenili się tam, gdzie służą i nie powracali do domu. Urządzali się gdzieś w miastach na ciężkich robotach jako niewykwalifikowani robotnicy. Dziewczęta i niektórzy chłopcy zapisywali się na pracy mobilizacyjnie do Karelii na wycięcie lasu lub na rozmaite budowle. W rejonie byli przedstawiciele tych przedsiębiorstw, potrzebujących pilnie robotników niewykwalifikowanych. Zawierano umowę na jeden rok czy dwa, dawano pieniądze na przejazd i trochę na jedzenie i głównie wydawano paszporty. Właśnie, były potrzebne paszporty. Po skończeniu umowy na pracę nikt już nie powracał w rodzinne strony. Rosja jest długa i szeroka i cała rozsiana Polakami. Wygody i dobrego życia nie szukano. Chodziło wszystkim jak wyżyć. Niektórzy zabierali swoich rodziców. Pozostali ci, którzy wierzyli w jakieś zmiany, żałowali ojcowizny, swych kątów rodzinnych oraz z małymi dziećmi, dla których wszystko jedno głód i chłód. Dzisiaj wieś zamie-

szkują starzy emeryci oraz młodszy chętni do kieliszka. W kancelarii kołchozowej więcej robotników umysłowych czym kołchoźników. O porządki w kołchozie nikogo nie obchodzi, wszyscy są obojętni. Nawet teraz, gdy się pozwala zabierać swoją ziemię i gospodarować - chętnych nie ma. Prawie nie ma zdolnych do pracy mieszkańców. Jak było ciężko zapędzić do kołchozu, tak teraz ciężko odrodzić rolników z dziada i pradziada.

Dla mnie wyjazd gdzie chcę był możliwy, dlatego że miałem paszport. Otrzymałem go jeszcze pracując nauczycielem. Potrzebny był dla mnie, gdyż się uczyłem w Lidzie, a później po zwolnieniu ze stanowiska nauczyciela, gdy jechałem do Mińska do medycznego instytutu. Uczyłem się mało, ponieważ otrzymałem z domu list, że bardzo ciężko bez mężczyzny, że beze mnie nie mogą się obejść. Rzuciłem naukę i wróciłem do domu pomagać klepać. Po organizacji kołchozu niektórzy mnie namawiali, by nie wyjeżdżał z rejonu. Że jestem potrzebny jako na owe czasy "wykształcony" robotnik. Oni nie wiedzieli, dlaczego uciekam dalej, dlaczego mnie parę razy zwalniali z pracy. Tym razem "uciekłem" na Litwę, "daleko", aż 10 kilometrów od domu. Jeden ze znajomych kolegów księgowych, wcześniej pracujący w Raduniu, a obecnie w Ejszyszkach, przy spotkaniu zachęcił mnie przyjechać. Pewnego zimowego dnia poszedłem pieszo do Ejszyszek. Filnie był potrzebny księgowy do zarządu domów komunalnych. Zachodzę i siedzę w gabinecie kierownika. Przychodzi jakiś facet, zobaczył mój paszport, napisane od ręki podanie i poprosił pójść razem z nim. Poszedłem. Nie mogłem zrozumieć dlaczego, dokąd i po co on mnie prowadzi. Po minie poznałem, że zła mnie nie uczyni. Aż patrzę, na ścianie domu, do którego mnie prowadzi, napisane "Narodnyj

13

Sud Ejszyszkskoho rajona". Zachodzimy do jego gabinetu. Był to sędzia tego sądu. On mnie zaproponował iść pracować do niego na stanowisko sekretarza posiedzeń sądowych. Radził mi, tam gdzie ja byłem, bym nie pracował. Tam jest praca niebezpieczna i mogę wpadnąć do więzienia. Księgowość tam jest bardzo zapuszczona, że tam kradną kto co może... Kazał napisać nowe podanie, awtobiografia może być ta sama. Napisałem, przeczytał i położył do żelaznej szafy /sejfu/. Dał mi broszurkę o procesie sądowym i jedną cywilną sprawę z napisanym protokołem i kazał mi to wszystko przestudiować. Zaprowadził mnie do kancelarii i przedstawił dla sekretarza sądu i innych dwóch robotników. Dziewczyna była sekretarką a mężczyzna komornikiem sądowym. Poznajomłem się ze wszystkimi. Sekretarz sądu pan Baublis Witas był zadowolony że go zamienię, bo przez dłuższy czas nie było sekretarza posiedzeń sądowych, a on bezpłatnie zajmował, wypełniał nie należącą do jego obowiązku pracę. Pocieszał mnie, że prędko zrozumie co do czego, że praca jest nie ciężka, a czasami nie będę miał co robić. Studiowałem tę broszurkę i sprawę cywilną i myślałem, nie schodziło z myśli jak ja będę siedział przy końcu stoła sędziowskiego w porwanych butach. Garnituru nie miałem, ubrany byłem w spodnie klosz dobrze wynoszonych i w kombinowanej bluzie. Na wierzch byłem ubrany w kurtkę, kozuch obciągniętym materiałem od żołnierskiego płaszcza /szynieli/ kupionego w Leningradzie, gdy sprzedawałem mięso i słoninę ostatniego sprzedanego kabanka, by rozliczyć się z długami. Zacząłem pracować. Pojąłem szybko w porównaniu. Po kilku posiedzeniach sądowych mną pisany protokół sędzia nie miał żadnych uwag. Trochę było gorzej z prowadzeniem protokołu sądowego w sprawach karnych. Główne trzeba było znać proces sądowy t.j.

71

kodeks procesualny i cywilny. Z pracy byłem zadowolony, ciekawiły mnie prawa obywateli. Jakie były paradoksy między prawem pisany i faktycznie wykonującym, faktycznym - przeważnie na Białorusi. Zacząłem wnikać, studiować prawo według kodeksów. Czytałem komentarze artykułów kodeksów karnego i cywilnego, wsłuchiwałem się w przedmowę adwokatów na procesach cywilnych i karnych. Dla mnie wszystko było nowym - nieznanym, lub mało znanym. Codziennie miałem i zapamiętywałem coś nowego. Wkrótce sędzia czuł i widział, że ja minimum co trzeba było wiedzieć - wiedziałem i dobrze rozumiałem. Za kilka miesięcy sędzia mi dawał sprawę karną dla rozpatrzenia na posiedzeniu dla sprawdzenia wykonania procesualnych praw w czasie śledztwa, czy sprawiedliwie według aktu oskarżenia pociągnięty do karnej odpowiedzialności oskarżony, czy odpowiada wina oskarżonego określonego artykułu kodeksu karnego? Czy wystarczy materiału w sprawie dla oskarżenia? Czy pociągnięty do karnej odpowiedzialności przyznał się do winy? Czy wystarczy potwierdzenia winy oskarżonego przez świadków? Ta analiza sprawy karnej nie wchodziła w mój obowiązek. Wprost wypełniałem prośbę sędziego. Spraw karnych było bardzo dużo. W związku z kolektywizacją spraw karnych powiększyło się we dwoje. Pamiętam, po jednej sprawie karnej byli pociągnięci do karnej odpowiedzialności 10 oskarżonych za skradnięcie przy młóceniu jednego worka żyta. W owe czasy długo działała Ustawa z 4 czerwca 1947 r. "Za kradzież państwowego i kołchozowego mienia". Sankcja tej Ustawy opiewała za kradzież grupę osób nie mniej jak po 10 lat każdego pozbawienia wolności. Nawet w tej grupie inwalidę orzeczono na 12 lat pozbawienia wolności. Jednym słowem wszyscy 10 oskarżonych otrzymali około 140 lat więzienia. Ten wieczór nie mogłem

45

sobie dać odpowiedzi, dlaczego?... za co?... aż taka surowa kara za jakichś 5 kg żyta?... Tę noc zupełnie nie mogłem spać. W oczach mi stali ostrzyżeni pod zero 10 ludzi... płacz żon i dzieci... "On, myślałem, nie po Jureczku czapka". Trzeba uciekać z tego sądu. Znowuż przychodziła myśl, że my wszyscy nie jesteśmy winni. Tutaj głęboka wina tego systemu, tego rządu, który porodził takie kradzieże, on, ten samy rząd i karze wplątanych w osnutej im pajęczynie. Natomiast czułem się srogo przy rozpatrzeniu spraw o chuligańskich wybrykach, w wyniku czego byli poszkodowani po ciężkich ranach uczynionych, jakim to nie było ostrym przedmiotem, niekiedy w wyniku tego nastąpiła śmierć poszkodowanych. Dużo mieliśmy spraw cywilnych bardzo rozmaitych. Niemako z nich o podatku dochodowym od kułaków. Akurat wówczas szła fala kolektywizacji. Pod przymusem zaganiano do kołchozów. Obkładano zamożniejszych gospodarzy "kułackim" podatkiem dochodowym. Agenci opisywali ich mienie dla pokrycia tych wymyślanych specjalnie dochodach. Sąd orzekał dla uiszczenia podatku dochodowego konfiskując mienie "kułaka". Były to sprawy cywilne, wytoczone przez rejonowy Urząd Finansowy - zwykły pozew. Rajkom Partii, jego sekretarz potrzebował, aby sądzić więzieniem tych kułaków, którzy nie zapłacili w terminie podatku. Ależ nie było takiego artykułu karnego, który by opiewał za te "przestępstwo" karę więzienia. Stawiano dla niego zarzuty, że w sąsiedniej Białorusi kułaków karze się więzieniem. niesprawiedliwie oskarżano sędziego za nie posłuszeństwo w sprawie polityki karnej partii, za liberalizm. Nie chcieli rozumieć, że Litwa nie miała wówczas swego kodeksu karnego, a korzystała się kodeksem Federacji Rosyjskiej. Natomiast Białoruś posiadała swój kodeks karny, na podstawie określonego artykułu

tego kodeksu karano kłaków więzieniem do 10 lat. Kałczał się termin prawomocności sędzi i kawników ludowych. Ten sędzia nie był rekomendowany przez partię. Wybrano drugiego sędziego. My, robotnicy kancelarii sądu patrzyliśmy badawczo na nowego sędzię. Był człowiek jak człowiek, nie tak prędko można poznać człowieka, na wszelki wypadek nie od razu. Nie dziwiliśmy się, że nie rozumie procesu sądowego, ba, nawet i kwalifikacji karnych według popełnionego przestępstwa. Jednym słowem nie posiadał minimum wiedzy sędziego. Sprawy karne, właściwie wyroki sądowe Sądem Najwyższym Litewskiej Republiki przyznawano nieprawomocnymi prawie po każdej sprawie. On, sędzia, po procesie sądowym zaczął potrzebować u mnie, by ja pisał to, czego nie mówili ni świadkowie, ni oskarżony na procesie sądowym. Nie zgadzałem się w żaden sposób. Podałem podanie o zwolnienie mnie ze stanowiska sekretarza i po dwóch tygodniach odeszłem pracować do handlu, gdzie przepracowałem prawie do otrzymania emerytury. Ta moja praca w sądzie była dla mnie małym uniwersytetem prawa karnego i cywilnego. Ona dla mnie dała to, co dla mnie było potrzebne nawet do dzisiaj. Przez dłuższy czas prenumerowałem dwa miesięczniki o tematyce prawnej. Starąłem się być na określonym poziomie wiedzy prawnej. Pracowałem blisko domu, żeby czymkolwiek pomóc rodzinie. Wysyłałiśmy paczki dla ojca razem. Czas leciał szybko. Aż na początku marca miesiąca 1955 roku dowiedziałem się, że powrócił ojciec i jest poważnie chory. Wziąłem z pracy ciężarówkę i pojechałem, być może trzeba będzie wieść do szpitala. Jeżelilibym spotkał gdzieś na ulicy - nie poznałbym. Twarz miał wielką, wyglądał niby z dobrego życia powrócił - twarz choć szeroka, ale żółta jak

14

wosk, nie włożył prawą stroną ciała - ręką i nogą. Poruszał się opierając na pałce, powoli.... rozmowa była niedobrze zrozumiała. Pokazywał na ściany, na piec, sufit i płakał. Rozumiał, że był pożar, że też było ciężko dla nas. Widział wszędzie puste kąty. Nie było tej szafy z lustrem na całej drzwi. Pokój był bez sufitu, z zabitymi deskami okna. Tylko podłoga i część ścian były te same. Chlew był pusty - stała w nim jedna tylko krowa. Nie było konia, kierata i młóćarki. Działanie było miejscami bez płotu, który sam grodził. Przegniły za ten okres sztankiety i żerdzie płotu. Sad ten sam, który sam sadił, był stary i nie dopatrzony. Sliwki posadzone dookoła sadu rozrosły się, rozmnożyły się i rosły gęsto, jak gdyby to ściana, nawet w niektórych miejscach nie sposób było przejść człowiekowi. Jednym słowem przypatrywał się ciągle i widział wielką różnicę w porównaniu z tym czasem, gdy opuścił swoje rodzime miejsce. Widział każdego ranka jak szedł sąsiad Ładysz Andrzej i krzykiem zmuszał iść na pracę do kołchozu, bez żadnych usprawiedliwień, czy ty chory czy zdrowy. Czasami wykrzykiwał obrażającymi słowami i groził rozmaicie. Tak, przecież rodzina politycznie sążonego "wroga narodu", a on ma władzę, on komunista i po swojemu rozumieniu i po komunistycznej idei musi być niecierpliwym do tego elementu. Na pewno on i inni komuniści wiedzieli, że wrócił "wrag narodu" i jest pod nadzorem organa NKWD. Tak było napisane w zaświadczeniu o zwolnieniu z lagra "wozwraszczajetsia pod opiekę rodstwiennikow i pod nadzor organow NKWD". Prawnie to wyglądało tak: ziemia jest państwową częścią mienia skazanego, jest skonfiskowane w dochód państwa i jak gdyby to mogli przyjąć i nie swoje dzieci i żona. Powrócił człowiek bez żadnego prawa, przecież wyrokiem NKWD pozbawiony praw publicznych na trzy lata. Powiedziano jedno do zrozumienia "Wozwra-

szczenie pod opiekę rodzienników" - pod opiekę a nie na swoje własne miejsce w domu, jako gospodarza. Czasami w wolne dni czy wieczory zbierali się sąsiedzi posiedzieć, porozmawiać i niekiedy pograć w karty. Ojciec bardzo był zadowolony, gdy wygrywał. Te zadowolenie było jakiegoś dziecinne, śmiał się zadowolony. Był zły i niecierpliw, gdy przegrywał. Swoje uczucia wykazywał prosto bez żadnych chytrości. Pewnego razu zaszedł do nas do domu syn sąsiada, który powrócił z wojska, w wojskowym ubraniu. Ojciec, gdy zobaczył, zaczął drżeć cały ze strachu, ledwo mama z siostrami wmówili, żeby nie lękał się, że to nasz sąsiad, Pileckiego Eliasza syn, że powrócił z wojska, że nie jest on z NKWD. Uspokoił się. Latem, tego 1955 r. dano mi znać, że ojciec ciężko zachorował. Pojechałem samochodem i zabrałem do siebie, do szpitala w Ejszyszkach. Był ciężko chory, zupełnie na nic nie reagował. Jednak miał jeszcze siłę, bo gdy brałem go za rękę, on mi mocno-mocno uściskał moją dłoń. Ojca i mój znajomy lekarz Uscinowicz Władysław, który nie tak dawno powrócił z Syberii, a był wywieziony jeszcze w 1946 roku, mówił mi, że nic dla niego nie w stanie pomóc. Już w żaden sposób nie uzdrowim go. Leczyli, próbowali wyleczyć... Pewnego dnia pod koniec lipca 1955 roku podzwonił do mnie lekarz Uscinowicz i bez żadnych emocji prosił mnie przyjść do szpitala. Rzuciłem wszystko i prędko poszedłem. Zrozumiałem, że z ojcem jest źle. Zachodzę do pałaty. Znalazłem tam lekarza pana Uscinowicza. On mi cicho półgłosem powiedział, że nic i niczym nie możemy pomóc, zaś podobne, że będzie umierał. Ja wziąłem ojca za rękę, on mi uściskał moją dłoń i powoli zaczęła jego ręka słabnąć w siłę, aż zupełnie osłabła, jakby zwiędła i opuściła się na kółko. Czym prędzej dała dla niego w rękę zapaloną gromniczną świecę

73

sipstra miłosierna i skonał. Były bardzo ciepłe, słoneczne dni końca lipca 1955 roku. Pojechałem do księdza Czesława Sztejna domówić się, kiedy, o której godzinie pogrzebanie. Ksiądz proboszcz radził i prosił, by długo nie ciągnął, dlatego że są bardzo gorące dni. Ksiądz proboszcz uściskał mi rękę i wyraził współczucie w związku ze zgonem więźnia, z którym był razem w Grodnie przez dłuższy czas w jednej celi. Radził mi zejść do dzwonarza pana Wasilewskiego, by podzwonił. Poprosiłem, by zaczął dzwonić od tego czasu, gdy wyprowadzimy z mieszkania aż do kościoła, a później przy wyprowadzeniu na cmentarz parafialny. W domu był ojciec półtorej doby. Wyprowadziliśmy z domu o godzinie szóstej rano. Ranek był wietrzny, ciepły i pogodny. Rosa na łące, na słońcu dawała blask jakichś kryształów, czy diamentów. Od strony Radunia było słychać bicie dzwonów. W miarę przybliżenia się bicie dzwonów dźwięczało coraz głośniej. Pan Wasilewski nie podprowadził, spełnia prośbę - pomyślałem. Przed kościółkiem spotkał ksiądz proboszcz Sztejn. Trumnę ze zwłokami wniesiono i postawiono na katafalu. Przy odprawieniu mszy świętej żakobnej w roli ministranta służyłem do mszy świętej, byłem koło wielkiego ołtarza. Postanowiłem wziąć udział sam przy tej pierwszej żakobnej mszy świętej za duszę Ojca. Po mszy świętej i egzekwii odprawiono i pogrzebano na cmentarzu parafialnym w obecności ks. proboszcza Sztejna. Gdy piszę, czasami jestem zmuszony zrobić przerwę, ponieważ zebrana ilość kropel łez w oczach nie pozwala widzieć kreślonych na papierze liter. Ku wielkiemu zdziwieniu na pogrzebie nie przelałem ani jednej łzy. Byłem twarym i surowym. Kilka lat temu jacyś wandale uszkodzili, sibi-li zupełnie na nadgrodku krzyż. Odremontowaliśmy. 19 wrześ-nia 1987 roku po 32 latach obok ojca pochowaliśmy mamę. Z całej rodziny pozostało nas czworo, trzy siostry i ja. Zawsze

ja osobiście się czułem prześladowanym jako syn "wroga naroda". Cztery razy zwalniano mnie z pracy. Na pracy musiałem być bardzo ostrożnym. Trzymałem wielką odległość przed nadużyciem służbowym. Tylko jeden raz byłem wybranym ławnikiem sądowym. Żadnych medali czy innych nagród nie miałem. Pracowałem uczciwie. Honorowano rozmaitymi nagrodami różnych nieczystych na rękę robotników i komunistów. Pracowałem nawet na różnych odpowiedzialnych kierowniczych stanowiskach. Od samego początku instruktorem rejonowej Spółdzielni Spożywców, trochę później kierownikiem stołówki, kierownikiem składu, prezesem Spółdzielni Spożywczej, zastępcą dyrektora bazy /składów rejonowych/, dyrektorem składów, zastępcą dyrektora skupu rejonowego Związku Spółdzielni Spożywców i ostatnie moje stanowisko dyrektora skupu rejonowego Związku Spółdzielni Spożywców. Na te ostatnie stanowisko, ponieważ byłem bezpartyjnym, przyjęto mnie i zatwierdzony zostałem na biurze rejonowego Komitetu Partii tymczasowo. Jednak nie dotrzymałem i musiałem odejść. Nareszcie zwolniłem się, nie mogłem dalej wytrzymać ataków oraz zaszwankowało mi zdrowie. Chorowałem na wrzód dwunastnicy i każdy rok musiałem miesiąc czasu poświęcić leczeniu się w szpitalu. Dlatego było jeszcze obciążliwym codziennie rano o 6 wstawać i jechać do pracy autobusem ponad 30 kilometrów. Do otrzymania renty starszej było nie tak dużo - około 4 lat. Ostatnio urządziłem się na wojennej fabryce. Zarekomendował mnie były jeden pułkownik jednostki wojskowej ostatnio pracujący na fabryce. Przyjęto mnie na stanowisko ekspedienta. Jacy byli zdziwieni, gdy się dowiedzieli, że ja jestem bezpartyjnym, ale jakoś machnęli ręką. Jednego razu z pracującym razem w jednym gabinecie rozmówiliśmy się o zbrodni katyńskiej. On twierdził, że tę zbrodnię popełnili Niemcy. Ja zaś twierdziłem,

że to robota tylko NKWD. Było to w 1986 r. Spełniło mi się 60 lat. Doszedłem do wieku emerytalnego, a robotę miałem lekłą, całymi dniami nie miałem co robić, więc jeździłem na działkę pleć i polewać ogrodninę i kwiaty. Jeszcze pracując w Moskwie w klinice Fiodorowa operowano mnie lewe i prawe oko. Cieszyłem się, że widzę, a to nie mogłem przedtem przejść ulicy. Po spełnieniu się emerytalnego wieku mnie zaproponowano napisać podanie o odejściu na emeryturę. Chciałem jeszcze popracować, ale powiedzieli mi, żeby odszedł, dlatego, że sądzony mój ojciec. A jak że, na fabryce, gdzie robią jakąś aparaturę do rakiet dla wojsk pracuje syn "wroga naroda". W żaden sposób nie można. O wiele później dowiedziałem się, że ten inżynier Wołkow, z którym w rozmowie twierdziłem, że zbrodnia Katyńska jest ręką NKWD, pracował w tym rejonie naczelnikiem lagru, tylko nie w tym, gdzie był mój ojciec, lecz w innym. Ich tych lagród setki rozsianych po wiecznej zmarzlinie, Ten mój rozmówca miał nazwisko Wołkow, a nie Kozłow, jak podałem na końcu str. 67. Nie byłby on enkawudzistą, nie miałby wilczej natury. Pewnego razu on, razem z pracy zaproponował zajść do mnie zobaczyć jak ja żyję. Zgodziłem się. Razem w sklepie wzięliśmy pół litra wódki i zakąski. Po parę kieliszków mój gość zrobił się takim "dobrym" i mnie powiada, ty mnie nie lękaj się, możesz mówić co tylko chcesz, ja ni komu ani nic". - powiedział te słowa półgłosem przyłożywszy palec do nosa. Długo nie myśląc pół głosem poufnie dla niego powiedziałem: za nic i ni kogo się nie lękam, ale tylko "mam jeden jedyny grzech. - "Mów dla mnie śmiało, ja ni... ni..." - służyłem u Kiereńskiego a później u Kałczaka - powiedziałem półgłosem i przedłożyłem wypić nalane pełne kieliszki. Wypiliśmy. Jednym okiem zacząłem jego obserwować.

On widelcem próbował wziąć kawałeczek pokrojonej kiełbasy i coś myślał mrugając oczyma, wnet podjął głowę i u mnie zapytał, z jakiego roku ja urodzenia. Powiedziałem - z 1926. - "To tak ty mógł służyć u Kałczaka. Nu i ty, chciał mnie nabrać". Ja uśmiechnąłem się i pomyślałem - już ciebie nabrałem. Więcej on ze mną, a ja z nim nie dążyliśmy do spotkania. Prawda nie nadługo zaszedł do mieszkania na kolację, organizowaną mną przy odejściu z pracy na emeryturę. I tak zaczęły się długie dni emerytalne. Z początku było jakoś nie swojsko, ale z każdym dniem zacząłem wchodzić w nurt emerytalnego życia. A czas nie zatrzymuje się ani na jotę. Nie zauważalnie nadszedł 1988, a trochę później 1989 rok. Zaczęło się odrodzenie państw nadbałtyckich. Zaczęto lżej oddychać, swobodnie rozmawiać jednym słowem, przestano bać się swych cieni. Gazeta "Kurier Wileński" i jego dziennikarz Jerzy Surwiło zaczęli drukować kronikę pamięci po śladach cierpień i męczeństwa. Zaczęła się rehabilitacja niewinnie męczonych w konclagrach ludzi. Spróbowałem i ja. Napisałem do Grodna prośbę do prokurora o rehabilitacji mego ojca. Nie wierzyłem, że ojciec będzie zrehabilitowany, ponieważ kilka razy czytałem zaświadczenie o zwolnieniu z konclagra, że sądzony po 2-ch artykułach karnych na 10 lat lagrów i, na 3 lata pozbawienia praw publicznych. Powrócił pod nadzór NKWD. Na odpowiedź długo nie czekałem. Otrzymałem zaświadczenie Sądu Obwodowego o rehabilitacji. Ucieszyłem się bardzo. Nawet za konfiskowane mienie zwrócili chociaż symboliczną sumę, ale "wyrównali" wyrządzoną szkodę. Zaświadczenie o rehabilitacji i protokół sądu obwodowego o rozpatrzeniu tej sprawy rozmnożyłem na kilkanaście egzemplarzy i wysłałem dla swych krewnych i znajomych. Pokazywałem te dokumenty dla znajomych enkawudzistów, jako dokumenty

oskarżenia ich działalności. Ich działalność nie powinna pójść w zapomnienie. Może jakiś sąd międzynarodowy potępi tok działalności wszystkie ich zbrodnie nie pozostawiając ani jednej nie wspomnianej w akcie oskarżenia. Nie, niekoniecznie ich sadzić do konclagru, tak robić jak oni robili, nie warto, ale każdy z nich musi być potępiony osobiście.

Julian Boładź

Wilno,

24 kwietnia 1982 r.

(Niektóre błędy i fakty uzupełnione w kwietniu 1993 r.)

Kārtotājs Bērdu doškrāstam ir drukus

pasāk. 1 krāstam 1939

1

Str.	krāsts	just	ma. lye.
11	7 od došu	jak nie kēā tik klju -	jak mē kin tak klin
13	12 od došu	humorem	honorem
17	15 od došu	pono rik	pono rik
19	8 od došu	otāher	otāher
20	10 od došu	2 kinētma	21 kinētma
22	12 od mēnchu	podlāgōn	podlāgōn
25	10 od mēnchu	panika	panika
26	13 -u-	krāgona bufony	krāgona bufony
28	15 -u-	pod sānca	pod sānca
28	15 od došu	karaluony	karaluony
28	10 -u-	sli na sestāncōn	sli na sestāncōn
28	2 -u-	mētismy zūāne -	depisāē - straty.

J. Botisovs

Kaunijaru bēdny dostrādāne. Ir drubuu
 roadi. II Pasaulek drugtēj kofny Sīkatorēj

str.	mers	īst	ma. byē
4	7 od došu	Jankierha	Jankouska
9	6 od īnēku	Kolsdo	Kolendo
11	3 od īnēku	ulicy Wolnej - ulicy Rolnej do āyda Holrūskiēgo	
12	12 -u-	Wziēc	Wziēc
18	4 od došu	bergaun.	baizgēta
27	6 od īnēku	by prekruēt sīs	by prekruēt sīs
27	14 od došu	Sabruēnter	Sabruēnter
31	5 od īnēku	2 bratēu	2 oja bratēu
35	16 od došu	rok 1946	Rok 1940
36	3 od došu	procahito sīs	procahito sīs
39	12 -u-	opony kunlop	opony Dunlop
43	11 od īnēku	Bom Wolf	Bom - Sekter Wolf.
43	12 -u-	Kindler Sekter	Kindler Wolf.
51	5 od došu	Koļono komus	Koļono kamēn
53	16 -u-	Andrus	Andruē.
53	7 -u-	Andruē	Andruē

J. Prokops

Reģistr satikšanos dokumentu (in kserokopij)

- 1) Norād iespaidamēroņi - 1 eqz.
- 2) Lāstādceime gūnuy Radni n 54/13/39. - 1 eqz
- 3) Lāstādceime -u -u n 54/13/39. - 1 eqz.
- 4) Norād pobraimā klāsu 2 vārdē Turusōq - 1 eqz
- 5) Norād vykrainā. Ištādceimā n 108822-11-0391 - 1 eqz
- 6) Akt no oressit mēnē. 2 01.06.1945r. 1 eqz
- 7) Nakas pātursuy so. 1945r. - 1 eqz
- 8) Nakas pātursuy so. 1950r. - 1 eqz
- 9) Nakas pātursuy so. 1951r. - 1 eqz
- 10) Nakas pātursuy so. 1952r. - 1 eqz
- 11) Lāstādceimē o rehabilitācij - 1 eqz.
- 12) Lāstādceimē 2 mēnē. 2 lāgrā - 1 eqz.
- 13) Kypr 2 spray karnej o rehabilitācij - 2 eqz.
- 14) Moga publicāce b. Kurtere bīlēsistā - 1 eqz (2 5 gūdiņā 1991r.)
- 15) " " " " -u - - 1 eqz (2 27 lishyāto. 1991r.)
- 16) List. opra 2 lāgrā - 1 eqz (2 4 lipca. 1947r.)

J. Olsztān



POWSZECHNY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Dział Przymusowych Ubezpieczeń budowli od ognia

Inspektor Powiatowy Chw Lidzie

DOWÓD UBEZPIECZENIOWY Nr 39

Powiat Lidzki gmina Radun

miejsowość Kozanowoszyzane Stara Nr _____

WŁAŚCICIEL BUDOWLI:

(Nazwisko i imię)

Bołżach

Leon S. Karola

Budowle, wymienione w niniejszym dowodzie, są ubezpieczone w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych od dnia 11. III. 1939 r. na sumę zł 3100 słownie zł trzy tysiące sto złotych ze składką roczną zł 16 gr 74

Poprzedni dowód ubezpieczeniowy, obowiązujący od dn. 31. III. 1937 r. na sumę zł 2100 na imię Wp. ze składką roczną zł 11 gr 35 unieważnia się

Należności, które wejdą do rejestru poborowego 1930 r. Składka roczna zł 16 gr 74

Składka uzupełniająca za czas od dn. ze 10 mies. 1939 r. do dn. _____ 193 ____ r. zł 4 gr 49

Zwrot składki za mies. _____ 193 ____ r. zł _____ gr _____



Inspektor Powiatowy
M. D.
(pieczęć i podpis organu, wystawiającego dowód ubezpieczeniowy).

Dnia 14 WRZ. 1939 193 ____ r.

Oplata stempelowa pobrana zostanie w wysokości, jaka obowiązywać będzie ustawowo w czasie uiszczania niniejszej należności.

Podana w niniejszym dowodzie ubezpieczeniowym suma ubezpieczenia oraz składka może się zmienić w razie dokonania przez P. Z. U. W. ogólnej obniżki lub podwyżki sum oszacowania, stosownie do przepisów art. 27 ust. 4 rozp. Prezydenta Rzplitej z dn. 27.V.1927 r. (tekst na str. 3).
O ogólnych obniżkach lub podwyżkach szacunków P. Z. U. W. ogłasza w „Monitorze Polskim” oraz za pomocą publicznych obwieszeń. Zmieniona suma ubezpieczenia oraz składka wykazywana jest corocznie w kwitach na opłatną składkę.

Zarząd Gminny
w Raduniu

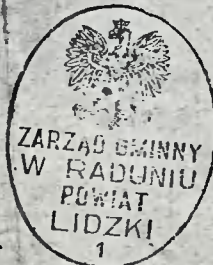
Nr. 54/13/39

Dn. 14/9. 1939 r.

Z A S W I A D C Z E N I E.

Zarząd Gminny w Raduniu niniejszym zaświadcza,
że mieszko.....*St. Kurokowskiej*.....gminy tuł.....*Boleści Leśni*.....
.....zabrano dla celów wojskowych przez Komisję Poborc
ostatniego konia/kłacz/ostatni wóz, ostatnia.....~~Patent posiada~~
~~jeszcze konia.....wóz.....uprząży.....~~

Niniejsze wydaje się w celu przedłożenia Kasie Urzę
du Skarbowego w Lidzie w związku z otrzymaniem należności.



W ó j t.
L. Kulikowski.

nadun, dn. 14/9. 1939r.

Zarząd Gminy
w Naduniu
Nr. 504/13/34

Z A S W I A D C Z E N I E

Zarząd Gminy niniejszem zaświadcza, że *Bolędi Lewi*
..... zam. w. *St. Krokowce* m. tut. na skutek powaznego
mobilizacji oszedł do wojska.

Należność według dowodu pobrania Nr. *073769* winna otrzymać *Łois*
St. Krokowce m. tut.

Niniejsze wydaje się pet. celem przedłożenia Kasie
Urzędu skarbowego w Lidzie.



L. Kulikowski
L. Kulikowski.

OKRĘG KORPUSU Nr III

ODCINEK 1a

Dorecza się dostarczającym
przedmiot świadczenia)

SERIA B № 073769

Komisja Poborowa

Nr 30**DOWÓD POBRANIA**

zwierząt pociągowych, wozów, pojazdów mechanicznych i rowerów

Dnia 25. VIII 1939 pobrane zostały w mi. Gudekhi gm. Solcański
(miejscowość urzędowania komisji poborowej)

Wyszczególnienie pobranych przedmiotów świadczenia	Kolejny Nr pobrania nadany przez komisję	KWOTA złotych	Dane dotyczące pobranych przedmiotów
<u>kon. - klasa</u>	<u>154</u>	<u>250</u>	<u>Bolze Leon</u> (nazwisko i imię)
<u>Uprzej. jednok. chowigłowa</u>	<u>87</u>	<u>45</u>	właściciela, ewent. firma) <u>Mała</u> (powiat)
<u>nos. jednokomowy</u>	<u>89</u>	<u>110</u>	<u>Raduń</u> (gmina) <u>stara kosa kornowa</u> (miejscowość) (ulica, numer domu)
Razem na ogólną kwotę złotych		<u>405</u>	Wymienioną obok kwotę wypłacono: gotówką zł <u> </u> cyframi asygnatami zł <u> </u>

Stale miejsce użytkowania przed poborem

Adnotacja kasy urzędu skarbowego

datownik kasy urzędu skarbowego

(podpis)

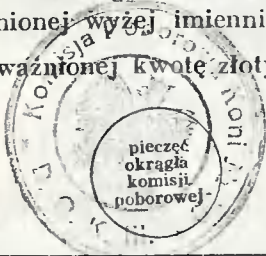
Tu przecina urząd skarbowy

Odcinek 1a

ZLECENIE WYPŁATY

SERIA B № 073769

Na podstawie powyższego dowodu pobrania Kasa Urzędu Skarbowego w lub kasa innego urzędu skarbowego, lecz tylko po uprzednim zezwoleniu i otrzymaniu kopii niniejszego zlecenia z wymienionej wyżej imienne kasy, wypłaci właścicielowi w szczególności przedmiotów świadczenia, lub osobie upoważnionej kwotę złotych 405 słownie zł cztery setki i pięć złotych



Przewodniczący komisji poborowej

POTWIERDZENIE ODBIORU NALEŻNOŚCI

Z wyszczególnionej powyżej kwoty otrzymałem:

gotówką zł słownie zł asygnatami zł słownie zł

ADNOTACJA KASY: zrealizowano

datownik
kasy urzędu
skarbowego

(podpis)

Dnia 19 podpis otrzymującego należność

UWAGA: zlecenie wypłaty nabiera ważności po ogłoszeniu mobilizacji powszechnej i tylko łącznie z powyższym dowodem pobrania. O sposobie i kolejności wypłat oraz o wymaganych do podjęcia należności dokumentach i poświadczeniach nastąpią osobne ogłoszenia.

Сохранная расписка

1945 года июля 1 дня дер. ст. казаковщина

д. Балонда Ильин Леонтевич терочивалов

дер. ст. казаковщина казаковского есов.

Радунского р-на Гродненской обл. Бел. р.

Обязуюсь сохранить переданное имущество

целиком и хозяйства до разбора дел

судом. Негде и выдать по требованию

росписи.

Ильин Леонтевич

Подпису отобрал сий. омер. Упол. ронк. ст. П. М. В. А. Рейнт.

Форма № 4-6

Приложение № 4 к инструкции
КФ СССР от 6/Х-44 г. № 53.

Народный комиссариат

Финансов СССР



Райфинотдел

Область, республика

Сельсовет

*д. ст. Назаровщина
Радунский
Продуктивский
Назаровский*

ПЛАТЕЖНОЕ ИЗВЕЩЕНИЕ № 389

(лицевого счета)

Филандь Леон Карлович
(Фамилия, имя и отчество)

На основании закона Верховного Совета СССР "О сельскохозяйственном налоге" и постановления Совнаркома

СССР от 1945 г. №

Вы обязаны уплатить сельх. налог за 1945 г.

Руб. *2908* коп.

в следующие сроки:

к 1 октября 1945 г. *1000* руб. коп.

к 1 ноября 1945 г. *1000* руб. коп.

к 1 декабря 1945 г. *908* руб. коп.

За просрочку платежа взимается пеня в размере 0,2% за каждый день просрочки.

Старший налоговый инспектор *Бил*

Налоговый инспектор

Платежное извещение вручено 1945 г.

Handwritten mark

Исчисление налога

Утено дохода от сельского хозяйства, исчисленного по нормам доходности	Количество гектар земли, голов скота	Сумма облагаемого дохода (руб.)	Сумма облагаемого дохода руб., коп.
Пашня	13	804	Неземледельческие доходы
Сады и ягодники	-	-	Итого облагаемого дохода
Сенокосы	-	-	Исчислено налога
			ложено по льготам (название льгот)
Обла-гае-мый скот			Итого сложено по льготам
Лошади	1	1100	Следует к уплате за 191 г.
Волы и быки	-	-	
Коровы	3	330	
ИТОГО		12440	

Жалобы на неправильное исчисление налога подаются плательщиком заведующему районным финансовым отделом в течение месячного срока со дня получения настоящего уведомления.

Налог вносится налоговому агенту районного финансового отдела или счетоводу-кассиру при налоговом агенте.



СХН

Беларуская ССР

Гродзенская

обласць

Сербыя Б № 603666

раён

Гродзенскі

сельсовет

Казакоўскі к.з. "Красная Заря"

ПЛАЦЕЖНАЕ ПАВЕДАМЛЕННЕ № 125

(асабовата рахунка)

па сельскагаспадарчаму падатку за 1940 г.

Белондз Яна Ягоравіч

(прозвішча, імя, імя па бацьку плацельчыка)

На падставе Закона Аб сельскагаспадарчым падатку Вы абавязаны ўплатіць сельскагаспадарчы падатак за 1940 г. у суме 2039 руб. 18 кап. у наступныя тэрміны:

да 10. студзеня 1940 г.	629	руб.	кап.
да 1 лістапада 1940 г.	620	руб.	кап.
да 1 снежня 1940 г.	680	руб.	кап.

Акрамя таго, Вы абавязаны неадкладна ўплатіць падатковую пеню за 1940 год у суме 305 руб. 20 кап. і пеню на гэту падатковую пеню (зыход 4 месці).

За прагэмінуўшую плацяжы спатаняюцца пеня ў размеры 0,2 процанта за кожны дзень прагэмінуўша.

Не ўнесены ў тэрмін плацяжы спатаняюцца ў прымушым парадку, устаноўленым законам.

Падатак уносіцца падатковаму агенту, які павінен выдаць плацельчыку ввітанцыю па устаноўленай форме.

19. 10. 40.

1940 г.

Загадчык райфінаддзелам

(подпіс)

Старшы падатковы інспектар

(подпіс)

УНОСІЦЬ ПАДАТКІ ЗА

М. П.

		Колькасць улічаных аб'ектаў (зямлі ў сотых га і жывёлы)	Сума абкладаемага дахода (руб.)		Руб.	К.
Пасеў	Зернавых і інш. акрамя пералічаных ніжэй	2,2	8547	Абкладаемыя неземляробчыя даходы		×
	Бульбы					×
	Агародаў і бахчэй			Ітаго абкладаемага дахода ад усіх крыніц .	13087	×
	Садоў і ягіднікаў			Налічана падатка	2039	58
Сенажаць	5,28	1900				
Абкладаемая жывёла	Каровы		240	Складзена па льготах	Арт.	Закона
	Авечкі і козы	2	200		Арт.	Закона
	Свінні					
					Ітаго складзена	
Ітаго		×	13087	Сума падатка да ўплаты	2039	58

Падатковы інспектар _____ (подпіс)

Скарж на няправільнае вылічэнне падатка падаюцца загадчыку раённым фінансавым аддзелам на працягу месячнага тэрміна са дня атрымання гэтага паведамлення.
Падача скаргі не прыпыняе сплачання падатка.

Гознак. Москва. 1948. Зак. 2211. Беларускім яз.

1980 2



Беларуская ССР Гродзенская абласць

СХН
Серыя Г

Раён Варушскі

Сельсовет Казакowski д. 9. Дозаказвацтва К-3

ПЛАЦЕЖНАЕ ПАВЕДАМЛЕННЕ № 330-192 № 903323
(асабовыя рахункі)

Гр. Балодзе Аліма Андрэевіча
(прозвішча, імя і імя па бацьку плацельчыка)

На падставе Закона "Аб сельскагаспадарчым падатку" Вы абавязаны ўплаціць сельгаспадаток за 1951 г. у суме 254 руб. 34 кап. у наступныя тэрміны:

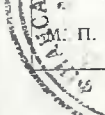
да 1 <u>сентябры</u>	195 <u>1</u> г.	<u>252</u>	руб.	<u>34</u>	кап.
да 1 <u>октабры</u>	195 <u>1</u> г.	<u>251</u>	руб.		кап.
да 1 <u>ноябры</u>	195 <u>1</u> г.	<u>251</u>	руб.		кап.

Акрамя таго, Вы абавязаны неадкладна ўплаціць:
нядоімку за 1950 год у суме 499 руб. 58 кап. і цено на гэту
нядоімку на 15/VI (чысло і месяц) у суме 231 руб. 45 кап.

За пратэрміноўку плацяжжа спаганяецца пеня ў размеры 0,2 процанта за кожны дзень пратэрміноўкі.

Не унесены ў тэрмін плацяжжы спаганяюцца ў прымусовым парадку, устаноўленым законам.

Падатак уносіцца падатковаму агенту, які павінен выдаць плацельчыку квітанцыю па ўстаноўленай форме. 14. августы 1951 г.



Загочыц райфінаддзелам..... (подпіс)

Старшы падатковы інспектар..... (подпіс)

УНОСІЦЬ ПАПРАЎКІ ЗАБАРАНЯЕЦА

2.1361

Вылічэнне падатка за 195/... год.

Адваротны бок формы

		Колькасць улічаных аб'ектаў (зямлі ў сотых та жывёлы)	Сума абкладаемага дахода (руб.)		Руб.	Кап.	
Пасеў	Зернавых і інш. акрамя пералічаных ніжэй	285	2265	Абкладаемыя не- земляробчыя да- ходы		×	
	Бульбы					×	
	Агародаў і бахчэй						
	Садоў і ягаднікаў	0,05	150	Ітаго абкладае- мага дахода ад усіх крыніц . . .	5055	×	
	Сенажаць						
				Налічана падатка	754	34	
Абкладаемая жывёла	Каровы	2	8120	Складзена па льготах			
	Авечкі і козы	5			Арт. Закона		
	Свінні	2			Арт. Закона		
					Ітаго скла- дзена		
	Ітаго	×	5055	Сума падатка да ўплаты	754	34	

Падатковы інспектар
(подпіс)

Скаргі на няправільнае вылічэнне падатка падаюцца загадчыку раённым фінан-
савым аддзелам на працягу месячнага тэрміна са дня атрымання гэтага паведамлення.
Падача скаргі не прыпыняе сплачання падатка.

• Типография имени В. М. Котлова. Гознак. Москва. 1950. Белорусский яз.

Беларуская ССР Гродзенская абласць
 Раён Радунскі Серыя Е
 Сельсовет Казаковский д. см. Казаковичи

ПЛАЦЕЖНАЕ ПАВЕДАМЛЕННЕ № 323-372 № 604227
(асабовы рахунак)

на сельскагаспадарчаму падатку
 Гр. Бологодзь Якія Андрэевіча
(прозвішча, імя і імя па бацьку плацельшчыка)

На падставе Закона аб сельскагаспадарчым падатку Вы абавязаны ўплатіць сельгаспадатак за 1952 г. у суме 292 руб. 64 кап.
Двесці дев'яноста два руб. 64 кап.)
(сума рублёў пропісана)

у наступныя тэрміны:

да <u>августа</u> 195 <u>2</u> г.	<u>92</u>	руб.	кап.
да <u>сентябра</u> 195 <u>2</u> г.	<u>100</u>	руб.	кап.
да <u>ноябра</u> 195 <u>2</u> г.	<u>100</u>	руб.	<u>64</u> кап.
да _____ 195_____ г.	_____	руб.	кап.

Акрамя таго, Вы абавязаны неадкладна ўплатіць нядоімку за 19____ год у суме _____ руб. _____ кап. і пеню на гэту нядоімку на _____ (чысло і месяц) у суме _____ руб. _____ кап.

За пратэрміноўку плацяжа спаганяецца пеня ў размеры 0,2 процанта за кожны дзень пратэрміноўкі. Не ўнесеныя ў тэрмін плацяжы спаганяюцца ў прымусовым парадку, устаноўленым законам. Падатак уносіцца падатковаму агенту, які павінен выдаць плацельшчыку квітанцыю па устаноўленай форме.

16 июля 1952 г. М. С. Сидоренко
райфінададзям (подпіс)
 п. А. Старшы падатковы інспектар (подпіс)

УНОСІЦЬ ПАПРАЎКІ ЗАБАРАНЯЕЦА

Вылічэнне падатка за 1952 г.

		Колькасць улічаных аб'ектаў (зямлі ў сотых га і жывёлы)	Сума абкладае- мага дахода (руб.)	Руб.	К.
				<i>Надбавка</i> 176	
Пасеў	Зернавых і інш. акрамя пералічаных ніжэй			Абкладаемне неземля- робчыя даходы	×
	Бульбы	0.28	440		×
	Агародаў і бахчэй			Ітаго абкладаемага дахода ад усіх крыніц	2376 ×
	Садоў і ягаднікаў	0.02	60	Налічана падатка	292.64
Сенажаць					
Абкладаемая жывёла	Каровы	1	1200		
	Асцы і козы	1	100		
	Свінні	1	400	Складзена на льготнах	
				Арт. Закона	
				Арт. Закона	
				Ітаго складзена	
Ітаго		×	2200	Сума падатка да ўплаты	292.64

Падатковы інспектар _____ (подпіс)

Скаргі на няправільнае вылічэнне падатка падаюцца загалчыку
раённым фінансавым аддзелам на працягу месячнага тэрміна са дня
атрымання гэтага паведамлення.

Падача скаргі не прыпыняе сплачання падатка.

Тыпографія ім. В. М. Молотова. Гознак. 1952. Беларускія яз.

ГРОДЗЕНСКИ АБЛАСНЫ
СУД

СПРАВКА

ГРОДНЕНСКИЙ ОБЛАСТНОЙ
СУД

16. 04. 90 № 4-У-150

г. Гродно

Решение, вынесенное Трибуналом войск НКВД
внесудебным органом "04" "октябрь"
19 45 года по делу в отношении Толокрузь Леона Карло-
ф.и.о. год рождения

Витога, 1902 г. рождения
отменено постановлением президиума Гродненского областного суда
от "16" апреля 1990 г.

Тр-н Толокрузь Леон Карлович
по данному делу реабилитирован.

До ареста Толокрузь Л.В. работал крескьянин-
ерикамидник

В соответствии с Постановлением Совета Министров СССР от
8 сентября 1955 года и распоряжением СМ БССР от 15 сентября 1955г.
№ 1140-р-гражданам, необоснованно привлеченным к уголовной ответ-
ственности и впоследствии реабилитированным, время нахождения их
в местах лишения свободы зачисляется в трудовой стаж, по прежнему
месту работы, выплачивается двухмесячная заработная плата, исходя
из существующего ко дню реабилитации месячного оклада, по должности
занимаемой до ареста 13 декабря 1944 года -
крескьянин-ерикамидник

В случае посмертной реабилитации этих граждан, двухмесячная
заработная плата выдается их семье.

Необоснованно репрессированные граждане и впоследствии
реабилитированные, в соответствии с указанным распоряжением
должны обеспечиваться жилой площадью в первоочередном порядке.

Председатель суда



И.А. БУЙКО

СССР

Форма «А»

МИНИСТЕРСТВО
ЮСТИЦИИ

ВИДОМ НА ЖИТЕЛЬСТВО НЕ СЛУЖИТ.
ПЕРИУТЕРЕ НЕ ВОЗОБНОВЛЯЕТСЯ

ИМА

*Минисан
Радунском
районном
УИ/Ш-55
Минисан*

I-AX

25 февраля 1955 г.

СПРАВКА № 0035752/001266

Выдана граждан *Толонь*
Песну Карловичу
1902 года рождения, урожен *дер. Ст. Казаковщина,*
Радунского р-на, Гродненской области
гражданство *СССР* национальность *польск*
осужденно *му Военным Трибуналом*
войск НКВД Гродненской области
4 октября 1945 г. по ст.ст. 65-1, 76 УК СССР
к лишению свободы на *10 лет*, с поражением в правах на *3 года*,
имеюще *в прошлом судимость неслучлив*

в том, что он *отбывал* наказание в местах заключения по
25 февраля 1955 г. и по отбытии
мерт наказания

С применением *Л*

Освобожден *25 февраля 1955 г.* и следует *по месту жительства*
жесту жительства 001266 дер. Ст. Казаковщина,
Радунского р-на, Гродненской области
доверенникам и по указанию органов мест
до ст. *Таштаня (госп. Литовская)* жел. дор.



Начальник лагеря *(подпись)*

(Козлов)

Начальник отдела (части) *(подпись)*

(подпись)

Выдано продовольствие на *25* суток с *11* 1955

Выдано денежное пособие в сумме рублей

(прописью)

Выдано денег на питание в пути рублей

(прописью)

Выдан билет на проезд до ст.

железной дороги стоимостью рублей или деньгами на билет

в сумме

(прописью)

Возвращено личных денег в сумме

Подпись начальника отдела (части) *(подпись)*

Подпись начальника финчасти

Подпись освобожденного *(подпись)*

Дата и подпись лица, производившего выдачу *25/II.55*

Расписка освобожденного *(подпись)*

П О С Т А Н О В Л Е Н И Е

16 апреля 1990 года Президиум Гродненского областного суда в составе председательствующего Буйко И. А. и членов: Гринкевича А. А., Вышкевича В. Н., Кичка Н. К. с участием и. о. прокурора Гродненской области Абрамовича А. И. рассмотрел в судебном заседании дело по протесту прокурора Гродненской области на приговор Военного Трибунала войск НКВД Гродненской области от 4 октября 1945 г., которым

БОЛОНДЗЬ Леон Карлович, 1902 г. р., уроженец и житель д. Ст. Казаковщина, Радуньского района Гродненской области, несудимый, гражданин СССР, -

осужден по ст. 63-1 УК БССР в редакции 1928 г. на 10 лет лишения свободы в исправительно-трудовых лагерях с поражением в правах на 3 года с конфискацией имущества.

Расслушав доклад члена суда Цветкова А. И., заключение и. о. прокурора Гродненской области Абрамовича А. И., полагавшего необходимым протест удовлетворить, президиум

У С Т А Н О В И Л:

Болондзь Л. К. признан виновным в том, что в 1944 г. вступил в белопольскую организацию "Армия Крайова", которая имела цель вооруженной борьбы с Советской властью и отторжение части Белоруссии. Будучи членом этой организации Болондзь производил сбор продуктов питания и деньги для белопольской банды. Он же признан виновным в том, что с 1941 по 1944 г. добровольно служил немецким властям в должности старосты д. Казаковщина.

В протесте ставится вопрос об отмене приговора суда за отсутствием в действиях Болондзя состава преступления.

Протест подлежит удовлетворению по следующим основаниям.

Как усматривается из показаний Болондзя в ходе следствия и в судебном заседании он вступил в организацию "Армия Крайова" преследуя цель борьбы с немецкими властями. С этой же целью он собирал деньги и продукты.

Его показания в этой части ничем не опровергнуты и наоборот подтверждаются показаниями допрошенных по делу Бабуля В. Ю., Эда-новича Ю. М., Кошкевича Ю. В.

Каких-либо доказательств, подтверждающие совершение Болондзем конкретных действий направленных против органов Советской власти на территории Белоруссии, не добыто.

Что касается признания Болондзя виновным в службе немецким властям в качестве старосты, то выводы трибунала в этой части

незаконны, поскольку такое обвинение органами предварительного расследования Болондзю в вину вообще не вменялось.

Исходя из изложенного приговор военного трибунала нельзя признать законным и обоснованным и он подлежит отмене.

Руководствуясь ст. 347 УПК БССР, президиум

П О С Т А Н О В И Л:

Приговор военного трибунала войск НКВД Гродненской области от 4 октября 1945 г. в отношении Болондзя Леона Карловича отменить и дело производством прекратить за отсутствием в его действиях состава преступления.

Председательствующий: Буйко, И. А.

Копия верна: член суда



Kochana Rodzina! + VII

W pierwszych słowach mojego listu witam was
w Bożeni słowami. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus
ciężkim śniegiem. Donoszę z dalekiej strony o swojej
Ziem, z dalekiej strony poświęconej, a ni oke widzieli
ani ludzka noga była gdzie ja jestem zesłany: rozpor
moja uciska serca radości moja oczy zwrócić znowu
na południowo-zachód pociecha moja przesaniem listu
całe zadowolenie moje gdy otrzymam wiadomości
rodzime lub macie czekolady. Tęsknię bardzo

4891

[Faint handwritten notes and signatures, including a large signature on the right side.]

W toku pisania wspomnień o ludziach, żyjących w mojej rodzinnej miejscowości, zaszła potrzeba zasięgnięcia encyklopedycznych informacji o miejscowościach, w których ci ludzie rodzili się, mieszkali, pracowali i umierali. Bardzo skąpe wiadomości w encyklopediach Litewskiej, Białoruskiej i Rosyjskiej mnie nie zadowolily. Nic nie mogła mi pomóc bardzo sympatyczna pani z Republikańskiej Biblioteki. Aż niespodziewanie pewna znajoma osoba udostępniła mi książkę „Musu Lietuva” („Nasza Litwa”). Jest to reprint książki „Musu Lietuva” tom 1—2, autorstwa Broniusa Kviklysa wydanej w Litewskim Wydawnictwie Encyklopedycznym w Bostonie, a którego właścicielem jest pan Juozas Kapocius. Jej pierwsze wydanie ukazało się w latach 1964—1968 w Bostonie. Natomiast u nas wydano ją w Wilnie w wydawnictwie „Mintis” niedawno, w 1989 r.

Zacząłem czytać. Z początku szły wiadomości o miasteczku Raduń, mieszkańcach. Ale gdy doszedłem do spraw wiary, byłem mocno zaskoczony. Oto co napisano w „Musu Lietuva” o księdzu Szczemirskim. Cytuję:

„W 1924 r. nowym proboszczem został bardzo nieprzyjazny wobec Litwinów ks. Szczemirski. Zniósł on nabożeństwa litewskie nawet nie pytając u biskupa. Gdy Litwini założyli oddział Towarzystwa św. Kazimierza, proboszcz wołał do nich: „Po co potrzebne jest wam Towarzystwo św. Kazimierza? Nazwijcie lepiej swoje Towarzystwo imieniem jakiegoś diabła!” Po długich sporach w 1926 r. Litwinom pozostawiono 4 kazania litewskie w roku. Nic więc dziwnego, że gdy 28.V.1927 r. arcybiskup wileński R. Jałbrzykowski wzywał parafię raduńską, Litwini powitali go bez entuzjazmu, jak to zazwyczaj z takiej okazji bywa, lecz z żalobą, czarnymi sztandarami. Ludzie na klęczkach błagali biskupa, aby przywrócił co najmniej 8 razy do roku nabożeństwa z litewskim kazaniem i śpiewem i zezwolił na kazanie litewskie w dniach świątecznych. Bardzo żalose-

mu przemówieniu swego przedstawiciela Litwini wtórowali głośnym płaczem. Zdałoby się, iż ten niezwykle akt wzruszył nieco arcybiskupa, zazwyczaj bardzo twardego i niemiłosiernego wobec Litwinów: porządek nabożeństw został nieco skorygowany na rzecz Litwinów. I takie rzeczy działy się w gminie, gdzie spośród 7620 mieszkańców co najmniej 80 proc. stanowili Litwini. Około 1933 r. w Raduniu zbudowano nowy duży murowany kościół.

ści narodowych, pozostawiając w kościele zaledwie 5 kazań litewskich rocznie, przy tym w bardzo niedogodnym czasie. Litewska prasa Wileńszczyzny ks. Szczemirskiego nazywała „pozeraczem Litwinów” i „Murawjowem”. Poza swą pracą polonizacyjną poprzez kościół działał też na niwie politycznej każąc w czasie wyborów parafianom głosować na Polaków. Niektórzy Litwini i Białorusini jego staraniem zesłani zostali nawet do polskiego obozu koncentracyjnego w Berezie

zys ekonomiczny. Jeszcze nie odetchnęli, nie li jak trzeba na nogi wielkim głodzie za czasy kupacji Niemiec kajdanych. Jeszcze nie wysoko umarłych z głodu chodziła potrzeba zbudowania kościoła. Potrzebne były pieniądze, potrzebna była wola poważniowych parafian. Nie było wówczas bogatego sponsora. Potrzebna była wrodzona umiejętność organizacyjna i energia. Właśnie tę energię i umiejętność organi-

List do redakcji

Jak było w rzeczywistości

Za czasów ks. Szczemirskiego Raduń słynęła zarówno na Litwie jak i w Polsce z kościelnych bójek. Podjudzana przez proboszcza szlachta i niektóre zbiałorusiałe wsie zaczęły się burzyć z powodu litewskiego kazania. Z tego powodu wywiązała się zacięta bójka, podczas której pewien Litwin (prawdopodobnie Bauzys ze wsi Dubiniai) został śmiertelnie ranny. Po obu stronach było wielu rannych, umieszczono ich w szpitalu. Polacy wygrali, bo dopomogła im policja polska, nawet specjalnie wezwana w tym celu jej rezerwa. Bójki trwały dwa dni, po czym wtarzały się przez wiele lat. Niektórzy nazywają je drugimi Krażiai, zgotowanymi Litwinom przez Polaków. Co prawda, mniej tu było zabitych niż w Krażiai, aczkolwiek pod względem rannych bójki dorównywały Krażiai. Zamiast żandarmów carskich w Raduniu bez większej litości panoszyli się i żandarmi polscy. Z powodu przesładowań niektórzy Litwini później zmuszeni byli opuścić swe gospodarstwa i uciekać do niepodległej Litwy. Po założeniu nowej parafii w Pelesie, Litwini w parafii raduńskiej ciągle jeszcze stanowili większość. Jednakże staraniem biskupa i policji język, ich uczyniono językiem mniejszo-

Kartuskiej. Tego zaciętrzewionego polonizatora spotkał jednak okrutny los. Gdy w 1939 r. sowieci zajęli Polskę, nie uciekał do Litwy, bo się poczuwał do zbyt wielkiej winy wobec niej: ukrywał się w okolicznych lasach. Bolszewicy ujeli go. Gdy ich agenci przywieźli księdza do Radunia, ludzie wyrwali go z rąk bolszewików i sami urządzili „sąd ludowy”. Niebawem znalazł się pewien Białorusin, który na skargę tego księdza siedział w polskim obozie koncentracyjnym i ucieszył się, że może odemścić mu osobicie. I odemścił się. Po dwóch dniach ksiądz zmarł w strasznych mękach”.

Tyle encyklopedia. Jakie bzdury! — pomyślałem. Ileż tu oszczerstwa. I w jakim celu? Wierzyć się nie chce, że pisał to normalny, a może nawet uważający siebie za katolika człowiek. Ponieważ mieszkałem w parafii raduńskiej, chciałem wnieść sprostowanie do tematu. Oto jak było w samej rzeczy.

Prawdą jest, że ksiądz Stanisław Szczemirski był przysłany do raduńskiej parafii w 1924 r. Kościół był stary, przeniesiony z koleśnickiej parafii w 1838 r. po jego zamknięciu przez władze carskie. Chociaż już było parę lat po pierwszej wojnie światowej, wszędzie panował kry-

posiadał ksiądz Stanisław Szczemirski.

Do budowy nowego kościoła była powołana cała mała parafia. Zaczęto walczyć w 1926 r. w odległości 1,5 km od miasteczka. Potrzebny był budulec, tynk, żwir, wapno, deski, kamień. Podziwiano księdza. Wszędzie był obecny. Zachęcał do przy budowie i nawet ręcznie mieszał wapno, żwir, kamień, a nawet zwiernie dając przykładnikom. W każdą niedzielę po odczytaniu ewangelii i kazaniu ksiądz szła zadania na następny dzień, jakie wsie, ile koni, ile pieszych. Wstyd był tym, którzy nie wykonywali zadania. Bardzo pracowity ksiądz wdzięczając jego pracę, umiejętności organizacyjnej budowa tak wielkiego kościoła została zakończona i kościół poświęcono w 1933 roku. W tym parafianie kupili i sfinansowali swemu księdzu Stanisławowi złoty krzyż i szkapułkę. Nie noszony.

Nagle ksiądz proboszcz Stanisław Szczemirski wyjechał do drugiej dalekiej parafii. Skąd? Prawdopodobnie Skąd? Było to w 1935/36? Nie wiem. Był już nigdy nie wrócił. Pokątnie mówią, że przyczyną wyjazdu b-

icze lu-
e stanę-
po tak
sów o-
zerows-
hły tzy
a za-
owania
ły pie-
a dobra
parafian.
akiegoś
Dłatego
ona u-
jna i
nergie i
acyjne

ci

anisław

go koś-
ła nie-
budo-
ległości
Raduń.
c: ceg-
ki, ka-
energie

on o-
pracy
własno-
no ze
i robot-
ieleę na
u Ewa-
z ogła-
ny ty-
furma-
Wielki
rzy nie
Był to
dz. Za-
owitoś-
nizacyj-
elkiego,
tała za-
wyświę-
wdzięcz-
prezen-
probo-
na pier-

zcz Sta-
yjeżdża
parafii,
ryczały.
i wię-
przyjeż-
no, że
yło to,

iż pewna niewiasta wyznała na spowiedzi, że przeklinała go „na czym świat stoi”. Tym wyznaniem musiał być bardzo obrażony. Prawdopodobnie kilka lat później ciężko zachorował, amputowano mu nogę i po wojnie razem z arcybiskupem Romualdem Jałbrzykowskim wyjechali do Polski. Po wyjeździe z Radunia ks. St. Szczemirskiego został przysłany z parafii Rudzkiej ks. Julian Jurkiewicz. Chyba mu tak było sądzone, że za parę tygodni nagle umarł. Został pochowany w Raduńskim Kościele, w kaplicy po prawej stronie od głównego wejścia. Wkrótce przyjechał drugi ksiądz proboszcz z Werenowskiej parafii — Czesław Sztejn. Parafia otrzymała dobrego gospodarza i duszpasterza. Zmarł w podeszłym wieku z poderwanym zdrowiem w łagrze sowieckim i został pochowany na raduńskim parafialnym cmentarzu. Pozostał na wieki ze swymi parafianami.

Otóż podane przeze mnie fakty świadczą o oszczerstwie wobec księdza Szczemirskiego, który tyle zrobił dobrego dla swych parafian. Trochę pamiętam, bo jeszcze przy ks. St. Szczemirskim ojciec mnie nauczył ministrantury i przeprowadził do zakrystii służyć do Mszy świętej. Pamiętam i opowiadania, zresztą i sam widziałem, jak ks. St. Szczemirski od razu po Mszy biegł na cmentarz przykościelny i odbierał z rąk jakiś kij czy kawałek cegły od obydwu zwaśnionych stron. Dla niego było obojętne Polak czy Litwin; uśmierzał winowajców z ambony. Była to największa kara — wymienić nazwisko i imię wichrzyciela porządku.

Uważam za konieczne zamieścić swoje uwagi na łamach nawet kilku dzienników, by dowiedzieli się prawdy nie tylko czytelnicy na Litwie ale nawet i litewskiej mniejszości narodowej w Stanach Zjednoczonych i innych krajach, gdzie była posiana nieprawda. Uważam, że autor książki „Musu Lietuva” Bronius Kwiklys obowiązany jest napisać sprostowanie i przeprosić czytelników.

J. BOŁĄDŻ

Między nami — Polakami

Bądźmy mądrzy przed szkodą

Często podziwiamy 'ludzi innych narodowości — mówimy o ich poczuciu solidarności i gotowości przyjscia sobie nawzajem z pomocą. W takich wypadkach ubolewamy, że my, Polacy, nie mamy tego poczucia braterstwa i jedności. Wręcz odwrotnie. Często się kłócimy, jesteśmy obojętni na zło wyrażone naszemu bliźniemu, bywamy zazdrośni o sukcesy innych i brak nam szczerości w obcowaniu ze sobą. Wiem, że nie wszyscy rodacy zgodzą się z tą opinią. Ale bądźmy szczerzy przynajmniej wobec siebie i przyznajmy z ręką na sercu, że tak właśnie jest. Nas, Polaków jest w stanie połączyć tylko wspólna wyrządzona nam wszystkim krzywda. A szkoda. Potrzebna nam jedność nie tylko w nieszczęściu, lecz także w radości.

Właściwie istnieją poważne powody, dla których my, tu zamieszkali na Litwie jesteśmy tacy, a nie inni. W gruncie rzeczy jesteśmy uczciwymi i wrażliwymi ludźmi. Ale większość z nas to ludzie ciężko pracujący fizycznie, niewykształceni, ludzie o niskich kwalifikacjach zawodowych, zmęczeni i rozproszeni. Większość z nas polską mowę słyszy od święta i z trudem posługuje się nią. Tacy ludzie lgną do polskości, lecz z drugiej strony, czują się obco w tym polskim środowisku, które tu — na Wileńszczyźnie mamy i stąd ich obojętność na wiele spraw, które powinny nurtować każdego Polaka. Obcy wśród swoich — to jest nasza tragedia narodowa. Z braku jedności wynikają wszelkie nasze problemy.

Weźmy dla przykładu „Kurier Wileński”. Kilkuset tysięcy brać Polaków na Litwie ma jedną jedyną codzienną gazetę, a i tej nie potrafimy docenić i uchronić przed zgubą.

Złości mnie, gdy słyszę Polaka, który twierdzi: „Nie zaprenumeruję „Kuriera”, bo nie odpowiada mi jego linia polityczna. Ludzie, przypomnijmy sobie dzień 1 lipca 1953 roku, gdy ukazał się pierwszy numer „Czerwonego Sztandaru”! Jakże się cieszyliśmy, że możemy wreszcie mieć na co dzień polskie słowo. Dziennik gorliwie nam służył przez blisko 40 lat. Jego wierni czytelnicy nie wyobrażają sobie ani dnia bez naszej gazety. „Czerwony Sztandar” nigdy nie był naprawdę czerwony, nie pasował do niego ten tytuł. Przypomnijmy sobie ileż było radości, gdy po długiej naradzie z czytelnikami nadano mu tak bliski naszemu sercu tytuł „Kuriera Wileńskiego”. Ale w rzeczy samej nie tytuł jest najważniejszy. Najważniejsze jest to, że od dnia narodzin dziennika, jego niestrudzeni dziennikarze cieszą nas ciekawymi i pożytecznymi publikacjami pisanymi na ogół poprawną polszczyzną. Informują nas o tym, co się dzieje w naszym rządzie, parlamencie i na całym świecie. Radzą nam, co mamy począć w dowolnej trudnej sytuacji, bronią interesów poszczególnych osób i całej naszej polskiej społeczności. Opowiadają nam o życiu rodaków rozsiadanych po całym świecie.

Pamiętajcie, gdy my — czytelnicy — tylko półgłosem zaczynaliśmy mówić o Katyniu, „Kurier Wileński”, a

ściślej mówiąc pan Jerzy Surwiło, głośno potępiał zbrodnię NKWD.

Dzisiaj często mamy pretenzje do dziennikarzy „Kuriera” o to, że ich zdanie jest inne niż nasze. Ale należy zrozumieć, że żyjemy w czasach, gdy nie tylko nam jest trudno, dziennikarzom jest o wiele trudniej. Wszak wszyscy wiemy, że są ludzie — i to ludzie bardzo wpływowi — którym bardzo się nie podoba, że „Kurier” broni naszych interesów i naszych praw obywatelskich. Mimo to dziennikarze swoim piórem powstrzymali dziesiątki ataków skierowanych przeciwko Polakom. Czy o tym zapomnieliśmy, czy teraz przez swoją obojętność dopuścimy do zbankrutowania naszej gazety? I do kogo zwrócimy się z prośbą o obronę, jeżeli powtórzą się akcje polityczne w rodzaju tej, jaką było rozwiązanie wileńskiej i solecznickiej rad rejonowych?

Do końca prenumeraty na 1992 r. zostało trzy dni, więc zaprenumerujmy „Kurier Wileński” sami i przypomnijmy o tym sąsiadom, przyjacielom, krewnym, znajomym. Bo jeżeli zabraknie nam „Kuriera”, skrzywdzimy pracujących tam dziennikarzy, lecz jeszcze bardziej skrzywdzimy siebie. Za drogo? Weźmy ołówek i podzielmy tę kwotę na 300 dni. Czy nadal za drogo? Czy kogoś z nas na to nie stać? Bądźmy mądrzy przed szkodą, bo potem będzie za późno.

Julian BOŁĄDZ,
emeryt

Honorarium przeznaczam na prenumeratę „Kuriera Wileńskiego”.

NIE ZAGOJONA RANA

(Dokończenie ze str. 4)

też inna przyczyna — konkurencja. Zaczepiano tych wieśniaków, którzy szli do sklepów żydowskich, a nie do polskich. Niejednemu niezauważalnie z tyłu pędziem po plecach czarną farbą pociągnięto. Bankrutowali, nie mogli wytrzymać konkurencji polscy właściciele sklepów p.p. Surginiewicz i Gil. Nie rozwijała się też spółdzielnia spożywców „Społem”.

Pewnego razu ojciec kazał mi zaprząć konia do sań i pomóc przewieźć rzeczy z domu naszej krewnej Herasimowiczowej, zamieszkałej przy ul. Dolnej, na ul. Możejkowskią, bowiem jej mieszkanie i wszystko inne na ul. Dolnej Niemcy przeznaczili na żydowskie getto. Zajechałem pod dom pani Herasimowiczowej, ale jej już nie znalazłem, wcześniej przeniosła się ze swym skromnym dobytkiem. Obstały mi Żydówki. Interesowały się, czy mam do sprzedania coś z jedzenia. Widziałem, że dla Żydów jest ciężko, że są w niewoli, wziąłem więc ze sobą kawałek słoniny. Jakże kobiety były wdzięczne... Dawaty mi 10 rubli rosyjskich, nie brałem, ale jedna Żydówka położyła je pod worek i ukloniwszy się odeszła. Tak wyszło niespodziewanie, że słoninę przeznaczoną dla moich żydowskich kolegów i koleżanek oddałem nieznanym Żydówkom.

Tego dnia nie spotkałem nikogo ze swoich przyjaciół — Żydów. Zaczęłam zawracać konia, aż patrzę: podchodzi policjant i mówi: „Bądź ostrożny, bo jeżeli zauważy żandarm, to dobrze będzie, jeżeli otrzymasz tylko gumową pałką. Może być gorzej”. Tym policjantem był Antoni Szostak, swój człowiek z sąsiedniej wsi. Pan Antoni i tacy jak on dużo kogo wybawili z rąk żandarmów, albo ostrzegli przed nimi, w ten sposób ocalili niejedno życie.

... Często zamiecie śnieżne utrudniały samochodom pokonywać drogę Raduń — st. kolejowa Bastuny. Do jej odśnieżania i robienia plotów z brył śnieżnych, zapobiegających zawianiu drogi, z okolicznych wsi byli wyznaczani robotnicy z rydiami. Osobny odcinek do odśnieżania mieli Żydzi. Każdy dzień, gdy pracowali, jeden z nich — miał na imię Berek — często przychodził do nas. Mamusia zawsze mu nalewała gorącej zupy z mięsem i dawała ze sobą kawałek chleba i słoniny. Czasami prosił o parę główek cebuli i czosnku. Był on nie raduński, nie „nasz”, ale skądś spod Warszawy. Zapomniałem, z jakiego miasta. Był bardzo lekko ubrany jak na taką srogą zimę. Za każdym razem mamusia kazała mu zdejmować buty i mokre skarpetki kładła do gorącego pieca, gdzie momentalnie wysychały. Tamtego dnia, gdy miał na nogach cienkie skarpetki, mamusia nic nie mówiąc wzięła z zapiecka moje welniane skarpetki, ręcznie zrobione z owczej wełny, i kazała mu założyć. Berek, zawsze smutny i przygnębiony, od razu poweselał i jakimś szczęściem zabłysty mu oczy.

Stał się bardziej rozmowny. Okazało się, że jest młodszy ode mnie o rok, też skończył 6 klas polskiej szkoły. Po tym jeszcze kilka razy przychodził, zaprzyjaźniliśmy się. Zawsze czekałem nań jak na najlepszego kolegę. Opowiadał, że będzie się uczył na doktora, że wojna długo nie potrwa, Ameryka z Anglią jak „dadzą” z drugiej strony, to będzie po wojnie. „Nas wszędzie przesładują, ale za co? — uskarżał się. — Na naszej ojczyźnie nie dają żyć Arabowie. Przecież ta ziemia jest od tysiącleci naszą, żydowską, od samego stworzenia świata według Starego Testamentu... Chcę być lekarzem, pojechać do swojej ojczyzny, tam leczyć rannych i chorych... Czyba i ty też masz jakieś marzenia i zamiary?” — zwrócił się do mnie Berek. Opowiadałem, że moja ojczyzna — Polska jest ukrzyżowana, depczą ją hitlerowcy i sowieci. Co do marzenia — chciałbym zostać księdzem, ale jest trudno z nauką. Może wkrótce po wojnie ukończę gimnazjum i tylko wtedy będę próbował wyjechać do Niepokolanowa i tam kontynuować naukę w seminarium księży misjonarzy. Potem chciałbym pojechać w świat, uczyć katolickiej wiary Chrystusowej.

W tamtych chwilach zdawało mi się, że z nikim tak szczerze nie mogłem rozmawiać, jak z tym nieszcześliwym Berkiem. Podziwiałem jego zamiary i patriotyzm. Przy pożegnaniu zawsze obiecywał przyjść jutro czy pojutrze, jeżeli Niemcy nie wywozą w inne miejsce.

Nadeszła wiosna. Nie doczekałem już przyjścia kolegi Berka. Późną wiosną tego roku (1942) przyszła okrutna wiadomość. Niemcy zebrali wszystkich Żydów z raduńskiego getta na plac rynkowy na egzekucję. Mówiono, że przed zebnanymi wystąpił rabin. On też stanął na czele kilkusetosobowej kolumny Żydów, którzy pieszo, powoli, pod eskortą Niemców poszli na miejsce stracenia. Tutaj czekał na nich srowadzony batalion katów. Nie wiem, skąd przyjechali. W krótkim czasie wymordowano ponad 1000 osób z getta w Raduniu. Jeden Żyd tylko, kowal raduński, z tego miejsca uratował się ucieczką. A w ogóle ocalało około 30 Żydów. Po przyjściu sowietów spotkałem się z jedną z Żydówek ze szkolnej ławy — Bełą Tanowicką. Miała okrutnie zniekształconą twarz. Potem jej już nie widziałem. Widocznie gdzieś wyjechała. Nie odważyłem się zapytać, gdzie i w jaki sposób została tak skałeczona. Wiedziałem, że takie rozmowy nie są przyjemne. Współczulem jej...

... Burza wojenna nadchodziła ze wschodu. Z Lidy przyjechał do naszej wsi do Eliasza Zdanowicza Antoni Cieślak z rodziną. Uciekli przed bombardowaniami, front przybliżał się w szybkim tempie. Już za kilka dni mieli być u nas sowieci...

(Dokończenie nastąpi)

Julian BOŁĄDŹ

Wilno

KRONIKA PAMIĘCI

„Wyzwoliciele” —
panami sytuacji.
Ojciec —
„wrogiem narodu”

Cieszyliśmy się, że front działań wojennych błyskawicznie przeszedł i przeniósł się hen dalej — gdzieś pod Grodno. Dziękowaliśmy Bogu, że w naszej okolicy prawie nie wyrządził szkody. Obawialiśmy się natomiast, jaki będzie stosunek Sowietów do miejscowej ludności. Czy zaczną się, kiedy i w jakim stopniu represje. Potocznie w rozmowach, jeżeli chodziło o lata przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, mówiło się „za pierwszymi Sowietami”. A to już były „drugie Sowiety”. Mówiono, że te drugie mogą być inne niż pierwsze. Przy tamtych żołnierze i oficerowie nie mieli naramienników ze stopniami wojskowymi, a teraz mają „pohony”. Że marszałek Żukow nalożył na ramiona „pohony”, takie same jak carskie były. Że obiecywał żołnierzom po wojnie zwrócić odebraną ziemię. Mówiono: „Są pohony — będą i zagony”.

... Do ojca przyjechał przewodniczący „sielsowietu” Piotr Wojniło i kazał mu być deputowanym, tymczasowo, do powszechnych wyborów (głosowania). Zarządził, żeby ze wsi dostarczyć, nie pamiętam ile, jakiejś rożaczki — za darmo, dla wojska, dla zwycięstwa. Ojciec zwołał zebranie i oznajmił, ile sztuk trzeba dostarczyć do punktu, znajdującego się u Adolfa Babula, gdzie kupcami byli żołnierze i oficerowie. Ze swoim starym bykiem mieliśmy kłopoty, więc ojciec tam go zaprowadził. Ja nie pomagałem, dlatego że byka bardzo żalowałem. Po powrocie ojca, po godzinie czy dwóch, patrzymy, pędzi

ukończyłem kursy nauczycielskie (w Grodnie) koło siedziby rejonowego wydziału oświaty, aż patrzę — prowadzą mego ojca z założonymi w tyłu rękoma. Nie zauważył mnie. Zrobiło mi się źle. Jeden z kolegów zapytał, co ze mną? Odpowiedziałem, że nic, ot tak sobie zasłałem.

Zaraz po aresztowaniu ojca zostało opisane całe nasze mienie. Nalożono areszt na wszystko, co mieliśmy: na zabudowania, żywy inwentarz, maszyny rolnicze, meble i in. Zagrożono, żeby nic a nic nie zginęło, w przeciwnym razie grozi więzienie.

... Pod przymusem i pogrózkami trzeba było odstawiać państwu mięso, mleko, jaja, siano, kartofle, winę owczą, przy tym za symboliczną cenę. Np. za wóz zboża można było kupić tylko paczkę papierosów. Ot byliśmy teraz wolni, wyzwoleni, ogoleni ze wszystkiego. I to za jeden rok! Pozabierano wszystkich młodych mężczyzn, uszeregowano ich — kogo do więzienia, kogo na front sowiecko-niemiecki. Ludzie czekali na jakąś zmianę. Albo nas Anglia i Ameryka wyzwola, mówili, albo Sowietci nas wymordują, terazniejsi — to nie ci, co byli przed Niemcami. Tzw. pierwsi Sowietci mordowali oficerów, profesorów, rozmaitych mądrych i bogatych ludzi. A teraz po koleb wszystkich. Gdzie to widziane, żeby wszystko zabierać od gospodarzy przy tak wielkich podatkach.

... Ojciec został przeniesiony do więzienia w Grodnie. Kilka razy wy-

ich kwiczenie rozlegało się dookoła. Sąsiedzi koło swych domów obserwowali, co się dzieje. „Modliliśmy się patrząc i prosiliśmy Boga, żeby Wam dał zdrowie, myśleliśmy, że was na Syberię wywożą” — mówili potem. Zabrano nam trzy krowy, dwie owce, dwie świnię, szafę. Bardzo mi szkoda było maciory, która za kilka dni miała dać potomstwo. Krowy też były cienne.

Dzień był słoneczny, już topniał śnieg, ale pod wieczór podmroziło i miejscami był goły lód. W taką pogodę na dziedzińcu do studni krów nie puszczaliśmy. Upadek w poślizgu mógł być groźny w skutkach. Gdy doszło do zabierania krów, prosiliśmy nie czynić tego, a jeżeli już tak konieczne trzeba, to innym razem, gdy nie będzie ślisko, szkoda biednego bydła. Enkawudziści byli pijani, nie reagowali. Nie wiem, gdzie się oni napili, jak mówił sąsiad Sadowski, „lepiej, żeby oni smoły się napili”. Krowy idąc obok sań, przywiązane sznurami, często w poślizgu padały. Pomagaliśmy im wstać. Czasami od razu to się nie udawało, wówczas podchodził enkawudzista i karabinem walił krowie po gnatach. Nie mogąc znieść tego widoku, prosiłem nie katować a lepiej pomóc. Jeden z enkawudzistów nastawił automat i groźnie uprzedził: „Zastrieliu”!

... Szafę wyładowano w prokuraturze. Nieźle będzie dla wysokich panów-towarzyszy, pomyślałem sobie, „stojących” na straży prawa powiesić swoje palto i uczesać się przed lustrem — rzeczami zrabowanymi za darmo, za czyjąś pracę. Koło

NKWD, żeby wspólnie planować akcje wypadowe — na przykład na Raduń. Po kilkakrotnych spotkaniach „zielonym” uwierzono.

Pewnego dnia w lutym 1945 r., rano w miasteczku Raduń, na śródmiejskim placu pod ścianą spółdzielni, zobaczono zwłoki około 10 mężczyzn w jednej białej, z przetrzyniętymi głęboko gardłami. Byli to akowcy. Leżeli bosi w białutkiej białej, jak gdyby specjalnie nałożonej przed spodziewaną śmiercią. Po tej zbrodni „zieloni”, czyli enkawudziści znikli. Dla upamiętnienia pomordowanych i potępienia zabójców został ułożony wiersz:

*Szumi las piaskowski i ten gaj zielony,
Tam, gdzie przechodziła armia czerwona.
Ale nasi chłopcy byli tacy głupi,
Zaczęli się łączyć do czerwonej grupy.
Tak razem chodzili na różne wyprawy,
Z jednej miski jedli, razem pili kawę.
Aż pewnego razu na wioskę Piaskowce
Napadli na śpiących jak wilki na owce.
I tak ich męczyli, piłą gardło różni,
Dotąd nie odeszli, zanim nie wycięli...*

Łącznie były ułożone 4 zwrotki. Przygotowując te wspomnienia sam dopisałem końcówkę. Gdy zaniechano łapanek, już po wojnie, jak zawsze były organizowane potańcówki. Z sąsiednich wsi przychodzili na nie chłopcy, którzy ocalili. Właśnie na tych potańcówkach do słów wiersza — autor jego jest nieznany — ułożyli melodię i śpiewali tę piosenkę, gdy wokół nie było nikogo podejrzanego.

... Mój rower, który „wyzwoliciele” zabrali jako trofeum, pewnego dnia znalazłem na rynku. Był już nie mój. Mama często płakała, przeważnie, gdy była sama. Mówiła, że to

dem i zabrałem go do siebie, do szpitala w Ejszyszkach, gdzie w tym czasie pracowałem. Był ciężko chory, zupełnie na nic nie reagował. Znajomy lekarz Władysław Uścińowicz, który też nie tak dawno powrócił z Syberii (był wywieziony jeszcze w 1940 roku), powiedział, że nie uda się ojca uzdrowić. Mimo to próbowaliśmy leczyć... Pod koniec lipca ojciec zmarł.

Pojechałem do Radunia do księdza Czesława Szejna w sprawie pogrzebu. Ksiądz proboszcz uściśnął mi rękę i wyraził współczucie, z ojcem przez dłuższy czas w jednej celi więziennej siedział w Grodnie. Wyprowadziliśmy zmarłego z domu o godzinie szóstej rano. Ranek był wietrzny, ale ciepły i pogodny. Rosa na łące, na słońcu dawała blask jakichś kryształów, czy diamentów. Od strony Radunia było słychać bicie dzwonów. W miarę przybliżania się do kościoła bicie dzwonów było coraz głośniejsze. Postanowiłem przy odprawianiu żałobnej Mszy świętej za duszę Ojca wystąpić jako ministrant, byłem koło wielkiego ołtarza. Po Mszy i egzekwii odprowadzono i pogrzebano Ojca na cmentarzu parafialnym w Raduniu z udziałem ks. proboszcza Czesława Szejna. Gdy to piszę, chwilami jestem zmuszony robić przerwy, dziś tży nie pozwalają widzieć kreślonych na papierze liter. Ku mojemu zdziwieniu wtedy na pogrzebie nie przeleciał ani jednej tży. Bylem twardy i surowy.

... 19 września 1987 roku, po 32 latach obok ojca pochowaliśmy mamę. Z rodziny pozostało nas czworo — trzy siostry i ja.

Osobiście niejednokrotnie odczuwałem, że jestem traktowany jako syn „wraga naroda”. Cztery razy zwalniano mnie z pracy, chociaż pracowałem uczciwie. Gdy do otrzymania renty pozostawało mi około 4 lat, dzięki rekomendacji znajomego byłego pułkownika urządziłem się na fabryce przemysłu zbrojeniowego.

NIE ZAGOJONA RANA

zilem mu paczki z chlebem, słoniną i cebulą. Późną jesienią 1945 roku

stółki zauważyłem jej klerownika towarzysza Gołowieszkina. Zwró-

Bóg ukarał nas wszystkich. Ja z tym się nie zgadzałem. Wciąż myślałem,

... jak gdyby prosząc o ratunek. Tuż za nim zjawiał się żołnierz z karabinem. Po odpędzeniu nieco dalej, byk stanął jak wmurowany, widzimy, że rzucił się na żołnierza. Ten uderzył go kolbą i nagle usłyszeliśmy wystrzał. Bezpiecznik odskoczył... Nadbiegi drugi żołnierz i we dwójkę dali radę. Mama stojąc na ganku westchnęła: „O, widzicie, nawet żywiola odczuwa swą śmierć i ucieka, a cóż dopiero człowiek...”

... Zaczęliśmy czekać na zmianę władzy... Żyliśmy nadzieją. Z ust do ust przekazywaliśmy nowiny. Czekałiśmy zmiany na 1-ego. Jeżeli nie nadchodziła, wówczas do 15-ego, później na Nowy Rok, po Nowym Roku i znów w kółko. Te nasze wszystkie nowiny pochodziły z „Głosu Ameryki” lub audycji polskiej z Londynu. Zabraniano mieć i słuchać radia. Boże strzeż, jeżeli by znaleziono — Syberią i Gulagiem „pachniało”...

... Aresztowano i zamknięto w areszcie ojca. Nie mogłem tego zrozumieć, za co, jeżeli nikomu nic złego nie zrobił? Aresztowano nie jego jednego. Niektórych odprawiono do armii. Natomiast Piotra Witukiewicza, Juliana Zdanowicza, Juliana Szostaka, Bronisława Pietraszkę, Juliana Kaszkiewicza, Wincentego Babulę, Stanisława Kaszkiewicza, Juliana Boładzia i mego ojca — Leona Boładzia przetrzymano w Raduniu w domu Żydówki Sońki (została zamordowana przez Niemców), bylej właścicielki sklepu na rogu ulicy Mieszczkańskiej. Późnymi wieczorami, kto blisko mieszkał, albo przechodził ulicą słyszał jęki i krzyki katowanych. Siedziba katów z NKWD znajdowała się na przeciwległym węgłe domu przy ulicy Możejkwskiej. Z tego małego więzienia u Sońki enkawudziszczi pędzili swoje ofiary na widoku wszystkich do swej siedziby, a z powrotem już trzeba było ludzi prowadzić, bo skatowani ledwo nogami mogli powleć. Pewnego razu stałem na ulicy z kolegami-nauczycielami (tylko co

ojca tam nie znalazłem, na kartce było napisane: „Ubył”. Pierwszy list otrzymaliśmy od ojca z węzłowej stacji kolejowej Orsza, bez adresu. Pisał, że wiozą na Północ, dokładnie gdzie i dokąd — nie wiadomo. Gdy dojedzie na miejsce, wyśle list...

... Drugi list otrzymaliśmy z obwodu archangielskiego, ze stacji Jarcewo. Pisał, że chorował i teraz czuje się nie tak zdrowo. Na roboty przy wyrębie lasu nie chodzi, pracuje na miejscu, robi listczywa do tynkowania ścian. Trzeci list był krótki, że czuje się nieźle, mają wieść gdzieś w inne miejsce. Gdy dojedzie, to napisze. Z nowego miejsca otrzymaliśmy list pisany 4 lipca 1947 roku. „Kochana Rodzino! — pisał ojciec. — W pierwszych słowach mojego listu witał was tymi Bożymi słowami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, czekam odpowiedzi... Donoszę z dalekiej strony północnej. Ani oko widziało, ani ludzka noga była, gdzie ja jestem zesłany. Rozkosz moja, radość moja — oczy zwrócone zawsze na południowy zachód, pociecha moja — pisanie listu. Całe zadowolenie moje, gdy otrzymam wiadomości rodzinne lub paczkę czekolady”. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego pisze „... paczkę czekolady”. Okazuje się, że każda zwykła paczka była rarytatem w rodzaju czekolady. Czytaliśmy: „Piszcie listy, co słychać u was we wsi, jak zasiedliście, jaki jest spodziewany urodzaj. Ciężko nie pracujecie, martwić się nie ma co, cieszyć się, że jesteście zrodzeni od Boga, a Pan Bóg nie opuści. Matka Boska co święci w Ostrej Bramie zetnie głowę wężowi. Caluję rodzinę, ściskam wszystkich. Do widzenia, do miłego zobaczenia jak najrychlej. Wasz rodak...” i podpis. Ojciec miał śliczny charakter pisma. Wśród setek mogłem odróżnić jego list.

... W lutym 1946 r. do naszej zagrody podjechało kilka furmanek. Do domu weszło dwóch enkawudzistów. Wybrali jakiś papier. Był to protokół — spis wszystkich rzeczy żywego inwentarza i nieruchomości... W pokoju rozebrano szafę z lustrem, na sanie ładowano świnie

ciera się do niego, co mam zrobić, żeby wyręczyć skazaną pod nóż maciorę, która za kilka dni miała się oprosić. Poradził mi pójść do towarzysza Osokina, kierownika wydziału finansowego rejonu. Ten po zastanowieniu się rzekł: „Możesz zamienić maciorę na jakiegokolwiek prosiaka”. Taką zamianę w domu poparli wszyscy. Pojechałem więc do Radunia z prosiakiem. Zamieniłem. Po przywiezieniu do domu maciora zachorowała, nie jadła i na drugi „zrzuciła” jedenaście prosiąt. Były nieżywe. Długo chorowała, a gdy nadeszła wiosna, wciąż ryjąc szukała jakichś korzonków. Wprost na oczach poprawiała się, wyglądała coraz gładszej. Ostry grzbiet zaczął się chować w ciele. Maciora zaczęła nabierać na sile, stała się weselsza, zwinniejsza. Z bólem patrzyłem na nią, przeklinając nieludzką władzę. W ogóle wszystko wyglądało, jak po jakimś kataklizmie. Świecił pustką kąć pokoju, gdzie stała szafa. Chlew i chlewiki też były puste. Nocami długo nie mogłem zasnąć. W głowie kłębiły się różne myśli, a gdy zasypiałem, męczyły mnie straszne sny. Wciąż nie wierzyłem, że tak będzie dalej, że możliwe będzie żyć w takim piekle. Czekałiśmy z niecierpliwością tego 1-go, czy 15-go. Nie traciłiśmy nadziei. Ta nadzieja pomagała nam dźwigać krzyż. Enkawudziszczi wciąż się panoszyli...

... Po okolicznych wsiach i zaściankach szerzyły się pogłoski, że gdzieś w okolicach miasteczka Zabłocie pojawił się w różnych ubraniach — cywilnych i wojskowych — partyzanci, którzy nazywali siebie „zielonymi”. Nawet w ich „otriadzie” był duchowny wiary prawosławnej pop (batiuszka). Nabożeństwa odprawiał w jednej z chat wsi Piaskowce. Zapraszano na nie okolicznych mieszkanców.

W okolicznych lasach po akcji „Ostra Brama” znalazły schronienie oddziały Armii Krajowej. „Zieloni”, faktycznie było to NKWD, ubiegali się o kontakty i połączenie z AK. Prowadzili negocjacje, namawiali, żeby powiększyć siły dla obrony przed

że to nie Bóg, a diabeł rządzi. Bóg odstąpił, żeby nas przekonać i pokazać, co może diabeł. Należało nabrać się cierpliwości i siły, by wytrwać. W rodzinnym gronie pocieszałiśmy się nawzajem...

... Otrzymaliśmy od ojca list z lagru. Pisał, że podupał na zdrowiu. Odpisuję list. Przygotowujemy paczkę do wysłania. Rozmawiamy między sobą: ojciec chyba nie wie, że jeszcze jedno nieszczęście nie ominęło nas. Piorun uderzył w dom. Umówili się, że w liście nie będziemy o tym pisać, by się ojciec nie denerwował. O pożarze więc dowie się dopiero po sześciu latach, gdy powróci...

... Ojciec powrócił na początku marca 1955 roku. Był poważnie chory. Jeżeli spotkałbym go gdzieś na ulicy — nie poznałbym. Twarz miał wielką, niby od dobrego życia, ale była żółta jak wosk. Nie władał prawą stroną ciała — ręką i nogą. Poruszał się opierając się o łaskę, powoli. Pokazywał na ściany, sufit i płakał. Rozumiał, że był pożar, że nam też było ciężko. Widział wszędzie puste kąty. Nie było szafy z lustrem na całe drzwi. Pokój był bez sufitu, okna — z zabitymi deskami. Obara była pusta — stała w niej tylko jedna krowa. Słowem ruina. Widział wielką różnicę w porównaniu z tym, gdy opuszczał swoje rodzinne miejsce. Wrócił jako „wrag naroda” pod nadzór organów NKWD. Tak było napisane w dokumencie o zwolnieniu z lagru: „... wozwraszczajetsia pod opiekę rodstwienników i pod nadzór organów NKWD”. Powrócił jako człowiek bez żadnych praw, wyrokiem NKWD został pozbawiony praw obywatelskich na trzy lata.

Pewnego razu zajrzał do nas syn sąsiada, który powrócił z wojska. Był w wojskowym mundurze. Ojciec, gdy go zobaczył, zaczął drzeć całą ze strachu. Mama z siostrami ledwo przekonały, żeby nie lękał się, że jest to nasz sąsiad, syn Eliasza Pileckiego, że powrócił z wojska i nie jest z NKWD.

Latem 1955 roku ojciec ciężko zachorował. Pojechałem samocho-

Przyjęto mnie na stanowisko ekspedytora. Jakież było zdziwienie, gdy się dowiedziano, że nie jestem członkiem partii, ale jakoś machnięto na to ręką.

Pewnego razu z inżynierem pracującym razem z mną w jednym gabinecie rozmówiłem się na temat zbrodni katyńskiej. On twierdził, że tę zbrodnię popełnili Niemcy, ja natomiast, że to robota NKWD. Było to w 1986 r. Spełniło mi się 60 lat. Doszedłem więc do wieku emerytalnego, a robotę miałem lekką. Chciałem jeszcze popracować, ale powiedziano mi, że bym napisał podanie o przejściu na emeryturę, bo mój ojciec był sądzony. Na fabryce, gdzie się robi aparaty do rakiet dla wojska nie może pracować syn „wroga narodu”. O wiele później dowiedziałem się, że inżynier Wołkow, z którym w rozmowie twierdziłem, że zbrodnia katyńska jest dziełem rąk NKWD, w swoim czasie był naczelnikiem lagru w jednym z zesłańców rejonów.

.. Nastąpiły moje długie dni emeryty. Z początku było jakoś nieswojo, ale z każdym dniem zacząłem wchodzić w nurt emerytalnego życia. Niezauważalnie nadszedł 1989 rok. Zaczęło się odrodzenie państw bałtyckich. Zaczęto iżej oddychać, swobodniej rozmawiać o przeszłości, jednym słowem przestano bać się swych cieni. Gazeta „Kurier Wileński” i jej dziennikarz Jerzy Surwiło zaczęli druk publikacji pod rubryką „Kronika pamięci”: wileńskie ślady na drogach cierpień”. Zaczęła się rehabilitacja niewinnie skazanych. Poczyniłem starania i mój Ojciec — skazany na 10 lat lagrów i 3 lata pozbawienia praw obywatelskich — również został zrehabilitowany. Zaświadczenie o jego rehabilitacji i protokół sądu obwodowego o rozpatrzeniu tej sprawy powieściłem w kilkunastu egzemplarzach i wysłałem swoim krewnym i znajomym. Pokazywałem te dokumenty dla znajomych enkawudzistów jako dokumenty oskarżenia ich działalności, która nie powinna pójść w zapomnienie.

Julian BOŁĄDŹ

Wilno

KRONIKA PAMIĘCI

Wrzesień 1939 r.

25 sierpnia 1939 r. na rozkaz władzy ojciec odstawił na punkt mobilizacyjny do wsi Gudetki gminy solecznickiej zaprzężonego do wozu konia i powrócił z pokwitowaniem napisanym od ręki na specjalnym blankiecie — seria B nr 073769. W zagrodzie została stara, już wyeksploatowana klacz. Wóz jednokonny i uprząż spotkał podobny los. A bez tego nie sposób obejść się na gospodarce. Jednak tej straty nie braliśmy do głowy. Rząd obowiązywał władze miejscowe — udzielać pomocy mieszkańcom wsi. Ledwo ojciec zdążył wrócić z punktu mobilizacyjnego zwierząt pociągowych, gdy ogłoszono mobilizację. Musiał stawić się we wskazanym miejscu. Odprawiliśmy ojca starym zwyczajem. Na pożegnanie przyszli sąsiedzi: stary Julian Babul z żoną, Wincenty Adamonis, Jerzy Kaszkiewicz... Przyszli pożegnać się z sąsiadem, przecież odchodził na wojnę. Wszyscy ukłękliśmy przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, zmówiliśmy różaniec, litanie do Matki Boskiej Loretańskiej. Ojciec pocałował ziemię, pożegnał się ze wszystkimi... Do mnie powiedział: „Bądź gospodarzem, nie nadrywaj się mocno, nie podejmuj ciężko, bo jesteś jeszcze za młody. Nie wiem, ile potrwa wojna... Zdajcie się na opatrzność Boską, patrzajcie siebie... Posiać żyto powinien pomóc sołtys”.

Pozostałem w domu jedynym „mężczyzną”, miałem 13 lat, z mamą, starszą o parę lat siostrą i młodszymi siostrami — bliźniaczkami Elżunią i Bogusią, miały wówczas po 9 lat.

Wojna — wojną, ale ja i młodsze siostry chodziliśmy do szkoły. Siostry do sąsiedniej wsi Składowice, a ja do m. Raduń do kl.

powiedzieć, skoro wypadło mu służyć niedaleko, na stacji kolejowej Niemen, nad rzeką o tej samej nazwie, i pilnować, by nie wysadzono w powietrze mostu kolejowego, by nie uszkodzono łączności kolejowej...

Prędko minął „urlop” ojca. Pożegnanie było takie same jak kilka dni temu...

...Na całe życie zapamiętałem dzień 17 września 1939 roku. Jak zwykle przyszliśmy do szkoły, wszyscy ustawiliśmy się na korytarzu. Przed nami stanęli nasi przełożeni: dyrektor szkoły Witkowski (imienia nie pamiętam), nauczyciele: Karto, Gibówna i inni, których ani imion, ani nazwisk już nie pamiętam. Jak zawsze przeżegnaliśmy się, zmówiliśmy pacierze przed lekcją... Przeczywaliśmy, że coś złego się stało. Jak nigdy dotąd panowała dziwna cisza... Po chwili przemówił dyrek-

tor Witkowski: Kochane dzieci, od dziś zmuszeni jesteście na nieokreślony czas przerwać lekcje, nie dlatego, że ulegliśmy Niemcom, wojna obronna trwa nadal, nasza stolica Warszawa jest niezwykcie ciężona, nasi rodacy zażarcie walczą, odpierają ataki niemieckie. Dzisiaj otrzymaliśmy wiadomość, że Rosja sowiecka łamiąc traktat pokojowy bez wypowiedzenia wojny napadła na Polskę... Na nie zabezpieczonej granicy wschodniej nasi KOP-iści nie mogli przeciwstawić się kilkumilionowej armii sowieckiej... Wojska sowieckie szybko posuwają się naprzód... Wojsko i niepodległość Polski są

pomnieć z owych czasów. Raduń był tu szkoła rabinów, mieszkał światowej sławy filozof (?) Chaim Chwotetz. Żydzi mówili, że tam, gdzie on przejdzie, nawet nieurodzajne pole rodziło wysokie plony. Filozof ten wykladał dla słuchaczy rabinackich. Kiedy umarł, tuż przed wojną, na jego pogrzeb zjechali się Żydzi z całego świata. Na jego grobie postawiony został nagrobek jakiś inny, nie taki, jak wszystkim stawiano. Nie wiem, czy się zachował do dziś. W centrum miasteczka, dookoła placu targowego zamieszkiwali prawie tylko Żydzi. Mieli tu sklepy z różnymi towarami.

...W dniu pożegnania z naszą polską szkołą nie wiem, o czym myśleli inni, ja natomiast myślałem o Rosjanach. Jak oni wyglądają, jakie mają wojsko, jakie są ich pieniądze, przecież o nich dosłownie nic nie wiedzieliśmy.

Nazajutrz, jeszcze do południa

Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, w pięknej ramce na czerwonym tle Białego Orła, nie wisił jak zawsze nad drzwiami klasy krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem. Nie przychodził już nigdy raz na tydzień ksiądz wikary Śnieżko na lekcje religii, a do uczniów Żydów — rabin. Czulem się jakoś nieswojo. Początkowo zaczęto nas uczyć alfabetu rosyjskiego. Podręczniki polskie już nie były potrzebne. Nauczyciel ogłosił, że będziemy uczyli się języka białoruskiego, i jako przedmiot będzie język niemiecki, że my żyjemy na białoruskiej ziemi i musimy uczyć się po białorusku. W głowie to mi się nie mieściło... Parę tygodni temu żyliśmy na polskiej ziemi, dzisiaj już ta ziemia zmieniła się, już nie ta co była, już jest białoruska. Słyszałem też rozmowę między Litwinami, że ta ziemia jest litewska i wkrótce będzie tu Litwa, i będziemy uczyć się po litewsku. Nie już ta sama ziemia będzie przechrzczona

ka”. Rodzice żądali od władz, żeby wykładano język polski... „Nas zebzano i zagrożono — tłumaczył ojciec — że jeżeli jutro nie będą dzieci w szkole, to was razem z dziećmi zawieziemy do białych niedźwiedzi”. Nie było wyjścia, pozostawało tylko zgodzić się z reżimowym dyktatem.

Tymczasem życie na wsi toczyło się swoim torem. Tak samo chodziło się do sąsiadów „na kaczany”, na szatkowanie kapusty. Panny zbierały się z kądzielami na wieczorki jesienne i zimowe. Niezauważalnie nadeszła wiosna. Nagle, jak grom z jasnego nieba rozszła wieść, że o świcie zabrano dwie rodziny — Jana Nosewicza i Juliana Kaszkiewicza. Mówiono, że na Syberię zostali wywiezieni. Jan Nosewicz nie wiadomo za co znalazł się w więzieniu. Wywieziono jego żonę Kazimierę i troje dzieci. Jedno z nich od urodzenia było głuchonieme. Z rodziny Kaszkiewiczów sam gospodarz Julian Kaszkiewicz nie powrócił z wojny obronnej, został zabrany do niewoli niemieckiej. Do Kazachstanu została wywieziona jego żona Anna Kaszkiewicz z dwójkiem dzieci. Po wojnie rodzina Nosewiczów wyjechała do Polski, a rodzina Kaszkiewiczów powróciła do swej rodzinnej wsi, ale nie znaleźli w domu męża i ojca Juliana Kaszkiewicza. Wrócił on z niewoli w czasie niemieckiej okupacji. Został dowódcą placówki Armii Krajowej. Aresztowany został zimą 1945 roku. Z łagrów do domu nie wrócił, pozostał na Syberii.

Ktoś — do dzisiaj mnie nieznany — ułożył słowa piosenki w związku z wywózką na Syberię osadników. Zazwyczaj śpiewały dziewczęta. Oto jej słowa:

*Oj wy bolszewicy, oj wy bezbożnicy,
Po co wywozili naszych osadników.
I powywozili, i pomarnowali,
Nasi osadnicy z głodu umierali.
Oj wy bolszewicy, przekłęci bandyci,*

NIE ZAGOJONA RANA

usłyszeliśmy warkot czołgów i traktorów. W sadzie wypełniłem jabłkami kieszenie, jeszcze nałożyłem pod bluzę i poszedłem. Mama krzyknęła mi w ślad: „Nie pochodź blisko, nie leż tam, gdzie nie trzeba, nie wiemy przecież, z jakim oni idą zamiarem”. Dobiegłem do starej wioski i dalej przez łąkę, aż patrzę stoi obóz, a w nim żołnierze. Nabierając odwagi poszedłem do jednego z żołnierzy i dałem mu parę jabłek, w mig przyszło jeszcze kilku, wszystkich obczuliłem jabłkami. Wnet patrzę — na małym koniku podjeżdża do nas jakiś dowódca. Od razu przestraszyłem się, ale patrząc na jego

trzęci raz w roku? „Nie nie poradzisz, nie nasza wola” — mówił ojciec.

Podręczników białoruskich nie mieliśmy. Zeszytów też nie można było nigdzie kupić. Kazano kupować na pocztę gazetę „Wpieriod” i z niej uczyliśmy się czytać w szkole. Jakieś urywki zadawano nauczyć się czytać w domu. Pod koniec 1939 roku zaczęła nadchodzić „brania pomoc” od szkół i uczniów Wschodniej Białorusi. Otrzymaliśmy już prawie zużyte podręczniki, wśród nich były i nowe. Z „Czytanki” dowiedzieliśmy się takiej „sztuki”, o której nawet nie śniło się. Ze panowie i obszarnicy ludzi

VI 7-klasowej szkoły powszechnej. Na wypadek bombardowania okleiliśmy na X okna swojej klasy. Chodziłem do Radunia 5 km pie-
szo.

Po kilku dniach od wyruszenia ojca na wojnę, po moim powrocie ze szkoły, mama zauważyła idących pieszo od rzeki Dzitwa trzech żołnierzy. Gdy podeszli bliżej, aż nie chcieli się wierzyć: jednym z nich był nasz ojciec. Byli z nim mamy stryjeczny brat Bolesław Zdanowicz i Józef Herasimowicz z Radunia. Komendant Służby Bezpieczeństwa zwolnił ich na 3 dni, by przygotowali i zasiali ozime żyto. „Nie wiadomo, jak dalej będzie — mówili — na ile zaciągnie się wojna, a siał trzeba”.

Zeszli się sąsiedzi, a najwięcej tych, których najbliżsi zostali zmo-
bilizowani. Interesowali się, czy może ojciec kogoś z nich widział, jak tam na froncie, kiedy się skończy wojna? Cóż, ojciec mógł

zagrzożone, jesteśmy prawie ze wszystkich stron zaciśnięci w wielkie żelazne kleszcze. Idźcie do domu, pomagajcie rodzicom. Trzeba pracować nawet będąc w niewoli. Da Bóg, zobaczymy się jeszcze w tych ścianach. Bądźcie zdrowi...

Wyszliśmy w ciszy, bez tłoku, nie śpiesząc, w skupieniu... Kto wie, o czym myślał każdy z nas... Wówczas nie dopuszczaliśmy nawet myśli, że była to ostatnia lek-
cja w języku polskim, że jest już zaplanowana asymilacja przez wodza narodów Józefa: Krwawego (Stalina) na kilka pokoleń, na dzie-
sięciolecia...

Świat, który zaczął się rozpadać

...W naszej klasie uczyło się około 40 proc. Żydów, jeden Tatar — Ibrahim Aleksandrowicz, kilku Litwinów, resztę stanowiliśmy my, Polacy. Nic złego nie mogąc przy-

twarz zrozumiałem, że krzywdy nie wyrządzi. Zwrócił się do żołnierzy: „Towarzyszczy upotititie... tak nic-
zia”. Żołnierze sięgnęli do kieszeni i zaczęli dawać jakieś miedziane monety. To były ruskie pieniądze. Po drodze do domu zachodziłem do swoich kolegów i koleżanek, by pochwalić się, że już mam ruskie pieniądze. Przyglądaliśmy się mon-
etom, ale ani na jednej z nich nie znaleźliśmy Orła.

...Pewnego dnia wrócił z wojny ojciec. Po jakimś czasie dowied-
ziałem się, że znowu otwiera się szkołę. Powiedziałem o tym ojcu. Wtem co synku, trudno, szkoła jest zawsze szkołą, ruszaj do „nauki” —
zaucydował ojciec...

Zaszedłem do swojej klasy, og-
lądałem się i nie mogłem odnaleźć portretów J. Piłsudskiego z wielki-
mi orwiami, trzymającego prawą ręką rękkojęść szabli, w generalskim mundurze Edwarda Śmigłego -
Rydzka, w ślicznym garniturze pana

zaprzągali do pługa i orali ziemię. Pan batem popędzał zaprzęgnię-
tych głodnych niewolników — Po-
laków i innych. A w wierszu, nie pamiętam jego autora, było napisa-
ne:

*Rublił nas mieczom,
Palił nas ogniom,
Nie śmiełłi goworył
My, mowoju swojej...*

Pewnego razu wróciłem ze szkoły i odrabiałem lekcje. Ojciec siedział obok i przyglądał się, czasami zwracał uwagę na błędy. Tego wieczoru powiedział mi, że chym jutro nie szedł do szkoły. Na moje pytanie: „Dlaczego?”, ojciec su-
rowo odpowiedział: „Nie twoja rzecz, powiedziałem i basta”. Na pojutrze też powiedział nie iść. Na trzeci dzień skądś wrócił zdenerwowany i powiedział: „Jutro musisz być w szkole”. Poszedłem. Wszyscy byli na miejscu jakby się nic nie działo. Tylko po kilku latach ojciec mi wytłumaczył, że to była „zabastow-

*...pisał w strodu, jak Wilno z ukrycia.
Bez Boga, bez wiary, życie jak bydło
Od was nie obroni i święte kropidło...
Szalanem podszyci życie beztrosko,
Spotka was nieszczęście, spotka kara
Boska.*

...Ta nadzieja krzepiła ludzi i dodawała sił i energii do wytrwania. Przecież tak stęsknili się po swojej Ojczyźnie — Polsce. Mówiono, że ta nasza Polska, po tak długiej nie-
woli na tak krótki okres błysnęła światłem wolności i znowuż na krótko odeszła gdzieś tam... w ma-
łomu znany świat, wykrwawiona, poszarpana, rozdarta, ale nie zwy-
ciężona... Tak jak kiedyś i teraz nie upadła przed nikim na kolana, nie upadła na duchu... Bóg i cały świat wiedział, że musi zatriumfować sprawiedliwość i prawda musi po-
konać znieprawdzą gwałt, mor-
derstwo, poniewierkę, mę-
czeństwo...

Cdn.

Jullan BOŁADŹ

Wilno

KRONIKA PAMIĘCI

NIE ZAGOJONA RANA

Stalin kaput

22 czerwca 1941 r. o świcie obudzili nas detonacje bomb z kierunku Lidy, ale z samego rana nikt nie wiedział, co się naprawdę dzieje. Mówiono, że to jakoby ćwiczenia wojskowe. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że Hitler bez wypowiedzenia wojny, tak jak Sowiety na Polskę 17 września 1939 roku, napadł na Rosję sowiecką, że w rejonowym miasteczku Raduń odbywa się ewakuacja urzędów i urzędników na wschód. W miasteczku panuje wielki popłoch, krzyk, tumult, Rosjanie ładują się — kto na ciężarówkę, kto na furmanki i dyba dają.

W Raduni
W Raduni postanowiłem pójść do Radunia. Sklepy były otwarte i puste. W księgarni, na podłodze poniewieraly się różne książki. Wybrałem i... wziąłem potrzebne mi podręczniki do nauki w szkole. Wracając do domu, około 3 kilometrów od Radunia, we wsi Straczu spotkałem Niemców. W sadzie pod jabloniami stało kilka ciężarówek i motocykli. Jakiś oficer kiwając palcem krzyknął do mnie: „Kom!”. „Guten tag” — przywitałem się. Wziął ode mnie książki i zaczął przeglądać. W wypisach z literatury znalazł portret Józefa Stalina. Niemiec zaczął krzyczeć, wyrwał kartkę z Józefem, przyłożył do tyłku, zrobił się wściekły, jeszcze głośniej zaczął krzyczeć: „Stalin kaput! Verstehen?” Kartkę wreszcie porwał i rzucił. Zwrócił mi książki, a sam poszedł do żołnierzy, leżących pod jablonią. Zrozumiałem, że nie mają do mnie żadnych pretensji, zrobiło mi się lżej, bo naprawdę już miałem pietra.

Nie pamiętam, którego to dnia od początku niemiecko-sowieckiej wojny, zajęchali na naszą Starą Kozakowszczyznę, do zagrody Stanisława Ziemienczuka kilka fur z niemieckimi żołnierzami. Zaczęli zbierać prowiant. Do nas weszło dwóch Niemców. Działo się to w samo południe. Wszystkie krowy i owce z pastwiska były w zagrodzie. Jedna z pięciu krow była jeszcze z cielakiem. Ponieważ nie było gdzie podziąć mleko, cielaka od krowy nie odłączaliśmy. Codziennie na dodatek dawałem mu do wypicia miskę świeżego mleka z ubitymi 3-4 jajkami. Dlatego był tusty i rześki. Właśnie

cielaka sobie upatryli Niemcy. Nie pytając o pozwolenie zarznęli go i powięzili. Serce mi krwawiło, co i mówić, bo najwięcej go doglądałem. Ojciec uspokajał, pocieszając, żeby na tym się skończyło, to byłoby dobrze...

... Jak zwykle przy każdej nowej władzy zaczęło się od spisu ludności, sporządzenia ewidencji posiadane-go żywego inwentarza oraz ziemi. Wiadomo, rozumowali ludzie, ponieważ jest to czas wojenny, trzeba będzie płacić tylko naturą. Stanisław Biblis z sąsiedniej wsi, który jeszcze w polskich czasach był sołtysem na dwie wsi — Nową Kozakowszczyznę i naszą Starą, przywiózł ojcu rozmaite papiery i prosił, by je zapełnił, a właściwie, by wykonał tę ewidencję. Mama zaczęła lamentować: „Nie leż, gdzie nie trzeba! Niech spisy prowadzi ktoś inny, tylko nie ty”. „Ależ kto w naszej wsi może to wszystko zrobić? Nikt, albo prawie nikt” — wtrącił Biblis. Dalej mówił półgłosem: „Jacy byli kajzerowscy Niemcy i co oni ponarabiali — dobrze wiemy. Wiemy, jaki był głód i wiemy doskonale, że do tego przyczynili się swoi niemieccy slugusi, przez nich tylko ludzie ginowali. A co mamy teraz? Wójtem raduńskiej gminy zgodził się być pan Bolesław Cimachowski, policjantów i innych urzędników też postaramy się mieć spośród swoich ludzi”. Następnie pan Stanisław zaczął tłumaczyć: „Na ewidencję trzeba brać nie wszystko, co ludzie posiadają. Należy zachować pewną proporcję, żeby jakiś pyskаты nie czynił zarzutu innym, że on płaci więcej, a inni mając to samo co i on, płaci mniej. Nie ze zlej woli może poskarżyć się Niemcom, a u nich rozmowa krótka — wszędzie i za wszystko grozą śmiercią”.

O samych swoich
i Żydku Berku

... Zaczęło się — wydawanie dowodów osobistych. Wszystkim wydano. Powstrzymano się jednak z załatwieniem dokumentów dla byłego „předsiedatiela sielsowieta” Bolesława Zdanowicza. Znowu w domu narada, co zrobić?.. Szkoda człowieka. Wielu takich jak on rozstrzelano i „polowano” nadal. Więc ojciec napisał mniej więcej takie po-

danie, w którym miejscowi ludzie twierdzą, że Bolesław Zdanowicz nie był i nie jest komunistą, a zwykłym wieśniakiem, jak wszyscy, że chodzi każdą niedzielę do kościoła. Jako jeden z pierwszych to podanie podpisał proboszcz parafii raduńskiej ksiądz Czesław Szejn. Z prośbą o podpisanie tego podania ojciec zwrócił się do ludzi zamożniejszych z sąsiedniej wsi. Ci odmówili mając pretensję, że sowieci chcieli ich zapisać jako „kulaków”, a takich jak Bolesław Zdanowicz trzeba niszczyć dlatego, że pracował na władzę sowiecką. Ojciec w rozmowach w domu dziwił się bardzo, że ludzie są aż tak „krwiożerni”. Po tym wypadku rzekdo do kogo się zwracał o złożenie podpisów. Całą rodziną podpisaliśmy to podanie — rozmaitymi nazwiskami, to prawą, to lewą ręką. Po doręczeniu podania we właściwe ręce, ojciec przywiózł Bolesławowi Zdanowiczowi dowód osobisty. Wiele uczynił, by nie wydać ludzi na zagładę nasz proboszcz ks. Czesław Szejn. To był prawdziwy sluga Boga, który z ambony kościelnej nawoływał, by każdy człowiek czcił bliźniego jak siebie samego.

Nie zauważyliśmy, jak nadeszła jesień, potem zima. Niemcy zaprowadzając swój porządek, zaczęli prześladować Żydów. Szkoda mi ich było bardzo, przeważnie kolegów i koleżanek, z którymi razem chodziłem do szkoły. Z Wolfem Kindlerem siedziałem nawet w jednej ławce. Żalowałem też tego Żyda, który pewnego razu latem, koło synagogi wysmarował mi sadzą twarz. Na widok getta chciało się zapomnieć również o tym, że przy władzy sowieckiej miejscowi Żydzi wymawiali nam, Polakom, że „wystarczy, to wam nie za Polską”. Nie rozumiałem tych wymówek. Za co oni się na nas gniewają? Może za to, myślałem nie raz, że pewnego razu w 1938 roku w Raduni, po ciemnej jesiennej nocy Żydzi zauważyli na ścianach swych domów, w których były sklepy, napisane czarną farbą słowo „ŻYD”. Zamalowane były także czarną farbą szyldy sklepów. Mówiono wówczas, że z Wilna przyjechał jakiś facet i z miejscowymi chłopakami nocą wykonał tę brudną robotę. Chyba była

KRONIKA PAMIĘCI

W ubiegłym roku z Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk nadeszła przyjemna wiadomość. Jury konkursu „Kresy Wschodnie pod okupacją 1939-1945” — przewodniczący prof. Tomasz Strzembosz, komisarz dr Małgorzata Giżejewska — organizowanego przez Archiwum Wschodnie i Samodzielną Pracownię Dziejów Ziemi Wschodnich II Rzeczypospolitej w Instytucie Studiów Politycznych PAN, zawiadomiło, że wileńnianowi Panu Julianowi Bołędziowi została przyznana pierwsza nagroda za nadesłane na konkurs wspomnienia.

Wręczenie nagrody odbyło się w redakcji „Kuriera Wileńskiego”, na którego łamach od lat prowadzi rubrykę „Kronika pamięci”. Składa się na nią tematyka zeszła, martyrologii Polaków z dawnych Kresów Rzeczypospolitej podczas ostatniej wojny i

wszystkich kolejnych okupacji — „Wileńskie ślady na drogach cierpień”, „Żołnierze Września”, „Żołnierze Armii Krajowej”. Właśnie z „Kroniki pamięci” powstała nowa rubryka „Zostali tu z nami na dobre i złe”, która stanowi jej ciąg dalszy czyli II część. Z „Kroniki” Pan Julian Bołędź dowiedział się o konkursie „Kresy Wschodnie pod okupacją 1939-1945”. Swoje wspomnienia poświęcone ludziom rodzinnej wsi Stara Kozakowszczyzna znajdującej się koło Radunia (obecnie teren Białorusi), wydarzeniom tamtych lat ze szczerą chęcią, by to wszystko ocalić od zapomnienia, wysłał właśnie do Warszawy i zdobył pierwszą nagrodę.

W naszej redakcji to zaszczytne wyróżnienie Panu Julianowi Bołędziowi wręczyła członek jury konkursu dr Aleksandra Niemczykowa, córka znanego publicysty i pisarza Stanisława Cata-Mackiewicza.

— Jest to dokument — podkreśliła dr Niemczykowa.

wa, oceniając wartość wspomnień Pana Juliana — prawdy życia, codzienności, dobroci rodzin kresowych, a jednocześnie jest to opis okupacji, widzianej oczyma młodego człowieka...

Po jakimś czasie Archiwum Wschodnie i Pracownia Dziejów Ziemi Wschodnich II Rzeczypospolitej w Instytucie Studiów Politycznych PAN złożyły „Kurierowi Wileńskiemu” podziękowanie za zorganizowanie uroczystości wręczenia nagrody, za stworzenie miłej atmosfery jej towarzyszącej.

Wspomnienia Pana Juliana Bołędzia przechowywane są w zbiorach Archiwum Wschodniego. Mają być zachowane jako świadectwo historyczne. Może ktokolwiek po nie sięgnie. A tymczasem, przygotowaliśmy do druku ich fragmenty.

Jerzy SURWIŁO

Czy będzie wojna?

Pewnego razu w końcu wsi Stara Kozakowszczyzna, na drodze, zatrzymał się samochód. Wyszedł z niego jakiś jegomość, odkręcił coś z przodu samochodu, i nagle wzniósł się do góry słup pary. Ludzie podszli bliżej, by popatrzeć, bo w tamtych czasach nie tak często przyjeżdżały tu samochody. Popatrzeć, nadziwić się, jak to dobrze, że nie trzeba konia, siadł i pojechał. Nie trzeba ni paść, ni karmić... Tymczasem „ten pan” wyjął z samochodu wiadro i poprosił nas, dzieciaków, przynieść wody. Potem zapalił papierosa i podszedł do stojącej nie opodal grupy mężczyzn. Wyjął z kieszeni cygarniczkę i zaczął ich częstować. Zaciągnął się papierosem i zapytał: „Co słychać na świecie?”

Mężczyźni popatrzyli jeden na drugiego, jak gdyby się upewniając, kto ma zacząć rozmowę. Pierwszy podniósł głowę, zrobił pół kroku do przodu Jan Butrymowicz i niby odpowiadając rzekł:

— Panoczku, co my możemy

nieznajomy, rzucił papierosa, pożegnał się i odjechał.

Kobiety, które nie były nigdzie więcej jak w kościele i na targu, siedząc na trawie koło domu Wincentyny Łyszczkowej dziwiły się: co to za maszyna (samochód), jaka cudowna, nalał wody i jedź sobie... Jedna z nich twierdziła, że prędko będzie koniec świata. A stara Galiniowa zaczęła opowiadać, że czytała przepowiednie Sybilli... że przed końcem świata będą jeździły na samochodach diabły i zapisywały dusze ludzkie. Kto zapisze swoją duszę, ten będzie szczęśliwie żyć do śmierci, nie będzie miał żadnych bied i niedostatków...

Zalisa. Razem zrobili się jakoś raźniej.

„Śpiewaliśmy wojskowe piosenki — wspominał pan Maciej. — W pośpiechu odbywaliśmy musztry, różne ćwiczenia, poznawaliśmy posiadaną broń. Czemu w pośpiechu? Nie mieliśmy czasu, przecież wojna, tylko co odrzucono bolszewików od Lidy. Byliśmy nie hukiem szyci. Czekaliśmy na wymarsz. Chłopczy prosili swoich dowódców o jak najrychlejsze spotkanie z wrogiem: „Pokażemy im, gdzie raki zimują”. Jednak z marszem zwlekano. Nagle nad rankiem alarm, pobudka. Wszyscy zrywamy się nie wiedząc, w czym rzecz. Może już jesteśmy w okrążeniu? Nic nam

młode panienki. Po kryjomu ocierali iży również mężczyźni. Naraz rozległ się gwizd lokomotywy, padł rozkaz dowódców oznajmiający odjazd.

W wagonie usadowiła się cała nasza trójka: Michał Machała i Andrzej Żalis. Staraliśmy się trzymać razem. Nie czekając długo zaczęliśmy się szykować do śniadania Wielkanocnego. Najpierw położyliśmy na stole świątecznym (jakiejś skrzynce drewnianej) to, co otrzymaliśmy od kobiet na peronie, później zaczęliśmy wybierać ze swych plecaków wydany prowiant. W tej chwili podszedł do nas z koszykiem pisanek farbowanych na czer-

ska Ostrobramska. Niech strzeże nas na wieki wieków amen — podchwycili w jeden głos żołnierze.

Ktoś krzyknął: „Już wjeżdżamy do Wilna”. Otrzymaliśmy rozkaz: przygotować się do wyjścia! Na bocznicę, gdzie zatrzymał się pociąg, już czekano na nas. Były tu m.in. wyższe władze wojskowe. Jakaś kobieta nie opodal stojąca machała ręką i wołała głośno: „Już przyjechali, przyjechali...” Koło bocznicę zaczęły zbierać się kobiety, dziewczęta z wiosennymi ładnymi kwiatami. Dwóch mężczyzn w cywilu, z siwymi brodami, w jarmułkach trzymało od ręki napisany plakat z napisem: „Witamy zbawców”. Zrozumieliśmy, że to byli Żydzi — rabini.

Witali nas księża wileńscy. Rozdawali medaliki Matki Boskiej Ostrobramskiej. Żołnierz przyklepał na jedno kolano, a ksiądz wręczał medalik i błogosławił. Ludzie wyciągali ręce, by uściskać nasze dłonie. Przed wymarszem były przemówienia. Stąłem daleko i nie mogłem rozpatrzeć, kto przemawiał. Mówiono, że przemawiał generał Rydz-Śmigły, jakiś Żyd w czarnym ubranku i przedstawiciel

NIE ZAGOJONA RANA

— O, gadasz jak śpiewasz..., może ten pan co był i odjechał samochodem, to diabeł po nasze dusze przyjechał — przerwała jej sta-

nie mówiono, tylko była komenda: „Prędeż, prędeż!” Nawet nie pozwolono wypić kawy. Wydano prowiant na drogę. Pytaliśmy w czym

wony kolor nasz kolega z sąsiedniej wsi Podzittwa Stanisław Stefanowicz i poprosił o przyjęcie do naszego grona. Chętnie zrobiliśmy mu

wiedzieć na tej ciemnej wsi, małopolskiemi, nigdzie daleko nie bywamy... O pan, to chyba dużo więcej wie, co robi się na świecie.

— Tak, tak, ale co panów najbardziej interesuje? Widać, że urodzaj dobry, bo to nagłówniejsze dla rolnika i nie tylko — dla miastowych też. Jeżeli będzie miał rolnik, to będą mieć wszyscy miastowi, nie umrą z głodu, jak to było przy kajzerowskich Niemczech. Wszystko zabierali od rolników. Wówczas jak nie miał rolnik, to nie miał i miastowy. Nie daj Boże wojny.

— Panoczku, ale czy będzie wojna?

— Wojna jest nieunikniona, panowie obywatele. Mamy dwóch wrogów: ze wschodu — Rosję sowiecką, a na Zachodzie — Niemcy już rozpędu nabrali. Od Litwy odebrali Kłajpedę, anektowali Austrię, Czechosłowację, a teraz w jaką stronę ruszą, na wschód czy na zachód? Kto ich wie... Jak wiadomo, Niemcy, Hitler zawarł umowę z Francją i Anglią. Może się uspokoją na razie na parę lat... Wszędzie już mówią, że będzie wojna, tylko kto na nas, na Polskę, napadnie — Rosja czy Niemcy? — energicznie włączył się do rozmowy Bolesław Łyszczak, natężając słuch na odpowiedź.

— Niemcy do wojny są przygotowane. U nich technika wojskowa jest na wysokim poziomie. Zagrabiając technicznie rozwiniętą Czechosłowację i Austrię są o wiele silniejsi od Polski. Ale Polska będzie dla nich twardym orzeszkiem. Jeżeli Niemcy zaczną wojnę z Polską, to niech wiedzą, że za dwa tygodnie będziemy w Berlinie pić herbatę.

— A jeżeli na nas napadną Sowiety? — zapytał zaciągając się papierosem Elias Pilecki.

— Sowiety dla nas są niestraszne, będzie im tak, jak było w sierpniu 1920 roku, uciekali boso, bez gaci... Sam ich pędziłem — rzekł

ra Witakiewiczowa. Kobiety wybuchły śmiechem.

Legionista Maciej Jankowski wspomina

„Cichonia” Maciej Jankowski, co był w Legionach Piłsudskiego, poruszony rozmową z nieznanym kontynuował ją dalej: „Szkoda, że ja jego nie zapytałem, gdzie służył, w jakich bitwach z bolszewikami brał udział... Ja by jemu skłamać nie pozwolił...” Skąpy na rozmowę był nasz legionista, pan Maciej, ale jeżeli zauważał, że jego na serio słuchają, mógł opowiadać bez końca. Kieliszek „biały” na tył dodawał mu energii, że wykrzykując komendy oficerów fizycznie pokazywał ich wykonanie, przy tym zarzucał na ramię jakąś pałkę za miast karabina...

Trudno powiedzieć, czy z patriotyzmu, czy z nadzieją otrzymania nadziału ziemi Maciej Jankowski na ochotnika wstąpił do polskich Legionów. Uważam, że z patriotyzmu, ale dla niego, jak również dla wielu innych chłopów, po odzyskaniu niepodległości nadziały państwowe w postaci kilku hektarów ziemi, o jej, jak były potrzebne. Zrozumiała rzecz — ziemia dla chłopów to samo co koń dla koczującego Cygana. Chłop bez ziemi — nie chłop, a Cygan bez konia — nie Cygan. Jednostka wojskowa, do której wstąpił pan Maciej, formowała się w Lidzie. Prawdopodobnie był to 77 pułk piechoty, który istniał w czasie międzywojennym (1920-1939) jak też w czasie wojny niemiecko-sowieckiej w składzie Armii Krajowej. AK dla każdego Polaka była dumą i nadzieją, że Polska jeszcze żyje i będzie żyć. W tej jednostce wojskowej w 1919 r. pan Maciej spotkał z sąsiedniej wsi Michała Machałę i Andrzeja

rzecz, obiecano później wyjaśnić. Widać było po twarzach dowódców, że nic straszniejszego się nie dzieje, że nie jesteśmy w okrążeniu. Rozumieliśmy, że ma się stać coś ważnego. Wymaszerowaliśmy, ale dokąd idziemy nie wiemy. Ktoś półgłosem powiedział, że idziemy na front, który musi być tutaj blisko. Na te słowa ktoś krzyknął: „Kto tutaj panikuje? Niech wystąpi z szeregu i idzie do diabła pod baby spódnice!” Wnet ktoś bez żadnej komendy zaczął półgłosem nucić „Legiony to żołnierska...” Pieśń podchwycili inni i od serca popłynęła melodia. Każdy rozumiał, że Ojczyzna, wolność i niepodległość są w zagrożeniu i każdy z nas gotów przelać krew, zwyciężyć i odrzucić precz kajdaniarzy, ciemiężców. Dosić niewoli i poniewierki. Nagle słyszemy komendę: „Na miejscu — stój”. Stajemy, oglądamy się dookoła, słyszemy lokomotywę. To była stacja kolejowa Lida”.

„Pamiętam jak dzisiaj — kontynuował dalej pan Maciej — był to wówczas pierwszy dzień Wielkanocy 1919 r. Winszowaliśmy jeden drugiemu z okazji święta, życzyliśmy sobie nawzajem szczęścia, pomysłności, bohaterstwa w walce z wrogiem i niepodległości dla Polski, a dla swych rodzin wolności, dobrobytu i spokoju na długie lata w wolnej Ojczyźnie. Zaczęliśmy wsiadać do wagonów, ładować amunicję, karabiny maszynowe, inny sprzęt wojskowy.

Do stojącego pociągu podeszło sporo ludzi, przeważnie kobiety. Niektóre z nich szukały swoich bliskich, krewnych, znajomych, mężów. Były z koskami, ze święconymi jajami, solą i innymi przyśmakami. Z każdą minutą ludzi było coraz więcej. Dzielił między żołnierzy wszystko, co mieli przygotowane na Święto Wielkanocne. Wińszowali, życzyli zdrowia, szczęścia i głównie zwycięstwa. Prawie wszystkie kobiety płakały i

miejsce...

Było wesoło i wszyscy byliśmy w dobrym humorze. Ktoś z sąsiedniej grupy zauważył, że już przejeżdżamy stację Jaszuny i jest niedaleko do Wilna... Poproszono o ciszę. Wszyscy wstaliśmy. Pośrodku wagonu na podwyższeniu stanęła jakaś postać, był to porucznik rodem z Grajewa, znany wśród nas jako Witek. Nie wiem, czy to było imię, czy pseudonim... Między sobą nazywaliśmy go „ojcem”. Był o wiele starszy od nas, często rozmawiał z żołnierzami, interesował się ich rodzinami, zapytywał o rodziców, braci i siostry. Sam chętnie opowiadał o sobie, że pochodzi ze wsi, z okolicy koło miasteczka Grajewa, z niezamożnej rodziny, pracował jako geodeta. Pokazywał zdjęcia swojej rodziny. Wskazując na starszego syna, mówił, że ten urwis Zbyszek, gimnazjalista, rwał się ze mną na wojnę, powtarzając jedno i to samo, że chce „odwdziżyć się” Rosjanom za dziadka-powstańca, który zginął w czasie powstania styczniowego na szubienicy.

„My — powiedział porucznik — jedziemy na pomoc naszym braciom wilaninom, naszym braciom żołnierzom skrwawionym w nierównej walce z najeźdźcą bolszewickim. Po ponad 120-letniej niewoli, po odzyskanej przez Polskę niepodległości Rosja bolszewicka znowu swój oręż i siłę zwróciła na nas, na Polskę, na nasz naród, by nas zakuć w kajdany i pozbawić wolności. Wilno było zagarnięte przez bolszewików. Nasze wojska zdobywając każdą ulicę, każdy zaułek odrzuciły przeważających w sile bolszewików na drugi brzeg rzeki Wilii. Dalej pędzić wroga zabrakło sił. My jedziemy ze świętą misją — na pomoc dla swoich braci, by odrzucić bolszewików precz od naszej polsko-litewskiej ziemi...

Niech nad nami czuwa Opatrzność Boska, z nami jest Matka Bo-

żanym dobitnie i przedstawiciel władz miasta Wilna...

Po krótkim formowaniu oddziałów, batalionów, po uzupełnieniu w amunicję wyruszyliśmy na bój... Bolszewicy uciekali jak kto mógł, czasami nie zdążając zaprząć koni do wozów pozostawiali nam całe obozy. W wozach znajdowaliśmy czasami jakiś zrabowany prowiant, amunicję tak potrzebną do dalszej walki. W jednym z nich leżał w zawinięty w kilim zegar, taki, co stoi na podłodze, wysokości prawie do sufitu. Nie pamiętam nazwiska kapitana, który patrząc na zrabowane rzeczy nie wytrzymał i wystawił się „po łacinie” — tak ich i tak, rusie, przekłeci... psia krew... dostał i jeszcze dostaną...”

Tyle ze wspomnień starego legionisty Macieja Jankowskiego, które hen kiedyś usłyszałem. Już czego, rozmaitych szczęśliwów już nie pamiętam, ale to, co pozostało w pamięci uważałem za swój obowiązek opisać i przekazać innym, by nie zatary się ślady po legionistach ze Starej Kozakowszczyzny. To oni prawie od samego początku rozpoczęcia się wojny polsko-bolszewickiej służyli wiernie Ojczyźnie zagładając codziennie śmierci w oczy. Pozostali niepokonani, byli przykładem dla mego pokolenia. Po powrocie z wojska Maciej Jankowski ożenił się, miał troje dzieci, odszedł od nas wszystkich na zawsze w latach 50. Michał Machałko mieszkał do zgonu w sąsiedniej wsi, był dobrym pszczelarzem i kowalem. Andrzej Żalis ożenił się i zamieszkał w naszej wsi Stara Kozakowszczyzna. Był życzliwym człowiekiem, gotowym przyjść z bezinteresowną pomocą każdemu, komu była potrzebna, miał dobrą opinię wśród ziomków.

(Cdn.)

Julian BOŁĄDŹ

Wilno